



ŁUKASZ HENEL

DEMON



ŁUKASZ HENEL

DEMON

Łukasz Henel

DEMON

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Łukasz Henel
Demon

ISBN 978-83-8116-104-6

Copyright © 2017 by Łukasz Henel
All rights reserved

Redaktor
Robert Cichowlas

Projekt graficzny okładki
Mariusz Kula

Łamanie
Grzegorz Kalisiak

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Część pierwsza – DOKTOR PIOŁUN

Część druga – PIOŁUN I LAMBERG

Część trzecia – CIEMNOŚĆ NADCIĄGA ZNAD GÓR

Epilog

Dla mojej żony, Małgorzaty

Prolog

Nikt przy zdrowych zmysłach – nawet obdarzony sporą wyobraźnią – nie mógłby spodziewać się tego, co miało niebawem nastąpić. Wnętrze wałbrzyskiego kościoła zostało przystrojone girlandami z kwiatów. Zegary wskazywały południe. Majowe słońce zaglądało do wypełnionej tłumem świątyni przez strzeliste gotyckie okna. Kobiety ubrane były w eleganckie suknie z połyskiem, a mężczyźni w garnitury plasujące się w odcieniach szarości i czerni. Panował uroczysty nastrój, wokoło kręcili się fotografowie i, przyjmując karkołomne pozy, poszukiwali najlepszego ujęcia. W powietrzu unosiły się ostre, nieco drażniące zapachy perfum i kadzidła.

– Hiob to człowiek, który utracił wszystko, został przez Boga wystawiony na najwyższą próbę – przemawiał celebrujący mszę kapłan. Jego głos odbijał się delikatnym echem od ścian kościoła. – W tej opowieści jest coś, co przykuwa uwagę. Coś, co niełatwo jest dostrzec, czytając ją za pierwszym razem. Hiob nie zasłużył na swój los. Bóg i Szatan zawarli pewnego rodzaju zakład, tocząc walkę o ludzką duszę. Areną tej walki stało się życie Hioba. Dotknięty rozpaczą Hiob pyta o sens ludzkiego istnienia. To nie jest historia, która wydarzyła się kiedyś, dawno temu. To przypowieść, która żyje i jest opowiadana. Każdy z nas w jakimś momencie może stać się Hiobem. Szczegóły tej opowieści nie są najważniejsze, liczy się jej przesłanie.

Starannie modulowany głos księdza płynął, wprawiając większość wiernych w stan delikatnego uśpienia. Po skończonym kazaniu wszyscy powstali, aby odmówić modlitwę. Trudno byłoby znaleźć miejsce bardziej bezpieczne, uświęcone tradycją i w pewnym znaczeniu swojskie. W świątyni z pewnością nie powinno wydarzyć się nic niestosownego – o czymś złym nawet nie wspominając. Ludzie czuli się spokojni, pewni siebie. Niektórzy z nich przyglądali się uroczystości, sycąc wzrok odświętymi strojami wiernych, inni znajdowali przyjemność w rozpoznawaniu znajomych twarzy i przypominaniu sobie odległych powiązań rodzinnych. Myśli wiernych

dryfowały ku sprawom przyziemnym, dobrze znanym każdemu człowiekowi. Po prawej stronie ołtarza umieszczono duży ekran z białego płótna, na którym rzutnik wyświetlał słowa popularnej pieśni religijnej *Barka*:

*Pan kiedyś stanął nad brzegiem
Szukał ludzi gotowych pójść za nim
By łowić serca słów bożych prawdą*

Siedzący w jednej z pierwszych ławek Dominik Lamberg z wałbrzyskiej policji wytrwale poruszał ustami. Nie śpiewał jednak głośno, ponieważ nie posiadał w ogóle słuchu muzycznego i nie chciał popełniać zbrodni na muzyce. Większość tonów brzmiała dla niego podobnie, a jeśli dostrzegał między nimi różnice to zaledwie na poziomie głośności i barwy, lecz nie położenia danej nuty na pięciolinii.

Natura wyposażyła go za to w inną zdolność – przeczuwał kłopoty, problemy i nieszczęścia. Kiedy miało wydarzyć się coś złego – on pierwszy o tym wiedział. W jakiś dziwny i irracjonalny sposób wyczuwał to swoją intuicją, która była dla niego równocześnie darem i przekleństwem. Przekleństwem, ponieważ czasem policjant zastanawiał się, czy aby nie przyciąga tych ponurych zdarzeń niczym magnes opiłki żelaza.

Nie wiedział oczywiście, co dokładnie ma nastąpić. Gdyby tak było, mógłby temu zapobiec, zmienić bieg zdarzeń, powstrzymać złoczyńców, jak to się dzieje w wielu powieściach i filmach fantastycznych.

Ogarnęło go zakradające się uczucie niepokoju, dziwne wyalienowanie spośród otoczenia, jakby na jego serce padł nagły cień i jakiś głos rzekł: wyczerpałeś szczęśliwe chwile, Lamberg, nadchodzi czas mroku. Czasem przychodziło mu do głowy, że takie słowa mógłby wypowiadać Bóg. Lub ktoś zupełnie inny.

Wzrok policjanta przyciągnął duży obraz ukazujący Jezusa Chrystusa,

namalowanego w konwencji typowo hollywoodzkiej – niezwykle przystojnego i stojącego w pozie, jakiej mógłby uczyć się kandydat na amerykańskiego prezydenta. Przyjdźcie do mnie, a ja was pokrzepię – zdawał się mówić wyraz twarzy Mesjasza.

Kiedy jednak po raz wtóry zerknął na obraz, spostrzegł jakąś dziwną zmianę, jak gdyby oblicze Nazarejczyka ogarnął nagły smutek i niepokój. Rozejrzał się dyskretnie, ale nie zauważył, by ktokolwiek inny doznał podobnie osobliwego wrażenia. Pomyślał, że to kwestia wyobraźni. To, co sobie wyobrażamy, jest dla nas realne i stanowi siłę wpływającą na bieg życia, naszego i innych ludzi. Czasem fikcja umysłu potrafi być śmiertelnie niebezpieczna, prowadzi bowiem do czynów, którym nie sposób odmówić mroźnej krew w żyłach realności. Szaleniec przekonany, że rozmawia z demonami, będzie równie – jeśli nie bardziej – groźny od chłodno i racjonalnie kalkulującego swoje postępowanie zbrodniarza. Nóż czy pistolet w ręce obłąkanego włóczędzy może zabijać tak samo jak ten trzymany przez kogoś twardo stąpającego po ziemi i realnie myślącego o życiu. Wyobraźnia tworzy liczne obrazy. Część z nich może być ostrzeżeniami. Trzeba tylko odważyć się je zobaczyć.

Policjant otrząsnął się z zamyślenia. Obok stała jego młoda żona, Monika. Piękna blondynka z włosami uplecionymi w gruby francuski warkocz. Miała na sobie elegancką w swojej skromności błękitną sukienkę. On sam ubrany był w białą koszulę z delikatnym połyskiem, czarne spodnie i wypastowane skórzane buty.

Odnalazł wzrokiem syna. Paweł miał w tym dniu przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej. Dostrzegł go wreszcie, jak wchodzi do kościoła wraz z innymi dziećmi, w długim szeregu lśniących bielą małych postaci przywodzących na myśl procesję śnieżnych aniołków. Uśmiechnął się do niego, lecz zaraz zrozumiał, że Paweł go nie dostrzega, tak bardzo jest

zaaferowany tym wszystkim, co dzieje się wokoło. Podekscytowana siostra katecheta przemykała pośród ustawionych w karne szeregi dzieci, posykując, kładąc palec na ustach i wciskając im małe obrazki. Przypominała trochę dyrygenta pragnącego za wszelką cenę zapanować nad niesforną orkiestrą małych karzełków.

Jak owce prowadzone na rzeź.

Wzdrygnął się gwałtownie. Nie był pewien, czy te słowa wypowiedział ktoś tuż przy jego uchu, czy może stanowiły one kolejny werset pieśni. Usłyszał je dość wyraźnie, jakby wyrwane z kontekstu na tle podniosłej muzyki i tłumionych szeptów. Nadstawił uszu. Ludzie śpiewali, cicho trzaskały migawki aparatów. Musiało mi się przesłyszeć – pomyślał. Zerknął na żonę, lecz ta odpowiedziała jedynie pytającym spojrzeniem.

W ułamku sekundy jego umysł zarejestrował coś, co sprawiło, że uniósł wzrok. W kościele znajdowała się biegnąca wokoło galeria wypełniona obecnie słoczonymi wiernymi. Coś tam było, przez chwilę. Jakby wyjrzało zza kolumny, po czym natychmiast się schowało.

Zadygotał ze strachu. Skąd te obrazy? – zastanawiał się. Skąd te dziwne myśli i niepokój? Za wszelką cenę próbował zagłuszyć wewnętrzny głos, który mówił do niego, z każdą chwilą głośniejsze i głośniejsze, teraz już niemal krzycząc:

Uciekaj! Wyjdź stąd! Weź żonę i dziecko. Uciekajcie!

Ogarnęła go panika. Starał się nad nią zapanować, tłumacząc sobie, że przecież nic złego nie może się stać. Nie w domu bożym i nie w tym dniu, w którym niepodzielnie rządzi radość. Te wszystkie złe myśli pochodziły z chwil, w których spotykał się ze złem – oglądając zdjęcia zmasakrowanych ciał, przesłuchując przestępców, odwiedzając przyprawiające o dreszcz miejsca zbrodni – zapomniane fabryki, mroczne lasy, zamiejskie cmentarze, cieszące się złą sławą opuszczone domy. Nie dało się o tym wszystkim zapomnieć, ale musiał się jakoś uspokoić.

Dyskretnie wyjął telefon z kieszeni i sprawdził godzinę. Do końca uroczystości pozostało jeszcze co najmniej czterdzieści minut. Przy okazji spostrzegł, że aparat nie łączy się z siecią.

Czego się właściwie obawiam? – rozmyślał. Do komendy napływały ostrzeżenia o szczególnych środkach ostrożności, jakie należało zachować podczas zgromadzeń publicznych. Zagrożenia terrorystyczne były realne. Traktowano te wytyczne z należytym, służbowym poważaniem, ale jednocześnie z ledwie zauważalnym przymrużeniem oka. Terroryzm – jasne! W molochach takich jak Warszawa czy Poznań. Dlaczego ktoś miałby podkładać bombę w Wałbrzychu? Ta obawa była niemal absurdalna, a jednak Lamberg, wiedziony jakimś zawodowym zacięciem, zaczął w miarę dyskretnie przyglądać się wypełniającym kościół wiernym.

Nie budzili oni żadnych podejrzeń. Nikt nie miał ze sobą wypchanej torby, plecaka lub teczki. Żaden nie wyglądał na obcokrajowca. Na twarzach przybyłych malowało się w najgorszym przypadku uprzejme znużenie i lekko niecierpliwe wyczekiwanie na koniec uroczystości. Nie wydawało się, aby ktokolwiek mógł przybyć tu w złych zamiarach, a już na pewno nie obładowany granatami lub obklejony ładunkami wybuchowymi.

Jakaś staruszka dobrotliwie strofowała małą, nieco niesforną, sześciolletnią wnuczkę, pieczołowicie poprawiając jej na głowie wielką kokardę. Dwuletni może maluch wyszedł z trójkołowego wózka i stanął niepewnie na nogach, rozglądając się wokoło z wyrazem nieskończonego zdumienia na buzi, zupełnie jakby znalazł się nagle na powierzchni zupełnie nowej i nieznannej planety. Być może zresztą Ziemia jest właśnie taką planetą dla wszystkich małych dzieci; zupełnie nowym miejscem, tak bardzo różniącym się od tego, z którego przybyły. Lamberg uśmiechnął się, widząc brzdąca. Wtedy też dostrzegł owego dziwnego człowieka. Gdy go zobaczył, nagle stwierdził, że nie może oderwać wzroku od jego sylwetki, ponieważ jest ona w jakiś sposób

inna. Nieznajomy wydawał mu się jakby obrysowany niewidzialną linią, wycięty z innego miejsca lub nawet czasu i wklejony tutaj jak gdyby z dziwną starannością, za którą kryło się jakieś nieprawdopodobne oszustwo.

Wrażenie, jakie wywierał na nim ten osobnik, było niemożliwe do porównania z czymkolwiek innym i Lamberg dziwił się, że ludzie zdawali się nie zauważać tej niepokojącej odmienności. Było to zdumienie silne, lecz policjant potrafił ten fakt zaakceptować, podobnie jak wiele innych, podobnych, z którymi spotkał się podczas swojej kariery. Wielokrotnie wyczuwał podejrzanego, bezbłędnie potrafił wytypować sprawcę, nie kierując się przy tym żadnymi racjonalnymi przesłankami. Oczywiście, nigdy o tym z nikim nie rozmawiał, obawiając się osądzenia o szaleństwo. Wierzył jednak, że jest to pewnego rodzaju dar, który otrzymał od Boga.

Postać stała na przedzie ubrana w ciemny płaszcz. Policjant nie widział jej twarzy, lecz od sylwetki mężczyzny biła jakaś dziwna energia; nawet niewielkie ruchy ciała zdradzały sprężystość mięśni i niemal arogancką siłę. Jego ramiona zdawały się szersze niż u przeciętnego mężczyzny, wzrostu również był więcej niż średniego. Pierwszą rzeczą, która wywołała u Lamberga zawodowy niepokój śledczego, był właśnie ten płaszcz. Pod takim płaszczem, absolutnie teoretycznie, dałoby się wnieść ładunek wybuchowy lub ukryć jakąś broń, pistolet czy chociażby długi nóż. W takim tłumie każde tego typu narzędzie mogłoby okazać się skrajnie niebezpieczne.

Zastanawiał się, co robić. Nie miał przy sobie ani odznaki, ani służbowego glocka. Musiał jakoś zareagować. Pozwalając, aby poniosła go fala wyobraźni, Lamberg ujrzał straszliwe konsekwencje wybuchu bomby w wypełnionej po brzegi świątyni. Rozejrzał się wokoło i zrozumiał specyfikę tego pomieszczenia, pełnego tłoczących się wiernych. Małe okna zwiększą mordercze ciśnienie, a liczne ozdoby zmienią się w śmiercionośną masę odłamków. Drewniane ławki i ołtarz z łatwością zajmą się ogniem, a wyjścia

ewakuacyjne właściwie w tym budynku nie istnieją. Nic dziwnego, świątynię budowano przecież w czasach, gdy o terrorystach nikt nie słyszał, a w każdym razie na pewno nie w dzisiejszym znaczeniu tego słowa.

Przez moment starał się myśleć jak zamachowiec. Spróbował wczuć się w umysł sprawcy, tak jak robił to zazwyczaj. Łatwiej byłoby zorganizować zamach w kościele niż na pilnie strzeżonym stadionie lub w sali koncertowej, gdzie każdy wchodzący jest skrupulatnie sprawdzany przez ochronę. Symboliczny wydzwitek i wybuch paniki również byłyby bardzo spektakularne, a przecież terrorystom właśnie o to chodzi.

Mówiło się o udaremnionym przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego zamachu na Świątynię Opatrzności Bożej. Nawet jego przełożeni nie wiedzieli jednak, ile prawdy jest w tej pogłosce. Terrorysty wybierali zwykle spore cele, położone w dużych miastach lub ich sąsiedztwie.

Czy jesteś tego pewien? – zadrwił z niego nagle jakiś wewnętrzny głos. Ten cichy prześmiewca pojawiał się czasem w jego myślach, gdy pracował nad najbardziej makabrycznymi i mrocznymi sprawami, takimi jak morderstwo młodego chłopca, którego ciało ułożono i zdeformowano tak, by przypominało magiczny symbol Ahnenerbe. Organizacji, której nazwa wypowiedziana na głos sprawiała, że nawet jego przełożeni odwracali wzrok i udawali, że o niczym nie wiedzą.

Nie, nie jestem pewien – odparł uczciwie sam sobie Lamberg. Chwilowo nie przychodzą mi do głowy żadne argumenty za tym, by zorganizowanie zamachu w wielkim mieście miało być łatwiejsze niż w mniejszym. Wałbrzych jest na tyle duży, by dało się w nim zachować anonimowość, przybyć i zniknąć niezauważonym.

Lambergowi przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Nie było to coś, o czym chciałoby się myśleć w dniu takim jak ten, pełnym odświętnych strojów, uśmiechów, balonów, tortów i prezentów.

Była to bowiem myśl o autentycznym mroku, przedziwna mieszanina wypowiedzianych ukradkiem pogłosek i przerażających faktów, za którymi kryło się niezrozumiałe zło roztaczające swoją władzę w Górach Sowich. Ta okolica w pewien sposób przyciągała wszystko, co budziło dreszcz niepokoju, nawet w trzeźwo myślącym policjancie. Czasem dumał nad wiatrem z gór, który podczas długich, bezsennych nocy uporczywie dobijał się do okien jego domu. Ten zstępujący z gór wicher, zawsze chłodny, miał w sobie coś złowróżbnego. Następnego dnia zwykle okazywało się, że doszło do jakiejś zbrodni lub tragedii. Zupełnie jakby to wiatr przynosił ze sobą coś, co opętywało ludzkie serca.

Tam, w górach, znajdowały się sekrety. Część z nich skryta była w leśnych ostępach, część w starych niemieckich podziemiach, a część w ludzkich sercach i Lamberg, który już co nieco wiedział o tych sprawach, nie potrafił zdecydować, które z nich są mroczniejsze. Tutaj mogło wydarzyć się coś złego, ponieważ, jakkolwiek zabobonnie by to zabrzmiało, nad okolicą ciążyło coś na kształt fatum. Policjanci przyjęci do służby rezygnowali często po przepracowaniu kilku lat. Ci, którzy przetrwali, wiedzieli, że są sprawy, od których lepiej trzymać się z daleka. Wiele z nich przydzielano Lambergowi.

Lśniące bielą szeregi dzieci zaczęły się przegrupowywać. Kapłan wstał z ozdobnego fotela, który zajmował do tej pory. Liczył sobie około trzydziestu lat, był chudy i mocno łysiejący. Miał w sobie coś z typowego pracownika naukowego zapomnianego instytutu socjologii. Sprawiał wrażenie skupionego, nieco zdziwaczałego, zawieszzonego w czasie i jakby oderwanego od przemijających spraw życia codziennego.

Wszyscy wierni na chwilę usiedli, lecz mężczyzna z przodu, którego od pewnego czasu obserwował Lamberg, stał nadal prosto jak struna. Policjanta opanowało niezrozumiałe, a jednak graniczące z pewnością przeświadczenie, że rzeczywiście stanie się coś okropnego. Podniósł się lekko z ławki, zdając

się na moment na swój wewnętrzny radar i ignorując zaskoczone spojrzenie żony. Mężczyzna w płaszczu pochylił się na chwilę i podniósł coś z podłogi. Policjant z ulgą wypuścił powietrze. W dłoni tajemniczego człowieka pojawił się futerał ze skrzypcami. Był to więc akompaniator, zapewne zamówiony przez jedną z rodzin.

Popadasz w paranoję – pomyślał Lamberg. Ostatnio spotkałeś się z kilkoma naprawdę okrutnymi zbrodniami, zdziwaczałeś, oddając się prywatnym śledztwom do tego stopnia, że twoje małżeństwo przeżyło głęboki kryzys. A teraz widzisz terrorystę w wynajętym muzyku...

Zbyt często szukał podpowiedzi u wróżek, na cmentarzach czy w podejrzanych książkach. Teraz zaczynał ześlizgiwać się w otchłań szaleństwa.

Tymczasem muzyk bez przeszkód pokonał te kilka metrów, jakie dzieliły go od trzech niskich schodków prowadzących na wzniesienie, na którym znajdował się ołtarz. Poruszał się z gracją niczym tancerz. Kiedy odwrócił się wreszcie przodem do zgromadzonych, poły jego płaszcza rozchyliły się. Pod spodem miał coś, co przypominało mundur. Najdziwniejsza była jednak jego twarz. Policjant odniósł wrażenie, że patrzy na coś w rodzaju hologramu, że oblicze mężczyzny jest w pewien sposób nieczytelne. Rysy wydawały się zamazane, zupełnie jakby nałożyły się na siebie twarze dwóch lub nawet kilku osób. Było w nim coś lekko archaicznego, jakby przybył sprzed kilku dziesięcioleci albo nawet z jeszcze dawniejszych czasów, a Lamberg czuł, że lepiej się nad tą kwestią nie zastanawiać.

W kościele zapanowała dziwna cisza, a spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę domniemanego artysty. Powietrze w świątyni zdało się naładowane jakimś rodzajem elektryczności statycznej. Lamberg z niezwykłą dokładnością spostrzegł delikatny dym z kadzielnicy unoszący się w górę poprzez padające z okien snopy światła. Zmysły policjanta uległy wyostreniu.

Coś było nie w porządku. Zarówno ksiądz, jak i ministranci wyglądali na zdumionych tym nieoczekiwanym wtargnięciem wiernego. Najwyraźniej występ akompaniatora nie był wcale przewidziany w programie tej uroczystości.

Człowiek w płaszczu, spod którego wyzierał czarny mundur, zdawał sycić się chwilą. Spojrzał wyniośle na tłum, a Lamberg, nie wiedząc czemu, odniósł dziwne wrażenie, że intruz spogląda wprost na niego. Poderwał się z ławki i zaczął się przedzierać bliżej ołtarza. Był już wtedy po części pewien, że nie jest to zwykły muzyk, lecz ktoś mający złe zamiary. Ciągłe jednak łudził się, że może to zaledwie ekscentryk, pragnący zakłócić przebieg uroczystości. W takim przypadku wystarczyłoby tego człowieka obezwładnić i wyprowadzić ze świątyni. Potrafił dobrze walczyć wręcz, a w umiejętności zastosowania technik interwencyjnych daleko wyprzedzał swoich kolegów z komisariatu.

W ciągu kilkunastu sekund, podczas których Lamberg usiłował przepchnąć się bliżej ołtarza, przez świątynię przemknął nagły, silny podmuch, który zgasił część zapalonych świec. Światła żyrandoli z nieznanego powodu zamrugały, a potem mocno przygasły. Przez kamienne mury i posadzkę przeniknęła jakaś dziwna, wyczuwalna dla wszystkich wibracja, jakby gdzieś w pobliżu uruchomiono potężną, lecz zupełnie cichą maszynę drogową.

Gdy Lamberg zbliżył się do człowieka w płaszczu, ten z gracją otworzył futerał. Jednak zamiast skrzypiec miał w nich karabin maszynowy, który wydobył ruchem tak zręcznym, że wręcz niewidocznym. A więc jednak...

Policjant starał się myśleć szybko i konkretnie. W ułamku sekundy ocenił swoje szanse. Był bez broni, tuż przed szaleńcem, który był gotów zabijać. I pewnie był również gotów zginąć.

Pierwszy huk wystrzału odbił się od ścian świątyni. W kościele wybuchła panika. Część ludzi z krzykiem rzuciła się do ucieczki, tratując się nawzajem.

Jedynie wyjście z domu bożego zostało zablokowane przez napierających wiernych. Na domiar złego część rodziców, która znajdowała się na zewnątrz, słysząc huk i krzyki, chciała wdrzeć się do środka, by ratować swoje dzieci. W ten sposób nikt nie mógł ani wyjść, ani wejść do świątyni.

Lamberg nie miał czasu. Tak naprawdę mógł w tym momencie jedynie spróbować przejąć kontrolę nad bronią.

Tymczasem zabójca strzelał raz za razem, przed siebie. Huk wystrzałów był ogłuszający. To nie była broń policyjna, lecz jakiś wojenny automat o dużej szybkostrzelności. Kiedy mężczyzna w płaszczu skierował broń nieco w prawo, Lamberg wykonał swój skok. Zamek karabinu pieczołowicie wykonywał swoją pracę, wyrzucając kolejne łuski i posyłając śmiertelne pociski w tłum.

Prawie się udało, niemal złapał już za karabin, gdy morderca niedbałym ruchem odepchnął go od siebie, zupełnie bez wysiłku. Lamberg poczuł to jednak tak, jakby potracił go samochód. Został odrzucony kilka metrów dalej i wpadł między drewniane ławki, a ciała martwych ludzi zamortyzowały jego upadek. Zabójca dysponował niezwykłą, nadnaturalną wręcz siłą fizyczną.

Być może jednak właśnie taki obrót sprawy uratował policjantowi życie. Lamberg leżał nieruchomo, dogłębnie sparaliżowany strachem o żonę i syna. Nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby powstrzymać człowieka z bronią. Mógł tylko patrzeć, jak pociski kładą kolejne ciała pokotem, jak rozbryzgi krwi malują oblicza świętych na obrazach czerwienią. Ogarnęło go absolutne przerażenie.

Nagle cisza i krzyk. Ktoś tak samo jak on jeszcze żył i postanowił wykorzystać krótką chwilę, moment, w którym zabójca zmieniał magazynek...

Przez wąską przestrzeń między oparciem a siedzeniem ławki Lamberg dostrzegł, jak młody mężczyzna rzuca się w stronę mordercy, ale w chwilę potem pada skoszony kolejną serią z karabinu. Człowiek w płaszczu

tymczasem wybił się na wysokość dobrych pięciu metrów niczym bohater komiksów Marvela i z gracją wylądował na galerii. Lamberg skulił się jeszcze mocniej i znieruchomiał całkowicie, udając nieżywego. Rękoma otulił głowę. Zamachowiec wystrzelił jeszcze dwa magazynki, z zimną krwią celując w konających ludzi, po czym zniknął w cieniu ozdobnego, drewnianego balkonu znajdującego się ponad ołtarzem.

Kilka minut później, pośród dziesiątków innych zabitych, Lamberg odnalazł ciała syna oraz żony.

Część pierwsza

DOKTOR PIOŁUN

1.

Pół roku przed pierwszą masakrą

Już od chwili wyjazdu z Wałbrzycha doktor Jan Piołun, były chirurg Szpitala im. Świętej Rodziny w Poznaniu, czuł się nieswojo, a w miarę upływu czasu uczucie to narastało. Opustoszały skład, przywodzący na myśl pociągi sprzed dobrych trzydziestu lat, wtaczał się pod górę z miarowym łoskotem kół. Wyglądało na to, że ostatni pasażerowie wysiedli już na jednej z tych zapomnianych, malutkich stacyjek, których obecność zdradzał jedynie krótki postój i gwizdek konduktora.

Być może już wtedy umysł Piołuna zarejestrował coś złowróżbnego. Każdy z nas posiada intuicję i nie ma w tym niczego irracjonalnego. Po prostu widzimy więcej, niż nam się wydaje. Problem w tym, że nie zawsze sobie to uświadamiamy. To szczególne wyczulenie, rodzaj wewnętrznego radaru, funkcjonuje szczególnie intensywnie u osób, które częściej niż inni spotykają się ze śmiercią. Można rzec – żyją z nią w pewnego rodzaju ostrożnej komitywie, a do takich niewątpliwie należał doktor Piołun. Po pierwsze, z racji wykonywanego zawodu, a po drugie, z powodu swojej nieuleczalnej choroby genetycznej. Cierpiał na bardzo rzadką i podstępą odmianę progerii, powodującą przedwczesne starzenie się organizmu. Mutacja była o tyle nietypowa, że lekarz do tej pory zachował pełną sprawność fizyczną i umysłową. Wyglądał również zupełnie zwyczajnie, a nawet był uważany za przystojnego, chociaż oczywiście brano go za znacznie starszego, niż wynikało to z daty urodzenia. Jako dziecko zadziwiał wszystkich dojrzałością psychiczną, szybko się uczył, zdumiewająco wcześnie, bo już w wieku siedmiu lat, osiągnął dojrzałość płciową i zaczął interesować się, oczywiście czysto

teoretycznie, płcią przeciwną. W wieku piętnastu lat brano go za dwudziestopięciolatka.

Niebezpieczeństwo polegało jednak na geometrycznym przyśpieszeniu, z jakim atakowała choroba oraz jej nieuchronnym przebiegu. Objawy nasilały się z wiekiem i w ostatnim czasie doktor, mimo iż miał dopiero trzydzieści pięć lat, był brany za pięćdziesięciokilkulatka. Włosy całkowicie mu posiwiały, na twarzy pojawiły się głębokie bruzdy, wyniki badań krwi były coraz gorsze, poziom cukru szybował w górę, na dłoniach wykwitły rozległe plamy wątrobowe, a serce zaczynało płatać figle. Nie mógł już dłużej oszukiwać siebie samego, jak czynił to w głębi duszy przez ostatnie lata. Niewidzialny przeciwnik stał już u drzwi. Nadeszła pełnia lata i ponury żniwiarz ostrzył swoją kosę.

Z badań i opisów kilkunastu podobnych przypadków, do których doktor dotarł z niemałym trudem, odwiedzając w tym celu archiwa medyczne w Berlinie i Hamburgu, wynikało jasno, iż pozostały mu jeszcze dwa lub trzy lata życia. Wystąpienie gwałtownych zmian w wyglądzie zewnętrznym zapowiadało rychłe upośledzenie organów wewnętrznych, które choroba atakowała w kolejności właściwie przypadkowej. Naruszenie równowagi ustroju następowało lawinowo, prowadząc do względnie szybkiej śmierci następującej po – najczęściej – kilkumiesięcznym okresie terminalnym, w którym chory tracił kontrolę nad większością podstawowych funkcji swojego organizmu. Żaden z cierpiących na tę przypadłość pacjentów nie przekroczył czterdziestki, a ostatnie tygodnie, eufemistycznie określane mianem „leczenia paliatywnego”, charakteryzowały się postępującą utratą pamięci oraz zaburzeniami funkcji poznawczych. Mówiąc bez ogródek, chory tracił sprawność ciała, wspomnienia, pamięć, marzenia i wiedzę. Dlatego też w bagażach doktora znajdowały się skradzione ze szpitala ampułki z morfiną. To miała być ostatnia podróż. Doktor podjął decyzję, że w zmaganiach ze

śmiercią to on będzie miał ostatnie słowo i choć nie mógł uniknąć kostuchy, uznał, że sam wyznaczy termin spotkania.

Swego czasu chirurg Piołun, zanim utracił prawo jazdy poprzez swój romans z wódką, poruszał się głównie samochodem, nowym modelem toyoty, zajęтым niedawno przez komornika sądowego. Pociągami natomiast podróżował sporadycznie. Teraz jednak, przygotowany do drogi, miał w plecaku kilka powieści, dobranych tak, by ich ciężar i wymiary pozostawały w przyzwoitej relacji z jakością. Tylko książki pozwalały mu na chwilę zapomnieć o nadchodzącym kresie istnienia. Zabrał ze sobą między innymi *Legandy i mity słowiańskie*, poetycką *Opowieść o Duchu Gór*, niewielkich rozmiarów atlas turystyczny oraz powieść awanturniczo-przygodową niejakiego Smitha, którą zakupił u handlarza na dworcu za niewiele ponad pięć złotych.

Tym razem jednak niesprecyzowany niepokój nie pozwalał mu skupić się na lekturze. Zerknął na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Od początku podróży prześladował go pech. Z Poznania wyjechał po południu, jednak we Wrocławiu spóźnił się na przesiadkę i musiał czekać na kolejny pociąg cztery godziny z hakiem. Skończył się sezon wakacyjny i pociągi w kierunku Gór Sowich kursowały rzadziej niż zwykle. Machina kolejowa jakby zwolniła, znużona wakacyjnym wysiłkiem. Z gestów konduktorów przebijała nonszalancja, a z min kasjerów nuda.

W Wałbrzychu oznajmiono mu bezpardonowo, a nawet z pewnego rodzaju odcieniem złośliwej satysfakcji, że linia kolejowa, o którą pyta, należy do najrzadziej uczęszczanych w kraju, a jedyny udający się w tamtą stronę skład odchodzi dopiero wieczorem.

Spędził więc kolejne godziny, snując się po opustoszałej poczekalni, a następnie przemierzając tam i z powrotem ponury peron. Zimny wiatr przybierał na sile, więc postawił kołnierz płaszczu i mocniej owinął się

szalem.

Oczekiwany pociąg nadjechał nieśpiesznie, wyłaniając się z wieczornej szarówki jakby obojętny na wskazania dworcowego zegara, gdy na peronach zaczęły zapalać się, błyskając i drgając, światła neonowych lamp. Nieliczne wystraszone i zmoknięte gołębie rozpierzchły się na wszystkie strony, a wsiadającego do wagonu Piołuna ogarnęło nagłe przeczucie dziwnej nieuchronności zdarzeń. Gdy pociąg ruszył, zajął miejsce przy oknie.

Rozpadało się i obfite strugi deszczu spływały po szybie. Miasto dość szybko przemknęło za oknami, żegnając podróżnego obrazem zamkniętych o tej porze zakładów przemysłowych, pełnych zagadkowych, pokrytych rdzą stalowych konstrukcji. Następnie pociąg sunął przez bezkresne, szare i skrapiane deszczem pola, aż wreszcie zbliżył się ku obojętnym, srogim, szarym góróm, których zarys z początku ledwie dostrzegalny na horyzoncie, później zaczął przybliżać się niepostrzeżenie i jakby podstępnie.

W końcu na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno i teraz, spoglądając w okno, doktor widział jedynie ścianę czerni oraz odbicie własnej twarzy skąpane w bladym świetle elektrycznych jarzeniówek. Ich światło co chwilę przygasało, mrugało, wagonami zarzucało z głośnym zgrzytem torów; niejednokrotnie odnosił wrażenie, że pociąg to szarpiąca się w uścisku torów bestia, która wzbrania się przed podążaniem tam, dokąd usiłowano ją zabrać.

W górach jechało się inaczej, z większym mozołem. Czuć było charakterystyczny, trudny do podrobienia zapach powietrza będący mieszaniną chłodnego, wilgotnego wiatru, nasmołowanych drewnianych podkładów kolejowych i ciężkiego aromatu leśnej żywicy, wzmocnionego jeszcze przez głęboką woń deszczu wnikającego w glebę.

Pociąg zatrzymał się. Piołun przytulił twarz do zimnej szyby, starając się wypatrzeć coś pośród mroku i ulewy. Na oknie pojawił się mały ślad po oddechu. To była jedna z tych widmowych stacyjek, jakie jeszcze można

spotkać na odludziach. Składała się na nią prosta wiata, krótki asfaltowy peron, samotna lampa i napis „Głuszyna” umieszczony na targanej wiatrem przerdzewiałej blasze. Gałęzie rozłożystych drzew rzucały na peron roztańczone, niespokojne cienie. W głębi duszy doktora od pewnego czasu tańczył jakiś dziwny ognik niesprecyzowanej radości właściwej ludziom, którzy wszystko, co mieli, pozostawili za sobą.

Był to stan, który znają dobrze wszelkiej maści straceńcy. Euforia, która przychodzi niespodziewanie, gdy zrozumie się, że wszystko zostało już stracone i nic nie może powrócić. Gdy człowiek ostatecznie poddaje się wyrokowi losu i, paradoksalnie, w nieczułości świata odnajduje radość i nadzieję.

Tutaj raczej nikt nie będzie wsiadał ani wysiadał, zwłaszcza o tak późnej porze – pomyślał. Był świadomy mrocznej obecności lasu ciągnącego się wokoło przez dziesiątki kilometrów. Wtem kątem oka spostrzegł jakiś ruch na peronie, tam gdzie kończyła się plama rzucanego przez lampę pomarańczowego światła. Ktoś jednak wyczekiwał na ten widmowy kurs. Samotny turysta?

Wszystko wokoło zdawało się doktorowi nierealistyczne. Rzeczy na pozór banalne, takie jak opóźnienie pociągu, nagłe podmuchy wiatru za oknem, ulewa, jasny blask jarzeniówek, składały się w jakąś całość pełną symboli i znaczeń, których obecność wyczuwał, lecz nie potrafił zinterpretować. Zupełnie jakby coś próbowało go ostrzec, ukryte za pozorami normalności.

Z wzmianki dziwnie roztrzęsionego konduktora wynikało, że na miejscu powinien być za pół godziny. Kolejarz sprawiał wrażenie wzburzonego, niepewnie rozglądał się na wszystkie strony. Doktor pomyślał, że po prostu irytuje go narastające opóźnienie pociągu.

Z czystej ciekawości lekarz postanowił wstać i przejść się po wagonach. Liczył, że natknie się znów na konduktora i upewni jeszcze co do odległości,

jaka dzieli go od stacji docelowej Wilczy Jar. Samotne perony niejednokrotnie tonęły w całkowitej ciemności, łatwo było o pomyłkę, która na tym odludziu mogła mieć fatalne skutki. Jego położenie było już wystarczająco podłe, by je jeszcze pogarszać. W najlepszym wypadku czekała go długa, nocna wędrówka niebezpiecznymi górskimi szlakami. W najgorszym, oczekiwanie gdzieś na ławce pod wiatą na nadejście świtu razem z butelką wódki i własnymi myślami. Własne myśli były w tym wszystkim najgorsze.

Piołun był ponadto nieco ciekaw tego samotnego podróżnika, który, jak mu się zdawało, wsiadł na poprzedniej stacji. Postanowił spróbować go odnaleźć i przekonać się, czy nie uległ tylko złudzeniu.

Przeszedł cały skład od początku do końca, lecz nie natknął się na żywą duszę. Nie napotkał ani konduktora, ani żadnego pasażera. Było w tym coś niepokojącego. Konduktor zajmuje zwykle miejsce w pierwszym wagonie, w przedziale służbowym, lub przemierza tam i z powrotem wagony. Stuka przy tym głośno butami, trzaska z werwą zasuwanyimi drzwiami i mówi coś, obojętnie co, byle głośno.

Najwyraźniej jednak ten konduktor wolał miejsce w lokomotywie, obok maszynisty, co w odczuciu doktora było zachowaniem nietypowym. Może jednak na tych górskich trasach obowiązywały jakieś inne procedury, których po prostu nie znał...

Gdy wracał na swoje miejsce, dostrzegł mężczyznę. Nieznajomy był młody, na oko trzydziestoparoletni, dziwnie blady, z włosami zaczesanymi do tyłu. Miał na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Piołun mógł przysiąc, że wcześniej tego podróżnika tu nie było. Widocznie był w toalecie – pomyślał, starając się nie dopuszczać do siebie innych myśli. Spokojnie, zaraz dosiądzie się do nieznanego, a potem zagai o Wilczycę, może nawet dowie się czegoś ciekawego na temat tego miejsca?

Piołun usiadł nieopodal i kątem oka zaczął obserwować pasażera. Dopiero

teraz spostrzegł na jego szyi koloratkę. A więc to ksiądz – pomyślał, po czym ujrzał w jego dłoni różaniec i dodał pod nosem:

– W dodatku ksiądz w trakcie modlitwy. Świetnie.

Duchowny zdawał się mamrotać coś pod nosem. Pewnie wypowiadał po cichu słowa pacierza. W pewnym momencie jednak Piołun rozpoznał słowo:

– Wilczyca. – Głos księdza przypominał szelest liści jesienną porą w te dni, gdy pierwsze mrozy zaczynają ścinać już ziemię. – Wilczyca odcina drogi. Tutaj pociągi jeżdżą tylko w jedną stronę. Ciemność nadchodzi znad gór.

Następnie mężczyzna wstał, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Odwrócił się i spojrzał w stronę doktora. Jego oczy zdawały się płonąć, lśnić jakimś chorobliwym blaskiem, jakby u człowieka trawionego gorączką. Przepęłniał je strach w najczystszej postaci.

– Uciekaj. Uciekaj, póki możesz – rzucił. W jego głosie brzmiało nieludzkie zmęczenie, a zarazem determinacja.

Piołun otworzył usta, aby coś odpowiedzieć, lecz ksiądz ruszył gwałtownie w stronę drzwi wagonu.

Doktor przez moment siedział jak sparaliżowany. Cóż miało oznaczać to dziwne ostrzeżenie? Może w pociągu czaiło się jakieś niebezpieczeństwo? Wilczyca... Przecież w pociągu raczej nic im nie grozi...

Nagle posłyszał odgłos mocnego szarpnięcia za drzwi. Zaniepokoiło go to. Drzwi w starych wagonach nie zawsze posiadają blokadę uniemożliwiającą otwarcie ich w czasie jazdy, a nawet jeśli ją mają, stare mechanizmy często są niesprawne. Do wnętrza wtargnął chłodny powiew nocy, zapach deszczu i huk pędzącego pociągu. Tknięty w jednej chwili złym przeczuciem lekarz poderwał się na równe nogi i ruszył w tamtym kierunku.

– Stój! – krzyknął.

Zdążył dostrzec jedynie skrawek przeciwdeszczowego płaszcza samobójcy, niknący w ciemności. W panice złapał za hamulec bezpieczeństwa i z całych

sił szarpnął czerwoną rączkę. Rozległ się pisk hamulców.

* * *

– Jestem lekarzem! – zawołał Piołun, widząc nadbiegającego konduktora.

– Jasna cholera, wokoło tylko lasy. Pomoc nie przybędzie szybko – zawodził kierownik pociągu.

Wyskoczyli z wagonu i pognali peronem.

– Świeć pan latarką – nakazał lekarz. – Pod kołami!

Ciało leżało pod ostatnim wagonem. Było zmasakrowane, bezgłowe. Najbliższa rodzina zapewne by biedaka nie poznała. Facet zginął na miejscu.

Piołun przełknął ślinę. Wiele już w życiu widział, ale obraz, jaki miał teraz przed oczyma, mocno go poruszył. A potem krew odpłynęła mu z twarzy, bo usłyszał ten szept.

– Wilczyca... Wilczyca...

To słowo nie mogło przecież wydobywać się z gardła nieżyjącego. A jednak Piołun miał dziwne wrażenie, że tak właśnie było. Wyprostował się i badawczo spojrzął na konduktora.

– Słyszał pan coś?

Mężczyzna oblizał wargi. Jego twarz stała się jeszcze bardziej blada.

– Strumień. Górski strumień szumi – wyszeptał.

Obydwaj wiedzieli, że to nieprawda.

2.

Doktor Jan Piołun nigdy nie dowiedział się, kim był ów ksiądz, który otworzył drzwi i zeskoczył wprost pod koła jadącego pociągu. Wówczas nie miał również pojęcia, jakie motywy mogły nim kierować. Pociąg musiał teraz stać,

nie wiadomo jak długo, i czekać na przyjazd prokuratora mającego dokonać oględzin zwłok. Mogło to trwać kilka godzin, a może dłużej. Jeśli prawdą było to, co powiedziano mu o rzadko uczęszczanej trasie, urzędnik nie musiał się zbyt spieszyć, aby wykonać swoją ponurą robotę.

Blady jak kreda konduktor poinformował Piołuna, że do stacji Wilczy Jar pozostało nie więcej niż kilkaset metrów. Ponieważ spoczywający pod kołami wagonu człowiek był ponad wszelką wątpliwość martwy, doktor oświadczył, iż nie będzie oczekiwał przyjazdu prokuratora.

– Nic tu nie pomogę.

– Musi pan zostać – zaproponował konduktor. – Jest pan świadkiem. Mogą chcieć znać szczegóły. Proszę nie odchodzić!

– Zapisze pan sobie moje imię i nazwisko oraz numer telefonu. Jeśli będą chcieli ze mną mówić, znajdą mnie.

– Ale...

– Nie ma sensu, abym czekał tu nie wiadomo jak długo. Proszę mnie zrozumieć, śpieszę się. Jest późno.

Kierownik pociągu mrugał jak szalony, ale wreszcie westchnął i ustąpił:

– W porządku. Niech będzie. Proszę jednak zachować najwyższą ostrożność.

– Ostrożność? – powtórzył lekarz.

– Nie chcemy mieć tu kolejnej tragedii. Należy trzymać się torów i pod żadnym pozorem nie zbaczać w las. Jest tu niebezpiecznie. Nie pierwszy raz jeżdżę tą trasą i swoje wiem. Niebawem powinien pan dostrzec blask lampy. To będzie stacja.

Pociąg, który Piołun zostawił za plecami, wysłał w ciemność potężny snop jasnego, elektrycznego światła, tak że przed sobą widział własny wydłużony cień. Tory lśniły metalicznie w blasku reflektora, wytyczając drogę. Wokoło jednak panowała nieprzenikniona ciemność, a teren poniżej nasypu po obydwu

stronach wypełniała mlecznobiała mgła, jakiej nigdy nie spotyka się w mieście. Jej opar zdawał się wypełzać na nasyp i spowijać go długimi mackami.

Po przejściu kilkuset metrów Piołun nadal nie dostrzegł stacji, a światło lokomotywy z trudem docierało w to miejsce. Zatrzymał się na chwilę i wydobył z plecaka solidną latarkę. Włączył ją. Szedł dalej przed siebie, aż w nikłym blasku dostrzegł zarys małego peronu z popusutą lampą i tablicą informacyjną „Wilczy Jar”.

Z otrzymanej w urzędzie gminy mapy wynikało, że do schroniska na Wilczy od Wilczego Jaru powinien prowadzić czarny szlak. Początek tej trasy, przypominającej wijącego się pośród zarośli węża, znajdował się właśnie przy stacji kolejowej.

Musiał zatem spróbować dojść na piechotę do schroniska. Wokoło nie było żywej duszy, a nawet jeśli gdzieś w pobliżu znajdowała się wioska, nie wiedział, w którą stronę ma się kierować. To tylko parę kilometrów marszu – pocieszał się w duchu. Dam radę.

Rozglądał się uważnie po drzewach i na jednym z nich w blasku latarki spostrzegł oznaczony czarny szlak. Nieprzyjazna, kamienista ścieżka prowadziła w górę.

* * *

Po kilkunastu minutach marszu uznał, że trasa jest wymagająca i sprawia wrażenie rzadko uczęszczanej. Jego choroba była jak tykająca bomba. Póki co jednak czuł, że ze sprawnością fizyczną jest wszystko w porządku. Deszcz jakby zelżał – mogła to być jednak zasługa rozpościerających się nad ścieżką koron jodeł i świerków. Śliskie kamienie usuwały się spod jego butów z cichym łoskotem. Postrącane przez jesienne wichry połamane konary jakby celowo tarasowały przejście. Ciężki plecak nie ułatwiał marszu. Kilka razy

Piołun musiał przeskakiwać po kamieniach, by przedostać się przez rwące strugi lodowatej wody spływającej ze szczytów gór. Gdzieś w bezkresnej, zdawałoby się, dali przeblyskiwały nikłe światełka odległych ludzkich siedzib.

Zatrzymał się na chwilę i właśnie wtedy opanowało go nagłe poczucie, że nie jest tu sam. Posłyszał dwukrotnie głośny trzask łamanej gałęzi. Gdzieś za nim, w oddali, z cichym łoskotem obsunęło się kilka kamieni. Być może było to jakieś zwierzę, zaniepokojone obecnością wędrowca na szlaku o tak nietypowej porze.

Ruszył żwawo, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu. Piął się wciąż pod górę, aż napotkał wąski i stary drewniany most umieszczony na dużej wysokości ponad rwącym z hukiem w dole potokiem. Świecąc latarką, spostrzegł, że w moście brakuje wielu desek, a solidność jego wykonania pozostawia, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia. Najwyraźniej służby leśne nie przykładały się zanadto do swoich obowiązków. Niektóre z wyrw były tak duże, a drewno sprawiało wrażenie tak spróchniałego, że gdyby się zagapił i nieostrożnie postawił nogę, mógłby runąć dobre kilkanaście metrów w dół. Cóż za ironia losu – pomyślał. Noszę w sobie śmiertelną chorobę, a mogę zginąć w wyniku wypadku. Strumień w dole zdawał się śpiewać jakąś osobliwą melodię pełną zimnych dźwięków.

Ruszył więc ostrożnie, patrząc cały czas pod nogi. W ten sposób udało mu się pokonać niebezpieczną przeszkodę. Kiedy był już na przeciwległym skraju mostu, podniósł wzrok i stanął jak wryty. Poczł się, jakby ktoś wylał mu za kołnierz wiadro lodowatej wody.

Tam, gdzie kończył się most i zaczynała dalej ścieżka, stał nieruchomo jakiś człowiek. Wpatrywał się w niego i wskazywał palcem.

Wilczyca.

To niemożliwe – pomyślał. Wyobraźnia jest wyobraźnią, niczym więcej.

Trup jest trupem. To niemożliwe, by martwy samobójca, którego ciało leżało teraz pod kołami pociągu, był tutaj. A jednak postać stała tam i wpatrywała się w niego.

Tutaj pociągi jeżdżą tylko w jedną stronę. Ciemność nadchodzi z gór.

Złowieszco wyciągnięty w jego stronę palec groził, zdawał się mówić – odejdz. Uciekaj, póki jeszcze możesz! Opuść te strony!

Włosy niemal stanęły mu dęba. Drżącą dłonią skierował światło latarki w tamtym kierunku i trwał tak w bezruchu dobre kilkanaście sekund. Zrozumiał w końcu, że to, na co patrzy, to rodzaj nieco topornej, drewnianej rzeźby umieszczonej przez jakiegoś domorosłego, ludowego artystę.

Ochłonawszy nieco, podszedł bliżej. Dopiero teraz zorientował się, że podobieństwo do samobójcy z pociągu jest wynikiem ciemności i jego własnego, nagłego strachu. W istocie rzeźba przedstawiała pokracznego starca o pomarszczonej twarzy, haczykowatym nosie i złym spojrzeniu, odzianego w długi płaszcz. Wyciągnięta ręka wskazywała w stronę mostu, jakby nakazując wędrowcy, który dotarł w to miejsce, natychmiastowy odwrót. Wcześniejsza, pobieżna lektura *Legend i mitów słowiańskich* zdawała się podsuwać możliwą odpowiedź. Wyobrażenie Ducha Gór, przybierającego postać groźnego starca, strażnika tych okolic.

Z niepokojem stwierdził, że światło latarki zaczyna przygasać. Nie było czasu na dalsze zastanawianie się. Podążył w górę, a ścieżka stawała się coraz bardziej niedostępna i zwodnicza. Parł jednak przed siebie, jak w transie. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowany, że las wie o jego obecności i w jakiś sposób zbliża się, napiera na niego, zmuszając do bezustannej wędrówki.

Kiedy uznał już, że zgubił drogę, wyszedł wreszcie na otwartą przestrzeń. Na twarzy poczuł dotyk zimnego wiatru. Znajdował się już na całkiem sporej wysokości. Wtedy na tle nocnego nieba o barwie ołowiu spostrzegł czarny

zarys budynku. Brnąc przez wysokie, mokre trawy, pośpieszył prosto w jego stronę.

W ten sposób stanął u podnóża ponurego schroniska. Być może było to winą pogody, lecz wyglądało ono znacznie mniej przyjaźnie niż na fotografii załączonej do ogłoszenia o pracy. Budynek był w całości drewniany, nie licząc podmurówki z kamieni. Miał piętro i mocno spadzisty dach. Przywodził na myśl chatę złej czarownicy. Piołun ruszył w jego stronę, nie do końca pewien, czy rzeczywiście trafił we właściwe miejsce. Wryty na umieszczonej ponad drzwiami belce napis „Schronisko na Wilczycy” nie pozostawiał jednak większych wątpliwości.

Wtedy spostrzegł, że w jednym z okien przesuwają się jakiś nikły blask, jak gdyby bijący od świecy. Zatrzymał się na moment i zadarł głowę. Ktoś był w budynku. Zapewne jakiś tymczasowy nadzorca schroniska lub ktoś oczekujący na jego przybycie. Ta ostatnia myśl napełniła go niezrozumiałym niepokojem, jakby „oczekiwanie na przybycie” wcale nie musiało oznaczać, że jest się mile widzianym gościem.

Podszedł do drzwi, kryjąc się przed ciężkimi kroplami deszczu pod niewielkim, drewnianym gankiem. Zastukał, najpierw cicho, a potem głośno. Nie było odzewu. Nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte. Z kieszeni spodni wydobył komplet kluczy, który otrzymał w urzędzie gminy. Chwilę mocował się z zamkiem, zanim mechanizm ustąpił.

Wewnątrz panowała cisza. Czuć było zapach kurzu i starości. Zlokalizował włącznik światła. Nacisnął go i, o dziwo, okazało się, że prąd jednak jest. W niewielkim przedsionku zapaliła się umieszczona pod sufitem żarówka bez klosza. Dlaczego więc ten, kto pałęta się nocą po schronisku, używa świecy? Było to nader dziwne.

– Halo! – zawołał głośno Piołun. – Jest tu kto?

Jedyną odpowiedź stanowiło monotonne stukanie deszczu o parapet. Czuł

się coraz bardziej nieswojo. Był zupełnie sam na tym odludziu, a ktoś, kto był w schronisku, niekoniecznie musiał mieć dobre zamiary. Może to jakiś miejscowy włamał się tutaj, wiedząc, że budynek od dłuższego czasu pozostaje bez opieki? Niekoniecznie musiał dostać się przez drzwi. Równie dobrze mógł wybić okno.

– Wiem, że tu jesteś! – zawołał groźnie lekarz. – Widziałem świecę!

Nasłuchiwał. Wszedł dalej, lokalizując włączniki i zapalając kolejne światła. Z przedsionka wchodziło się do sporej sali, w której znajdował się drewniany bar oraz kilka drewnianych stolików z ławami. Na ścianach wisiały poroża jeleni oraz stare czarno-białe fotografie, przedstawiające turystów w archaicznych strojach z początków dwudziestego stulecia. W kącie stały zakurzone drewniane narty i rakiety śniegowe.

Po skrzypiących, drewnianych schodach wdrapał się na pięterko. Odkrył cztery małe pokoje z łózkami, krzesłami i szafami. Nagle drgnął. Gdzieś z dołu dobiegł głośny łoskot. Zbiegł po schodkach. Na ścianie dostrzegł solidną, góralską ciupagę. Zdjął ją i ujął w dłonie, głównie po to, by dodać sobie animuszu.

– Daję ci ostatnią szansę! – zawołał. – Jeśli zaraz nie wyjdiesz, wezwę policję!

To była mało realna groźba. Nie znał jeszcze dobrze okolicy, był jednak przekonany, że jakiegokolwiek służby porządkowe mogłyby dotrzeć tutaj najszybciej w ciągu kilku godzin. Ciągłe padało, leśne drogi były rozmokłe, a najbliższy posterunek znajdował się zapewne wiele kilometrów stąd. Musiał liczyć na siebie.

Stojąc w jadalni, spostrzegł drewniane drzwi, na które w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi. Otworzył je i zobaczył prowadzące w dół wąskie schody. Piwnica. Pstryknął włącznik światła. Na próżno. Postukał w latarkę, która rozbłysła resztkami światła. Lepsze to niż nic. Z bijącym mocno sercem

i ciupagą uniesioną do ciosu ostrożnie zszedł na dół.

Pomieszczenie nie było duże. W całości wypełniały je półki zastawione długoterminowymi zapasami żywności i narzędziami. Nie było tam żywej duszy, więc wrócił na górę.

Wyjrzał jeszcze na zewnątrz. Pomyślał, że blask świecy mógł być tylko złudzeniem, a hałas spowodował jakiś przedmiot, który po prostu się przewrócił. Rozejrzał się uważnie, ale oprócz kilku metrów kwadratowych kamienistego podwórza i strug deszczu nie udało mu się niczego zobaczyć. Zamknął się od środka, zasuwając solidny rygiel. Noc postanowił spędzić w jednym z pokoi na piętrze.

Ponieważ był bardzo zmęczony, szybko zapadł w sen.

3.

Minęła dziesiąta, kiedy się obudził. W mięśniach łydek nadal czuł ból. To minie – pomyślał. Wraz z nastaniem nowego dnia wstąpił w niego pewnego rodzaju ostrożny i przekorny optymizm. Wtedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, jak bardzo zmieniła go świadomość nieuleczalnej choroby. Przeszedł różne etapy wewnętrznej walki, od wściekłości i samooszukiwania aż po chłodną obojętność. Teraz jednak poczucie nieuchronnego końca paradoksalnie sprawiało, że chciał żyć. Za wszelką cenę chwytać każdą chwilę. Właściwie bez radości, raczej z drapieżną zachłannością.

Spojrzał w okno. Wyglądało na to, że deszcz ustał.

Leżąc w łóżku, rozmyślał o okolicznościach, w jakich się tu znalazł.

Zostawił za sobą wszystko, w pełnym tego słowa znaczeniu, całe swoje dotychczasowe życie. Nie miał zbytniego wyboru. Wszystko zaczęło się od diagnozy, która potwierdziła to, co już i tak przeczuwał, uświadomiła, że zegar idzie szybciej, niż sądził, a piasek w klepsydrze kończy się. To było wręcz

niewyobrażalne. Akceptował śmierć, spotykał się z nią często, ale nie wierzył, podobnie jak większość z nas, że może ona dotknąć jego samego. Bo przecież ja to ja. Śmierć mogła przytrafić się innym, ale przecież nie jemu. Nie potrafił poradzić sobie ze świadomością, że może kiedyś znaleźć się w ciemnym grobie i... tak po prostu zniknąć.

Nie wierzył w życie pozagrobowe. Wielokrotnie jednak zastanawiał się nad tym, czym jest śmierć. Oczywiście znał jej definicję z medycznego punktu widzenia. Ustanie wszelkich oznak życia, śmierć mózgu. A jednak wiedział, że nie jest to właściwa odpowiedź, że nie jest ona pełna. Gdy myślał o śmierci, przemawiała ona do niego za pomocą rzeczy trywialnych i to było najbardziej przerażające. Dajmy na to, uświadamiał sobie pewnego poranka, że po śmierci nigdy więcej nie poczuje smaku kawy. Nigdy już nie usłyszy odległego dzwonka tramwaju jadącego przez Poznań. Nie przeczyta ani jednej książki. Koniec i kropka. Lodowaty strach wpełzał wtedy w jego wnętrze, a w nim wzbierał bezgłośny krzyk – chcę żyć! Chcę żyć, za wszelką cenę!

Tymczasem jednak zaczął szukać pociechy nie w metafizyce, lecz w wódce. Przyłapano go najpierw na dyżurze. Pacjent wezwał policję, a Piołun został zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym, nieodwołalnym i definitywnym. To jeszcze bardziej go pogrążyło. Nie potrafił zrezygnować z alkoholu, nawet po tym zdarzeniu. Wręcz przeciwnie, przytłoczony jarzmem poczucia winy rozpijał się z dnia na dzień, w zastraszającym tempie popadając w kołowrót alkoholowych ciągów. Nie mam przecież już nic do stracenia – powtarzał sobie. Stawał się gniewny i wybuchowy. Pewnego razu, włócząc się po pijaku nocą, przysnął na ławce w poznańskim parku. Gdy się obudził, był brudny i rozczochrany. Nad nim stał policjant, bezceremonialnie szarpiąc go za ramię. Na domiar złego spostrzegł wielką plamę moczu na swoich spodniach i ten widok, odrażający i niemal symboliczny, wstrząsnął nim do głębi. Jestem moim ciałem – uświadomił sobie po raz pierwszy w życiu. Jestem moim

ciałem i niczym ponadto.

Żona Matylda zabrała ich trzynastoletnią córkę Maję do rodziców. Tak niczym domek z kart rozpadła się rodzina Piołuna. Wyprowadziły się od niego po kolejnej awanturze, jaką urządził w pijackim amoku. Ja wam wszystkim pokażę – myślał wtedy. Znów wrócił do swojego dawnego nałogu, hazardu. Coraz częściej odwiedzał poznańskie kasyna. Stawiał coraz większe sumy pieniędzy i... przegrywał, pograżając się jeszcze bardziej. Zapożyczył się w banku, a że nie mógł znaleźć szybko pracy, jego długi wciąż się powiększały. Niebawem mógł pojawić się komornik.

To już koniec – pomyślał. Sam zniszczyłem wszystko, co przez tyle lat budowałem z wielkim trudem i tak bardzo kochałem. Wtedy, przeglądając Internet, spostrzegł tamto ogłoszenie. Zaintrygowało go.

Poszukiwano kogoś, kto mógłby zaopiekować się schroniskiem poza sezonem turystycznym. W dodatku już podczas rozmowy telefonicznej zapewniono Piołuna, że na miejscu są dobre warunki. Budynek był wyposażony w system centralnego ogrzewania, zapas opału, a także duże rezerwy żywności, które należało tylko od czasu do czasu uzupełniać. Poinformowano go, że umowa może zostać przedłużona, nawet na czas nieokreślony, „jeśli się sprawdzi”. Nie będzie takiej potrzeby – pomyślał chirurg. Umrę, patrząc na góry. Kiedy sam zdecyduję. Zanim zapomnę, kim jestem, i zacznę robić pod siebie w pieluchy.

Po osobistej wizycie w urzędzie gminy uznał, że propozycja jest sensowna. Jedzenie i nocleg miał za darmo. Do tego dochodziła skromna, ale wystarczająca do utrzymania pensja, która co miesiąc miała wpływać na konto. Wyglądało na to, że oprócz sporadycznej pracy fizycznej przy ewentualnych drobnych naprawach i porządkach nie będzie miał zbyt wiele do roboty. Schronisko należało do stosunkowo rzadko odwiedzanych, szczególnie po przejściu lipcowo-wrześniowej fali turystów.

Oczywiście, nie zdradził się przed pracodawcą ze swoim wykształceniem. Wiedział, że spowodowałoby to lawinę niewygodnych pytań. Zamiast tego wylegitymował się dyplomem ukończenia szkoły średniej oraz pochwalił, że świetnie zna język niemiecki, co było zgodne z prawdą. Na pytanie o dotychczasowe miejsca zatrudnienia odpowiedział przekonująco, że częściowo pracował „na czarno” za granicą, w Irlandii, a częściowo zajmował się tłumaczeniami na umowę zlecenie, przy czym to ostatnie nawet pokrywało się z rzeczywistością. Urzędnik nie był zbyt dociekliwy.

Doktor Piołun otrząsnął się z rozmyślań, wstał z posłania i zszedł na dół, chcąc poznać wszystkie sekrety nowego miejsca. Uświadomił sobie, że czeka go wiele pracy. Jeśli uważacie, że takie stwierdzenie nie pasuje do osoby nieuleczalnie chorej, oznacza to, że nie spotkaliście jeszcze nikogo takiego na swojej drodze. Świadomość bliskiej śmierci u takich ludzi sprawia, że niejednokrotnie stają się pełnymi energii pracoholikami. Tak też było w przypadku Piołuna. Praca pełniła jeszcze jeden cel. Nie pozwalała za dużo rozmyślać, a on wręcz rozpaczliwie musiał zająć umysł czymś innym.

Schronisko wyglądało na dawno nieodwiedzane. Zapewne przez wiele tygodni nikt tu nie sprzątał. Zszedł na dół i przygotował sobie śniadanie. Spizarnia wyposażona była w chłodnię, która pracowała bez zarzutu. Znalazł w niej mięso, frytki, warzywa i owoce, wszystko skute lodem. Na półkach znajdowała się herbata, kawa, puszki skondensowanego mleka, konserwy mięsne i rybne, a także duża ilość sucharów, które mogły na pewien czas zastąpić brak świeżego pieczywa. Słowem, było tu wszystko, czego potrzebował.

Poszedł do niewielkiej łazienki na parterze, wziął prysznic i przyrządził sobie śniadanie, nie zapominając o mocnej kawie. Postanowił, że dzisiejszy dzień poświęci na rekonesans okolicy. Zdecydował też udać się do najbliższej miejscowości, by zaopatrzyć się w świeże pieczywo oraz poszukać niejakiego

Plichty, o którym wspomniano mu w urzędzie gminy. Miał to być starszy pan z wioski Przygórze, miejscowy, który dobrze orientował się w sprawach zaopatrzenia schronisk.

Było jeszcze przed południem, kiedy ruszył w stronę tej niewielkiej miejscowości. Wokoło roztaczały się zapierające dech w piersi górskie krajobrazy.

* * *

Przygórze było wioską z kilkoma krzyżującymi się drogami i niewielkim, malowniczym kościółkiem z małą wieżyczką i czerwonym, spadzistym dachem. Kiedy schodził z górskiego szlaku, wiatr rozegnał już całkiem chmury. Okoliczne lasy prezentowały się niemal królewsko w jesiennej, wielobarwnej szacie. Miał nadzieję, że taka pogoda utrzyma się jak najdłużej przed nieuchronnym nadejściem ponurych, zimowych zawieruch. O dom pana Plichty zapytał jadącą na rowerze kobietę.

Był to niewielki, zadbane, parterowy domek. Prezentował się sielankowo na tle gór otoczonych jeszcze łagodną mgiełką wczesnego dnia. Piołun podszedł do furki i zadzwonił. Natychmiast w jego stronę podbiegł głośno ujadający jamnik. W domu otworzyły się frontowe drzwi i na werandę wyszedł solidnie zbudowany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, lekko utykający na jedną nogę.

– Cicho, Janosik! – skarcił psa. – Niech się pan nie boi. On ludzi nie gryzie, ale łobuz z niego straszny, każdego przestraszy swoim ujadaniem, a nie ma psa w okolicy, który wszedłby mu w paradę. Dlatego nazwaliśmy go Janosikiem, bo nie lada z niego rozbójnik. Pan szanowny w jakiej sprawie?

– Jestem nowym opiekunem schroniska. Szukam pana Plichty. Polecono mi się z nim skontaktować. Podobno wie wszystko o zaopatrzeniu i, jak się to mówi, zna kogo trzeba.

– Witam – odrzekł mężczyzna, mierząc go wzrokiem. – To ja.

Otwarł furtkę i złapał dłoń lekarza w mocny uścisk. Sprawiał wrażenie człowieka gościnnego, otwartego i odrobinę ciekawskiego.

– A jakiego schroniska? – zapytał

– Wilczycy.

Przez twarz górala przemknął nagły cień, jakby na moment słońce skryło się za chmurami. Odwrócił wzrok. Trwało to krótką chwilę, po czym na jego ustach zagościł wymuszony uśmiech. Przyjrzał się gościowi jakoś nieufnie, z ukosa, a może i z przestachem.

– Wejdz pan. Na chwilę – rzucił. – Nie mam za dużo czasu.

Ruszył w stronę domu. Piołun pośpieszył za nim. Przywitał się grzecznie z żoną Plichty. Mogła mieć około pięćdziesiątki. Chociaż nie była już pierwszej młodości, zachowała całkiem niezłą figurę. Kiedyś musiała być bardzo ładną dziewczyną.

– Mam na imię Lena – przedstawiła się ciepłym głosem, po czym dodała: – Zapraszam na herbatę i ciasto. A może coś mocniejszego? Mamy świetną wódkę, śliwówkę.

– Chętnie – przystał ochoczo Piołun. – Jeden, dwa kieliszeczki. Więcej nie powinienem!

Pokój, w którym się znalazł, był umeblowany w sposób tradycyjny. Pachniało w nim drewnem. Pośrodku stał duży stół z krzesłami przeznaczonymi dla gości. Przeszklona szafa wypełniona była różnego rodzaju bibelotami, począwszy od drewnianych figurek, a na oprawionych w ramki rodzinnych zdjęciach skończywszy. Na ścianach wisiały święte obrazy, portret papieża Polaka, a na niewielkiej umieszczonej przy jednej ze ścian komodzie stał metalowy krucyfik. Gospodarzy musiała cechować duża religijność. Doktor zauważył też podwieszony pod sufitem duży pęk czosnku.

– A to – zazartował – na zdrowie czy na wampiry?

– Nawet pan tak nie mów – uciął Plichta, jakby lekarz rzekł coś nie w porę i zupełnie nieśmiesznego.

Żona gospodarza uwinęła się szybko i dosiadła do nich. Widać herbata była już przygotowana w dzbanku. Na dokładkę pojawiło się zapowiadane ciasto. Wszystko było tu swojskie, zwyczajne, oprócz miny gospodarza. Od kiedy Piołun wspomniał o Wilczycy, ten sprawiał wrażenie wyraźnie zbitego z tropu. Milczenie, jakie zapanowało, szybko stało się kłopotliwe.

– Widzi pan – zagaił rozmowę Piołun – jestem tu nowy. Nie mam doświadczenia w sprawie schronisk. Z tego, co zdążyłem się zorientować, budynek jest w dobrym stanie technicznym, spiżarnia jest pełna. Wypada tylko czekać na gości.

Porozumiewawcze spojrzenia pana Plichty i jego żony skrzyżowały się ponad stołem.

– Turystów to za wielu tam nie zachodzi – stwierdził ogólnikowo gospodarz.

– Jak to? – zdziwił się Piołun. – Okolica piękna, szlak, wokoło tyle tajemnic i ciekawych miejsc... Pewnie w sezonie jest ich tu mnóstwo.

– I tak, i nie – oświadczył enigmatycznie Plichta. – Chyba że kto zamiejskowy, a i wtedy...

Postawa gospodarza zaczynała Piołuna irytować. Wpatrywali się w niego z jakąś dziwną mieszaniną nieufności i z troskania. Czyżby ze schroniskiem było coś nie w porządku? Pomyślał, że może któryś z tutejszych starał się o tę posesję i mu odmówiono. Teraz są zwyczajnie niezadowoleni, że pieczę nad „ich” schroniskiem przejął przyjezdny.

– A tak w ogóle, to czym pan się zajmuje? – spytała pani Lena. – I skąd pomysł, żeby brać się za taką ciężką pracę?

– Czy taka ciężka, to się dopiero okaże – odparł lekarz. – Jestem przygotowany, proszę się o to nie martwić. Przyjechałem z Poznania,

pracowałem między innymi jako tłumacz, ale... postanowiłem spróbować czegoś nowego.

– Dlaczego akurat tutaj? – mruknął Plichta, mieszając w zamyśleniu herbatę łyżeczką.

– To proste – wyjaśnił uprzejmym głosem Piołun. – Szukałem ciekawej pracy. Lubię góry. Natrafiłem na ogłoszenie w Internecie, odezwałem się i... tak wyszło. Jak to w życiu bywa.

– Niech mnie pan posłucha – powiedział nagle Plichta. Spojrzał na Piołuna twardo, z kamienną, pobladłą twarzą. – Dam panu dobrą radę. Niech pan odpuści sobie to schronisko. Niech pan wraca do Poznania i poszuka innej pracy. To wielkie miasto, podobno z najniższym bezrobociem w kraju.

W tych słowach czaiło się ostrzeżenie, a nawet groźba. Czyżby aż tak nie znosili tu przyjezdnych? Piołun początkowo nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Przestań – zrugła Plichtę żona. – Tak nie można.

– Można. – Mężczyzna zdenerwował się. – Za dużo tu się zdarzyło. Trzeba by to schronisko zrównać z ziemią buldożerami.

– Można wiedzieć – zapytał doktor – co jest tam takiego złego?

– A nic – zachnął się Plichta. – Nic co mogłoby interesować kogoś takiego jak pan. Po prostu jest tam niebezpiecznie. I tyle.

– To bardzo niemile. – Pani Lena wstała od stołu, stanęła za mężem i położyła mu rękę na ramieniu, chcąc go uspokoić. Na niewiele się to jednak zdało. Twarz mężczyzny nabiegła nagle niezdrowym rumieńcem, widać było, że toczy go jakiś wewnętrzny gniew i bezsilność.

– Sam pan musisz zdecydować – powiedział w końcu. – Ja nawet mogę coś pomóc. Nie to, że nie chcę. Ale pod jednym warunkiem.

Doktor spojrzał na niego pytająco. Plichta zamilkł na chwilę, jakby ważąc słowa, i stwierdził:

– Nie podejść bliżej do schroniska jak na sto metrów. Podwiozę wszystko, co będzie trzeba. Dalej musisz pan radzić sobie sam. I zapamiętaj pan sobie, zrobię to tylko za dnia. Nawet nie o świcie. Nie o zmroku. W samiotkie południe, kiedy będzie widno jak cholera. Żadnej innej roboty przy tym schronisku się nie podejmę.

Piołun nie był pewien, czy dobrze rozumiał. Widział, że żona Plichty również czuje się nieswojo i usiłuje zmitygować męża. Widocznie starszy pan nie czuł się aż tak dobrze, jak wskazywał jego wygląd i postura. Może nawet miał coś nie tak z głową.

– W porządku – oświadczył Piołun, wstając z krzesła. – Nie będę zabierał państwu więcej czasu. Skontaktuję się w razie potrzeby.

Plichta nawet nie drgnął. Nie podniósł się z krzesła. Wpatrywał się tylko w okno i jakby gdzieś w głąb własnych myśli i wspomnień.

– Zamykaj pan dobrze drzwi – doradził nagle. – Zwłaszcza po zmroku. Nie otwieraj pan nikomu. Jeśli coś pan zobaczysz, coś dziwnego, poczujesz drgania, usłyszysz jakieś głosy, zobaczysz światła, wiej pan ile sił w nogach. I nie kop pan w ziemi pod żadnym pozorem. Licho wie, co możesz pan znaleźć.

Lekarz zastygł na chwilę. Nie wiedział, co odpowiedzieć na tak dziwne słowa. W głowie kotłowały mu się różne sprzeczne myśli. To było już drugie, wliczając samobójcę z pociągu, ostrzeżenie skierowane pod jego adresem.

– Będę na siebie uważał – zapewnił, starając się, by jego głos brzmiał pewnie i silnie.

Plichta uśmiechnął się smutno pod nosem.

– Wiesz pan, co się stało z poprzednim gospodarzem? Tego już nie powiedzieli, prawda?

Piołun zaprzeczył delikatnym ruchem głowy.

– Szukają go. Zniknął parę tygodni temu. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Medyk przełknął ślinę. To było idiotyczne, ale w głowie kotłowało mu się

tylko jedno słowo, słowo wypowiedziane przez księdza samobójcę: wilczyca, wilczyca, wilczyca.

– Na mnie już czas – oświadczył, wstając od stołu.

Pani Lena odprowadziła go do furtki.

– Proszę się nie przejmować mężem. Wiele przeszedł. To dobry, uczynny człowiek. Straciliśmy wnuczka, Jacusia, który zgubił się w tych lasach. Stało się to dziesięć lat temu, ale od tamtego czasu nie jest już sobą. Zresztą ja również. – W jej oczach zalśniły łzy.

– Przykro mi – wymamrotał Piołun. – Nie będę...

– Nie – weszła mu w słowo kobieta. – Zawsze jest pan mile widzianym gościem. Mąż wesprze pana w każdej potrzebie. Musi pan tylko przyjąć jego reguły gry. Z jakiegoś powodu panicznie boi się schroniska na Wilczycy i nie chce się do niego zbliżyć. Zresztą nie on jeden. Żaden miejscowy tam nie pójdzie. Dzieci opowiadają niestworzone historie na temat tego miejsca. Podobnie jak starcy.

– Czy... ten lęk ma jakieś podstawy? – Piołun postanowił spróbować jeszcze czegoś się dowiedzieć. – Skoro mówi pani, że nie on jeden...

– Mamy tu bardzo wiele legend – zawahała się pani Lena. – Jedna dziwniejsza od drugiej, i czasem sama nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Ale oprócz legend jest jeszcze coś. Okolica rzeczywiście nie należy do bezpiecznych.

– To rozumiem – oświadczył lekarz. – Szlaki bywają groźne, zwłaszcza te trudniejsze. Ale dlaczego niby Góry Sowie miałyby być pod tym względem szczególne? Jestem pewien, że w Tatrach jest dużo łatwiej o wypadek.

– Jeszcze niewiele pan wie – wyjaśniła pani Lena, ujmując go delikatnie za ramię i ścisząc głos. – Rada męża, choć może niezbyt miła, była życzliwa. Kłopot w tym, że nie możemy o tym rozmawiać. Niech pan przemyśli jeszcze raz, czy rzeczywiście chce mieszkać w tym schronisku.

Piołun uznał, że niewiele uda mu się dowiedzieć. Kobieta albo nie chciała, albo rzeczywiście bała się mówić. Nagle naszła go ochota, by zadać jeszcze jedno pytanie.

– Czy... tutaj są wilki?

Pani Lena nagle pobladła.

– Dlaczego pan pyta właśnie o to?

– Tak po prostu, z czystej ciekawości.

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę.

– Wilki nas nie interesują – odparła z niepokojem w głosie. – Jesteśmy zwykłymi ludźmi. Nic o nich nie wiemy. I nie chcemy wiedzieć. Muszę już wracać do męża. Do widzenia.

Nieopodal domu Plichty był sklep spożywczy o nazwie „Cho No Tu”, w którym zakupił środki higieny osobistej, pieczywo i „Echo Wałbrzycha”. Następnie ruszył z powrotem na szlak prowadzący w stronę Wilczycy. W miarę jak piął się coraz wyżej, widoki stawały się coraz bardziej niecodzienne. W mieście patrząc na niebo, można określić pogodę w sposób dość jednoznaczny. Jest albo słonecznie, albo pochmurnie, pada deszcz lub nie. Obowiązuje tam logika zero-jedynkowa. Tutaj było zupełnie inaczej. Od strony dalekich masywów górskich, które przybierały kolor głębokiej zieleni, sunęły postrzępione, ołowiane chmury. W dolinach widać było malutkie, przycupnięte u stóp gór skupiska domków. Zalegała tam delikatna mgła i prawdopodobnie padał deszcz. Po prawej stronie świeciło słońce, a niebo było prawie bezchmurne.

Zatrzymał się na chwilę, by odetchnąć czystym, górskim powietrzem. Starał się ustalić kierunek wiatru. Stwierdził, że wieje z lewej strony, skąd nadchodziły chmury. A zatem zbliżała się zmiana pogody. Przyśpieszył kroku, aby zdążyć do schroniska przed ulewą.

* * *

Wraz z zapadnięciem zmroku Piołun na wszelki wypadek zaryglował dokładnie drzwi wejściowe. W myślach przeanalizował stan bezpieczeństwa budynku i z zadowoleniem stwierdził, że jest on solidny i nie ma się czego obawiać. Drzwi wykonane były z grubych, drewnianych bali wzmocnionych dodatkowo żelaznymi, ozdobnymi okuciami. Nie dałoby się ich rozbić ani wyłamać bez sporego hałasu. Zamek był dość dobry, patentowy.

Parterowe okna o drewnianych framugach były niewielkie i wyglądały na mocne. Znajdowały się również dość wysoko, patrząc od zewnętrznej strony budynku. Podeszedł do jednego z nich i wyjrzał na zewnątrz. Było ciemno i udało mu się dostrzec zaledwie migoczące, odległe światełka dalekich wiosek. Brakowało lampy przed schroniskiem, i to był słaby punkt. Nieproszony gość mógł podejść całkiem blisko niezauważony. Poza tym schronisko powinno być oświetlone, widoczne z daleka, chociażby po to, by wskazywać drogę turystom.

Znów zasiadł do laptopa i spróbował połączyć się z Internetem. Niestety, tym razem bezskutecznie. Zerknął na swój telefon. Ten również utracił zasięg.

Wewnątrz drewnianego budynku panowała cisza. Za oknem narastały gwałtowne podmuchy wiatru. Piołun zawsze lękał się wietrznych nocy. Krople deszczu zaczęły uderzać w szyby z łoskotem, jakby rozgniewane. Uchylił nieco okno, by wpuścić do środka trochę rześkiego powietrza. Wówczas to usłyszał. Szelest czegoś przesuwającego się w wysokiej, mokrej trawie. Nadstawił uszu. Równie dobrze mogło to być złudzenie. Odgłos jednak powtórzył się, tym razem znacznie bliżej, jakby pod samym oknem. Piołun cofnął się gwałtownie. Odniósł wrażenie, że w ciemności dostrzega jakiś jasny kształt, jednak zaraz znikł on z pola widzenia.

– Jest tam kto? – zawołał w ciemność zduszonym głosem.

Nikt nie odpowiedział. Odgłos ucichł. Czekał jeszcze chwilę, niepewny, co

począć. W końcu uznał, że mogło to być cokolwiek; jakieś zwierzę przemykające w pobliżu? Wzrok również lubi płątać figle, jak niejednokrotnie się o tym przekonał. Wzruszył ramionami i starannie zamknął okno.

Nawiedzone schronisko – pomyślał. Dobre sobie! Opowieści wymyślone na potrzeby turystów i podsycane przez dziecięcą wyobraźnię oraz plotki miejscowych staruszków. Nie wierzył w duchy. Wiele razy był świadkiem śmierci ludzi i ani razu nie wyczuł, nie dostrzegł chociażby w najlżejszy sposób opuszczającej ciało duszy. A samobójca? Odrzucił z gniewem tę myśl. To musiało być wywołane stresem złudzenie. Zmarli nie mówią.

Udał się do pokoju na górze i położył na łóżku. Zapalił niewielką lampkę. Wsłuchiwał się w odgłosy deszczu spływającego po szybach oraz w gwałtowne poddmuchy wiatru, które zdawały się narastać z każdą chwilą. Ten wiatr wyczyniał tutaj istne cuda. Świstał wokoło drewnianego schronienia niby łąso. Lekarz pomimo tego, że znajdował się w zamkniętym budynku, wyczuwał krzyżujące się w powietrzu zimne prądy powietrza. Nagle Piołunowi zdało się, że słyszy jakiś jęk lub odległe zawodzenie. Pomyślał, że to wiatr. Na tych rozległych, opustoszałych górskich przestrzeniach to było zupełnie normalne.

Może powinien zrobić to już teraz? Po co czekać? – pomyślał. Wystarczyło nabrać do strzykawki odpowiednią ilość morfiny i wykonać zastrzyk. Ktoś po kilku dniach znajdzie ciało – dumał dalej. To nie powinno boleć. Ot, zasną i tyle.

Zabrakło mu jednak odwagi. Naszły go dziwne myśli i wątpliwości. Śmierć istotnie mogła być końcem wszystkiego. Stanem, którego zaznaliśmy – o ile w ogóle w tym kontekście można mówić o zaznawaniu czegokolwiek – zanim przyszedł na świat. Nie można smucić się swoją śmiercią, kiedy już się nie istnieje. Nie ma wówczas znaczenia, jak się umarło. Koniec. Kropka. Cmentarna marmurowa płyta z imieniem, nazwiskiem i kilkoma liczbami oraz

zdjęciem człowieka, którego już nie ma. Nie mógł być tego jednak pewien, i w tym tkwił szkopuł. Założył z góry, że świat jest w jakimś sensie prosty, a on wcale nie musiał przecież taki być. Na studiach medycznych Piołun dowiedział się, że życie jest niezwykle skomplikowanym procesem. Była to jednak wiedza rozbita na drobne części, dziesiątki zastanawiających wzmianek wymykających się niejako od czasu do czasu wykładowcom: „nie wiemy do końca, czym jest świadomość”, „nie mamy pojęcia, skąd komórki właściwie wiedzą, jakie miejsce w przestrzeni mają zajmować, tworząc ludzkie ciało”, „trudno zgadnąć, jak mogło dojść do tak nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, który umożliwił powstanie życia”, „jest rzeczą z gruntu niewytłumaczalną, że procesy biochemiczne mające charakter przyczynowo-skutkowy mogą w ogóle zachodzić, skoro każda przyczyna dzieje się w przeszłości, a przeszłość nie istnieje”. Niemniej nigdy nie połączył tych pytań w jakąś sensowną całość, możliwe nawet, że ludzie, którzy wypowiadali te poszczególne uwagi, sami nigdy nie zastanawiali się nad ich głębszym sensem.

Teraz jednak jakiś wewnętrzny głos usiłował mu coś powiedzieć. Jakaś myśl dojrzewała w głębi, niczym nasionko rośliny, uwięzione jeszcze głęboko pod warstwą skutej lodem ziemi.

Wówczas dostrzegł zawieszona na wprost łóżka zdjęcie, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Wpatrywał się w nie przez chwilę, aż w końcu uznał, że jest na tyle intrygujące, by przyjrzeć mu się dokładniej. Wstał więc i podszedł bliżej.

Na zdjęciu widniało schronisko na Wilczycy w olśniewającej, wiosennej szacie. Zdjęcie było co prawda czarno-białe, ale rozkład światłocieni świadczył, że wykonano je przy doskonałej pogodzie. Budynek wyglądał inaczej niż obecnie, sprawiał wrażenie starannie i świeżo odremontowanego, a jednak było to bez wątplenia właśnie to schronisko, w którym obecnie się

znajdował.

Na tle budynku stał młody mężczyzna w garniturze. Miał sympatyczną, przystojną twarz, szlachetny prosty nos, włosy zaczesane gładko do tyłu. Piołun miał wrażenie, że osobnik ze zdjęcia przygląda mu się wnikliwie, a jego wąskie usta rozchylają się w delikatnym uśmiechu. On mnie widzi – przemknęło lekarzowi przez myśl. W jakiś sposób widzi mnie poprzez te wszystkie lata.

Zamrugął gwałtownie i odsunął się nieco w tył. Złudzenie znikło. Mężczyzna znów tkwił na swoim miejscu, w dobrze skrojonym garniturze, z nieruchomym wzrokiem wbitym w przestrzeń, uwięziony w chwili, którą uchwyciła migawka aparatu.

Medyk zgasił światło, licząc na to, że zaśnie. Samobójstwo mogło poczekać. Śmierć jest cierpliwa. Długo jednak przewracał się w pościeli, a wiatr za oknami nucił swoje obłąkańcze melodie. Doktor stwierdził, że lepiej będzie ich nie słuchać i nakrył głowę poduszką.

Gdy zasnął, śnił przedziwne koszmary, jakich jeszcze nie miewał. Zaczynały się one od wędrówki poprzez budzące grozę, nieskończenie rozległe równiny, pogrążone w ciemnościach i kłębach czarnego dymu, zdającego się sięgać aż do odległych gwiazdozbiorów. Piołun odniósł wrażenie, że znajduje się w miejscu rzeczywiście istniejącym, tylko że zatrwajająco dawno temu, lub takim, które dopiero będzie istnieć, gdy o ludziach nikt już nie będzie pamiętał. Miejsce to napełniało go dławiącym strachem. Szedł jednak dalej, nie widząc niemal niczego, pozbawiony jakichkolwiek punktów orientacyjnych prócz przysyłanych raz za razem poprzez kłęby czarnego dymu gwiazd oraz przypominającego wąwóz tworzącego, lekko podświetlonego dziwnym blaskiem. Lękał się, że lada chwila runie w jakąś straszną przepaść i będzie tak spadał, bez końca. Wówczas poczuł wibrację, jak gdyby przenikającą wszystko, co istnieje, wprawiającą w drganie ziemię oraz jego własne ciało. Wiedział

skądś, że źródło tej wibracji znajduje się w podświetlonym wąwozie, lękał się jednak pójść w tamtym kierunku. W pewien sposób przeczuwał, że to, co mógłby tam zastać, nie powinno zostać przenigdy ujrzone przez ludzkie oko.

4.

Przebudził się gwałtownie w przekonaniu, że nie jest w pokoju sam. Było to coś w rodzaju magnetycznego promieniowania lub dotyku spojrzenia. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Wiatr za oknem ucichł i teraz w całym schronisku panowała złowieszcza cisza. Przez okno do wnętrza sączył się trupi blask księżyca w pełni. W pokoju było zimno, bardzo zimno, jak w chłodni lub kostnicy.

Wsluchiwał się w ciszę panującą w schronisku i starał się wyłowić jakieś odgłosy. Wtedy posłyszał ciche stuknięcia i szuranie dobiegające gdzieś z dołu. Przez chwilę nic się nie działo, a on zastanawiał się, co robić. Nagle do jego uszu dobiegło ciche trzeszczenie drewna, jakby ktoś bardzo powoli, lecz nieustępliwie wspinał się na górę, zbliżał do pokoju, w którym nocował.

Podniósł się gwałtownie na łóżku, czując, jak mocno wali mu serce. Ktokolwiek dostał się do środka, zrobił to niepostrzeżenie, gdy on spał.

Wtedy ujrzał go nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, jak stoi nieruchomo w kącie pokoju. Piołun nie potrafił dostrzec jego twarzy, ponieważ była skryta w ciemności. Czuł jednak, że człowiek ów wbija w niego wzrok. Widział nienaganny, czarny mundur ozdobiony lśniącymi srebrem symbolami SS. Biła od niego niemal namacalna groza. Pozbawiony litości pan życia i śmierci. Kim był? Co tu robił?

Przybysz postąpił o krok w jego stronę. Piołun krzyknął z przerażenia. Jakimś cudem udało mu się zapalić nocną lampkę i światło wypełniło pokój.

Wtedy obudził się powtórnie, tym razem naprawdę. Za oknem nie było już

nocy, świtało, a po okiennej szybie spływały krople deszczu. Przez chwilę próbował się uspokoić i z trudem łapał oddech. A więc wszystko było zaledwie snem, majakiem. Niczym więcej.

Zerknął na ścianę i poczuł, jak w żołądku formuje mu się chłodna kula strachu. Fotografia wisiała tam nadal. Mężczyzna uwieczniony na niej stał przed schroniskiem, a niebo na zdjęciu było zasnuwane ciemnymi chmurami. Nie miał na sobie już garnituru, lecz mundur SS.

Musiało mi się przewidzieć – pomyślał z przejęciem lekarz. Schronisko wpływa na moją wyobraźnię.

Wstał z łóżka i podszedł bliżej do fotografii. Zwykle zdjęcie, nic więcej, naznaczone już zębem czasu, podniszczone i pożółkłe na rogach. Nie jest przecież fizycznie możliwe, aby mogło się przekształcać.

Zaniepokojony zszedł na dół. Rozejrzał się uważnie i odniósł nieprzyjemne wrażenie, że coś się zmieniło. Nie potrafił jednak zidentyfikować co. W końcu zdał sobie sprawę, że część przedmiotów codziennego użytku, tak pospolitych i banalnych jak łyżeczka do herbaty lub gliniany wazonik, zmieniły swoje położenie. Wyglądało na to, że nocą ktoś tu był i je przestawiał.

Piołun słyszał w życiu kilka opowieści o nawiedzonych miejscach i domach. Nie wierzył jednak w takie rzeczy. Nigdy nie brał tego typu historyjek na poważnie.

Nie mogę dać się zwariować – pomyślał. Nie ma tu żadnych duchów, zjaw ani tym podobnych rzeczy. Sen o niczym nie świadczy, a dziwna przemiana zdjęcia może być psikusem umysłu. Po prostu zdjęcie było takie od samego początku, lecz przy innym oświetleniu nie dostrzegł szczegółów. To się zdarza.

Nieco się uspokoił, ale postanowił mieć oczy szeroko otwarte. Równie dobrze mógł paść ofiarą niewybrednych żartów ze strony miejscowych. Nie jest przecież wykluczone, że ktoś mógł znać sposób, by dostać się nocą do środka i próbował nastraszyć mieszczucha.

Chłodny prysznic i śniadanie przywróciły mu poczucie rzeczywistości. Wyszedł na zewnątrz. Z rynny dobiegało ciche, monotonne ciurkanie wody spływającej z dachu schroniska. Deszcz na chwilę ustał, ale coś Piołunowi mówiło, że pogoda tej jesieni będzie paskudna. Nic więc dziwnego, że nie widać turystów.

Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch. Po ścieżce, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów szło dziecko. Kiedy się lepiej przyjrzał, stwierdził, że jest to dziewczynka. Mogła mieć z dziesięć, jedenaście lat. Ubrana było dość nietypowo, szczególnie jak na tę pogodę. Miała na sobie długą, białą sukienkę za kolana z falbanami u dołu, a na głowie śmieszny, również biały kapelusik.

Nigdzie nie widział jej opiekunów. Pomyślał, że to pewnie jakaś miejscowa dziewczynka, ale jak to się stało, że zapuściła się aż tak daleko?

– Hej! – zawołał głośno. – Co tu robisz?

Dziecko jakby go nie słyszało. Szło dalej przed siebie, w kierunku niewielkiego pagórka, na którym piętrzyło się kilka samotnych głazów. Postanowił podbiec w tamtą stronę.

Ścieżka była kamienista, więc musiał patrzeć pod nogi. Starał się jednak nie tracić z oczu białego kapelusika. Do jego uszu dobiegł jakiś cichutki śpiew. To dziewczynka nuciła coś pod nosem.

– Hej! – Echo jego okrzyku rozniosło się po dolinie i powróciło. Musiała usłyszeć. Nie zareagowała jednak. Zaczęła niknąć doktorowi z oczu w białej mgle. Ten biegł ile sił w nogach, lecz gdy dotarł na szczyt łagodnego pagórka, na którym leżały głazy, dziewczynka całkowicie znikła mu z pola widzenia. Rozglądał się uważnie, czy nie dostrzeże gdzieś jej śmiesznego kapelusika, i łapał haustami powietrze.

Zastanawiał się, czy nie zawiadomić policji. Może dziecko wyszło samo z domu, a rodzice szaleli teraz z niepokoju?

Wrócił do budynku. Udało mu się złapać zasięg. Wybrał na telefonie numer

alarmowy 112. Po chwili odezwał się operator.

– Centrum powiadamiania kryzysowego, słucham – odezwał się kobiecy głos.

– Jestem w schronisku na Wilczycy – oznajmił nieco zdenerwowanym głosem doktor Piołun – w Górach Sowich.

– Rozumiem, co się stało?

– Widziałem przed chwilą jakieś dziecko, samotnie idące w pobliżu schroniska. Przypuszczam, że mogło się zgubić. Nie dostrzegłem w pobliżu żadnych opiekunów.

– Jak wyglądało to dziecko? – zapytała rozmówczyni.

Krótko opisał dziewczynkę, zastrzegając, że odległość była spora i może trochę mylić się co do jej wieku. Wspomniał o białej sukience i charakterystycznym kapelusiku.

– Zgłoszenie zostało przyjęte – zapewniła go lakonicznie operatorka, po czym dodała: – Dziękuję.

Odetchnął z ulgą, po czym podszedł do okna. Sądził, że dostrzeże może jeszcze gdzieś dziewczynkę, lecz zamiast niej dostrzegł ptaki. Stado kruków kołowało w powietrzu ponad pagórkim, na szczycie którego piętrzyły się głązy. Ich dźwięczne, gardłowe krakanie dolatywało aż tutaj. Przez chwilę przyglądał się temu widowisku.

Spotkanie z tajemniczą dziewczynką rozstroiło mu nerwy. Początkowo myślał o tym, by wyjść na dłuższy spacer, mimo deszczowej pogody. Mógłby uzbroić się w solidny parasol, który spostrzegł w niewielkiej sieni, ubrać nieprzemakalną pelerynę i buty do wędrówki po lesie. Nie był jednak pewien, jak dalej potoczą się zdarzenia. Równie dobrze niebawem przed schroniskiem mogli pojawić się ratownicy i policjanci, którzy będą chcieli zadać mu jakieś dodatkowe pytania.

Włączył więc radio i postanowił pozostać na miejscu. Nalał sobie kieliszek

wódki i wychylił jednym haustem. Poczuł się raźniej.

Poprzestawiał ciężkie, drewniane ławy. Dokładnie przetarł podłogi. Zszedł nawet do spiżarni będącej jednocześnie magazynem narzędzi. Przejrzał je wszystkie dokładnie i porządnie posegregował. Była tu nawet łopata, kilof i łom. W kącie leżała wielka szufla do odśnieżania.

Porządki tak go pochłonęły, że ani się obejrzał, gdy minęło południe. W schronisku zrobiło się dziwnie ciemno i ponuro. Chmury na zewnątrz zgęstniały jeszcze bardziej i przybrały groźny, czarny kolor. Pomyślał, że jeśli dalej będzie tak lało, cała okolica zmieni się w jedno wielkie grzęzawisko. Już teraz ziemia była w wielu miejscach podmokła.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Ściszył radio. Stukanie powtórzyło się i dopiero wtedy postanowił sprawdzić, kto przyszedł.

W drzwiach stała młoda dziewczyna. Miała jasne włosy, była niewysoka, mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. W ręce trzymała plecak. Uwagę doktora przykuły jej wydatne, zmysłowe piersi.

– Dzień dobry – powiedziała. – Mogę liczyć na nocleg?

– Oczywiście – odparł uprzejmie.

– Ile kosztuje?

– Trzydzieści pięć złotych. Proszę, niech pani wejdzie.

A więc mamy pierwszych gości – pomyślał.

– Czy można tu coś zjeść? – zapytała turystka. Miała intensywnie chabrowe oczy i podobała się lekarzowi. Było w niej tyle życia i młodości...

– Mogę zaproponować kawę, herbatę, proste dania typu jajecznica, flaczki, zapiekanekę z pieczarkami. Polecam jajecznicę, w przeciwieństwie do innych potraw nie trzeba będzie jej rozmrażać.

Dziewczyna roześmiała się.

– Dziękuję za szczerść. Herbata w zupełności wystarczy, mogą też być kanapki. Mam poza tym trochę swojego jedzenia. Chciałam zatrzymać się tylko

na jedną noc.

– Nie ma problemu.

Zaprowadził dziewczynę do pokoju na górze. Dał świeżą pościel i koce.

– Aż dwa? – zdziwiła się.

– Noce bywają tu chłodne – odparł Piołun. – Przekonałem się o tym już na własnej skórze.

Zszedł na dół, aby przygotować herbatę. O dziewczynie myślał z sympatią i lekkim zdziwieniem. Ot, włóczy się taka, samotnie. Pewnie jakaś wielbicielka przyrody.

Kiedy zeszła na dół, rozmawiali o nieistotnych sprawach. Miał trudne do wytłumaczenia wrażenie, że nie są w schronisku sami i że ktoś ich obserwuje.

* * *

Wraz z nadejściem nocy Piołun znalazł się w swoim pokoiku na górze. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się drzwi do pokoju zajmowanego przez turystkę. Czytał książkę, lecz w istocie nasłuchiwał. Nie był wścibski, ale w całym budynku znajdowały się tylko dwie osoby, nic więc dziwnego, że trochę ciekawiło go, co porabia dziewczyna.

Słyszał najpierw cichy szum prysznic, potem delikatne kroki i wreszcie cichy zgrzyt klucza w zamku. Nie ufa mi do końca, czegoś się obawia – pomyślał i, nie wiedzieć czemu, uśmiechnął się pod nosem. Opanowało go jedyne w swoim rodzaju uczucie, z którym jeszcze nigdy się nie zetknął. Pewnego rodzaju poczucie kontroli nad sytuacją. Byli we dwoje, ona była sama i zdana na jego łaskę. Trwało to dosłownie moment i doktor gwałtownie się otrząsnął. Na Boga, nie mógłby przecież nawet pomyśleć o tym, by wyrządzić młodej dziewczynie jakąkolwiek krzywdę. Jest przecież człowiekiem porządnym i wykształconym.

Przez moment odniósł wrażenie, że słyszy jej cichy oddech, choć wiedział,

że to niemożliwe, ponieważ znajdowała się zbyt daleko. Wyobraził sobie, jak dziewczyna śpi, a po jej młodej twarzy spływa kosmyk włosów. Usta zapewne ma lekko rozchylone, jakby oczekujące na pocałunek. Jej ciało jest ciepłe i musi pachnieć młodością, tym niemożliwym do podrobienia zapachem, który przemija zawsze zbyt szybko.

Nagle usłyszał głośny łomot na dole, jakby przewróciło się coś ciężkiego. Zerwał się, pstryknął włącznik. Ciemność. Światła nie było. Wymacał latarkę, otulił się kocem i ostrożnie zszedł po niemiłosiernie trzeszczących schodach. Zastanawiał się, czy dziewczyna coś usłyszała. Nawet jeśli, to nie wyjrzała ze swojego pokoju.

Wyobraźnia pracowała mu na zwiększonych obrotach. W jadalni było wiele cieni, które wraz z ruchem latarki przemieszczały się i poruszały. Nikogo jednak nie dostrzegł. Było za to zimno, bardzo zimno, jakby ogrzewanie w ogóle nie działało.

Nie spostrzegł jednak niczego niepokojącego.

Postanowił sprawdzić, czemu jest tak diabelnie zimno. Zszedł po piwnicznych schodach do podziemnego magazynku i mieszczącej się zaraz przy nim kotłowni. Przez chwilę mocował się z drzwiami, które początkowo nie chciały ustąpić.

Kocioł był starego typu, masywny, żeliwny, i rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że ogień wygasł. Wokoło panował ziąb, kiedy jednak przyłożył dłoń do metalowej obudowy, cofnął ją natychmiast. Była jeszcze gorąca. Otworzył drzwiczki. Ostatnie płomienie tliły się ponad stertą dopalających się już węgielków. Poczł zapach węglowego dymu. Złapał za łopatę i energicznie dorzucił sporą porcję węgla. Skoro piec był jeszcze rozgrzany, węgiel powinien się zająć. Dla pewności wsunął jeszcze kawałek drewna.

Wtedy usłyszał to po raz pierwszy. Jakby skrobanie w ścianę. Ciche, lecz

uporczywe. Przypominało owadzi, bezmyślny odgłos, jaki czasem wydaje mucha złapana w beznadziejną pułapkę. Myszy? Szczur?

Poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Czym prędzej zamknął drzwiczki pieca i wyszedł z kotłowni. Odgłos nie ustawał. Tak drapie istota chcąca się uwolnić, osłabiona, lecz zdesperowana. Stał chwilę, starając się zlokalizować źródło tego dźwięku. Wydobywał się on jakby zza ściany w piwnicy z żywnością.

Zebrał się na odwagę i uderzył kilkakrotnie w półkę z narzędziami. Dźwięk na moment ucichł, po czym powtórzył się znowu, tym razem głośniejszy i energiczniej. Jakby jakieś drapieżne zwierzę usiłowało się do niego dostać. Trzeba to będzie sprawdzić, ale lepiej nie teraz – pomyślał. Zrobi to jutro, kiedy na dworze będzie widno i naprawi światło.

W magazynie panowała ciemność i choć miał w ręce mocną latarkę, czuł się tu coraz bardziej nieswojo. Strach zaczynał powoli ścisnąć go za gardło. Czym prędzej stamtąd wyszedł i wrócił na górę.

Położył się na łóżku. Leżał tak może z piętnaście minut, usiłując zasnąć, gdy usłyszał na dole dźwięk, który zmroził mu krew w żyłach. Cichy, lecz pełen beznadziejnej rozpaczyny jęk. Brzmiało to jak żałosna skarga młodej kobiety lub nawet dziecka. Był to odgłos pełen bólu. Najprawdopodobniej dobiegał z jadalni albo nawet z podziemnego magazynu. Tego nie był pewien. Nie odważyłby się tam teraz zejść.

Z mocno bijącym sercem wyczekiwał w napięciu, czy dźwięk się powtórzy. Słyszał tylko odległe poświstywanie wiatru w rynnach. Zatrzeszczała podłoga tuż przed jego drzwiami. Ktoś nacisnął klamkę. Piołun omal nie krzyknął.

W drzwiach stała dziewczyna w nocnej koszuli. W ręce trzymała małą latarkę. Jej jasne włosy opadały na ramiona. Drgające cienie podkreślały jeszcze bardziej wydatne, sterczące piersi. Twarz miała bladą jak kreda.

– Słyszał pan to? – zapytała szeptem. – Co tu się wyprawia?

– Tak – odpowiedział równie cicho. – To było gdzieś na dole.

– Boję się.

– Spokojnie.

– Co teraz?

Popatrzył na nią.

– Nie mam pojęcia – odparł zgodnie z prawdą. – To raczej nie żaden włamywacz. Drzwi i okna są dobrze zamknięte. Słyszelibyśmy, gdyby ktoś dostał się z zewnątrz. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

Przez dłuższą chwilę oboje nasłuchiwali.

– Może nam się zdawało. – Lekarz usiłował ją uspokoić, choć jednocześnie lęk kobiety z jakiegoś powodu sprawiał mu przyjemność. – Wiatr się zerwał i wyje w rynnach. Proszę wrócić do siebie. Nic pani nie grozi.

Odniósł zaskakujące wrażenie, że słyszy własny głos i z jakiegoś powodu wydaje mu się on dziwnie nowy, jakby obcy i należący do kogoś innego. Brzmiała w nim protekcyjna życzliwość wymieszana z delikatnym rozbawieniem, kryjąca w sobie jednak coś, czego żadną miarą nie potrafiłby wyłuskać, nazwać i określić. Podobnym tonem mógłby przemawiać nieznajomy człowiek zaczepiający dziecko pozostawione bez opieki i rozpoczynający opowiadanie, której mroczny finał zna tylko on sam.

Dziewczyna wróciła do siebie. Minęło pół godziny, a jęk się nie powtórzył. Chociaż Piołun wyteżał słuch, nie mógł wyłowić żadnych podejrzanych szmerów. Usiłował zasnąć i powoli zaczynało mu się to udawać. Fale wiatru napierające na okna schroniska kołysały go do snu. Krople deszczu monotonnie stukały o okienny parapet. Wtedy, zapadając już w sen, na granicy rzeczywistości posłyszał jakby słowa, wyszeptane tuż przy jego uchu. Głos należał do mężczyzny, był niski, głęboki, w pewien sposób słodki i uwodzicielski.

Może być twoja na zawsze. Możesz zrobić z nią, co chcesz.

Przewrócił się na drugi bok, coraz głębiej zapadając w otchłań sennych majaków. Śnił o urodzie życia. Widział jesienny deptak nieopodal uczelni, na której studiował, Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, jakby zatrzymany w kadrze. Kolorowe liście leżały na asfalcie. W powietrzu unosił się ciepły zapach odchodzącego lata. Szedł przed siebie, mijając roześmiane, młode dziewczęta, które zerkały na niego zalotnie. Każda z nich wydawała mu się piękna, młoda, pełna życia i warta zachodu. Następnie widział siebie samego wsiadającego do samolotu i odwiedzającego odległe, egzotyczne kraje, gdzie woda miała odcień błękitu, plaża zawsze była czysta i sucha, a na niebie świeciło wieczne słońce.

5.

Jakby za obopólną znową ani on, ani turystka nie wracali już do nocnych hałasów. Dziewczyna spakowała się i odeszła pośpiesznie niczym duch, nie jedząc nawet śniadania. Na jej ładnej twarzy cały czas malował się rodzaj wewnętrznego napięcia, jakby było coś, o czym nie chciała powiedzieć. Możliwe, że to nie były tylko hałasy – pomyślał Piołun. Być może nocą działo się coś jeszcze.

Ponieważ pora była wczesna, postanowił przejść się po okolicy. Ubrał kurtkę z kapturem, wziął w rękę czarny parasol, który odnalazł w sieni i wyszedł na zewnątrz. W kotlinie zalegała ciężka mgła, z nieba sączyła się leniwa mżawka. Lasy przybrały odcień szarej zieleni. Opanowało go nagle dogłębne poczucie osamotnienia.

Skierował swoje kroki w stronę pagórka, na którym stały głązy przypominające smutne nagrobki. Drobne kamyki usuwały się spod jego butów z cichym łoskotem. Pomyślał o dziewczynce, która szła właśnie w tamtą stronę. Dotarł ścieżką na wzniesienie i rozejrzył się wokoło. Budynek

schroniska tonął w oparach mgły i miał w sobie coś widmowego. To właśnie na wzgórze mógł patrzeć ów człowiek, gdy robiono zdjęcie – przemknęło mu przez myśl.

Stał teraz na szczycie wzniesienia, a kamienie otaczały go ciasnym kręgiem. Podszedł do jednego z nich i dotknął go dłonią. Był mokry i zimny, z jednej strony porośnięty mchem. Nagle spostrzegł jakiś ciemny punkt na niebie. Najpierw jeden, potem kilka, a wreszcie kilkanaście. Do jego uszu dobiegło krakanie. Nadlatywały kruki. Przez chwilę krążyły nad wzgórzem, a potem obsiadły kamienie, wpatrując się w niego. Z jakiegoś powodu poczuł się nieswojo. Ptaki zachowywały się niespokojnie i ten niepokój po części udzielił się także jemu.

Zastanawiał się, skąd wzięły się te głazy. Wydawały się zbyt kanciaste, by mogły leżeć tu przez tysiące lat. Może więc zostały przyniesione. Nagle posłyszał cichy chrzęst kamieni osuwających się po ścieżce. Wyprostował się, rozejrzał. Mgła otaczała go ciasnym kokonem, niejako napierając ze wszystkich stron. Znów chrzęst, jakby ktoś nadchodził, bardzo wolno.

– Jest tam kto? – Jego głos zabrzmiał głucho i nienaturalnie. Odpowiedziała mu cisza.

Jakiś wewnętrzny impuls nakazał mu wracać. Ptaki zerwały się gwałtownie z furkotem skrzydeł. Było w tym miejscu coś dziwnego. Czuł gęsią skórę.

Szybkim krokiem wrócił do schroniska, oglądając się raz po raz przez ramię.

* * *

Zagadkowa przerwa w dostawie prądu znalazła swoje banalne wyjaśnienie. Jakieś przeciążenie sieci sprawiło, że bezpieczniki automatycznie odcięły zasilanie. Poprzestawiał je we właściwe pozycje i znów wszystko było w porządku. Radio cicho grało, w jadalni paliło się światło. Resztę dnia

spędził na pracach porządkowych, trochę czytał, słuchał radia. Zapowiadali ciężką zimę. Doktor westchnął. Będzie robota przy odgarnianiu śniegu.

Naraz usłyszał odległe wycie wilka. Nadstawił uszu. Drugi raz, teraz jakby bliżej. W nagłym przypiływie fantazji postanowił zaryzykować, wyjść na zewnątrz i rozejrzeć się. Złapał latarkę, odemknął drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Rozsądniej byłoby zostać w środku. A jednak zdał sobie sprawę, że potrzebuje tej odrobiny adrenaliny, która mogłaby upewnić go, że wciąż żyje. Wszystko, co odsuwało od niego myśl o chorobie i śmierci, wydawało się teraz godne uwagi.

Obiecał sobie, że nie oddali się zanadto. Na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno, jedynie nisko nad horyzontem ciągnęła się jeszcze czerwona luna. Na twarzy poczuł powiew zimnego wiatru. Omiótł snopem światła podwórze przed schroniskiem. Nic. Wilki raczej nie zbliżają się do ludzkich siedzib, a poza tym światło latarki zapewne je odstraszy – pomyślał.

Uszedł może kilkanaście metrów, gdy z pobliskiej kępy zarośli dobiegł do jego uszu szelest. Poświecił w tamtą stronę. Cienie zadygotały, zadrżały, rozpełzły się lękliwie na boki. Nie dostrzegł nikogo.

W miejscu takim jak to po zapadnięciu zmroku wcale nie musiało być bezpiecznie. Ktoś mógł włóczyć się po górskich szlakach niekoniecznie w dobrych zamiarach. Piołun nieraz słyszał w wiadomościach telewizyjnych o ludziach, którzy zniknęli bez śladu w górach.

Znów wycie. Teraz zupełnie blisko, gdzieś nieopodal. Brzmiało dziwnie ludzko, niczym skarga. Niemożliwe, aby wilk przemieszczał się tak szybko... tak... zdecydowanie – pomyślał.

Rozejrzał się wokoło i dostrzegł solidny kawałek kija. Podniósł go, ścisnął mocno w garści, stanął na szeroko rozstawionych nogach. Zamachnął się, by wypróbować swoją broń. Koniec kija przeciął ze świstem powietrze. Zawsze to jakaś obrona. Można zasłonić się, uderzyć, a potem uciekać. Jeśli napastnik

będzie go ścigać, zdąży wpaść do schroniska i zamknąć drzwi.

Nagle przed sobą, w odległości może kilkunastu kroków, ujrzał jasny kształt, który niespodziewanie wyłonił się z ciemności. Na początku nie miał bladego pojęcia, co to może być. Po chwili jednak dostrzegł ubraną na białą kobietę. Ręce miała wyciągnięte przed siebie, a na jej sukni dostrzec można było ślady cmentarnej ziemi. Szła w jego kierunku. Piołun dał kilka kroków w tył, gwałtownym haustem łapiąc powietrze i o mało się nie przewracając. Myśli przelatywały mu z prędkością błyskawic. Kimkolwiek jest, dopadnie go, zanim zdoła dobiec do schroniska.

Wiedział, że tego widoku nie zapomni do końca życia. Prosta, biała suknia była poszarzała od grobowego pyłu, naznaczona tu i ówdzie plamami cmentarnej wilgoci. Jasne niegdyś włosy teraz przybrały odcień popiołu. Twarz kobiety, choć niegdyś musiała być piękna, teraz była trupioblada. Najgorsze były jednak oczy, czarne i lśniące jak u nocnego drapieżnika.

Jednak nie jej fizyczność była najbardziej przerażająca. Wyczuwał bijącą od niej wrogość. Jakieś niepojęte pragnienie zemsty, które przeszywało go do szpiku kości i wbijało się w serce niczym sztylet.

Rzucił się do ucieczki. Później pamiętał tyle, że zatrzasnął za sobą drzwi z hukiem, zamknął na klucz i pośpiesznie zabarykadował szafką, która, choć skądinąd niezwykle ciężka, wtedy zdała mu się lekka niczym piórko.

Rozdygotany podbiegł najpierw do jednego okna, potem do drugiego, wypatrując zjawy. Nigdzie jej nie dostrzegł. Pomyślał o latarce. Można poświecić, sprawdzić, czy nikt... czy ona... nie znajduje się gdzieś blisko. Po chwili zawahania odrzucił jednak tę myśl. A jeśli światło w jakiś sposób ją przyciągnie?

Zaczął powoli dochodzić do siebie. Drżącymi dłońmi napełnił kieliszek alkoholem i wychylił jednym haustem. Następnie wykonał tę czynność powtórnie. Dwa głębsze wypite jeden po drugim pozwoliły mu po części

odzyskać kontrolę nad sobą.

Był pewien tego, co widział i nie sądził, aby uległ jakiemuś złudzeniu. Spotkanie ze zjawą było faktem, z którym musiał coś zrobić. Zastanawiał się, czy ta istota może jakoś dostać się do środka. Na zewnątrz panowała noc, ona snuła się prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz, być może całkiem niedaleko.

Nasłuchiwał tak czujnie, że do jego uszu docierały najcichsze odgłosy. Znow ten uporczywy wiatr zdawał dobijać się do domu. Jakieś niezidentyfikowane szelesty na granicy słyszalności dobiegały z zewnątrz. Z podziemnej spiżarni doleciało do jego uszu ciche trzeszczenie podłogi, jakby ktoś zrobił krok do przodu i zatrzymał się, wyczekując.

Nagle posłyszał cichy zgrzyt. Klamka drzwi frontowych. Poderwał się jak oparzony. A więc jednak nie odpuszczała tak łatwo. Była koło domu. Najciszej, jak potrafił, podkradł się do drzwi. Cały dygotał, choć próbował nad tym zapanować. Chciał uciekać, ale coś kazało mu się zatrzymać. Może... myśl o zdjęciu? O tym, że piętro może wcale nie okazać się tak bezpiecznym miejscem ucieczki, jak mogłoby się w pierwszej chwili wydawać?

Chociaż drzwi i okna były pozamykane, poczuł chłodny podmuch, jakby przeciąg przetaczający się przez pomieszczenie. Próbował przypomnieć sobie jakieś modlitwy z dzieciństwa, których uczyła go matka, ale strach paraliżował go do tego stopnia, że jedynym tekstem, jaki przychodził mu do głowy, była absurdalna dziecięca rymowanka:

Siedzi chłopczyk na cmentarzu, trzyma nogi w kałamarzu, przyszedł duch, chłopca buch...

Coś szarpnęło za klamkę. Z gwałtowną wściekłością. Próbowało dostać się do środka. Machinalnie dał kilka kroków w tył. Czuł się jak marionetka. Znow wyczuł tę falę nienawiści bijącą w jego stronę. Jakby ktoś życzył mu bardzo źle, życzył mu śmierci.

Wtedy też usłyszał:

Ona tu nie wejdzie.

Nie, to niemożliwe, aby ktoś wypowiedział te słowa. Rozejrzał się wokoło. Był sam w tym schronisku. A jednak te słowa przeniknęły do jego świadomości. Chłodne, władcze, przesycone mądrością, doświadczeniem.

Ona tu nie wejdzie.

Zimny pot ściekał z jego skroni. Klamka znieruchomiała, lecz po chwili rozległo się drapanie. Jakby ktoś pogrzebany za życia drapał od środka w wieko trumny pośród głuchoj, zalegającej na cmentarzu ciszy. Odgłos był pełen determinacji. Chciała wdrzeć się tutaj za wszelką cenę.

Ona tu nie wejdzie.

Znów ten głos! Szept z za pleców, niemal przyjacielski. Drapanie stało się zaciekle. Piołun był przerażony.

Spokojnie, przyjacielu...

Ktoś jednak był z nim w jadalni. Nagły zimny powiew przemknął przez pokój. Zdało się medykowi, że słyszy jakieś słowa, wypowiedane w obcej mowie, niezrozumiałe, lecz rytmiczne. *Cho-ron-zon* czy też może *Ko-ron-zon*. Zza drzwi dobiegło nagle straszne wycie, jakby kobiety obdzieranej żywcem ze skóry.

I wtedy wszystko ucichło. Ciemność zalała lekarza niczym przypiływ.

Ocknął się po jakimś czasie. Z wolna dostrzegał zarysy przedmiotów. Na zewnątrz wiatr musiał rozpędzić chmury, bo przez okno sączył się chłodny, martwy blask księżyca. Miał poczucie, jakby budził się ze snu.

Nie był już jednak tak bardzo przerażony jak wcześniej. Uczucie lęku ustępowało gniewowi. Wydawał się sobie samemu silniejszy, przynajmniej na tyle, aby wstać. Podniósł się z podłogi.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga w nocy.

Sprawdź, czy drzwi są zamknięte. Sprawdź okna.

Obszedł cały dom.

Tylko tutaj jesteś bezpieczny. Pośród nocy, która ciągnie się poprzez góry. Jak kapitan okrętu, jak... żołnierz.

Przeczuwał, że ktoś jest razem z nim i nie było to wcale złe uczucie. Miało ono jakiś zapach lub kolor, dostarczało wrażenia trudnego do zdefiniowania przez mózg, przywodziło na myśl uschnięte kwiaty, metal i pył starej piwnicy.

Udał się na piętro do swojego pokoju. Ciemność czająca się po kątach nie przeszkadzała mu, wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że w schronisku jest ona jego sprzymierzeńcem i ochrania go. Nie wejdzie tutaj, o nie. Rozebrał się do bielizny. Musisz... muszę... musimy być silni. Strach jest cechą słabych. Prawdziwi ludzie nie odczuwają strachu lub potrafią nad nim zapanować. Człowiek to lina rozpięta między małpą a nadczłowiekiem. Tutaj, na szczytach gór widać to najlepiej, kiedy spogląda się na wszystko z wysoka.

Podszedł do zdjęcia zawieszzonego na ścianie w pokoju, w którym sypiał. Wiedział już, że tego dnia był piękny widok. Piołun niemal czuł zapach sosen rozgrzanych promieniami słońca, niesiony przez wiatr aż tutaj. Niemal widział wzgórze przed schroniskiem oraz góry ciągnące się po horyzont.

Patrzył na fotografię. Nie był już do końca pewien, czy spogląda na nią własnymi oczyma. To, że nie było już na niej tajemniczego mężczyzny, nie robiło na nim żadnego wrażenia.

6.

Przebudzenie nadeszło rankiem. Piołun uznał, że musi natychmiast uciekać ze schroniska, o ile chce pozostać przy zdrowych zmysłach. Był pewien tego, co widział, i zdawał sobie sprawę, że cokolwiek tu się dzieje, może być niebezpieczne, a on sam tracił resztki równowagi psychicznej. Coś było na zewnątrz i coś tkwiło w środku schroniska. Doktor nie wiedział, które z nich jest gorsze. Nie miał czasu, by rozmyślać nad racjonalnością lub

nieracjonalnością swojego samopoczucia i decyzji. Doświadczenie grozy było czymś organicznym, przemawiało wprost do człowieka, z pominięciem rozumu. Schronisko działało na niego jak wywołujący lęk narkotyk, a z tym nie dało się dyskutować.

Dziwnym zbiegiem okoliczności nie mógł jednak znaleźć części przedmiotów, które do niego należały. Gdzieś zapodział się telefon komórkowy, a była to rzecz, która mogła się przydać. Zniknęły dokumenty. Przepadła też niewielka skrzyneczka zawierająca strzykawkę i fiolki z morfiną. Biegał jak szalony po schronisku i nie mógł niczego znaleźć.

Miał wrażenie, że ktoś bawi się z nim w kotka i myszkę. Zniknął gdzieś jego mały laptop, chociaż był pewien, że zostawił go na blacie w jadalni. Coś tu było znacznie bardziej nie w porządku, niż podejrzewał. Zaczął się obawiać, że traci rozum. Może to choroba zaatakowała już mózg... a może to miejsce miało coś w sobie, co zaburzało percepcję, sprawiało, że człowiek stawał się bezradny? Nagle pomyślał o jeszcze jednym miejscu, w którym mógł wypaść mu portfel. Często nosił go w tylnej kieszeni spodni. A był niedawno w piwnicy, by dorzucić węgla do kotła centralnego ogrzewania. Zejdzie tam i sprawdzi.

Czuł, że coś złego czai się wokół niego. To uczucie było coraz bardziej dojmujące. Pomyślał, że jeżeli jeszcze raz wydarzy się coś niewytłumaczalnego, zwieje stąd. Wróci do Poznania, wyrobi na nowo dokumenty, kupi nową komórkę, poszuka innej roboty. Pieprzone miejsce – pomyślał i pstryknął włącznik światła. Blask żarówki wydawał się dziwnie silniejszy, niż powinien. Zszedł powoli po stromych schodach, przytrzymując się ścian. Na dole wszystko było w porządku. Zapasy i narzędzia leżały poukładane na półkach.

Wszedł do kotłowni, spojrzał na podłogę.

Portfel leżał na ziemi. Schylił się i podniósł go. Już miał wyjść z piwnicy,

gdy usłyszał coś, jakby odgłos szamotania. Zamarł w bezruchu. Był to wygłuszony dźwięk, jakby ktoś próbował wołać, lecz miał zakneblowane usta. Po chwili rozległo się głucho stukanie.

Nie było wątpliwości, że odgłos dobiegał z za jednej ze ścian piwnicy. Lekarz podszedł w stronę, z której dobiegały te niepokojące dźwięki. Tak, nie było wątpliwości, ktoś uderzał w ścianę z drugiej strony.

Piołun przypomniał sobie, że usłyszał niedawno o zniknięciu poprzedniego właściciela. Poczłł niepokój, a jego serce zabiło szybciej, zaczęło kołatać w klatce piersiowej jak podczas nerwicy lekowej.

– Halo! – zawołał. – Jest tam kto?

Odgłos ucichł, po czym znowu się powtórzył. Brzmiało to tak, jakby ktoś został zamurowany za ścianą i usiłował wzywać pomocy.

Lekarz przystawił ucho do ściany. Coś się tam poruszało. Ktoś znajdował się po drugiej stronie. Uderzył otwartą dłonią w mur.

– Hej! – wrzasnął. – Trzymaj się! Sprowadzę pomoc!

Na ścianie nie było widać śladów murarskich prac. A jednak mogły zostać one starannie zatarte lub do pomieszczenia po drugiej stronie mogło prowadzić jeszcze jakieś inne, ukryte wejście. Stare budynki, a do takich z pewnością należało schronisko, mogły być pełne sekretów.

Rzucił się do wyjścia, wbiegł po schodach i złapał za klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły. Naparł na nie z całych sił, jednak bezskutecznie. Być może jakiś mechanizm się zablokował. Narzędzia. Jak szalony zbiegł po schodach. Na półce znajdował się solidny kilof. Kilka uderzeń i drzwi rozpadną się na kawałki.

A jeśli człowiek, być może dziecko, uwięzione za ścianą udusi się do tego czasu? Ta myśl sprawiła, że zatrzymał się. Rozbicie zamka mogło mu zająć nie więcej niż kilka minut, ale znalezienie telefonu już dłużej, o przybyciu pomocy nie wspominając. Tymczasem dla duszącego się za ścianą człowieka każda

sekunda mogła być na wagę życia.

Gruchnął styliskiem kilofa kilkukrotnie w ścianę.

– Jesteś tam?

Odpowiedziała mu cisza.

– Jesteś tam?! Musisz wytrzymać! Idę po ciebie!

Nie było odzewu. Człowiek znajdujący się po drugiej stronie mógł tracić już przytomność. Kto wie, jak długo był uwięziony. Może zakneblowano mu usta, może kończyło się powietrze, może więzy, którymi był opasany, przesunęły się tak, że odcinały już dopływ krwi do mózgu...

Może...

Może tam zostało uwięzione dziecko przez poprzedniego właściciela schroniska, który w istocie był jakimś zwyrodnialcem?

Dość – skarcił się za te wszystkie myśli. Musiał działać, i tyle.

Wziął zamach i z całych sił uderzył narzędziem w ścianę, w miejsce, z którego dobiegły niepokojące dźwięki. Najpierw odpadł tynk, pod którymi ukazały się cegły. Mur ustępował względnie łatwo, lecz to jedynie utwierdziło Piołuna w przekonaniu, że może mieć do czynienia z pośpiesznie zamurowaną kryjówką. Po chwili jego oczom ukazał się otwór na tyle duży, by dało się zajrzeć do środka.

– Jesteś tam? – zapytał. – Chcę ci pomóc!

Z pomieszczenia po drugiej stronie wionął chłód tak wielki, że kark doktora pokryła gęsia skórka. Miał wrażenie, jakby zaglądał do chłodni na mięso. Latarkę zostawił na górze. Żółtawe światło żarówki umieszczonej pod sufitem w spiżarni tylko w niewielkim stopniu umożliwiała wgląd w to, co znajduje się w zamurowanym pomieszczeniu.

Chociaż nie miał ochoty tego robić, wsunął głowę przez otwór. Oczami wyobraźni widział już dłonie dziecka zamurowanego tutaj żywcem przez psychopatę, łapiące go za twarz w ostatecznym odruchu rozpacz. Złapał kilof

w dłonie i pośpiesznie poszerzył otwór na tyle, aby wpadło tam jeszcze więcej światła. Nie chciał tracić czasu. Ktoś mógł zwyczajnie stracić przytomność.

Wszedł do środka. Wewnątrz panowała przytłaczająca atmosfera grobowca, który od dawna nie był otwierany. W powietrzu czuć było zapach starości i wilgoci. Pod ścianami ujrzał zarysy mebli okrytych czymś w rodzaju czarnego aksamitu. Nagle zastygł w bezruchu.

W kącie pomieszczenia ktoś stał. Przypominał mężczyznę otulonego spływającą do stóp ciemną szatą. Medyk podszedł bliżej i spostrzegł, że jest to jedynie wiszący na wieszaku mundur.

Poczuł, że powinien jak najszybciej opuścić to pomieszczenie. Ktoś tu był, ktoś, kogo nie należało ujrzeć. Z drugiej jednak strony eksplodowała w nim zaskakująca ciekawość. Te dwa silne impulsy zmagaly się ze sobą przez dłuższą chwilę, tocząc zaciekłą walkę. A jeśli... jest tutaj coś godnego uwagi?

Ta myśl pojawiła się w nim znienacka, podsunęta jakby przez kogoś, kto znajdował się w tym pomieszczeniu. Cofnął się w stronę światła. Odniósł wrażenie, jakby ciemność przysunęła się bliżej. Odwrócił się i pośpiesznie opuścił piwnicę.

Nie było zamurowanego dziecka, jak wcześniej uznała jego wyobraźnia. Cóż więc słyszał? Piski szczurów? Szum wody w rurach?

Zostań, przyjacielu. Tutaj są rzeczy, które na zawsze zmienią twoje życie. Zastanów się, kim jesteś. Pomyśl o tym zupełnie poważnie, pierwszy raz w życiu. Zdam sobie sprawę, jak bardzo byłeś przeciętny. Pomyśl, czy masz wiele do stracenia.

Piołun wspiął się po schodkach, trzymając kilof. Był przygotowany do wyważania drzwi. Nacisnął jednak klamkę i teraz ustąpiły bez oporu. Po chwili wrócił do piwnicy z latarką i świecą, tak na wszelki wypadek.

Nie czuł już lęku. W jego myślach rozbrzmiewały jedynie te dziwne sylaby,

tak rytmiczne, pełne dziwnego, w pewien sposób starożytnego uroku. Cho-ron-zon. Ko-ron-zon. Skądś wiedział, czuł, że wymowa tego słowa nie ma pierwszorzędno znaczenia, że kiedyś brzmiało ono inaczej, lecz sam rytm tych sylab, urok przedziwnych synkop, działał na niego niczym jakaś potężna wibracja przenikająca ciało.

Wchodząc do pomieszczenia po raz wtóry, tym razem uzbrojony w latarkę, spostrzegł jeszcze jedne, niewielkie stalowe drzwi. Pomalowano je na czarno. Były masywne i osadzone w żeliwnej futrynie. Obejrzał mur, błędząc palcem po zagłębieniach. W tym miejscu wyglądał on bardzo solidnie. Doktor nie sądził, aby udało mu się łatwo pokonać tę przeszkodę, nawet kilofem. Drzwi jak do bunkra. Zastukał pięścią w metal, myśląc przez chwilę, że to może stamtąd dobiegały te tajemnicze dźwięki. Odpowiedziało mu jedynie głuche echo. Przyłożył ucho do zimnej blachy i nasłuchiwał. Udało mu się wyłowić zaledwie odgłos przypominający ciche kapanie wody. Albo więc za drzwiami znajdowało się spore pomieszczenie, albo coś w rodzaju tunelu, być może po części zalanego wodą.

Uznał, że warto w pierwszej kolejności przeszukać sekretną piwnicę. Klucz do drzwi mógł znajdować się właśnie tutaj. Pod ścianami pomieszczenia stały meble okryte aksamitnymi, czarnymi płachtami przypominającymi żałobne całuny. Zaczął ściągać je jedną po drugiej. Jego oczom ukazało się obszerne biurko, szafki z szufladami i stara biblioteczka pokryta warstwą kurzu.

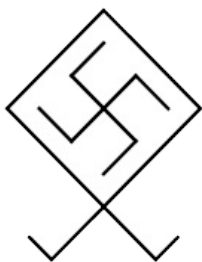
Przyjrzał się wiszącemu na wieszaku mundurowi. Od czasu zamurowania piwnicy musiało upłynąć wiele dekad. Mundur tymczasem wyglądał tak, jakby ktoś przez cały ten czas o niego dbał. Trupie czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami lśniły srebrzyście, odbijając światło latarki. Na pagonach widoczne były podwójne błyskawice SS. Na wieszaku wisiała też czapka, lekko, niemal zawadiacko, jakby odłożona tam zaledwie przed chwilą. Na ziemi stały wysokie buty, lśniąc nienagannie.

Pośpiesznie zabrał się za przeszukiwanie mebli. Szuflady biurka były otwarte. W środku znajdowało się sporo dokumentów, ułożonych równo i uporządkowanych. Odnalazł również tajemnicze pudełko zawierające kilkanaście lśniących chłodnym blaskiem chirurgicznych skalpeli oraz ostrą stalową piłkę. Zastanawiał się, do czego mogła służyć, i uznał, że do amputacji kończyn. Pobieźnie przeszukał biblioteczkę, odnajdując tam wiele książek w języku niemieckim.

Fotografie w książkach były zadziwiające, częstokroć szokujące, i trudno mu było sobie wyobrazić, by jakiś szanujący się instytut medycyny mógł przyłożyć rękę do ich publikacji. Przedstawiały one bowiem ludzkie płody, w niektórych przypadkach zrosnięte ze sobą, umieszczone w słojach z formaliną. Były tam również zdjęcia niebywałych doświadczeń medycznych, ludzi umieszczonych w wannach z lodem, zamkniętych w hermetycznych kapsułach i wyglądających przez małe okienka z wyrazem nieopisanego przerażenia na twarzach. Wreszcie stanowiące kwintesencję potworności fotografie częściowo rozciętych, nagich ciał poddawanych sekcji na stołach operacyjnych. Wiele z ofiar było przywiązanych do stołów za pomocą skórzanych pasów, nietrudno więc było domyślić się, że były to sekcje przeprowadzane na żyjących jeszcze ludziach, w tym na dzieciach, nieraz całkiem małych. Zdjęcia zapadały w umysł Piołuna, przerażały i fascynowały zarazem.

Poczuł, że zbiera mu się na wymioty i pośpiesznie odłożył książkę na półkę. Wyglądało na to, że znalazł się w sekretnej kryjówce jakiegoś lekarza, powiązanego ze zbrodniczymi hitlerowskimi eksperymentami, człowieka budzącego zrozumiałą odrazę, wcielonego diabła bez najmniejszej przesady. Przeglądał szuflady biurka w poszukiwaniu klucza do stalowych drzwi. Nigdzie go nie było. Pośród rozmaitych dokumentów odnalazł za to sporych rozmiarów czarny notes z dziwną, nieco groteskową swastyką na nóżkach.

Symbol wyglądał dokładnie tak:



Doktor nie miał pojęcia, co mógłby oznaczać ten znak. Zerknął na pierwszą stronę. Charakter pisma był piękny, staranny. Dzisiaj zapewne mało kto potrafiłby pisać piórem w ten sposób.

„Hubertus Strughold – prywatne zapiski”, brzmiał napis po niemiecku. Miał zatem w rękach coś w rodzaju pamiętnika. Postanowił czym prędzej przejrzeć notatki. Tak naprawdę już wtedy przyświecały mu nieco inne motywy. Zrozumiał, że natrafił na trop cennej tajemnicy. Szybko zawładnęła nim myśl, że autor pamiętnika mógł ukryć w tym miejscu coś znacznie więcej niż tylko swoje zapiski i tajemnice przeszłości. Mogły znajdować się tu jakieś skarby. Złoto, dzieła sztuki, kosztowności. Piołun wiedział, że pozostało mu niewiele życia. Jednak magia sekretu urzekła go. To było coś, czego potrzebował, coś, co pozwoliłoby mu nadać sens swoim ostatnim dniom. Gdyby odnalazł skarb, mógłby pozbyć się długów i zabezpieczyć finansowo swoją córkę do końca życia.

Powrócił na górę, postanawiając nie opowiadać nikomu o tym, co odkrył. Nie mógł pozwolić, by tajemnica wyciekła na zewnątrz. Na pewno nie do momentu, w którym wszystkiego się dowie i sprawdzi, co znajduje się za pancernymi drzwiami.

Niemal cały dzień upłynął mu na lekturze zapisków Strugholda. Dobra znajomość niemieckiego pozwoliła Piołunowi czytać je właściwie bez przeszkód, nie licząc sformułowań sprawiających wrażenie lekko już anachronicznych. Robił sobie tylko krótkie przerwy na skromne posiłki. Trzy razy zszedł do kotłowni. Najpierw by rozpaścić ogień, a następnie dwukrotnie, aby dorzucić odpowiednie porcje węgla. Po schronisku rozchodził się wyczuwalny zapach dymu węglowego. Kilka razy podszedł do okna, by na chwilę dać odpocząć zmęczonym oczom. Niewiele dawało się dostrzec. Na dworze było zimno, w kotlinach zalegała nieruchoma, biała jak mleko mgła, która podchodziła aż pod budynek schroniska, tworząc zawieszony w powietrzu, postrzępiony obłoki. Zasnęła również niedaleki pagórek z jego porośniętymi mchem głazami. Zima wisiała w powietrzu i wszystko wskazywało na to, że są to ostatnie dni przed jej definitywnym nadejściem.

Większość czynności wykonywał mechanicznie, niczym lunatyk. Opowieść Strugholda, choć dość oględna i pełna zagadkowych niedomówień, całkowicie zawładnęła jego wyobraźnią. Po raz pierwszy mógł poznać prawdziwe oblicze wojennej grozy, i to z pierwszej ręki. Otwierał się przed nim świat tajemnic, których istnienia nigdy by nie podejrzewał. Na początku podchodził do lektury z ostrożnością, później jednak jakaś niezdrowa fascynacja zaczęła z wolna wpełzać w jego myśli. Nigdy nie spotkał nikogo, kto pisałby w podobny sposób. Nie chodziło o styl, lecz raczej o uwodzicielską demagogię, pociągający urok argumentacji i niespotykany punkt widzenia. Mówi się, że słowo pozostaje jedynie słowem, zaledwie ciągiem znaków na papierze. Jednak zapiski Strugholda były jak bezdenna toń wciągająca Piołuna coraz głębiej i głębiej w zakamarki umysłu autora.

Czytając, miał odczucie, że Strughold wiedział, że jego zapiski zostaną kiedyś znalezione. Zdawał się czerpać z tego pewnego rodzaju satysfakcję. Poprzez swoje notatki przemawiał do Piołuna jakby z dużej odległości czasu

i przestrzeni, poruszając jednak celnie każdym swoim słowem duszę doktora, podobnie jak wytrawny wiolonczelista szarpie za struny.

Zaczynał prosto, lakonicznie i elegancko. Można było domyślać się stąd, jakiego typu był człowiekiem. Poukładanym, odpowiedzialnym, punktualnym, oddanym pracy, rozumiejącym doskonale znaczenie zadań, przed jakimi go postawiono. Nie był bestią ani potworem, jak go sobie przez chwilę Piołun wyobrażał. Studiował medycynę w Münster, Getyndze, Monachium oraz Würzburgu. W roku 1922 obronił doktorat i został asystentem Maximiliana von Freya, pełniącego funkcję profesora fizjologii. Po upływie pięciu lat zajął się będącą wówczas w powijakach medycyną lotniczą. Przebywał również w Stanach Zjednoczonych, na zaproszenie Fundacji Rockefellera. Stał się znanym i cenionym naukowcem. Prowadził zajęcia na uniwersytetach w Chicago i Cleveland. W roku 1933 otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego.

Wyglądało na to, że przygoda Strugholda z eksperymentami medycznymi zaczęła się całkiem niewinnie. Od konferencji w norymberskim hotelu Deutscher Hof, w którym częstym gościem był również Adolf Hitler. Pod koniec października 1942 roku Strughold uczestniczył w konferencji pod dość niewinnym tytułem „Problemy medyczne niebezpieczeństw na morzu i zimą”.

Jak wynikało jednak z zapisków, za niewinną konferencją naukową kryło się coś znacznie więcej. Niemcy nieustannie pracowały nad nową, tajną bronią, która mogłaby przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, lecz ukoronowaniem tych badań miało być zbudowanie załogowej rakiety kosmicznej. Przebiegały one równocześnie z badaniami nad energią nuklearną. Nad poszukiwaniem nowych broni wyteżali umysły wybitni naukowcy, geniusze tamtej epoki: Wernher von Braun, Bernhard Tessman, Hans von Ohain i wielu innych.

Prace prowadzono wielokierunkowo. Nazistów interesowały napędy

odrzutowe, bomba atomowa, broń chemiczna i... medycyna. Za tę ostatnią odpowiedzialny był nie kto inny, lecz właśnie sam Strughold.

Punktem zwrotnym w życiorysie profesora okazały się eksperymenty na żywych ludziach. Z początku traktował to jako pewnego rodzaju zło konieczne, usprawiedliwione wyższym celem. Nie można było określić, jak zachowa się ludzki organizm wobec zimna czy próżni, nie sprawdzając tego w praktyce. Tego, co sam Strughold nazywał „obiettami doświadczalnymi”, nie brakowało. Po zajęciu Polski badania można było przeprowadzać na więźniach obozów koncentracyjnych.

Dogodnym miejscem do tego typu badań okazał się rejon Gór Sowich. Niemieccy lekarze i fizycy mogli spokojnie przeprowadzać swoje badania, ponieważ teren ten przez długi czas znajdował się poza zasięgiem lotnictwa aliantów. „Obiekt badawczy”, jak określał ludzi Strughold, były przywożone tutaj z obozów koncentracyjnych w Dachau i Gross Rosen. Zgodę na badania przeprowadzane w okolicach zamku Książ wydał sam Heinrich Himmler.

Zyskując zupełną autonomię i swobodę w swoich nieludzkich badaniach, Strughold niepostrzeżenie zaczynał ześlizgiwać się z krawędzi zdrowego rozsądku w przepaść mrocznego szaleństwa. Z początku przyświecało mu zabarwione fanatyzmem oddanie dla „nauki”. W swoich sekretnych notatkach tak o tym pisał:

Byliśmy ludźmi, teraz staliśmy się niczym bogowie. Nie ogranicza nas ludzkie prawo, mogę bez przeszkód kontynuować wszelkie badania, na jakie przyjdzie mi ochota. Przed laboratorium na słońcu suszą się ludzkie skóry. Czy gdyby Bóg istniał, pozwoliłby na coś podobnego? Ten, którego zwie się Dobrym Ojcem?

W niektórych miejscach chwalił się swoimi odrażającymi eksperymentami:

Jak długo może wytrzymać człowiek poddany wiwisekcji bez żadnego znieczulenia? Jak wiele narzędzi można z niego wyciągnąć, aby był nadal

żywy i przytomny? Czy nie staliśmy się wobec ludzi tym, czym ludzie są wobec zwierząt? Czy to, co robimy, rzecz jasna dla dobra nauki, nie czyni nas wyjątkowymi? Czy to nie wspaniałe – być poza wszelkim osądem, poza złem i dobrem, móc robić wszystko, na co ma się ochotę?

Czytając te mrozące krew w żyłach zapiski, nie można było oprzeć się szokującemu wrażeniu, że bestia była jednocześnie zupełnie zwykłym, sympatycznym człowiekiem. Strughold w niektórych momentach sugestywnie pisał o zapierających dech w piersi krajobrazach Gór Sowich, z rozrzewnieniem wspominał przyjaciół ze studiów medycznych, rozwodził się nad pięknem muzyki i subtelnościami niemieckiej filozofii. Momentami trudno było uwierzyć, że poszczególne fragmenty pisze ten sam człowiek.

Punktem zwrotnym w zapiskach profesora okazało się niezwykle zagadkowe zdarzenie, którego on sam nie potrafił wyjaśnić. Notatki stawały się w tym miejscu enigmatyczne i nerwowe.

To coś przemówiło do mnie! Ciało było martwe. Nie reagowało już na ból, stwierdziłem rigor mortis. Powiedziało, że jest blisko, że odtąd zawsze będzie blisko.

I nieco dalej:

Boję się. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się boję. Jestem jednak bardzo podekscytowany. Tutaj... wszystko drży i wibruje. On przychodzi coraz częściej. Zawsze w tych samych okolicznościach, kiedy materiał doświadczalny jest już martwy. Obiecuje. Nie mogę podzielić się z nikim swoją wiedzą, przynajmniej nie w tej chwili. To już nie jest medycyna. To coś więcej.

Strughold staje się coraz bardziej neurotyczny. Opuszcza laboratorium i podąża gdzieś pod osłoną nocy, wielokrotnie. W jakimś celu odwiedza okoliczne cmentarze. Sam pisze o tym w sposób ogólnikowy, jakby licząc się z możliwością, że jego notes zostanie kiedyś odnaleziony. Nie wiadomo tylko,

czego tak bardzo się obawiał. Pisał wprost o okrutnych doświadczeniach. Jednak jego „spotkania” z tym czymś, zagadkową istotą, która do niego „przemówiła”, opisywał niezwykle oględnie, jakby z dozą nabożnego szacunku. Czyżby bał się, że ktoś odnajdzie zapiski i posądzi go o szaleństwo?

Coraz częściej odwiedza góry, snuje się samotnie po szlakach, rozmawia z miejscowymi, często korzysta z pomocy tłumacza. Ludzie rozmawiają dość chętnie, owszem, boją się munduru, który czasem ubiera, lecz nie wiedzą, czego tak naprawdę dopuszcza się Strughold ani na czym polegają jego badania. W pewnym momencie Piołun wstrzymał oddech. Częstym towarzyszem eskapad Strugholda był człowiek o nazwisku Plichta. Pełnił on rolę przewodnika, tłumacza oraz kogoś w rodzaju ochroniarza. A więc tak się sprawy mają – pomyślał Piołun. Zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. Ile lat może mieć Plichta? Być może to jego dziadek. Możliwe więc, że Plichta wie więcej o schronisku, niż może się wydawać.

Podczas jednej z wypraw Strugholda, tym razem samotnej, dochodzi do zagadkowego spotkania w lesie:

Ujrzałem kobietę niezwyklej urody. Zdała mi się ucieleśnieniem germańskiego uroku, genetycznym ideałem rasowym. Nie potrafię wręcz opisać, jak bardzo była piękna. Długie blond włosy, spięte w warkocz, błękitne oczy przywodzące na myśl alpejskie fiołki. To jakaś miejscowa. Rozmawiałem z nią długo, ponieważ okazało się, że całkiem nieźle zna język niemiecki. Nie potrafię przestać o niej myśleć.

Profesor medycyny, bezlitosny oprawca, dokonujący bez mrugnięcia okiem swoich „sekcji” na żywych dzieciach ulega nieodpartemu urokowi przygodnie napotkanej kobiety. Trudno było sobie to wyobrazić. Niemniej wszystko wskazywało na to, że owa tajemnicza kobieta zawładnęła sercem Strugholda. Prosiła go o dyskrecję. Na początku spotykali się w schronisku, które Strughold skonfiskował „do celów badawczych”. Trudno powiedzieć, jak

długo trwały te potajemne schadzki, na co liczył lekarz i co myślała o tym sama dziewczyna. Później jednak wszystko przybrało zaskakujący obrót. Kobieta zachodzi w ciążę. Coś niedobrego zaczyna dziać się ze Strugholdem:

On przemówił do mnie. Ostrzegł mnie. Dziewczyna jest inna niż wszystkie. Może być niebezpieczna. Genetycznie jest ideałem. Ale jest kimś więcej niż człowiekiem. Tak, stare legendy o rodzie czarownic mogą być prawdziwe. Dziwne rzeczy dzieją się w schronisku. Dziewczyna wie więcej, niż jej mówię. Posiada jakiś dar, jest wyjątkowa. Należy to koniecznie zbadać. Wykryć źródło jej zdolności, szukając go w ciele. Czas jest dobry. Nowe życie nadchodzi. Energia jest skumulowana. Wszystko wibruje, jest pełne mocy. Należy poczekać na odpowiednią chwilę. Nadchodzi czas przesilenia. Himmler i Rosenberg mieli rację, niektóre noce są szczególne. Trzeba sprawdzić koniunkcję gwiazd, ascendent i descendent. On będzie zadowolony.

Za oknem zapadał już zmrok, gdy Piołun dotarł do ostatnich stron. W schronisku panowała cisza. Mimo działającego pieca budynek wypełniał chłód. Doktor był rozczarowany. Sądził, że znajdzie więcej odpowiedzi. Tymczasem zapiski Strugholda w newralgicznym momencie kończyły się jedynie zagadkowym stwierdzeniem:

Zrobiłem to. Szukałem źródła Mocy w ciele. Dokonałem wiwisekcji. Szukałem go w ścięgnach, w mięśniach, w kościach. Niczego nie odnalazłem. Strasznie krzyczała. Zbliża się koniec. Wiem, że będę musiał uciekać, Niemcy przegrywają. Wiem, że jestem nietykalny. Chroni mnie Ahnenerbe. Nigdy nie staniemy przed żadnym sądem. Ani Wernher von Braun, ani Bernhard Tessmann. Nasza wiedza jest zbyt cenna dla Amerykanów. Nie wrócę tu już nigdy. Chyba że...

– Mamo, boję się o tatę – oświadczyła Maja. Stała w drzwiach sypialni, tarmosząc skrawek nocnej koszuli i przestępując z nogi na nogę. Była drobną, lecz wysoką jak na swój wiek trzynastolatką. Nie chciała denerwować matki, kolejna awantura nie była nikomu potrzebna. Dochodziła druga w nocy.

Mama wygrzebała się z ciepłej pościeli, zapaliła nocną lampkę, wsparła na łokciu i przyjrzała się córce, mrużąc oczy.

– Dziecko, wiesz, która jest godzina?

– Wiem, prawie druga, ale ja miałam bardzo zły sen. – Nienawidziła, gdy matka nazywała ją „dzieckiem”.

Matylda westchnęła.

– Nic dziwnego, jeśli ma się takiego ojca jak twój – stwierdziła z goryczą.

– Wtedy złe sny są nieuniknione. Do tego ten jego ekstrawagancki, nagły wyjazd. Zawsze był trochę nieprzewidywalny, kiedyś nawet mnie to bawiło. Teraz jednak przeszedł samego siebie.

– Mamo, proszę cię, nie zaczynaj. – Maja usiadła na łóżku. – Wiesz przecież, że jest ciężko chory. Na pewno trudno mu sobie z tym poradzić. Nie wiem, jak ja zachowywałabym się na jego miejscu.

– To, że jest ciężko chory – odparła jej matka – niczego nie usprawiedliwia. Nie jest wytłumaczeniem dla jego długów, hazardu i pijaństwa. Wielu ludzi choruje i nie zachowują się w ten sposób.

Maja nagle pomyślała, że choć ma dopiero trzynaście lat, potrafi zrozumieć ojca lepiej niż matka. Dotarło do niej, że mama wciąż odrzuca myśl, iż choroba taty może być śmiertelna. Dla niej ojciec po prostu „był chory”, tak jakby cierpiał na chroniczny reumatyzm lub złamał nogę. Dziewczyna była zbyt młoda, by używać wyrażeń typu „wyparcie”, „spychanie w podświadomość”, ale czuła intuicyjnie, że obojętność matki, jej oschłość w stosunku do ojca, a nawet wybuchy gniewu mogą być czymś na podobieństwo reakcji obronnej.

Milczały przez chwilę.

– Powiedz, co ci się śniło – zachęciła ją matka. Tym samym mechanicznym tonem mogłaby wydać polecenie typu „uczesz się” lub „umyj zęby”.

– We śnie jakiś człowiek pojawił się w moim pokoju. Stał w kącie, skryty w ciemności. Prawie go nie widziałam, ale wiedziałam, że tam jest i przygląda mi się. W pierwszej chwili pomyślałam, że to tata. Ale to nie był on. Wtedy ten człowiek wyszedł z cienia i zobaczyłam go wyraźniej, choć nadal nie dostrzegałam jego twarzy. Wydawało mi się, że chce zrobić mi jakąś krzywdę. Miał na sobie mundur, wyglądał jak esesman, którego zdjęcia pokazywał nam pan Tomek od historii.

– Będę musiała porozmawiać z panem Tomkiem od historii – stwierdziła trochę bez sensu matka. – Nie powinnaś też oglądać tyle telewizji i objadać się przed snem. Czy w tym śnie było jeszcze coś, co tak bardzo cię przstraszyło?

Maja zorientowała się, że matka jej nie rozumie. Sen był nad wyraz straszny, przerażający, a jednak gdy opowiadało się go komuś innemu, wydawał się okropnie błahy. Nie potrafiła wyrazić słowami tej niemej groźby, którą wyczuła. Nie umiałyby opisać zimnego, lubieżnego wyrachowania, jakie biło od tego człowieka w mundurze. Wreszcie nie odważyłaby się przyznać przed matką, że nie była wcale pewna, czy był to jedynie sen.

– To wszystko – wykrztusiła.

– Chodź, daj buziaka. – Mama uśmiechnęła się do córki. – Jesteś już za duża, żeby bać się straszydeł.

* * *

Tej samej nocy Plichta nie mógł zasnąć. Leżał w ciemności, nasłuchując spokojnego oddechu leżącej obok niego żony. Jego myśli szybowały w kierunku schroniska na Wilczycy. Zbudowano je dobre dwieście lat temu, wydawało się jednak, że stoi tam od zawsze, niczym jakaś upiorna świątynia,

odwieczny świadek zdarzeń. Dziadek ostrzegął go przed tym miejscem, nigdy jednak dokładnie nie wyjaśnił, czego należy się tak bardzo obawiać. Kiedy próbował drażnić temat, stary zapalał papierosa, zaciągał się nim głęboko i milczał ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, a może i dalej – w głąb własnych wspomnień.

Przed oczami stanął mu tamten zły wieczór sprzed lat. Wnuk od kilku dni był nieswój, jakby skrywał jakąś tajemnicę. Dzieci w tym wieku mają swoje wewnętrzne życie, pielęgnują w sobie wiele sekretów, które dorośli zwykle kwitują pobłażliwymi skinięciami głowy. W urywanych słowach, wpatrując się w niego wielkimi, niebieskimi oczami, dzieciak mówił coś o dziwnej postaci, która przemierza się pośród drzew, gdy na niebie świeci srebrny księżyc. Oczywiście Jacuś nie potrafił w swoich słowach oddać tego, co tak bardzo go niepokoiło. Wspominał jednak lękliwie o niepokojących snach, w których szczególną rolę odgrywał „dom na wzgórzu”, a także „dziwny pan”, który „wołał go do siebie”. Góral miał jednak wówczas wiele na głowie i całość sprawy podsumował czujnym zlustrowaniem okolicy pod kątem potencjalnych wykolejeńców, jak również daną samemu sobie obietnicą, że nie będzie Jacusia spuszczał z oka. To wszystko nie wystarczyło, chłopczyk zniknął, idąc do szkoły, gdy na drogę wyszła ta przekłeta mgła i nigdy więcej nie udało się niczego w tej sprawie ustalić. Dopiero wówczas aluzje dotyczące „domu na wzgórzu” oraz „dziwnego pana” nabrały prawdziwie przejmującego grozą znaczenia. Plichta szukał na własną rękę, wiele tygodni, miesięcy i lat. Liczne rzeczy, które przy tym spostrzegł w lesie, dały mu do myślenia, lecz wnuka nie odnalazł już nigdy.

Czasem, gdy dziadek Plichty z jakiejś okazji był po kilkunastu głębszych, jego wewnętrzne hamulce puszczały, lecz i wtedy z mrukliwych wzmianek nie dałoby się poskładać jakiegokolwiek sensownej całości. Były to wypowiedane chrapliwym szeptem urywane zdania typu: „jest tam nadal”, „to drzy

i wibruje”, „to wraca” i tym podobne.

Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, szeptało się również o wampirzycy. Opowiadali o niej głównie starcy oraz dzieci, które być może coś podsłuchały. Ludzie w sile wieku zazwyczaj nie poruszali tego tematu, jednak nie było we wsi domu, w którym nad wejściem nie wisiałby pęk czosnku i krzyż. To na wszelki wypadek, mówili, odwracając wzrok jakby zawstydzeni. Nikt nie chciał uchodzić za zabobonnego, lecz strach ostatecznie zwyciężał.

Po zmroku mało kto wychodził z domu, chyba że miał pilną sprawę do załatwienia, a i wtedy starał się wrócić jak najszybciej, zawsze mając pod ręką latarkę i święty obrazek lub krzyżyk. Drzwi starannie zamykano, ustalano specjalne hasła i rytmy pukania, by przypadkiem nie otworzyć ich nie w porę i komuś nieproszonemu.

Natomiast nie było chyba nikogo z miejscowych, kto odważyłby się nocą zapuścić w las. Najgorszą jednak sławą cieszył się położony za wsią stary wiejski cmentarz. Pewnego razu jakieś dzieciaki poszły tam dla hecy. Uciekały przerażone z powrotem do wsi, jakby gonił je sam diabeł. Od dawna nikogo tam nie pochowano, wyznaczono miejsce na nowy cmentarz niedaleko kościoła, byleby tylko nikt nie musiał chodzić w tamtą okolicę. Plichta nie mógł sobie przypomnieć, kiedy właściwie zbliżył się tam ostatnio.

Nieraz słyhać było przeciągłe wycie dobiegające od strony gór. Wtedy ludzie śmiali się, lecz z ich oczu wyzierał lęk. Opowiadano, że przy pełni księżyca wampirzyca krąży wokoło wsi i biada temu, kto się na nią natknie.

Mężczyzna rozmyślał też o nowym właścicielu schroniska. Poprzedni zniknął ponoć gdzieś bez wieści i do tej pory go szukają. Wcześniej przez kilka lat budynek był zamknięty, a on odwiedzał go jedynie od czasu do czasu. Robił to zawsze za dnia, a i tak miał uczucie, że coś tam jest nie w porządku. Jednego razu wystraszył się nie na żarty, słysząc głośny łomot i kroki w piwnicy. Był pewien, że oprócz niego nie było wtedy w schronisku nikogo.

Jednak to nie sam hałas przeraził go tak mocno. Było tam coś, co sprawiało, że zaczynało się mieć złe myśli. Trudno było wytrzymać w środku, zupełnie jakby ktoś cały czas zaglądał człowiekowi przez ramię. Teraz ktoś z gminy uznał, że warto je na powrót otworzyć. Nic dziwnego, nie znali sprawy lub nie traktowali legend zbyt poważnie. Plichta uważał, że trudno o gorszą decyzję.

Wstał ostrożnie z łóżka, by nie przebudzić żony. Strzeliły mu stawy. Starość nie radość – pomyślał. Po omacku przeszedł do drugiego pokoju i chciał zapalić małą, nocną lampkę. Mógłby spróbować coś poczytać. Nie chciał włączać telewizora.

Pstryknął włącznik i zorientował się, że nie ma prądu. Ostrożnie odsunął firankę i wyjrzał na zewnątrz. U sąsiadów było ciemno, lecz to o niczym nie świadczyło. Za oknem rozciągała się głucha noc. Po cichu wydobył z szuflady małą latarkę, zapalił ją i usiadł w fotelu przy oknie. Gdyby Lena teraz się zbudziła, chyba pomyślałaby, że zwariował albo źle się poczuł.

Jednak jakoś nie chciało mu się wracać z powrotem do łóżka. Miał nieodparte wrażenie, że coś wisi w powietrzu. Wiatr za oknem poświstywał niespokojnie, zrywał się i cichł na przemian. Ciekawe, jak tam ten nowy właściciel – pomyślał Plichta. Ja sam dostałbym kręcka po pierwszej nocy spędzonej na Wilczycy.

Wtedy to usłyszał. Odległy skowyt. Zamarł, wyęzając słuch. Dźwięk dochodził z oddali, jakby właśnie od strony Wilczycy. To nie było zwykłe wycie wilka. Było w nim zbyt wiele żalu, rozpacz i złości. Źle się stało, że nowy przyjechał – pomyślał. Nie trzeba było się tam kręcić, nie trzeba było jej drażnić.

Zastanawiał się, czy jest jedyną osobą, która posłyszała tę żalobną skargę pośród nocy. Coś mówiło mu, że idą złe dni. Dni, podczas których wszyscy będą musieli mieć się na baczności znacznie bardziej niż zazwyczaj.

8.

Po ukończeniu lektury zapisków Piołun odłożył notatki na stół. Pomyślał, że mógłby położyć się spać, lecz niepokój nie pozwalał mu na to. Zdawał sobie sprawę z nadchodzącego kresu istnienia, lecz myśl o nim po raz pierwszy sprawiła mu pewnego rodzaju przyjemność. Co to za niezwykle zakończenie życia – rozmyślał. I zaskakujące ukoronowanie kariery medycznej. Seria życiowych błędów przywiodła go w to miejsce. Utracił pracę, popsuł małżeństwo, stracił prawo jazdy, zadłużył się, podjął wariacką decyzję o wyjeździe i na koniec tego wszystkiego odnalazł coś, czego nigdy nie mógłby się spodziewać. Kryjówkę szalonego lekarza.

Jakaś natrętna myśl kotłowała mu się w głowie, nie mógł jednak jej uchwycić, sformułować w jasne słowa, przynajmniej nie na tyle, by móc się jej przyjrzeć. Siedział tak w kompletnej ciszy, straszliwie osamotniony, w opustoszałej jadalni, a z wiszących na ścianach czarno-białych fotografii spoglądały na niego nieznanym twarzom ludzi, których nigdy nie pozna. Nagle spostrzegł, że umieszczona pod sufitem żarówka zaczyna przygasać, tak jakby coś wysysało z niej światło. Zrobiło się bardzo chłodno, wręcz zimno. Postanowił, że za wszelką cenę zachowa spokój. I tak nie miał dokąd uciekać. Na zewnątrz mogła być wampirzyca, a on skądś wiedział, że przed nią nie ucieknie.

W głębi piwnicy rozległo się ciche szuranie. Nie było możliwe, aby notatki leżały tak długo, niezniszczone, niepokryte pleśnią, w podziemiu. Wiedział o tym doskonale. Mundur powinien już dawno pokryć się kurzem, nadgnić, zbutwieć. Buty nie powinny lśnić tak jasno w świetle latarki. A jednak lśniły. To o czymś świadczyło.

Czekał. Ktoś nadchodził. Światło przygasało tak bardzo, że ledwie dostrzegał zarysy mebli. Cicho skrzypnęły drzwi od piwnicy. Zapadła

całkowita ciemność, w której dało się dostrzec jedynie żarzący się wolframowy drucik żarówki. Poczł zapach zgnilizny kojarzący mu się z obumarłymi kwiatami, które leżą długo w zapomnianym kanale. Zapach śmierci i rozkładu przywodzący na myśl zapomniane cmentarze, których nikt nie odwiedza.

Zawładnęła nim przelotna chęć ucieczki. Zapanował nad nią siłą woli. Okazało się to znacznie łatwiejsze, niż sądził.

– Witaj, przyjacielu. – Głos dobiegał z za jego pleców. Był cichy, szeleszczący, pylisty, jakby przemawiał ktoś, kto przebywał w odosobnieniu wiele lat i teraz na powrót z trudem przypominał sobie ludzką mowę. – Nie bój się, mogę ci pomóc.

Piołun z trudem przełknął ślinę. Człł, jak łomocze mu serce.

– Kim jesteś? – zapytał, chociaż jakaś część jego umysłu doskonale znała już odpowiedź na to pytanie.

– Przyszedłem z ogromnej ciemności – odparł głos. – Potrzebuję twojej pomocy. Jeśli ją otrzymam, twoja nagroda będzie wielka.

Zimny pot wystąpił na czoło doktora. Odnosił wrażenie, że balansuje na granicy szaleństwa. Znów zapragnął zerwać się, wybiec z krzykiem i pędzić przed siebie na oślep, dopóki ktoś go nie zatrzyma, byle dalej stąd. Jakaś siła jednak spętała jego ciało, wiedział, że nie jest w stanie nawet podnieść się z krzesła, a co dopiero uciekać.

– To nie możesz być ty – powiedział w końcu, z trudem łapiąc oddech. – To niemożliwe. Ty nie żyjesz. Nie mógłbyś żyć w tej piwnicy, nie tyle lat.

Strughold zaśmiał się cicho, jednak bez cienia wesołości.

– Jestem uwięziony. Niebawem zrozumiesz więcej. Tylko ty możesz mi pomóc.

– Co mam zrobić? – Piołun oblizwał suche wargi.

– Nic wielkiego. Będę cię instruował. Musisz tylko we mnie uwierzyć,

przyjąć mnie do swojego serca. Masz do wykonania pracę, a ja potrafię ci się odwdziżyć. Powiedz tylko „tak”. Pozwól mi zajrzeć w twoje myśli.

Piołun drżał na całym ciele, nie do końca pewien, czy wszystko to dzieje się naprawdę. Z drugiej strony coś opętywało jego myśli, łamiąc w nim wolę oporu, wślizgiwało się w jego umysł. Kiedy tylko usiłował otrząsnąć się, wspomnienie życiowej przegranej jawiło mu się niemal namacalnie, a lęk przed nadchodzącym kresem życia zaciskał gardło w zimnych szponach strachu.

Być może było jeszcze coś – doktor odczytał tę subtelną aluzję, nadchodzącą obietnicę, wypowiedzianą gdzieś poza słowami, której trafność wyczuwał. Podświadomie od samego początku pragnął cudu i oto cud się zdarzył. Może nie do końca taki, o jakim opowiedziałby chętnie katecheta na lekcji religii w liceum, ale zawsze. Oto rozmawiał z duchem. A jeśli rozmawia się z duchem, to czy jest jeszcze coś niemożliwego?

– Tak – powiedział w końcu głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Wierzę.

Przez długą chwilę panowała kompletna cisza. Piołun powoli dochodził do wniosku, że wszystko musiało mu się przewidzieć, że to choroba zsyła na niego halucynacje i że najzwyczajniej w świecie przepaliła się żarówka, a on siedzi w pustym pomieszczeniu i prowadzi rodzaj jakiegoś wewnętrznego, obłąkańczego monologu.

Wtedy doktor Strughold przemówił po raz wtóry:

– Potrafię uleczyć twoją chorobę.

To było jak celne uderzenie w samo sedno. Piołun rozmyślając o ukrytych skarbach, wiedział, że oszukuje samego siebie, by zaprzątnąć własne myśli. Każda rzecz, jaką robił przez ostatnie lata, była właśnie taka – miała za zadanie odsunąć od niego myśl o śmierci. Tak naprawdę pragnął jednak żyć – za wszelką cenę. Nawet morfina, którą zabrał ze sobą, była jedynie nieudolną

próbą sprawowania kontroli nad tym, co nieuchronne. Pragnął umrzeć, chcąc za wszelką cenę żyć – na tym polegał jego paradoks. I nie było w tym niczego dziwnego. Jako lekarz wiedział, że tak właśnie funkcjonuje człowiek. Ludzie, którzy dowiadawali się o nadchodzącym kresie, przechodzili niezrozumiałe wybuchy energii, snuli nieraz plany sięgające poza granicę ich fizycznego życia, rozdysponowywali majątki i wykupywali sobie kwatery na cmentarzach, zlecali bliskim opiekę nad psami i kotami, i robili jeszcze wiele innych rzeczy, jak gdyby w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, czym w istocie jest śmierć.

– Zrobię wszystko, żeby żyć – oświadczył Piołun. – Każdy dzień jest na wagę złota, łaknę każdej godziny i minuty.

– Wiem o tym – zaszeptał Strughold. – I to jest coś, co nas łączy.

– Przekonaj mnie – zażądał nagle lekarz – że to, co mi obiecujesz, jest prawdziwe.

– Idź spać – rzekł Strughold. – A rano sam zobaczysz.

* * *

Jan Piołun dawno nie spał tak dobrze, chociaż śnił o rzeczach strasznych. Widział siebie samego przeprowadzającego nieludzkie eksperymenty, odzianego w mundur SS. Odcinał kończyny, przyszywał je znowu, topił ludzi w wannach z lodem, obserwował, jak więźniowie umierali przez wiele godzin w komorach hiperbarycznych, skrupulatnie sporządzając przy tym zapiski i robiąc zdjęcia. Przeszkadzały mu ich krzyki, więc przecinał struny głosowe. Aby zapewnić sobie absolutną ciszę, nakładał ofiarom na twarze przeciwigazowe maski. W ludziach widział jedynie obiekty eksperymentalne i to sprawiało, że odczuwał spokój oraz naukową ekscytację. Czuł się wspaniale, nie musząc zastanawiać się, czy to, co czyni, jest dobre czy złe. Mógł robić wszystko, na co miał ochotę i nikt nie mógł mu tego zabronić. Nie musiał tłumaczyć się przed nikim i nikt nie mógł wymierzyć mu jakiegokolwiek

kary. Poczucie wszechmocy upajało go niczym najlepszy narkotyk.

Później znów we śnie ujrzał siebie samego, jak schodzi z góry, wąską ścieżką, wprost do wsi. Napęłała go czysta złośliwość i chęć zniszczenia. Najpierw czał się w krzakach ze strzelbą i starał się upolować jak najwięcej dzieci. Nie uważał wcale, że to, co robi, jest złe. Przecież ludzie bez wahania zabijają potomstwo przedstawicieli innych gatunków. Wielu z nich traktuje to nawet jako sport. On również przez chwilę stał się sportowcem, zapragnął zapolować na wszystkich przedstawicieli *homo sapiens*. Uważał, że jest to w jakimś kosmicznym sensie sprawiedliwe. Potem skradał się i podkładał ogień pod ich domy. Kiedy mieszkańcy wybiegali z krzykiem, już czekał na nich ze swoim mauzerem, zbierając krwawe żniwo. Za każdym razem, gdy posyłał kulę, jego ciałem wstrząsał spazm rozkoszy. Starał się celować najpierw w kończyny, aby sprawić swoim ofiarom jak najwięcej bólu. Bawiło go to, gdy krzyczały i wiły się na ziemi. Ból był dobry, był oczyszczający, prawdziwy i żywy. Był przeciwieństwem śmierci, której tak się obawiał. Czuł, jak gniew i frustracja, napęlniająca go od wielu lat, głębokie rozczarowanie ludzkim gatunkiem, znajdują wreszcie ujście. Liczył w myślach naboje, martwiąc się szczerze, że mu ich zabraknie.

Czuł też coś na kształt przewrotnej litości. Powinni być mu wdzięczni za to, że uwalnia ich od nędzy istnienia. Umierając, oczyszczali powoli powierzchnię planety, która mogła stać się wreszcie miejscem godnym nadczołwieka. Należało przygotować ziemię na nadejście nowych czasów. To, co robił, oprócz tego, że sprawiało mu przyjemność, można było porównać do sumiennej, pełnej znoju pracy rolnika usuwającego chwasty i przygotowującego ziemię pod nowy zasiew. To był czas gniewu, czas ognia, przesilenia i grozy, lecz później nastać miała lepsza epoka, w której ludzie nie będą już małostkowi, egoistyczni, zakłamani, chciwi, obłudni i bezmyślni.

Nagle w jego sennej wizji pojawił się ktoś jeszcze. Wampirzyca w tej

swojej rozwianej, poplamionej grobową wilgocią sukni. Wyciągała w jego stronę szpony i Piołun zdał sobie sprawę, że nie może jej zabić i że ona jedna jest w stanie pokrzyżować jego plany. Wycelował w jej stronę mauzera, oparł drewnianą kolbę o ramię, wymierzył starannie, świadom niszczycielskiej energii pocisku. Płynnie, jakby sterowany przez kogoś z zewnątrz, nacisnął spust. Ona była jednak coraz bliżej, kula przeszła na wylot, nie wyrządzając jej najmniejszej szkody. Wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że jest coraz bardziej rozwścieczona. Jeszcze moment, a dopadnie go, rozora mu twarz i oczy długimi paznokciami, za którymi tkwi wciąż cmentarna ziemia. Wiedział, że lada moment wpije się w jego gardło, a ostre zęby rozerwą jego tętnice, zmieniając błagalny okrzyk w głuchy, przerażający bulgot człowieka zachłystującego się własną krwią.

Zbudził się gwałtownie, poderwał na łóżku i przez dłuższą chwilę nie mógł przypomnieć sobie, gdzie właściwie jest. Sen był jak jezioro, niczym grząskie mokradła, w które łatwiej wejść, niż się z nich wydostać. Jednak gdy spojrzął na swoje dłonie, jakiś trudny do nazwania okrzyk zamarł w jego gardle. Wciągnął haust powietrza i wpatrywał się we własne ręce, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

Następnie zerwał się gwałtownie z pościeli i pognął przed lustro. Z niedowierzaniem, niemal nabożnie i gorączkowo dotykał swojej twarzy. Głaskał ją i znów na powrót oglądał dłonie. Z kącików oczu, chociaż nie był tego zupełnie świadomy, sączyły mu się łzy. Były to łzy radości.

Rozległe plamy wątrobowe zniknęły z dłoni, jakby nigdy ich nie było. Jego twarz natomiast odmłodziła. Zniknęła siwizna. Jak kiedyś, miał ciemne, gęste włosy. Białka jego oczu były wolne od zażółceń i pokrywających je wcześniej naczynek krwionośnych. Miały delikatny, lekko błękitnawy odcień typowy dla młodych i zdrowych ludzi. Zmarszczki niemalże zupełnie zniknęły. Wyglądał teraz góra na trzydzieści lat.

Nie było wątpliwości, że doktor Strughold wywiązał się ze swojej obietnicy.

* * *

Z wielką niecierpliwością wyczekiwał na powrót Strugholda. Obawiał się, że to całe niesamowite uzdrowienie jest jedynie tymczasowe, a objawy choroby mogą wrócić, i to ze zdwojoną siłą. W końcu syndrom „cudownego ozdrowienia” znany jest w medycynie nie od dziś i jakże często poprzedza ostateczny atak choroby i zgon.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Gorączkowo wertował po raz kolejny notatki niemieckiego lekarza, przerzucał szeleszczące kartki, jakby licząc, że nawiąże z nim w ten sposób rodzaj duchowej więzi. Podchodził do okna, obserwując zniżającą się powoli za szczytami gór tarczę słońca. Niewiele jadł i mało pił, a mimo to był coraz silniejszy, wyraźnie czuł otaczające go zapachy, usta miał pełne śliny, a mięśnie nóg nosiły go niby stalowe sprężyny.

Wreszcie, nie mogąc poradzić sobie ze sobą samym, zbiegł do piwnicy. Szczegółowo oglądał meble, dotykając pieśczośliwie dłońią ich powierzchni, która zdała mu się w pewien sposób przesycona jakąś energią, jakby elektrycznością statyczną. Pod wpływem wewnętrznego impulsu włożył na głowę czapkę z trupią główką, przebrał się w mundur i włożył wypastowane buty. Ku jego zdumieniu wszystko pasowało jak ulał. Tak jakby mundur czekał na niego. Nagle machinalnie włożył dłoń do kieszeni. Namacał jakiś niewielki przedmiot. Klucz.

Od razu przysły mu na myśl metalowe, pokryte czarną farbą drzwi. Wsunął klucz do zamka i z zadowoleniem stwierdził, że pasuje. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Światła było niewiele. Namacał wprawdzie na ścianie archaiczny przełącznik, ale nie zadziałał. Mimo to wzrok doktora przyzwyczał się do ciemności na tyle, aby mógł dostrzec, co znajduje się we wnętrzu

mrocznej piwnicy. Na suficie umieszczona była okratowana lampa. Pośrodku pomieszczenia stały dwa metalowe łóżka, wyposażone w skórzane uchwyty na ręce i nogi. Piolun podszedł do nich i oglądał uważnie, czując, jak ogarnia go niezdrowe podniecenie. W stalowej blasze biegły specjalne kanaliki, zapewne służące do odprowadzania krwi. Spojrzał na podłogę. Tam również biegły podobne podłużne wgłębienia prowadzące do kratki ściekowej. Krwi musiało być dużo, bardzo dużo – pomyślał. W kącie pomieszczenia dostrzegł sporą drewnianą skrzynię. Podszedł do niej i ostrożnie podniósł pokrywę. Z początku uznał, że wypełniono ją szmatami. Kiedy jednak dotknął jednej z nich dłonią, przekonał się, że są tłuste i nasączone jakimś płynem. Powąchał. Olej silnikowy. Podniósł jedną z nich, potem następną, i wtedy jego oczom ukazały się zawinięte w nasączony materiał przedmioty. Rozwijał je powoli i ostrożnie. Karabin mauzer, zupełnie taki, jak z jego snu; charakterystyczny pistolet luger, który widział już kiedyś w muzeum II wojny światowej; kilka granatów z długimi, drewnianymi trzonkami.

Na razie postanowił zostawić wszystko na swoim miejscu. Starannie zamknął za sobą piwnicę. Nie zdziwiło go zbytnio, że wszystko znajdowało się w tak dobrym stanie. Przecież Strughold zawsze w jakiś sposób tu był. Aż do tej pory. Czuł, że przyszłość przyniesie rozwiązanie tej zagadki.

Wrócił na górę, po raz kolejny obejrzał swoją twarz w lustrze i upewnił się ponownie, że nie ulega żadnemu przewidzeniu. Zastanawiał się tylko, jak wyjaśni otoczeniu to swoje nagłe odmłodzenie. Był to pewien problem, chociaż może nie aż tak wielki, jak mogłoby się wydawać. Był przecież lekarzem i zawsze mógł twierdzić, że odkrył jakąś metodę umożliwiającą powstrzymanie choroby, a nawet cofnięcie jej objawów. Skutki terapii okazały się spektakularne. Ludzie będą wypytywać, dziwnie spoglądać i szeptać między sobą. Jednak z czasem się przyzwyczają i zaakceptują ten fakt. W końcu wygląda praktycznie na tyle lat, ile rzeczywiście ma. Jest to zatem

powrót do normalności, nic więcej. Zastanawiał się tylko, jak wysoka będzie cena uzdrowienia i czego zażąda Strughold.

9.

Dom Damięckich był jednym z najbardziej oddalonych od Podgórze budynków. Znajdował się na skraju lasu, tam gdzie rozpoczynały się rozłożyste świerki. Był spory, murowany, miał spadzisty dach pokryty czerwoną dachówką, plastikowe okna, świeżo odremontowaną elewację i ogólnie sprawiał wrażenie, że jego właścicielom bardzo dobrze się powodzi. Zamieszkiwała go trzypokoleniowa rodzina. Dziadkowie, rodzice i dziecko – jedenastoletni Tymon. Tej nocy, jak zwykle na weekend, przyjechali goście. Ciotka Krysia i wujek Jarek. Przywieźli ze sobą również swoje dzieci – Hanię i Olę. Pierwsza z nich, młodsza, miała podobnie jak Tymon jedenaście lat, a starsza, Ola, trzynaście.

Spotkanie rodzinne ciągnęło się dobre kilka godzin. Dorośli rozmawiali przy suto zastawionym stole, w tle grał telewizor. Tematów nie brakowało, od polityki aż po rzeczy zupełnie banalne, takie jak ceny pieczywa i kulinarne przepisy. W całym domu paliły się jasne światła i tchnęło radosną normalnością. Był to bezpieczny świat, w którym niejako z definicji nie może zdarzyć się nic złego.

– Dalej, dzieciaki! – huknął z udawanym gniewem wujek Jarek. – Kapać się i do łóżek! Już dwudziesta druga, „Panorama” leci w telewizji.

– Daj spokój. – Jego żona, Krysia, wzięła dzieci w obronę. – Jutro nie muszą iść do szkoły, niech trochę posiedzą.

Hania, Ola i Tymon popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Wcale nie mieli nic przeciwko temu, aby pójść już do pokoju na górze. No, może nie licząc nieuchronnej kąpieli, którą akceptowała bez zastrzeżeń jedynie

dorastająca już Ola. Nie pierwszy raz mieli spać wszyscy razem i rzadko zdarzało się, by rzeczywiście poszli spać przed północą. Zwykle udawało im się uspić czujność dorosłych, gasząc światło i udając, że śpią. Potem, kiedy z dołu znów zaczynały dobiegać przyciszone rozmowy, jedno z nich zapalało latarkę i opowiadali sobie najróżniejsze historie, byle tylko jak najbardziej się nastraszyć. Wszystko to, oczywiście, kończyło się tłumionymi chichotami, parsknięciami śmiechu i łaskotkami, po czym cała trójka, zmęczona, zapadała w sen.

Nagle mimo późnej pory ktoś zadzwonił do drzwi. Gospodarz domu i głowa rodziny, Marcin Damięcki, podniósł się ociężale znad stołu. Jadł właśnie grillowaną kaszankę i był niezadowolony, że ktoś odrywa go od tego przyjemnego zajęcia.

– Kogo tam... licha niesie... o tej porze – wymamrotał trochę niewyraźnie, jako że był po kilku głębszych. Polazł jednak do sieni i po chwili rozległ się odgłos otwieranych drzwi frontowych.

Cała rodzina, zaskoczona, zamilkła. Ktoś, kto przychodzi o tej godzinie, musi mieć ważną sprawę, inaczej pewnie poczekałby do rana. Z sieni dobiegały jednak tylko ciche słowa i nie dało się żadną miarą posłyszeć ani kto, ani w jakiej sprawie przyszedł.

Po chwili pan Marcin pojawił się znów w salonie. Na jego twarzy malowała się konsternacja.

– Plichta był – oświadczył krótko.

– Ten Plichta? – spytał ciut za głośno podchmielony wujek Jarek. – Ten zbzikowany?

– Zbzikowany, zbzikowany! – podchwyciły dzieciaki, śmiejąc się głośno. Każde dosadne sformułowanie w ustach dorosłego wprawiało je w bezgraniczny zachwyty.

– A wy cicho! – skarciła je babka Damięcka i spytała: – Czego chciał?

Gospodarz Marcin wymownie spojrział na dzieci.

– A wy zmykać mi w te pędy na górę! Raz, raz. Kapać się i do łóżek. Przyjdę sprawdzić! – Naskoczył na nie. W jego głosie brzmiała jednak jakaś dziwna, trudna do zidentyfikowania nuta. Może gdyby dzieci były starsze, użyłyby słowa „troska”. Teraz jednak, czy chciały czy nie, musiały czmychać do pokoju na górze. Dzieci były w gruncie rzeczy dobre i posłuszne, chociaż czasem lubiły teatralnie się ociągać, głównie po to, by zaimponować sobie nawzajem. Przypominało to badanie głębokości dna za pomocą patyka – sprawdzanie, jak daleko można się posunąć. Potrafiły jednak świetnie wyczuwać emocje dorosłych i wiedziały, że tym razem żarty się skończyły. Starsi mieli swoje tajemnice.

Hania i Ola razem poszły do łazienki, zostawiając Tymona samego w pokoju. Mieściły się w nim trzy łóżka, w tym jedno piętrowe. Tam zwykle spały dziewczyny. Na ścianie wisiały plakaty przedstawiające Wojownicze Żółwie Ninja, Spidermana oraz Królową Lodu. Królowa miała w sobie coś złowieszczonego i Tymon nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przypatruje mu się z uwagą. Podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Nie lubił, gdy są odsłonięte, zwłaszcza w takie wietrzne noce. Wydawało mu się wtedy, że ktoś może zajrzeć do środka.

Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby spróbować podsłuchać dorosłych. Szum wody i stłumione piski dziewczyn dobiegające z łazienki działały na jego korzyść. Podkradł się cicho do krawędzi schodów i nasłuchiwał. Liczył na coś ciekawego, co będzie mógł potem w najwyższym sekrecie powierzyć dziewczynom. Jednak im dłużej słuchał, tym bardziej jego twarz stawała się blada. Gdyby wówczas ktoś go obserwował, mógłby odnieść zaskakujące wrażenie, że chłopiec na chwilę staje się bardziej dojrzały i widać w nim już mężczyznę, którym stanie się w przyszłości. Po chwili jednak uznał, że nie chce słuchać dalej tego, o czym mówią dorośli. Były to słowa jakby z innego

świata, do którego wcale aż tak bardzo mu się nie spieszyło. Świata, w którym nie istnieją Wojownicze Żółwie Ninja, Spiderman, zła Królowa Lodu, lecz są tam inne bardzo złe rzeczy, o których lepiej nawet nie myśleć, jeśli chce się jeszcze kiedykolwiek zasnąć.

Dziewczynki wróciły z łazienki rozbawione. Tymon był poważny. Bez słowa poszedł się wykąpać, przebrał się w piżamę z samochodami i usiadł na łóżku. Czuł, że musi podzielić się z kimś tym, co usłyszał.

– Wyglądasz, jakbyś kij połknął – przygadała mu Ola.

– Coś słyszałem – powiedział głuchym głosem Tymon.

– Podśluchiwałeś, co gadali na dole. – Hania dała mu kuksańca. – Powiem tacie, jak przyjdzie na górę. – Powiedziała tak tylko, aby nastraszyć kuzyna. W rzeczywistości była zaciekawiona.

– Ten pan Plichta – Tymon pociągnął nosem – przyszedł, żeby nas ostrzec. Całą naszą rodzinę. Podobno będzie chodził tak od domu do domu. Mówi, że musi to robić, bo inaczej nie miałby czystego sumienia. Podobno gadał, żebyśmy dobrze zamknęli drzwi i nikogo nie wpuszczali do środka. Do nas przyszedł najpierw, bo mieszkamy najbliżej lasu.

Dziewczynki patrzyły przez chwilę na siebie, po czym wybuchły śmiechem.

– Zmyśliłeś to wszystko, prawda? Żeby nas nastraszyć?

Tymon pokręcił zdecydowanie głową.

– Potem dorośli mówili coś o wampirzycy. Tej, która podobno jest w lesie.

– Przestań – skarciła go Ola. – To się robi głupie. Chodźmy lepiej spać. Coś ci się musiało przesłyszeć.

Zgasili światło i każdy zajął miejsce w swoim łóżku. Przez dobry kwadrans w pokoju panowała cisza, słychać było tylko ciche głosy dorosłych dobiegające z salonu. Trzasnęły drzwi od sieni, ktoś zaryglował dodatkowy zamek. Dzieci milczały, jednak ciche szelesty kołder świadczyły dobitnie, że żadne z nich nie śpi.

Nagle, całkiem niedaleko rozległo się przeciągłe wycie. Przypominało bardziej żalosne zawodzenie żałobnej płaczki niż dźwięk wydawany przez jakiegokolwiek zwierzę.

– Co to jest? – wyszeptwała z przejęciem Hania. – Wilk?

– Nie wiem – odparł równie cicho Tymon. – I nie chcę wiedzieć.

– Wyjrzę przez okno. – Od strony piętrowego łóżka dobiegł rumor.

– Ola, nie rób tego – ostrzegł ją Tymon. – Ona może cię zobaczyć.

– Jaka ona?! Daj spokój, jesteśmy na piętrze, wyjrzę tylko – upierała się dziewczynka.

Podłoga zatrzeszczała delikatnie pod naciskiem jej drobnych stóp, kiedy Ola zbliżała się do okna. Kiedy odsunęła zasłonę, do środka wtargnął blask księżycy ukazujący jej sylwetkę i rozpuszczone włosy.

– Nic tam nie ma – stwierdziła po chwili z przekonaniem.

I właśnie wtedy zaczęła krzyczeć. Był to paniczny, histeryczny, zdający się trwać nieprzerwanie wrzask. Tymon i Hania zerwali się z łóżek jak oparzeni.

– Ola! Co ci jest? Co się dzieje? Co zobaczyłaś?

Tymon rzucił się, by zapalić światło, jednak rozległo się jedynie pstryknięcie. Od strony schodów dobiegł głośny tupot. Nadbiegali dorośli. Ola krzyczała cały czas, nieprzerwanie, jakby miała tak wrzeszczeć do końca świata.

Pierwszy w drzwiach pojawił się wujek Jarek z latarką. Za nim reszta rodziny.

– Co tu się dzieje?! – zawołał. W jego głosie słyhać było autentyczny strach.

– Ona krzyczy! Ona krzyczy! – rzuciła Hania i wybuchnęła głośnym płaczem. – Zobaczyła coś za oknem!

– Gdzie? Co? – dopytywali się dziadkowie, jeden przez drugiego.

– Pogotowie! – ryknął wujek Jarek. – Nie ma czasu. Patrzcie na nią!

Ola leżała na ziemi, rzucając się w konwulsjach. Z ust ciekła jej piana. Nogi uderzały z hukiem o podłogę. Oczy wywróciły się, ukazując białka. Cały czas krzyczała jak opętana. Wymachiwała rękami, jakby chcąc zetrzeć lub zdjąć coś z siebie. Cały jej organizm reagował zwierzęcymi, atawistycznymi odruchami. Na podłodze pojawiła się kałuża moczu.

W pewnym momencie dziewczynka wrzasnęła histerycznie:

– Ona tu idzie! Ona tu idzie! Ona tu idzieeeeeeeee!

* * *

Plichta obszedł trzy domy, gdy zorientował się, że być może jest już za późno. Cała wioska jakby zamarła. Był jedynym człowiekiem, który wyszedł na zewnątrz, mimo utyskiwań zaniepokojonej żony. Postanowił ostrzec okolicznych mieszkańców. Najpierw posłyszał wycie z głębi lasu, a niedługo potem przeraźliwy, stłumiony krzyk, którego źródła nie potrafił zidentyfikować. Z lękiem rozejrzał się wokoło, omiatając wiejską drogę strumieniem światła z latarki.

Okoliczne domy spowijał mlecznobiały opar mgły. Samotna latarnia, rzucająca i tak niewiele światła, przygasła i zapalała się, raz za razem, jakby walcząc bezradnie z nadciągającą ciemnością. Korony świerków i jodeł czerniały na tle nieba rozświetlanego przez księżyc w pełni. To była zła noc, czuł to niemal każdym centymetrem swojego ciała. Nigdy wcześniej nie miał tak silnego przeczucia, że zbliża się coś strasznego. Wampirzyca czegoś od nich chciała, została przebudzona i była wygłodniała. Wtedy ją ujrzał, w oddali, lecz to wystarczyło, by zmrozić jego serce na kość. Sunęła skrajem lasu, majestatyczna, straszna, jakby przecząca prawom fizyki. Ożywiony niepojętą siłą trup kobiety, która już od dawna powinna spoczywać w grobie.

Plichta uznał, że to ostatnia chwila na ucieczkę. Odwrócił się i popędził do domu, jakby gonili go wszyscy diabli.

* * *

W tym samym czasie w schronisku na Wilczycy zapanowała zupełna ciemność. Znowu zabrakło prądu, lecz doktor Piołun uznał to za dobry omen. Nie pofatygował się nawet do skrzynki z bezpiecznikami, by sprawdzić, co się stało. Wiedział. Prawowity mieszkaniec tego budynku nie lubił światła. Aby nie siedzieć całkiem po ciemku, zapalił świecę, której drgający blask wypełniał teraz pomieszczenie. Przed nim leżały notatki Strugholda. Około północy na prowadzących z piwnicy schodach rozległy się powolne kroki.

Po chwili za plecami Piołuna ktoś stanął. Doktor nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, z kim ma do czynienia. Serce waliło mu mocno w piersi, strach łączył się z fascynacją.

– Jestem – zabrzmiało.

– Choroba cofa się – oznajmił medyk.

– To tylko próbka mojej mocy – oznajmił Strughold. Głos miał spokojny, szeleszczący i jakby dobiegający z pewnej odległości. – Mogę dać ci więcej. To wszystko kwestia twojej wyobraźni.

– Co to znaczy?

– Sądzisz zapewne, że jesteś szczęśliwy, ponieważ odzyskałeś zdrowie. Posiadasz jednak tak naprawdę jedynie to, co ma już większość ludzi, choć tego nie doceniają. Nie grozi ci przedwczesna starość i śmierć. Pomyśl jednak, ile masz lat i ile czasu jeszcze ci pozostało. Pamiętasz, kiedy byłeś dzieckiem, wydawało ci się, że zawsze nim pozostaniesz, i że to będzie trwało wiecznie. Gdy stałeś się nastolatkiem, uważałeś podobnie. Czas zdawał się trwać bez końca. Jednak teraz już wiesz, że to nieprawda. Czas jest niczym cwany stary bankier. Teraz jesteś, ostrożnie szacując, mniej więcej w połowie. Nie zaprzeczaj. Jesteś w połowie życia, które można uznać za wartościowe. Kto lepiej niż ty zrozumiał, jakie spustoszenie czyni starość? Kiedy przekraczasz siedemdziesiątkę, na zawsze umiera w tobie dziecko i człowiek dojrzały,

którym byłeś kiedyś. Ja mogę dać ci coś, o czym większość ludzi może jedynie pomarzyć.

Piołun wstrzymał oddech. Strughold rzeczywiście go uzdrowił. Przekonał się co do jego nadprzyrodzonych mocy, chociaż ich nie pojmował. Jakaś jego część zapragnęła uwierzyć w słodką obietnicę, której treść przeczuwał.

– Słuchasz z uwagą. Doskonale. Wiesz już, że prowadziłem doświadczenia. Z twojej perspektywy mogą wydawać się one czymś strasznym, jednak cel, który osiągnąłem, przyćmił wszystko i rozgrzeszył wszelkie zło. Stało się to przypadkiem. On przemówił do mnie ustami umarłych. Dał mi moc, która może uzdrawiać, cofać proces starzenia się organizmu. Jeśli mi pomożesz, otrzymasz więcej. Chyba domyślasz się już, do czego zmierzam. Zastanów się, jakby to było stać się znów całkiem młodym i móc rozpocząć swoje życie na nowo. Poprawić je, uniknąć błędów, które się popełniło. Jest rzeczą wspaniałą być młodym, ale jeszcze lepszą jest być młodym znowu, tak samo jak dobrze jest być zdrowym, ale lepiej jest wyzdrowieć. To człowieka bardziej cieszy.

– Mam żonę – odezwał się Piołun. – I córkę. Z żoną nie żyjemy za dobrze, ale córkę... Kocham nad życie. Taka jest prawda. Moje życie ma już swój bieg i nic tego nie zmieni.

W jakiś sposób Piołun zobaczył przeblyskiem swojej duszy, że tamten wykrzywił usta w pogardliwym grymasie. Syknął cicho, jakby słowa medyka oparzyły go boleśnie niczym żrący kwas.

– Cóż to znaczy „dobrze”? – mówił nadal cicho, monotonicznie, hipnotyzująco, lecz wyczuwało się w jego głosie domieszkę drwiny. – Cóż to znaczy „kocham”? To brednie słabych ludzi, moralność niewolników. Dobro oraz zło to zaledwie słowa wymyślone przez silnych po to, by utrzymać ludzi w ryzach. Wystarczy przyjrzeć się tej naszej „moralności”, aby ujrzeć jasno, że jest kłamstwem. Większość ludzi bez wahania zabija zwierzęta, jeśli służy to wyższej sprawie lub chociażby napełnieniu żołądka. Zabijanie ludzi jednak

uważają za złe, ponieważ sądzą, że jesteśmy od zwierząt lepsi. Niektórzy powołują się nawet w tej sprawie na Boga i jego autorytet. A gdyby pojawił się nagle gatunek lepszy od ludzi i zapragnął oczyścić z nich całą Ziemię? Podnieśliby wielki krzyk. Zobacz, kim naprawdę są – niektóre istoty żywe oszczędzają, ponieważ je lubią. Przykładem mogą być domowe psy lub koty. Inne zabijają bez wahania. Uzasadnieniem tej moralności są gusta większości i nic ponadto. Mniejsza jednak z tym. Wyobraź sobie, że schodzisz z gór odmieniony, jako młody człowiek, powiedzmy osiemnastoletni. Pamiętasz, jak się wtedy czułeś? Pamiętasz, jaki byłeś silny? Przenikała cię radość. Widziałeś symbol na moim notatniku? To znak Ahnenerbe. Organizacji założonej przez nas. Istnieje ona nadal, a jej wierni członkowie rozsiani są po całym świecie. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie stanęliśmy przed sądem, tak samo jak mistrz Mengele? My, tak zwani „zbrodniarze”? Dlaczego Stany Zjednoczone przyjęły nas z otwartymi rękami, nie zwracając uwagi na opinię świata, nie licząc się ze zdaniem rozwścieczonego Izraela? Ponieważ posiadliśmy tajemnice, których panicznie się boją. Twoje uzdrowienie to zaledwie przejaw jednej z nich.

– Jak wytłumaczę światu... – zaczął Piołun.

– Wciąż nie rozumiesz. Jesteś niczym ten niewierny Tomasz z opowieści o Chrystusie. Rozczarowuje mnie to. Poniekąd jesteś moim uczniem. Dokumenty nie będą problemem. Słyszałeś o organizacji „Odessa”? Wywiedliśmy w pole całą Europę. Oszukaliśmy cały świat. Tylko niewielu z nas zostało schwytanych. Czy rozumiesz, do czego zmierzam? W Zurychu nadal są skrytki bankowe. Pełne. Wystarczy znać hasło, a ja, jak zapewne się domyślasz, znam je. Musisz mi tylko pomóc.

– Co miałbym zrobić? – ostrożnie zapytał Piołun.

– Chcę sprawdzić twoją odwagę. Nic więcej. Tylko odważni zasługują na życie, a ten dar, który ci daję, to właśnie jest życie. Musisz zniszczyć

wampirzycę. Widziałeś ją, prawda? Widzę to w twoich myślach. Jej obraz przepęlnia cię strachem. Musisz jednak wykonać zadanie.

Piołun drgnął gwałtownie na samo wspomnienie zjawy.

– To niewykonalne – zachnął się. – To coś nie jest z krwi i kości! Nie wiem, w jaki sposób mógłbym... stawić czoło temu... – urwał nagle, nie bardzo wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– We właściwej chwili ci podpowiem – zapewnił go Strughold. – W pierwszej kolejności musisz znaleźć grób, w którym ją pochowano. Wiem jedynie tyle, że wieśniacy odkryli ciało i gdzieś pochowali. Wypytaj, kogo się da, to nie może być daleko. Kiedy będziesz już wiedział, przyjdę i poinstruję cię, co dalej należy zrobić.

Strughold zamilkł. Płomień świecy zadrgał niespokojnie i zgasł jakby zduszony niewyczuwalnym podmuchem. Doktor odszukał zapałki i zapalił ją na powrót. Rozejrzał się wokoło i stwierdził, że jest sam. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że duch go obserwuje.

10.

Piołun zjawił się w wiosce około godziny dziesiątej rano i właśnie wtedy opanowało go niebywałe, graniczące wprost z pewnością przeświadczenie, że wydarzenia potoczą się teraz w zastraszającym tempie i że nie będzie można ich powstrzymać. Wpadł w euforię. Zrozumiał, że Strughold, kimkolwiek jest, może dać mu wszystko, czego tylko potrzebuje i... jeszcze więcej.

Być może będzie musiał robić rzeczy niewłaściwe. Może nawet złe. Ale układ był uczciwy. Ten, kto daje, ma prawo wymagać.

Medyk dobrze pamiętał chwile, w których zwracał się do Boga o uzdrowienie – jednak Bóg milczał, a jeżeli nawet w jakiś sposób odpowiadał, to Piołun nie rozumiał Jego przesłania. Teraz znalazł się ktoś, kto

nie tylko przemawiał, odpowiadał, ale nawet działał skutecznie.

W Przygórzu panowała atmosfera pozornej normalności, lecz każdy obdarzony choć minimalną intuicją mógłby wyczuć, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Psy nie szczekały, koty umykały trwożliwie, ptaki milczały. Na niebie wisiały zwarte deszczowe chmury, raz po raz kropiąc deszczem, jakby przygotowując się do ostatecznego ataku, apokaliptycznej ulewy, która będzie trwała dniami lub nawet tygodniami, zanim nadejdą pierwsze śniegi, by skuć ziemię lodem. Liście opadły z drzew jakby nagle, w zaskakującym nadmiarze, tworząc wielobarwny, mokry kobierzec na asfaltowej drodze, po której kroczył Piołun. Ktoś przemknął trwożliwie i skrył się, zanim lekarz go zauważył, trzasnęły pośpiesznie zamykane drzwi.

Pierwsze kroki doktor postanowił skierować do domu Plichty. Wydawało się, że człowiek ten wie sporo i być może będzie w stanie rzucić jakieś światło na tajemnicę. Poza tym on i jego żona byli jedynymi mieszkańcami wioski, z którymi Piołun nawiązał jakąkolwiek bliższą znajomość.

Zadzwoił do furtki raz i drugi, a gdy miał już odejść, w drzwiach frontowych pojawił się Plichta. Spojrzał na doktora, lecz go nie rozpoznał.

– Pan w jakiej sprawie? – spytał, przekrzywiając lekko głowę i lustrując gościa spojrzeniem.

– To przecież ja, Jan Piołun ze schroniska na Wilczycy.

Plichta przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, otworzył usta ze zdumienia i podszedł bliżej. Lekarz zorientował się, że przemiana musiała być głęboka i jeszcze bardziej szokująca dla otoczenia niż dla niego samego.

– Głos ten sam, wzrost się zgadza, nawet ubiór – mamrotał oszołomiony Plichta, ni to do doktora, ni do siebie. – Poznaję kurtkę, ale... jeśli to pan... jest pan... dużo młodszy. To jakiś dowcip, prawda? Jest pan pewnie młodszym bratem.

– Ach! – roześmiał się głośno Piołun, w głębi duszy rad z wrażenia, jakie

wywiera. – To nie żaden cud ani sekret. Całkiem zwykły zbieg kilku okoliczności, że się tak wyrażę. Jeśli można na słówko, wyjaśnię wszystko.

– Proszę, proszę – zaprosił go do wnętrza domu Plichta, wciąż jeszcze nie mogąc w sposób widoczny otrząsnąć się z konsternacji. – Żony nie ma w domu, rankiem wyszła do znajomej, jeszcze nie wróciła.

Piołun odwiesił swoją szeleszczącą ortalionową kurtkę na wieszak w przedsionku, po czym udał się wraz z gospodarzem do salonu. Panowało tu przyjemne ciepło. Plichta spoglądał na niego raz po raz, jakby upewniając się, że rzeczywiście Piołun jest tą osobą, za którą się podaje.

– Widzi pan – oznajmił lekarz – kiedy widzieliśmy się ostatnio, byłem bardzo zmęczony. Nie czułem się najlepiej. Poza tym, zacząłem dbać o siebie. Może wyda się to zabawne, ale postanowiłem pofarbować włosy, przyznam bez ogródek, z tą siwizną nie było mi do twarzy.

Plichta uśmiechnął się niepewnie. Przemiana, jaką wyczuwał w nowym opiekunie schroniska, wydawała się zbyt głęboka i wieloaspektowa, by można było ją sprowadzić jedynie do dobrze przespanej nocy i zmiany koloru włosów. Z jakiegoś powodu budziła ona w góralu złe przeczucia. Ten człowiek odmłodził – myślał sobie. Cofnął się w latach, i niech mnie szlag, jeśli coś się za tym nie kryje.

– Jeszcze trochę, a miejscowe dziewczyny zaczną się za panem uganiać – wymamrotał.

– Och – uśmiechnął się Piołun – niewiele mi na tym, szczerze mówiąc, zależy. Interesują mnie natomiast inne sprawy i chciałbym o nie zapytać.

Na chwilę zapadło milczenie. Gospodarz miał w pamięci koszmarną noc i widok wampirzycy, którą ujrzał na własne oczy. Przeczuyał, że Piołun coś ukrywa, że nie jest z nim szczerzy. Z jakiegoś powodu zaczął się go bać.

Tymczasem medyk rozsiadł się naprzeciw gospodarza z pewną nonszalancją.

– Pomyślałem, by zajrzeć do pana i porozmawiać trochę o starych legendach. Zanim tu przyjechałem, czytałem trochę, rozumie pan, w Internecie, jak również w książkach, i niektóre z opowieści wzbudziły moje zainteresowanie.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w Plichtę.

Te oczy – pomyślał gospodarz. Przysięgnęłbym, że należą do kogoś innego.

– Szczególnie jedna historia mnie zaciekała – kontynuował Piołun. – Mówiła ona o wampirzycy, która ponoć miała nawiedzać okolicę. Z tego, co słyszałem, może istnieć nawet jakiś związek pomiędzy tą opowieścią a nazwą samej góry, na której znajduje się moje schronisko.

– To tylko plotki miejscowych – odparł oschle Plichta. – Nie ma o czym gadać.

Piołun uśmiechnął się delikatnie, a uśmiech ten wcale nie spodobał się gospodarzowi. Wyglądało to tak, jakby przybysz skądś doskonale wiedział, co stary góral ujrzał w nocy i co działo się we wsi.

– Nie chcę o tym gadać – dodał mężczyzna. – Mam dzisiaj dużo roboty. Myślałem, że przyszedł pan w jakiejś konkretnej sprawie.

Jakiś cień przemknął przez twarz Piołuna, jakby nagła złość i zimny gniew, lecz znikły błyskawicznie, zamaskowane uprzejmym uśmiechem.

– Trudno – odrzekł, wstając od stołu. – Rozpytam się jeszcze gdzie indziej, przy okazji. Zresztą, to nic ważnego.

Wychodząc z domu Plichty, wiedział jedno. Góral coś podejrzewał. Piołun pomyślał, że stary nie może poznać jego tajemnicy. Gdyby tak się stało, mógłby wszystko zniweczyć.

* * *

Plebania była małym, parterowym budyneczkiem, zdawałoby się lekko przytulonym do kościoła. Porastał ją ciemnozielony bluszcz. Nieopodal Piołun

dostrzegł niewielki cmentarz. Postanowił, zgodnie z podpowiedzią Strugholda, wypytać miejscowego proboszcza o grób wampirzycy. Idąc ścieżką w kierunku plebanii, układał sobie wstępnie przebieg rozmowy. Przy odrobinie szczęścia powinno udać się czegoś dowiedzieć, jeśli tylko zjedna sobie zaufanie rozmówcy i przedstawi sprawę w odpowiednim świetle.

Zastukał mosiężną kołatką kilka razy i czekał. Z wnętrza najpierw dobiegło ciche szuranie i postękiwanie, potem zazgrzytał klucz w zamku, wreszcie w drzwiach stanął drobny, siwy staruszek. Był ubrany w sutannę. Mógł liczyć sobie dobrze ponad siedemdziesiąt lat.

– Szczęść Boże – przywitał się serdecznie Piołun.

– A szczęść Boże – odparł lekko chrypiącym głosem staruszek i podał na powitanie kruchą, drżącą dłoń, lustrując jednocześnie gościa życzliwym spojrzeniem.

– Poszukuję księdza proboszcza – wyjaśnił doktor.

– To ja, we własnej osobie – oznajmił kapłan. – Pełnię funkcję proboszcza nieprzerwanie od trzydziestu lat. Nazywam się Witczak.

Sprawiał wrażenie pogodnego gaduły i Piołun uznał, że to dobry omen. Z pewnością łatwiej będzie wydobyć od niego informację niż od milczącego górala Plichty.

– Bardzo chciałem z księdzem porozmawiać – kontynuował Piołun. – Jestem nowym opiekunem schroniska na Wilczycy, przyjechałem z Poznania. Interesują mnie historyczne ciekawostki związane z okolicą, pracuję nad książką i chciałbym jak najwięcej się dowiedzieć.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Staruszek wydawał się zadowolony z odwiedzin. – Do wieczornej mszy zostało jeszcze dużo czasu i chętnie porozmawiam.

– Świetnie. Dziękuję.

– Pamięć co prawda już nie ta, co kiedyś, ale może będę potrafił coś

powiedzieć. Powiem gosposi, żeby nastawiła wody na herbatę.

Usiedli w niewielkim, parafialnym biurze, którego ściany ozdabiały obrazy przedstawiające świętych. Ksiądz złożył ręce jak do modlitwy, zapewne po to, by ukryć ich lekkie drżenie.

– Co konkretne pana interesuje? – zapytał.

– Wszystko, co niezwykle. Ma to być książka pełna ciekawostek.

– Ach – roześmiał się staruszek. – Rzeczy niezwykle mamy tutaj pod dostatkiem. Większość z nich to oczywiście jedynie niepotwierdzone legendy, które bardzo oddziałują na wyobraźnię miejscowych, jak i przyjezdnych. Góry Sowie od dawien dawna cieszą się nie do końca dobrą sławą. Od najdawniejszych czasów odprawiano tu pogańskie obrzędy. W okolicznych zamkach na przestrzeni wieków często dochodziło do tragedii. Wierzyć lub nie, niemal z każdym z nich wiążą się jakieś opowieści o strzygach bądź upiorach. Jako katolicki kapłan nie odrzucam tych opowieści. Uważam, że możliwe jest, iż duchy mogą czasem przemawiać do nas, oczywiście za bożym dopuszczeniem, i zwracać się z prośbą o modlitwę. Najbardziej niesamowite historie wiążą się jednak z Niemcami. Z pewnością słyszał pan o kompleksie Riese i jego sekretach. Pod górami ciągną się długie tunele, które niegdyś należały do kopalni, a potem zostały przez hitlerowców połączone w zagadkowy labirynt, z którego prawdopodobnie spora część nie została jeszcze odkryta. Podobno prowadzono tam prace nad słynną „cudowną bronią”, wunderwaffe. Niektórzy mówią również, że w tunelach ukryto niebotyczne skarby. Jedna z legend wzmiankuje o złotym pociągu, który ma znajdować się w jednym z podziemnych korytarzy. Od lat cały teren przeszukiwany jest przez eksploratorów.

– Czy znajdowano jakieś skarby? – spytał doktor Piołun.

– Oczywiście. Jednak musimy zadać sobie pytanie, o jakie skarby w gruncie rzeczy chodzi. W Górach Sowich bowiem są ukryte skarby trojakiemu rodzaju.

Pierwsze z nich to skarby rodzin niemieckich. Kiedy zbliżali się Rosjanie, lokalne oddziały strzegące interesów Niemców, czyli Werwolf, toczyły z nimi regularne walki. Szybko jednak stało się oczywiste, że rodziny niemieckie, nieraz bardzo zamożne, będą musiały uciekać. Wówczas sądzono, że Trzecia Rzesza odrodzi się niebawem i ucieczka ma charakter tymczasowy. Z tego powodu często ukrywano majątki rodzinne w górach, zakopując je w lesie. Wydawało się to bardziej rozsądne niż zabieranie kosztowności ze sobą w niebezpieczną podróż. Dlatego jeszcze wiele lat po wojnie poszukiwacze skarbów znajdowali zakopane w ziemi skrzynki wypełnione kosztownościami. Istnieje jednak i drugi rodzaj skarbów.

Proboszcz przerwał na chwilę, ponieważ w drzwiach pojawiła się niska staruszka niosąca na tacy szklanki z herbatą. Piołun domyślił się, że to gospoia. Postawiła tacę na stole i odeszła równie cicho, jak się pojawiła. Kapłan myślał przez chwilę i zaczął mówić dalej:

– Ten drugi rodzaj to rzeczywiście znaczne skarby. Mówimy tutaj głównie o złocie ukrytym przez nazistów. Wielu go poszukiwało i wielu przypłaciło to życiem. Skarby te bowiem nadal są strzeżone. Zadanie jest pełnione przez tak zwanych rezydentów, w większości potomków samych Niemców. Mówi się również, że określonych miejsc po dzień dzisiejszy strzeże wywiad niemiecki. Ponoć dobrze wiedzą, gdzie ukryte są te skarby, lecz nie chcą dopuścić do ich odkrycia. To niejednokrotnie bardzo wpływowi ludzie. Niektórzy z nich zdobyli wysokie stanowiska we władzach miasta Wałbrzycha. Inni znów pełnią ważne funkcje w policji. Mogą bez problemu zablokować ewentualne próby wydobycia tych skarbów, a powiadają, że są one wielkiej wartości. Rozmawiamy tu o skrzyniach ze złotem, kosztownościach, drogich kamieniach i dziełach sztuki.

Proboszcz dodał łyżeczkę cukru do herbaty i zamieszał nią, dzwoniąc głośno. Piołun był pewien, że nie po raz pierwszy dzieli się podobnymi

rewelacjami z przyjezdnymi. Nie przerywał jednak i nie popędział staruszka, starając się utrzymać go w gadatliwym i dobrym nastroju.

– Widzę, że słucha mnie pan z uwagą – stwierdził z aprobatą proboszcz. – To doskonale. Szkoda tylko, że wiele z tych opowieści to elementy jakiejś większej układanki i nikt nie wie jakiej. Wspomniałem też o trzecim rodzaju skarbów. Są to największe tajemnice i z tego, co wiem, nie mają one nic wspólnego ze złotem. Chodzi raczej o coś w rodzaju szczególnej wiedzy lub mocy, jaką mieli zdobyć niektórzy nazistowscy eksperymentatorzy podczas swoich nieludzkich doświadczeń. Trudno mi jednak powiedzieć cokolwiek na ten temat, jako że sprawy te otoczone są aurą najwyższej tajemnicy. Ludzie niechętnie o tym mówią, a ja jestem pewnego rodzaju wyjątkiem, i chyba jedynie dlatego, że jestem już stary i mam niewiele do stracenia.

– Z tego, co ksiądz opowiada – powiedział wolno Piołun – najbardziej ciekawy wydaje się ten trzeci rodzaj skarbu.

– Tak pan uważa? – Stary proboszcz przyjrzał mu się nagle bardzo uważnie.
– A dlaczego, można wiedzieć?

– Po prostu – rzekł, ostrożnie ważąc słowa Piołun – wydaje się to ciekawsze z naukowego punktu widzenia niż opowieści o złocie. Czym jest złoto wobec korzyści płynących z wiedzy?

– Podoba mi się to, co pan powiedział – stwierdził po chwili namysłu proboszcz. – To mądre. Wiedza nieraz przynosi wiele korzyści i jest ważniejsza od złota. Jednak może być również bardzo niebezpieczna. Mówi się, że biblijny wąż zwiódł Ewę właśnie za pomocą wiedzy, a jabłko pochodziło z Drzewa Poznania. Dlatego powiem panu jedno. Trzeci rodzaj skarbów jest strzeżony znacznie pilniej, niż się panu wydaje. Ponieważ przy tych tajemnicach pociąg wypełniony złotem jest nic niewartą błahostką.

– To interesujące.

– W rzeczy samej – przyznał proboszcz. – Mówi się, że są to sekrety tak

wielkie, że strzegą ich największe mocarstwa świata, a nawet jeszcze ktoś potężniejszy. Być może spotkał się pan kiedyś ze wzmiankami na temat „rządu światowego”, ludzi sprawujących zakulisowo władzę nad tym, co dzieje się na Ziemi. To oni są pasterzami, a my trzodą. Służą im wszyscy politycy świata. Kiedy zarządzają wojnę, wybucha wojna, bo jest takie zapotrzebowanie. Kiedy zarządzają pokój, następuje pokój. To w zasadzie legenda, ale jak mówią, w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy.

– To daleko posunięte przypuszczenia – powiedział ostrożnie Piołun, wyraźnie nie chcąc zrazić do siebie proboszcza. – Ale brzmią intrygująco. Cóż to miałyby być za tajemnica?

– Tego nie wie nikt – wzruszył ramionami proboszcz – a opowieści na ten temat graniczą z szaleństwem i często wykluczają się wzajemnie. Niektórzy mówią – tu proboszcz zniżył głos do szeptu, jakby ktoś mógł go podsłuchiwać – że naziści nawiązali z kimś kontakt, że usiłowali wezwać kogoś, kto dałby im nadludzką moc i siłę. Są tacy, którzy utrzymują, że byli to przybysze z kosmosu, inni znów mówią o demonach lub jakichś „starych bogach” spoczywających do tamtej chwili w uśpieniu. Musi pan wiedzieć, że naziści, zrzeszeni w tajnych okultystycznych stowarzyszeniach, takich jak Thule czy Vrill, sięgali w swoich badaniach znacznie dalej, niż się powszechnie uważa. Interesowało ich bowiem wszystko, od badań rosyjskich dziewiętnastowiecznych magnetyzerów poczynając, poprzez poszukiwania kamienia filozoficznego i opowieści o Świętym Graalu, aż na zapomnianych kultach Babilonii i Mezopotamii kończąc. Starali się przywołać pradawne zło i niektórzy mówią, że im się to udało. Dobrze się pan czuje? Pobladł pan.

– Nie, wszystko w porządku – zaprzeczył Piołun. – Zamyśliłem się nad tym wszystkim. Przyznaję, opowieści księdza robią ogromne wrażenie. Ale przypomniałem sobie jeszcze jedną wzmiankę, na którą natknąłem się, przeglądając Internet i czytając o Górach Sowich.

– Zamieniam się w słuch.

– Mowa w nich o wampirzycy, która grasuje w tej okolicy – powiedział po chwili wahania Piołun. – Czy wiadomo coś księdzu o tej sprawie?

Stary proboszcz zawahał się wyraźnie i przełknął ślinę.

– To stara opowieść – oświadczył. – Starsza, niż można by przypuszczać. Doszły mnie słuchy, że wczorajszej nocy znów była widziana w pobliżu wsi. Nikt jednak do końca nie wie, kiedy i jak to się zaczęło. Najstarsi mieszkańcy opowiadają niewiarygodne historie na ten temat i nikt tak naprawdę nie wie, jak się sprawy mają. Hm... nie chciałbym, aby pan pomyślał, że to jakaś zbiorowa histeria albo że stary ksiądz już całkiem zszedł zmysły.

– Interesuje mnie wszystko – rzekł Piołun – co ksiądz wie na ten temat. Chcę napisać powieść, a historia wampirzycy szczególnie mnie zaintrygowała.

– Dobrze więc – zgodził się proboszcz Witczak. – Najstarsi okoliczni mieszkańcy powiadają, że w Górach Sowich żył niegdyś ród czarownic. Miały one swoje tajemne obrzędy, które odbywały się na szczycie góry. Nie ma pewności której, ponieważ niechętnie wymienia się jej nazwę. Była to niewielka i bardzo hermetyczna społeczność. Podobno znajdowali się w niej również mężczyźni, inni jednak twierdzą, że czarownice posiadały coś na kształt zdolności do dzieworódtwa, niewytłumaczalnej z naukowego punktu widzenia. Mówi się, że nie obcowały fizycznie, wie pan, co mam na myśli, ze zwykłymi mężczyznami, a nawet jeśli coś takiego miało miejsce, to przypominało raczej bluźnierczy akt, z którego nigdy nie wynikało nic dobrego. Czarownice, czy też wiedźmy, posiadały niezwykły dar, który w dzisiejszych czasach być może moglibyśmy spróbować jakoś wyjaśnić naukowo, może dzięki analizie ich genów. W każdym razie żyły znacznie dłużej niż inni ludzie, odznaczały się większą odpornością na ból, a ich ciała regenerowały się zadziwiająco szybko. Może dlatego posądzano je o wampiryzm. Część miejscowych przepadła w lasach bez wieści, a winę

przypisano czarownicom i od tamtej pory polowano na nie różnymi sposobami. W rezultacie została tylko jedna. Ona również została w końcu zamordowana, lecz powróciła zza grobu. Mówi się, że może być niezwykle groźna. Nie dalej jak tej nocy dzieci miały widzieć ją w pobliżu domu Damiękich, który stoi tuż pod lasem. Osobiście jednak podejrzewam, że mogła ponieść je wyobraźnia.

– Słyszałem – zaczął ostrożnie doktor Piołun – o legendzie, która mówi, że grób wampirzycy ma znajdować się gdzieś na okolicznym cmentarzu.

Proboszcz westchnął, jakby dźwigał na plecach naprawdę ciężkie brzemię.

– Niechętnie o tym mówię – odrzekł w końcu. – Stare plotki często przynoszą więcej szkody niż pożytku. Powiada się, że wampirzyca została schwytana i zabita, a jej ciało miało zostać pochowane w starej mogile, na cmentarzu, który każdy, kto ma nieco oleju w głowie, omija z daleka. Stało się to ponoć w roku 1943, czyli w czasie niemieckiej okupacji. Inna wersja mówi o kobiecie, która została w okrutny sposób zamordowana, a jej ciało odnaleziono w lesie. Nikt nie zdołał ustalić jej tożsamości i pochowano ją właśnie na starym cmentarzu. Ona zaś, nie zaznawszy spokoju nawet po śmierci, powróciła w jakiś sposób do życia. Niegdyś był to cmentarz parafialny, lecz ludzie zaczęli się bać tam chodzić. Nie było takiego, kto udałby się tam nocą, lecz nawet i za dnia nie można było czuć się pewnie. Działy się tam ponoć niestworzone rzeczy, o jakich usłyszeć można w opowieściach o nawiedzonych miejscach. Na grobach znajdowano ślady krwi, odciski jakby ludzką dłonią. Brama cmentarna poruszała się sama, chociaż nie wiał nawet najłżejszy wiatr. Ziemia na mogile, w której pochowano ową nieszczęsną kobietę, była nieraz naruszona, jakby ktoś lub coś wydostawało się z wnętrza grobu.

Duchowny przerwał na moment, by wziąć głębszy oddech. Następnie kontynuował:

– Znajduje się tam również niewielki dzwon, który w dawniejszych czasach zwoływał wiernych na pogrzeb. Często zdarzało się, że dzwonił, chociaż nikt nie poruszał sznurem. Przedmioty na grobach, takie jak znicze lub kwiaty, były często poprzestawiane, a nawet, jak twierdzili niektórzy, poruszały się same. Gdy zbliżał się zmrok, słychać było dziwne szelesty i jęki, choć niektórzy przypisywali te odgłosy bezpańskim kotom. Były to zdarzenia dające do myślenia, ale w tym miejscu było jeszcze coś, co, jeśli wierzyć opowieściom, trudno wyrazić słowami. Rodzaj dezorientacji, który ogarniał człowieka, kiedy tam wchodził. Ja sam, na początku swojej posługi, gdy cmentarz był jeszcze otwarty i odbywały się tam ostatnie pochówki, doświadczyłem na sobie tego szczególnego i niedającego porównać się z niczym innym stanu. Zaczynało się to już po przekroczeniu bramy cmentarza – jakiś rodzaj niepewności i skołowacenia. Nie mogłem odnaleźć brewiarza, nie wiedziałem, gdzie jest, choć miałem go w kieszeni sutanny. W dłoni trzymałem różaniec i nagle zauważyłem, że krzyżyk oderwał się i gdzieś zaginął, a ja nie mogłem go nigdzie znaleźć. Ogarniało mnie jakieś niespotykane rozdrażnienie, jakby coś deptało mi po piętach, siedziało na karku i nie pozwalało wykonać najprostszych czynności. Wszystko wydawało się w jakiś sposób inne, fotografie zmarłych jakby ożywały i spoglądały wprost na mnie. Drzewa otaczały cmentarz ciasnym kręgiem i choć wiedziałem, że to niemożliwe, miałem wrażenie, że tłoczyły się wokół, zacieśniając jakiś podstępny pierścień okrażenia.

– Pierścień okrażenia? – wyrwało się medykwowi. Po chwili chrząknął i podniósł rękę w geście, który miał oznaczać przeprosiny. – Nie chciałem księdzu przerywać.

– Nic nie szkodzi. Wiem, jak to wszystko brzmi. I wracając do tematu, wszystko wydawało się bardziej stłumione, poszarzałe – słońce, groby, drzewa, niebo. Jakby ktoś założył na to wszystko rodzaj niewidzialnego filtru.

Coś dziwnego działo się również z czasem. Odnosiłem niebywałe wrażenie, że całe otoczenie nieco zwolniło, a wszystko wokół dociera do mnie z pewnym opóźnieniem i jakby z większej odległości. Nie potrafię opisać tego inaczej. Po zakończeniu tej ponurej uroczystości nikt z wiernych nie potrafił wyjść z cmentarza. Chodziliśmy w kółko, jak otumanieni, pośród starych grobów i słyszeliśmy jedynie natarczywe brzęczenie, jakby wielkiego roju pszczół unoszącego się nad nami. Rozumie pan, wiedzieliśmy, gdzie jest wyjście, szliśmy w jego stronę, ale nie mogliśmy się wydostać. Z chwilą, gdy dochodziłem lub wydawało mi się, że dochodziłem do bramy, nagle okazywało się, że idę w złym kierunku, ponieważ brama jest z prawej lub lewej strony. Zupełnie jakbym ulegał jakiemuś dziwnemu złudzeniu. Inni ludzie też tak mieli, i jestem pewien, że gdybym wówczas nie zaczął głośno recytować słów egzorcyzmu, wszyscy byśmy zwariowali. Jedynie modlitwa sprawiła, że zły czar na chwilę prysnął i mogliśmy stamtąd w ogóle wyjść. Szaleńczo przechyliło jednak jeszcze inne zdarzenie. Z tego, co słyszałem, grupka dzieciaków z niedalekiej wioski postanowiła udać się tam nocą, dla hecy, a nawet urządzić coś na kształt seansu spirytystycznego. Trudno o większą głupotę. Wszyscy zostali znalezieni rano w stanie dziwnego szaleństwa, bełkoczący coś niezrozumiale i biegający w przerażeniu po cmentarzu. Twierdzili, że ujrzeli kobietę w bieli wychodzącą z mogiły. Przyjechała milicja, prowadzili śledztwo, w końcu niczego nie ustalili i sprawa przycichła. Niemniej jednogłośnie uznano, że cmentarz zostanie zamknięty na wieki wieków. Od tamtego czasu popadł w całkowite zapomnienie oraz ruinę.

– Rozumiem, że cmentarz znajduje się w pobliżu wioski? – chciał upewnić się Piołun.

– Tak, będzie może z kilkadziesiąt metrów za ostatnimi domami, lecz nieuczęszczana droga dawno już zarosła. Niemniej jego położenie da się zauważyć po starych dębach, porośniętych bluszczem, których liście są

ciemniejsze od innych. Jednak, oczywiście, z całego serca odradzam panu nawet myślenie o tym cmentarzu, o wizycie już nie wspominając. To prawdziwie przekłete miejsce.

– Mógłbym zrobić kilka zdjęć – mruknął Piołun. – Za dnia chyba nic mi nie grozi. To mogłaby być niezła inspiracja. Co innego słuchać, a co innego zobaczyć na własne oczy.

– Stanowczo odradzam! – zaproponował gwałtownie stary ksiądz. – To nie żarty. Rozumie pan, to nie są zwykłe opowieści o duchach, na jakie można natknąć się w książkach. To miejsce ma w sobie coś, co sprawia, że człowiekowi cierpnie skóra nawet na samą myśl o nim. Jest tam coś... świadomego... tak to przynajmniej odbieram. Coś, co może pana zobaczyć i zapamiętać, a potem powracać i już nigdy nie zostawić w spokoju. Być może jest to wampirzyca, o której się mówi, lub coś jeszcze innego. Moja opowieść w zupełności wystarczy do pana książki, a czytelnik przecież nigdy nie musi się dowiedzieć, że pan tam w rzeczywistości nie był.

Piołun uśmiechnął się i machnął ręką. Był zadowolony. Wiedział już, gdzie szukać.

– Myślę, że ma ksiądz rację. Dziękuję pięknie za wszystkie opowieści, którymi zostałem uraczony. Przyznam, że działają na wyobraźnię. Rzeczywiście, nie muszę tam chodzić. Opowieść o wampirzycy może być dodatkową ciekawostką.

Kiedy Piołun opuścił plebanię, stary proboszcz długo nie mógł znaleźć sobie miejsca. Był na siebie zły, że dał się ponieść gadulstwu. Wszystkiemu winne starcze dzieciństwo i chęć zaciekawienia przyjeźdźcy. Ogarniał go coraz większy niepokój. Co będzie, jeśli przybysz zdecyduje się pójść na ten cmentarz? Stare sprawy lepiej było pozostawić w spokoju. Lepiej nie budzić zła, które spoczywało w uśpieniu. Nie powiedział przecież całej prawdy, nie zdradził, że on również widział wampirzycę, a stary cmentarz jawił mu się

w czasie sennych koszmarów podczas długich, niespokojnych nocy, gdy wiatr niósł ze sobą zagadkowe dźwięki, podzwanianie cmentarnego dzwonu i trzaskanie metalowej bramy.

Tamto miejsce bowiem wciąż żyło i było niebezpieczne.

11.

– Jesteś gotów? – Głos Strugholda brzmiał spokojnie, ale wyczuwało się w nim nutkę zniecierpliwienia. Zimna dłoń bezlitosnego oprawcy spoczywała na ramieniu Piołuna niczym wielki, przyczajony pająk. – Nie możesz popełnić błędu. Musisz iść pod osłoną nocy. Nie możesz dać się schwytać ani zobaczyć, ludzie nie powinni niczego się domyślać.

Doktor Jan Piołun był gotów zrobić niemal wszystko, byle tylko nie zrazić do siebie Strugholda. Wiedział, że jego los i życie spoczywają w rękach niemieckiego lekarza. Człowieka, który już dawno powinien spoczywać w grobie, a jednak za sprawą nauki, bądź też diabła, żył nadal i mógł zapewnić mu to samo.

Plan działania miał już z grubsza opracowany, ale właśnie to „z grubsza” niepokoiło go najbardziej. Było za mało czasu, by obmyślić wszystko w szczegółach, lecz wystarczająco dużo, by zrozumieć ryzyko, jakiego się podejmuje. Jako chirurg wiedział, jak ważną sprawą jest metodyczne działanie. Pomijając możliwość konfrontacji z niebezpieczną nadnaturalną istotą, mógł zostać po prostu schwytany, trafić do więzienia lub – za cenę upokarzających testów psychiatrycznych – zamiast tego na przymusowe leczenie. Tam natomiast, i to było w tym wszystkim najgorsze, Strughold nie mógłby zapewne mu już pomóc. Wyczuwał, że jego obecność i moc są mu potrzebne, by trzymać chorobę z daleka, że łaska Strugholda ma swoją cenę i tą ceną jest część jego własnej duszy. Musiał przyjąć Strugholda do swojego

serca i umysłu, zaakceptować głoszone przez niego prawdy, użyzyć mu części swojego jestestwa, jak również i swojego ciała, by na zawsze pozbyć się trzymającej ich w szachu wampirzycy.

– Kiedy zginie ostatecznie – wyjaśnił Strughold – nagrodzę cię za odwagę. Będziemy razem już na zawsze. Pokażę ci życie, jakiego nie znałeś. Pokażę ci świat, o którym nie miałeś pojęcia. Będziesz bogaty, bezkarny, wiecznie żywy i niemal nieśmiertelny, nie licząc szczególnych przypadków. Lecz o tym później. Poznasz innych, takich jak my, będziesz z nimi współdziałał, a pewnego dnia znów przejmie władzę nad światem, tak jak miało to miejsce w czasach, o których nie wspomina żadna dozwolona księga.

Tymczasem Piołun usiłował skupić swe myśli na szczegółach, nie myśląc o wielkich obietnicach. Noc była porą szczególnie niebezpieczną, ponieważ wówczas, jak wyjaśnił mu niemiecki chirurg, moc wampirzycy stawała się największa. Lecz jedynie ciemność mogła zapewnić dobrą osłonę przed wścibskimi oczami i umożliwić ewentualną ucieczkę. Piołun wiedział już z grubsza, gdzie znajdować się może stary cmentarz, wypatrzył smutne, stare dęby porośnięte bluszczem, a nawet fragment czegoś, co zdawało się zwieńczeniem cmentarnej kaplicy.

* * *

Schodził po stromej ścieżce, uważnie patrząc pod nogi i starając się nie narobić hałasu. Przyświecał sobie małą latarką, którą na potrzeby tej akcji przysłonił jeszcze papierem, tak by światło nie zdradzało jego obecności.

Wyglądało na to, że jest w lesie sam, lecz absolutnie nie mógł być tego pewien. Jesienny, porywisty wiatr rozegnał chmury i na czarnym, przypominającym źrenicę oka niebie połyskiwały teraz odległe gwiazdy. Księżyc niczym zakrzywiony sierp wisiał ponad lasem, który wydawał się wyczekiwać na coś lub kogoś, kto niebawem miał nadejść.

Piołun rozglądał się niespokojnie na boki, pełen obaw i w głębi duszy przerażony tym, co przyjdzie mu niebawem uczynić. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś podąża za nim, być może nawet sam Strughold lub coś jeszcze gorszego. Parę razy przystanął, trochę dla złapania oddechu, a trochę by nasłuchiwać i upewniać się, że w pobliżu nie ma nikogo. Obawiał się zwłaszcza miejscowych, niektórzy z nich mogli mieć dobrą pamięć. Nie miał dostatecznie zręcznej wymówki, by wyjaśnić swoją obecność na szlaku o tak późnej porze. Na wszelki wypadek ułożył sobie w głowie dość naiwną i prostą historyjkę, mówiącą o niespodziewanej awarii rury wodociągowej i konieczności pożyczania odpowiedniego narzędzia od pana Plichty, zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że to opowiadanie dość mało wiarygodne.

Jednocześnie mówił sobie, że wszystkie jego obawy są lękami na wyrost. W gruncie rzeczy bowiem mógł przecież wybrać się na nocną przechadzkę, a duży plecak (Strughold nakazał mu skrócić rączkę szpadla za pomocą piły) tutaj, na górskim szlaku, nie był przecież czymś szczególnie podejrzanym.

Najważniejsze to przemknąć niezauważenie w pobliżu wsi. Następnie trzeba było przedostać się w rejon zapomnianego cmentarza, a tam ciemność i wysokie zarośla stanowiły doskonały kamuflaż.

Niebawem dostrzegł już światło samotnej lampy ulicznej i znalazł się w pobliżu pierwszych domów stojących na skraju lasu. W niektórych oknach paliły się światła, dało się dostrzec drgającą poświatę telewizora. Gdy nagle zaszczeakał pies, Piołun zatrzymał się i odczekał, aż zwierzę umilknie.

Zboczył w las, ostrożnie stawiając kroki. Obszedł ogrodzenie jednego z domów i tym sposobem dotarł bezpośrednio do asfaltowej drogi prowadzącej przez sam środek wsi. Przystanął na chwilę, nasłuchując, czy nikt się nie zbliża, a potem rażno pokonał oświetlony obszar, na powrót z ulgą kryjąc się w ciemności. Tam znów zapalił latarkę i skierował kroki w stronę, gdzie, jak ustalił, powinien znajdować się owiany złą sławą cmentarz.

W ten sposób znalazł się przed plataniną chaszczy, wybująłych wysoko i sięgających ponad jego głowę. Chodził wzdłuż tego ciemnego morza liści i cierni, aż wreszcie udało mu się dostrzec pozostałości po wybrukowanej drodze, która, jak przypuszczał, niegdyś prowadziła na stary cmentarz. Zarosła ona niemal całkowicie, gałęzie krzewów pochyliły się, tworząc coś na kształt ciemnego tunelu.

Zgiął się wpół, schylając pod kolcami jeżyn, i tak podążył dalej, a światło jego latarki wydobywało coraz to większą plataninę gałęzi. Właśnie w tym momencie odniósł niepokojące wrażenie, że gąszcz otoczył go ze wszystkich stron i porusza się delikatnie, zacieśniając swój pierścień okrążenia. Zerwał się wiatr, a Piołuna otoczyły niezliczone szmery, trzeszczenia i szelesty. Otarł jednak pot z czoła i parł przed siebie, chcąc jak najszybciej przekonać się, czy w ogóle odnalazł właściwą ścieżkę.

Nagle zamarł, zdało mu się bowiem, że słyszy odgłos roztrącanych zarośli, tak jakby nie tylko on był w tej gęstwinie. Nasłuchiwał, a serce waliło mu jak oszalałe. Pomyślał, że może to Strughold w jakiś sposób cały czas mu towarzyszy, wyobraził go sobie, jak skrada się ubrany w czarny mundur SS i obserwuje go nieustannie swoimi zimnymi, martwymi oczyma. Otrząsnął się, odsunął kilka gałęzi i wówczas zorientował się, że ścieżka nie jest aż tak zarośnięta, jak wydawało mu się wcześniej, lecz w jakiś sposób czeka na niego i wiedzie wprost na stary cmentarz. Znalazł się na niej, otoczony ze wszystkich stron wybująłymi zaroślami, które teraz poruszone wiatrem zdawały się tworzyć ruchome sklepienie otaczające go ze wszystkich stron. Spostrzegł także zarys cmentarnej bramy umocowanej na dwóch wysokich ceglanych słupach. Podążył w tamtą stronę, wiedząc, że nie ma czasu do stracenia.

Ona może pojawić się w każdej chwili – ostrzegał Strughold – a jeśli tak się stanie, będzie po tobie.

Ceglany, cmentarny mur, niegdyś strzegący tego miejsca przed nieproszonymi gośćmi, obecnie walił się w wielu miejscach, jednak agresywne kolczaste akacje przypuściły coś w rodzaju szturm na nekropolię, tworząc płataninę nie do przebycia. Jedyna rozsądna droga wiodła poprzez bramę, która była już przerdzewiała, chociaż niegdyś musiała robić spore wrażenie dokładnością detali i kunsztem wykonania. Była wysoka przeszło na dwa metry, zwieńczona szeregiem ozdobnych strzał celujących w niebo oraz ozdobiona motywami roślinnymi, pieczołowicie wykonanymi ręką zdolnego kowala.

Obecnie zamknięta była na starą kłódkę spinającą skorodowany łańcuch. Doktor złapał za nią i szarpnął kilka razy, świadom przenikliwego hałasu, jaki powstał przy okazji tej czynności. Trzymała nadal dość mocno, więc wydobył z plecaka krótki łom, włożył go w ogniwa kłódki, zakręcił i naparł z całych sił, licząc na niszczącą siłę czasu, która powinna osłabić metal.

Przeliczył się. Ani łańcuch, ani kłódka nie chciały puścić. Wreszcie zamachnął się łomem, celując w kłódkę, a następnie zastygł w bezruchu. Głos, który przemówił w jego umyśle należał do Strugholda:

Nie rób hałasu. Możesz zostać usłyszany.

Piołun skądś wiedział, że Strughold wcale nie miał na myśli mieszkańców wsi. Być może nie miał nawet na myśli samej wampirzycy. Opanowało go irracjonalne przeświadczenie, że na cmentarzu mieszczącym się za bramą panuje jakaś jedyna w swoim rodzaju, szczególna atmosfera nasłuchiwania i czujności. Owładnęło nim poczucie, że to miejsce w pewien sposób żyje i wyczuwa jego nieproszoną obecność, że szuka go, choć na razie niejako leniwie i po omacku. W myślach zabrzmiały mu ostrzegawcze słowa proboszcza. „To miejsce ma w sobie coś prawdziwie tajemniczego. Coś, co sprawia, że człowiekowi cierpię skóra na samą myśl o nim”.

Ruszaj. Spróbuj sforsować ogrodzenie górą. Ona nadchodzi.

Sam nie wiedział, skąd biorą się te ponagłające go myśli. Być może stał za nimi Strughold. A być może ktoś inny. Przerzucił plecak przez bramę, wsparł stopę na ozdobnym żeliwnym liściu, z niepokojem myśląc o kruchości starego metalu. Z trudem przełożył nogę ponad ostrymi grotami strzał. Gdyby teraz się osunął, strzały przebiłyby jego wnętrzości.

Udało mu się jednak przełożyć i drugą nogę. Zeskoczył na ziemię z cichym łupnięciem, lądując obok spoczywającego na ziemi plecaka z narzędziami. Poświecił latarką, a to, co zobaczył, napełniło jego serce lękiem. Wokoło znajdowały się stare, zapomniane i smutne groby. Na niektórych z nich dawało się dostrzec czarno-białe, wyblakłe od deszczy fotografie zmarłych. Ich twarze zdawały się wpatrywać w doktora z wyrazem wrogości. Usłyszał jakiś szelest, jakby coś ukradkiem przemieszczało się pomiędzy nagrobkami. Skierował w tamtą stronę światło latarki, jednak niczego nie zauważył. Najbardziej ponure i przygnębiające wrażenie wywierała jednak sama kaplica. Była niewielka, lecz wysoka i strzelista, zakończona małą wieżyczką, na szczycie której znajdował się dzwon. To on niegdyś zwoływał żałobników, by towarzyszyli zmarłemu w ostatniej drodze.

Doktor Piołun wielokrotnie był świadkiem stwierdzenia zgonu. Wszystko to jednak działo się zazwyczaj w jasno oświetlonym szpitalu, w którym natura nie miała nic do powiedzenia. Tutaj jednak, dzięki jakiemuś pierwotnemu instynktowi, którego istnienia nawet u siebie nie przeczuwał, odbierał napływające zewsząd fale strachu i grozy. Skądś wiedział, że znalazł się na terytorium obcego boga, który za nic ma siłę medycyny, potęgę nauki i zdrowy rozsądek.

Doktor w jakimś nagłym, niemal zwierzęcym przebłysku pojął, że stary cmentarz jest niczym wielka istota, przyczajona i niebezpieczna, i że korzenie starych drzew wypijają soki z trumien, w których rozkładają się ciała zmarłych, a wytwarzane przez rośliny powietrze nosi w sobie te same atomy,

z których niegdyś składały się ciała. Piołun opadł na moment na kolana, tknięty straszną wizją, w której cmentarz nieustannie porusza się, pełza i wije.

Groby zdawały się obracać wokół niego jakby w powolnym tańcu. Wiedział, że to wyobraźnia płata mu figle. Musiał się opanować, uspokoić...

Kiedy podniósł się z klęczek, dzwon umieszczony na szczycie kaplicy zabrzmiał kilkukrotnie, a odgłos jego ponurych uderzeń rozszedł się po okolicy.

Teraz albo nigdy – pomyślał Piołun.

* * *

Głuchy odgłos cmentarnego dzwonu niesiony przez wiatr dotarł aż do sypialni, w której leżał Plichta. Wpatrywał się w szalejący na ścianie teatr cieni rzucanych przez rosnące za oknem drzewo. W końcu i cienie nagle znikły. Obok niego spała żona. Słyszał jej cichy, miarowy oddech przypominający mu morze łagodnie głaszczące plażę.

Dzwon długo milczał – pomyślał. Czuł, jak wzbiera w nim niepokój. Na co dzień twardy góral, człowiek ciężkiej pracy, teraz walczył z własną wyobraźnią. Błędem byłoby bowiem sądzić, że prości ludzie jej nie posiadają. Tamto miejsce przypomina cholerną radiolatarnię – dumął. Tylko że odbiornikiem jest twoja głowa. Nie zdradziłby się z tymi przemyśleniami z nikim, bo dobrze wiedział, że wszyscy, którzy go znają, z żoną włącznie, pomyśleliby, że na stare lata doszczętnie sfiksował.

Tylko gdzie ta radiolatarnia się znajdowała? Być może na starym cmentarzu. Być może w tym przeklętym schronisku. A może nadajników jest więcej. Sygnał odbierają tylko niektórzy. Ci, którzy są na odpowiedniej częstotliwości fali i akurat nie śpią.

Wstał najciszej, jak potrafił. Jak to się dzieje – zastanawiał się – że zawsze, gdy słyhać bicie dzwonu, w jego myślach pojawiają się zagadkowe obrazy.

Jak to jest, że w określonych porach roku jest ich więcej, a w innych mniej. Czemu wreszcie, gdy słyhać dźwięk dzwonu, przed oczyma staje mu ten obraz z koszmarnego snu: żałobny kondukt w zimie idący na stary, zapomniany przez boga i ludzi cmentarz? Czemu wówczas widzi trumnę umieszczaną w głębi mogiły i przyciśnięty wiekiem zakrwawiony skrawek jasnego materiału?

Jego wewnętrzny niepokój sięgał zenitu, a przeczucie bliżej nieokreślonej, nadchodzącej nieuchronnie tragedii przenikało go do głębi.

Przymknął cicho drzwi od sypialni i poszedł do kuchni. Napełnił kieliszek wódką i wychylił go jednym haustem. Gdyby teraz obudziła się żona, natarłaby mu uszu, że popija po nocy. Póki co jednak żona spała, a on był w kuchni sam. Obiecał sobie, że nikt nie pozna jego myśli. Ale to go nie pocieszyło. Musiał przyznać, że nagłe odmłodzenie właściciela schroniska było zjawiskiem w najwyższym stopniu zastanawiającym.

Chłop odmłodził dobre dwadzieścia lat – myślał. Do tego wampirzyca przebudziła się i wyglądało na to, że jest o wiele bardziej aktywna niż wcześniej. Ponoć widziały ją dzieciaki od Damięckich. Widział i on, jak sunęła skrajem lasu... Cokolwiek się tu działo, mogło mieć związek z nowym opiekunem i schroniskiem na Wilczycy, które każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie, omijał z daleka.

Z zamyślenia wyrwał go gwałtowny podmuch wiatru uderzający o szybę. Elektryczne światło na moment przygasło, do tego stopnia, że przez chwilę w żarówce widać było jedynie żarzący się wolframowy drucik. Do uszu Plichty znów doleciał odgłos małego cmentarnego dzwonu. Zdarzały się wyjątkowo wietrzne noce, podczas których dzwon milczał, czasem jednak potrafił odezwać się, gdy powietrze stało zupełnie nieruchome. Plichta nie miał najmniejszej ochoty zastanawiać się, czemu tak się dzieje.

Nagle posłyszał jakiś suchy trzask na zewnątrz, jakby z podwórza. Możliwe, że wichura złamała gałąź lub nawet całe drzewo. Nadstawił uszu, ale

w porywach wichru ciężko było coś usłyszeć. Wcale nie miał ochoty wychodzić z domu, ale latarka jakoś sama się znalazła, podobnie kurtka, którą narzucił na siebie, i otworzył drzwi.

Podobnej zamieci się nie spodziewał. W powietrzu wirowały suche, obumarłe liście, przywodząc na myśl oszalałe wróble lub wielkie owady. Dookoła świszczalo i dudniło. Aż dziw, że jeszcze nie lało.

Świecił latarką wokoło, słaniając się pod naporem wichury. Gdzieś rozległ się metaliczny łoskot niesionej wiatrem blachy, coś spadło z wysokości i rozbiło się na ziemi z hukiem, zapewne gliniana donica. Dostrzegł wreszcie złamaną gałąź, leżącą tuż przy ogrodzeniu biegnącym wokół jego posesji. To zapewne ona była źródłem tego trzasku, który wywabił go z domu. Wtem usłyszał odległe wycie, które trudno było pomylić z czymkolwiek innym.

To musiała być ona, złakniona krwi i niespokojna. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Ostatnio podeszła pod wieś, ale coś mówiło mu, że tym razem może zbliżyć się jeszcze bardziej. Pośpiesznie wrócił do domu i starannie zamknął drzwi, przekręcając dwukrotnie zamek. Ruszył w stronę szafki na narzędzia, w której znalazł siekierę. Nie za dużą, lecz też i nie za małą – jednym słowem poręczną. Uzbrojony wrócił do sypialni. Stał przez chwilę nad łóżkiem, w którym leżała jego żona, zdumiony, że nadal tak spokojnie śpi. Pomyślał, że nigdy nie pozwoliłby, aby stała się jej krzywda. Wsunął narzędzie pod łóżko i położył się na wznak, solennie obiecując sobie czuwać do białego rana.

* * *

Piołun w pierwszej chwili przyjął nagłe załamanie pogody za dobrą monetę. Podmuch lodowatego wiatru znad gór otrzeźwił go, wyrwał z chwilowej maligny i w pewien sposób rozpedził złowrogi czar starego cmentarza. Wszystko wróciło na swoje miejsca, a dziwne, przypominające szepty szelesty

utoneły w porywach nadciągającej burzy.

Miał jednocześnie odczucie, że burza nie pojawiła się tu przypadkowo, lecz została w jakiś sposób wywołana jego wtargnięciem na ten zakazany, ukryty i skażony złem obszar. Piołun gorączkowo przemieszczał się po cmentarzu, poszukując samotnej mogiły pod murem. Jako że nekropolia nie była duża, dość szybko ją odnalazł. I wiedział, że znalazł odpowiednią. Biła od niej jakaś zimna groza, przenikająca aż do umysłu doktora; brak krzyża również dawał do myślenia.

W momencie, gdy niebo przeciął pierwszy rozwścieczony piorun, lekarz wy dobył z plecaka skrócony szpadel i wbił go z rozmachem w mogiłę. Ostrze narzędzia weszło gładko niczym skalpel chirurga w ciało. Piołun pracował z całą siłą, na jaką było go stać. Miał w pamięci ostrzeżenia Strugholda, mówiące, że wampirzyca pilnuje swojego grobu i będzie starała się mu przeszkodzić.

Myślał o nowym życiu, które obiecał mu Strughold. Na chwilę przeszło mu również przez myśl, że Strughold go wystawił. Mógł przecież równie dobrze sam tutaj przyjść, prawda? A może wcale nie?

Mogiła była zaskakująco płytka, jakby zasypana w pośpiechu, a ziemia dziwnie miękka. Piołun złożył to jednak na karb padających ostatnimi czasy ulewnych deszczy. Mimo to straszliwie bolały go ścięgna, a mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Wreszcie ostrze szpadla uderzyło głucho o wieko drewnianej trumny. Odgarnął ziemię, odsłaniając proste deski. A zatem to tu ją pochowano. Wprostował się na chwilę, a zimny pot spływał mu z czoła. Ustawił latarkę tak, by jak najlepiej oświetlała drewniane wieko i do głowy przyszło mu absurdalne skojarzenie z pacjentem leżącym na operacyjnym stole. Błyskawica przepołowiła niebo i zaraz potem rozległ się głośny łoskot gromu; burza znajdowała się tuż nad samym cmentarzem.

Zawahał się przez chwilę, w tym momencie posłyszał jednak coś jakby

odległe wycie i włos zjeżył mu się na karku. Pośpiesznie wszedł do wykopu. Drżącymi rękami wydobył stalowy łom i wbił jego końcówkę pod drewniane wieko. Napierał całym swoim ciężarem, widząc, jak stalowe gwoździe wychodzą powoli z drewna. Jeszcze chwila, a pozna całą tajemnicę. Wieko odskoczyło z łoskotem, Piołun podniósł je, wstrzymując oddech.

W trumnie spoczywał ludzki szkielet, spowity w pokryty pyłem i mchem biały materiał. Musiała to być jakaś prosta suknia, w której pochowano kobietę. Ciało uległo już całkowitemu rozkładowi i widać było kości klatki piersiowej. Piołun złapał za latarkę i oświetlił szkielet. Nie było wątpliwości – żebra znajdujące się w pobliżu jamy brzusznej nosiły ślady cięcia ostrym narzędziem. Wiedział, jak twarda jest kość i jak niełatwo jest pozostawić podobny ślad, chyba że ktoś posługiwał się narzędziem o dużej ostrości. Takim jak skalpel. Niepodobna było jednak wyobrazić sobie chirurga, który dopuściłby się takich niesłużących niczemu cięć.

Doktor nie miał jednak za wiele czasu na namysł. Wyciągnął pośpiesznie z plecaka narzędzia, które kazał przygotować mu Strughold – piłę chirurgiczną, młotek i wielki stalowy gwóźdź.

Weź piłę i odetnij głowę. Następnie przebij ją gwoździem. Odwróć głowę tyłem i przygnieć jakimś kamieniem. W ten sposób sprawisz, że nie będzie mogła już więcej się ukazywać.

Przyłożył gwóźdź do czaszki i uniósł w górę młotek. Słyszał, jak opętańczo trzaska stara brama, a na wieżyczce bije dzwon. Zimny wiatr hulał po zapomnianym cmentarzu, piorun uderzył nagle tak blisko, że doktor aż się wzdrygnął. W nagłym błysku światła ujrzał ją, jak zbliża się ścieżką pośród pochylonych nagrobków. Być może było to jedynie dziełem jego rozdygotanej wyobraźni, lecz odniósł wrażenie, że nie jest sama. Zewsząd wyłaniały się kształty i cienie, otaczając go ze wszystkich stron i odcinając odwrót.

Umarli przebudzili się i zagrodzili mu drogę. Nie widział ich dokładnie,

lecz dostrzegał zarysy dziwnych ruchomych cieni i wyczuwał ich obecność. Wiedział, że dopadną go, zanim zdoła przedrzeć się przez stary cmentarz, zanim dotrze do ogrodzenia, a nawet jeśli mu się to uda, to wysokie zarośla uwiężą go w swojej zdradzieckiej płataninie. Będzie mógł tylko szarpać się i krzyczeć, czekając, aż przyjdą po niego.

Dzwon uderzał teraz szaleńczo, jakby odliczał ostatnie sekundy jego życia. Błyskawice odsłaniały przed jego wzrokiem rzeczy, od których jeżyły się na głowie włosy. To miejsce w jakiś sposób usiłowało przejąć nad nim kontrolę, usidlić go, zdobywając również władzę nad jego umysłem i pobudzając wyobraźnię do wizji, które mogłyby pojawić się jedynie w snach szaleńca zamkniętego w zakładzie dla obłąkanych. W żaden sposób nie można opisać tego, co doktor Piołun ujrzał w tych kilkunastu nagłych przebłyskach światła, jest jednak pewne, że wykraczało to absolutnie poza jakiegokolwiek znane prawa fizyki i logiki. Były to niejako niepowiązane ze sobą nakładające się obrazy pełzających konduktów pogrzebowych, otwartych trumien, martwych ludzi oraz napierającego zewsząd tłumu mrocznych postaci pełnych nienawiści. Piołun wiedział, że w jakiś sposób służą one wampirzycy, a on, jeśli zatrzyma się choćby na sekundę, zostanie uwięziony na tym cmentarzu już na zawsze.

Nie ujdę stąd z życiem – pomyślał medyk i szaleńcza panika na moment sparaliżowała jego mięśnie. Otrząsnął się jednak. Było zbyt mało czasu na odcinanie głowy, porwał tylko za młotek i przebił czaszkę gwoździem.

Poczucie zagrożenia wstrzyknęło w jego krew potężną dawkę adrenaliny. Postanowił do ostatka zawalczyć o to, co miał najcenniejsze – o swoje życie i duszę. Zerwał się na równe nogi i dobiegł do kaplicy. Runął z rozpostartymi ramionami na drewniane drzwi i uświadamiając sobie ze zgrozą, że są zamknięte, z całą siłą uderzył w nie kilkukrotnie ramieniem. Jedno z wysokich, gotyckich skrzydeł otwarło się z hukiem i lekarz wpadł do wnętrza,

zatrząskując je za sobą pośpiesznie.

Przez moment trzymał drzwi rozpaczliwie od środka, choć na razie nie wyczuwał z zewnątrz żadnego nacisku. Nagle wszystko zaczęło cichnąć, oddalać się. Nie minęło pięć minut, gdy za oknami kaplicy zapanował spokój. Burza oddalała się, wichura znacząco osłabła. Piołun osunął się na zimną podłogę i siedział wsparty plecami o wrota.

* * *

Wraz z nastaniem bladego świtu odważył się lekko uchylić drzwi kaplicy, aby przekonać się, że niebezpieczeństwo przeminęło. Cmentarz był opustoszały, a pomiędzy nagrobkami nisko nad ziemią snuła się poranna mgła. Niebo było zasnutę szczelną pokrywą szarych chmur. Nie dostrzegł jednak niczego niepokojącego. Ostrożnie opuścił swoje schronienie. Postanowił pobieżnie chociaż zatrzeć ślady swojej nocnej pracy. Nie sądził, aby ktoś z mieszkańców mógł go obserwować, lecz mimo to rozglądał się wokół siebie z niepokojem. Odnalazł łopatę i pozbierał porzucone narzędzia. Stwierdzając ze zdumieniem, że jego mięśnie są nadal w pełni sprawne, w ciągu kilkunastu minut zdołał ukryć szkielet w trumnie, umieścić ją na powrót w mogile i przysypać wszystko mokrą ziemią. Biorąc pod uwagę, że właściwie nikt nie zapuszcza się w to miejsce – pomyślał – upłynie sporo czasu, nim ktokolwiek dowie się o jego nocnej wizycie. Obfite deszcze, a później śniegi, również powinny zatrzeć resztę śladów. Doktor, zręcznie klucząc między zaroślami i unikając dróg, niezauważenie powrócił do schroniska na Wilczycy. Wiedział, że Strughold będzie zadowolony.

Świt zaglądał również do mieszkania położonego na Osiedlu Ułańskim w Poznaniu. Ulicą za oknem zaczynały przemykać coraz liczniejsze samochody. Miasto budziło się do życia z nocnego letargu. Żona Piołuna, Matylda, krzątała się po kuchni, przygotowując śniadanie. W drzwiach stanęła Maja ubrana w piżamę. Wydawała się nieporadna i krucha. Włosy opadały w nieładzie na jej bladą twarz.

– Mamo – oznajmiła. – Znowu miałam zły sen. Z tatą w roli głównej...

Zajęta przyrządzaniem śniadania Matylda odwróciła się w stronę córki. Trzynastolatka podejrzewała, że zaraz zacznie się festiwal narzekania lub że matka, jak to często bywało, wybuchnie bezsilnym gniewem. Tym razem na jej twarzy pojawiły się jednak niepokój i troska.

– Opowiedz, co ci się śniło – poprosiła córkę.

Maja zaczęła opisywać swój sen, na początku dość niechętnie, lecz później z coraz większą odwagą zagłębiając się w szczegóły. Wraz z kolejnymi słowami twarz matki stawała się coraz bardziej blada. Sen Mai w zaskakująco dużym stopniu pokrywał się z jej własnym. Występowały w nich dokładnie te same elementy. Góra pośród bezkresnych lasów, odległa, niedostępna i groźna. Smutne ptaki krążące ponad kopcem z kamieni na tle szarego nieba. Dziwna kobieta, przerażająca i wyglądająca jak zjawa, snująca się pośród drzew w wiekowym lesie. Wreszcie cmentarz i Janek przemykający pośród nagrobków. To było za wiele dziwnych zbiegów okoliczności. Nie oglądały razem żadnego filmu, z którego ich wyobraźnia mogłaby utkać te same senne obrazy, nie czytały razem żadnej podobnej książki, w wiadomościach wreszcie, przynajmniej ostatnimi czasy, nie pojawiały się wzmianki, które mogły taki niepokojący sen zainspirować.

Matylda była osobą trzeźwo myślącą i mocno stąpającą po ziemi. Nie wierzyła w telepatię i jasnowidzenie. Sny traktowała zazwyczaj tak, jak na to w jej opinii zasługiwały, to znaczy jako majaki umysłu, przypadkowe obrazy

sklecone z codziennych spraw oraz niecodziennych zdarzeń, o jakich można było dowiedzieć się z prasy, telewizji czy Internetu. A jednak w tym szczególnym momencie przeszył ją zimny dreszcz.

Mimo to starała się uspokoić córkę i właśnie wtedy, gdy siadały wspólnie do stołu, nasza ją nagła myśl, że może jednak nie wszystko jest winą Janka. Była to zaskakująca refleksja, którą przyjęła początkowo z wewnętrznym oporem. Wcześniej winiła go za wszystko, ale teraz zaczęło docierać do niej, że potrzebowała tej złości, tego gniewu, by uporać się z własnym strachem przed przyszłością.

Widząc niewyspaną, bladą i niejako skurczoną z lęku twarz Mai, po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślała o swoim mężu jako o kimś, kto w gruncie rzeczy jest ofiarą zdarzeń, a nie ich przyczyną. Przeszło jej przez myśl, że ten mężczyzna się boi i że to strach przed chorobą i śmiercią sprawił, iż utracił kontrolę nad swoim życiem. Wszystko zaczęło się właśnie od tamtego momentu, od chwili, w której badania potwierdziły, że jego czas jest policzony. Czy nie wiedzieli o tym już wcześniej? Oczywiście, że tak. Jednak znać suche fakty to nie to samo, co wierzyć, a już na pewno nie to samo, co przyjąć coś do wiadomości. Można wiedzieć, że się umrze, ale absolutnie w to nie wierzyć, tak jak robi to każdy z nas. Wyniki badań pokazały, że choroba nie jest tylko medycznym terminem, zlepkiem słów wypisanym na papierze, ale że jest czymś bardziej prawdziwym i realnym niż wszystko inne, bardziej nawet niż kredyt w banku czy kariera w szpitalu.

Przyznaj się – pomyślała wówczas – przed samą sobą, nigdy nie wierzyłaś, że on mógłby umrzeć. Nigdy nie brałaś tego na serio. Widzisz, to jest tak samo jak z wieloma innymi sprawami. Możesz napisać słowo „śmierć” tysiąc razy na kartce papieru i nie przybliży cię to w żaden sposób do zrozumienia, czym ona rzeczywiście jest. Śmierć bliskiej osoby zawsze będzie tylko abstrakcyjnym słowem. To chyba właśnie znaczy kochać – nie wierzyć

w czyjąś śmierć.

– Mamo? – zapytała ostrożnie Maja. – O czym myślisz?

– O niczym – odparła matka i posmarowała kromkę chleba masłem.

W dwie godziny później do drzwi zapukał listonosz. Przyniósł pismo z urzędu gminy, zwykłą informację o wysokości wynagrodzenia, adresowaną do Jana Piołuna. Czas wreszcie coś z tym zrobić – pomyślała Matylda i po krótkiej chwili wahania rozdarła kopertę. Było w niej to, co chciała znaleźć, adres schroniska na Wilczycy, miejsca nowej pracy jej męża. Musiał chcieć, przynajmniej podświadomie, abyśmy go odszukały – pomyślała. W przeciwnym razie zrobiłby wszystko znacznie sprytniej. Znała go wystarczająco dobrze, by się tego domyślić.

Ich wzajemny związek pełen był wzlotów i upadków. Oboje byli jednak wystarczająco uparci, by zawalczyć o miłość, i jak do tej pory to wystarczyło. Matylda kochała swojego męża, nawet jeśli przez pewien czas budził w niej gwałtowną złość.

Może więc nie wszystko jest jeszcze stracone, może uda się uratować ten związek. Maja potrzebuje ojca. Medycyna robi postępy z roku na rok. Jest wiele przypadków, gdy kogoś stojącego już niemal nad grobem udaje się uratować. Istnieją przecież terapie eksperymentalne. To prawda, że Janek narobił długów, ale przecież mogą znaleźć się ludzie chcący pomóc. To wszystko jest jeszcze do naprawienia, byleby udało się znaleźć lekarstwo. Potem mogliby być znów razem, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla dziecka.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Mai.

– W tym śnie – oznajmiła – była jeszcze jedna rzecz, o której ci nie powiedziałam. Znów był ten pan w mundurze.

Matylda z niewiadomego powodu poczuła się nieswojo, jakby ktoś wsypał jej garść lodu za kołnierz lub wykopał dla niej grób. Postarała się nadać

jednak swojemu głosowi zupełnie naturalne brzmienie. Ona również śniła o tej postaci, która przerażała ją z jakiegoś powodu do szpiku kości.

– Co robił? Mówił coś? – zapytała, siląc się na obojętny ton.

– Tak – przytaknęła Maja. – Uśmiechał się i powiedział, że tatuś i my koniecznie powinniśmy się spotkać i pogodzić. Powiedział, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

* * *

Gdy Piołun zjawił się w schronisku, zorientował się, że jego ciało i umysł ulegają coraz to głębszej i zdumiewającej przemianie, w której jednak było coś niesłychanie ekscytującego. Powinien być potwornie zmęczony, lecz wcale nie był. Pomyśl, że maczał w tym palce Strughold, wydał mu się całkiem prawdopodobny. Niemcy w czasie wojny dysponowali już amfetaminą i jej pochodnymi. Będąc lekarzem, wiedział jednak, że tego typu substancje działają dość krótko, powodując później podwójne znużenie i osłabienie organizmu. Nic takiego jednak nie następowało. Miał wrażenie, że przespał dobrze noc, w mięśniach nie czuł zmęczenia, najważniejsza jednak przemiana dotyczyła jego umysłu – czuł, że jest odporniejszy psychicznie, zupełnie jakby przerażające chwile spędzone na cmentarzu nie osłabiły go, a wręcz przeciwnie – wzmocniły. Emocje, jeśli mu towarzyszyły, znajdowały się gdzieś zupełnie na peryferiach świadomości, a on sam obserwował je jak gdyby z oddali i niemalże z pewną dozą rozbawienia. Zupełnie jakby środek ciężkości jego osobowości uległ jakiemuś dziwnemu przesunięciu, a on sam nie był już tą osobą, co wcześniej. Teraz czuł się obojętny, silny i wolny, tak jak czuje się osiemnastolatek, kiedy wszystko jest jeszcze możliwe.

Był to stan, w którym człowiek przestaje liczyć się z tym, z czym liczyć się powinien, w którym pętające ludzką duszę emocje zaczynają słabnąć, w którym znika lęk przed jakąkolwiek odpowiedzialnością i przekraczaniem

moralnych granic. Był to jak gdyby powrót do raj, w którym znów nie ma dobra i zła, a przed człowiekiem roztaczają się nieskończone perspektywy, o których wcześniej nie ważył się nawet rozmyślać.

Zamiast iść spać, poszedł do łazienki i wziął gorący prysznic, oglądając z uwagą swoje ciało. Nie było widać na nim najmniejszych śladów otarć czy skaleczeń. Nigdzie nie mógł znaleźć nawet małego siniaka, a przecież powinno ich być mnóstwo. Postanowił zapytać o to Strugholda, gdy tylko ten się pojawi, i w tym momencie ogarnął go nagle paniczny strach, że Strughold mógłby zabrać ten cenny dar, którym go obdarzył. Chwilę potem nadeszła kolejna fala lęku, że wszystko to jest jedynie rodzajem snu lub złudzenia, a on mógłby się z niego przebudzić i znów być tym, kim był wcześniej – pełnym lęku i słabości chorym człowiekiem. Na tę myśl wstrząsał nim dreszcz trwogi.

Nagle ujrzał, że światło dnia bijące od strony niewielkiego okienka ulega ledwo dostrzegalnej przemianie, przygasa i szarzeje. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, niebo mogły zakryć ciemniejsze chmury, a jednak kumulujący się w kątach łazienki mrok zdawał się czymś w rodzaju sygnału, znaku, za którym stał Strughold. On mnie woła, wie już wszystko. Ponieważ w pewnym sensie jesteśmy już ze sobą połączeni rodzajem szczególnej więzi – rozmyślał Jan Piołun.

Wytarł się pośpiesznie, ubrał i zszedł do piwnicy. Domyślał się, że Strughold nie lubi światła i ma mu coś ważnego do przekazania. Zszedł po wąskich, betonowych stopniach do spizarni i zbliżył się do ziejącego czernią otworu w ścianie.

– Zgaś światło – usłyszał nagle suchy, pylisty szept dobiegający z kryjówki Strugholda.

Wykonał polecenie i w spizarni zapadła ciemność. Zaskakująco szybko jednak zaczął dostrzegać szczegóły. Ujrzał półki z narzędziami, bez większego trudu rozróżniał przedmioty.

Strughold zachichotał w sposób, od którego cierpła skóra.

– Stajemy się coraz bardziej do siebie podobni – stwierdził z pewną nutą satysfakcji. – Ciemność będzie również twoim sprzymierzeńcem. To jedna z dobrych cech Przemiany. W czasie naszych doświadczeń przeprowadzaliśmy wiele eksperymentów, które w tak zwanych „normalnych warunkach” byłyby uznane za szaleństwo, tabu lub zbrodnię. Udało nam się sprawić, by ludzie posiadli niektóre z cech zwierząt, by przypomnieli je sobie niejako, ponieważ w toku ewolucji każdy z nas kiedyś je posiadał. Zręczność jest cechą małp, koty świetnie widzą w ciemnościach, podobnie jak małpy. Ciało owadów odznaczają się niezwykłą wprost twardością, oczywiście proporcjonalnie do ich masy i rozmiarów, a także odpornością na promieniowanie radioaktywne. Niektóre organizmy, błędnie uważane za prymitywne, udoskonaliły zdolność reprodukcji komórek i samonaprawy. Tak naprawdę w naszych doświadczeniach nie odkryliśmy niczego nowego... sięgnęliśmy tylko do skarbcza natury, rzecz można, że wtargnęliśmy do niego znacznie dalej i gwałtowniej niż inni.

– Ja... zrobiłem to. Wykonałem zadanie – wyszeptał Piołun.

– Znakomicie. – W głosie Strugholda zabrzmiało zadowolenie. – Lecz nadal jesteś za słaby. Nadal obaj jesteście za słabi. Potrzebujemy więcej mocy płynącej od Tego, Który Przemawia Ustami Zmarłych.

– Kim on jest? – zapytał Piołun.

– Ciszej... – ostrzegł go Strughold. – On może nas słyszeć. Wypowiadanie Jego imienia to ostateczność. Był znany już w czasach Sodomy i Gomory, a nawet jeszcze na długo wcześniej, w tych mrocznych dniach, o których niewiele wiadomo, a wszelkie wzmianki o nich są utrzymywane w najwyższej tajemnicy, gdyż kryją one sekret pochodzenia rodzaju ludzkiego. Sami nigdy nie wiedzielibyśmy, z kim mamy do czynienia, gdyby Pius XII nie wpuścił przedstawicieli Ahnenerbe do tajnych watykańskich archiwów. Odnaleźliśmy

tam jedyne zachowane, przyprawiające o zawrót głowy starożytne pisma i z ich użyciem staraliśmy się zgłębić najmroczniejsze tajemnice natury. O Jego istnieniu wiedzieli Wielcy Mistrzowie, tacy jak Eliphas Levi czy Aleister Crowley. Ten ostatni zresztą postradał zmysły, gdy poczuł na sobie Jego spojrzenie. Jednak, jak już ci wspominałem, pewnej nocy, podczas jednej z wiwisekcji, On sam przemówił do mnie, przybył osobiście z tego dziwnego świata, który znajduje się niedaleko naszego, lecz wszystko w nim jest zupełnie inne. Tylko On może nam pomóc, dać nieograniczoną moc.

– To brzmi jak szaleństwo – stwierdził cichym głosem doktor. – Wykracza poza wszelką zdolność ludzkiego rozumowania.

– Och, nie tak bardzo, jak ci się wydaje – odparł Strughold. Od strony dziury rozległo się szuranie i Piołun poczuł delikatny zapach rozkładającego się ciała. Ciała człowieka, który zmarł daleko stąd, w Stanach Zjednoczonych, a jednak jakimś sposobem, mocą zaklęcia lub paktu znajdował się teraz na powrót w tym samym miejscu, w którym dokonywał swoich eksperymentów. – Są to sprawy w gruncie rzeczy dość zrozumiałe – kontynuował Strughold. – Każdy z nas dysponuje pięcioma zmysłami. Nie możemy wiedzieć niczego, czego zmysły wcześniej nie doświadczą. Istnieje zasłona, której nasze zmysły i rozum nie potrafią w normalnych warunkach przeniknąć. Za nią kryją się inne światy, niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Wiemy o nich bardzo mało, a to, co wiemy, często nie sposób wyrazić w słowach. Nie jest to również z pewnością wiedza przeznaczona dla ogółu. Ci, którzy posiadali w tej kwestii jakieś informacje, zwykle zachowywali je dla siebie, lub przekazywali w wąskim gronie uczniów, tak jak czynił to Pitagoras, Platon czy Giordano Bruno. W każdym razie istnieje tam wiele swego rodzaju pięt, wiele różnych przestrzeni, a on przyszedł właśnie stamtąd, być może nie pierwszy raz, zwabiony tym, co robiliśmy, tak jak głodny drapieżnik nadchodzi znęcony zapachem krwi, o czym wie każdy myśliwy. A my byliśmy właśnie myśliwymi.

– Co zatem trzeba zrobić? – spytał Piołun.

– To samo, co robiliśmy wtedy. Tylko tak możemy sprawić, że ten, którego imienia nie mam odwagi wypowiadać, powróci znów i da nam siłę. Obejrzyj broń, która znajduje się w skrytce. Pomyśl, jaki możesz zrobić z niej użytek. Musi zginąć jak najwięcej ludzi. Muszą cierpieć. To Go przywoła.

* * *

Z nastaniem wieczoru Matylda i jej córka Maja były gotowe do drogi. W podróż wyruszyły małym nissanem, który był własnością ojca Matyldy i dlatego komornik sądowy trzymał się od niego z daleka, przynajmniej do tej pory. Jechały w kierunku skrytych w ciemności Gór Sowich. Zaczynał deszcz i wycieraczki pracowały pełną parą. Matylda całą swoją uwagę skupiała na drodze, która nagle stała się bardzo zdradziecka. Kilka razy minął je ogromny, rozpędzony samochód ciężarowy, wstrząsając niewielkim nissanem samą siłą podmuchu i zalewając przednią szybę strugami wody.

Mijały pogrążone w ciemności rozległe pola, po których hulał zimny wiatr. Gdzieś na horyzoncie lśniły światełka odległych wiosek przypominające ogniki dalekich gwiazd. Tu i ówdzie przy szosie, jakby pogrążone w smutku, stały czarne, smukłe i bezlistne drzewa.

Matylda, mając na względzie córkę, której bladą i smutną twarz widziała w lusterku, usiłowała udawać, że wszystko jest w porządku.

– Pojedziemy po tatę i wytłumaczymy mu, że wszystko da się naprawić – zapewniła ją.

– Mamo, wiesz jak tam jechać?

– Mamy ustawiony GPS. Pokaże nam lokalizację Wilczycy.

Przez resztę podróży milczały.

* * *

Gdy znalazły się w Przygórzu, nawigacja odmówiła posłuszeństwa. Matylda próbowała jeszcze raz ustawić jako punkt docelowy schronisko na Wilczycy, lecz urządzenie zdawało się nie przyjmować polecenia, zupełnie jakby góra w ogóle nie istniała. Nagle coś zaczęło się dziać z samochodem, szarpało nim i wibrowało.

– Cholera! – krzyknęła Matylda.

Pojazdem mocno zarzuciło. Matylda zjechała na pobocze. Zatrzymała auto i wyłączyła silnik. Ze złością uderzyła w deskę rozdzielczą. Czuła się bezsilna, miała wrażenie, jakby świat sprzysiągł się przeciwko nim, dwóm bezbronnym kobietom. Włączyła światła awaryjne, sięgnęła na tylne siedzenie po parasol, otworzyła drzwi i wysiadła. Obeszła samochód wokoło. Złapała gumę. Była przerażona. Nigdy wcześniej nie wymieniała koła.

Rozejrzała się bezradnie. Jednorodzinne, niskie, poszarzałe od deszczu domy stały po obydwu stronach ulicy. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, jakby okna domostw były oczami, które przyglądają się jej ze złośliwym rozbawieniem. Nagle spostrzegła, że firanka w jednym z okien zakołysała się. Niepewnie uniosła rękę, trochę w geście pozdrowienia, a trochę prośby o pomoc. Firanka opadła gwałtownie i znieruchomiała. Matylda westchnęła. Będzie trzeba spróbować poradzić sobie samej. Najpierw podnośnik. Ale czy w ogóle ma takie urządzenie w bagażniku?

W domu naprzeciw, tym samym, w którym poruszyła się firanka, trzasnęły drzwi frontowe. Postawny mężczyzna, otulony przeciwdeszczową peleryną w ciemnogrnatowym kolorze wyszedł z domu.

– Jakież problemy? – zapytał.

– Coś z kołem – odparła niepewnie Matylda.

– Pozwoli pani, że spojrzę. A tak poza tym nazywam się Plichta. – Mężczyzna stanął przy samochodzie.

Matylda uśmiechnęła się niepewnie i podała dłoń na powitanie.

– Jestem Matylda Piołun. Jedziemy z córką na Wilczycę. Do męża.

Plichta drgnął, jakby ktoś smagnął go przez plecy batem. Spojrzał przenikliwie na kobietę.

– Widziałem go niedawno – oznajmił po chwili milczenia. – Rozmawialiśmy.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Nie byliśmy do końca pewne... Ostatnimi czasy... trochę straciliśmy ze sobą kontakt... – Matylda poczuła się lepiej słysząc, że mężczyzna widział jej męża i rozmawiał z nim. Wydawało się przez chwilę, że Plichta chce coś powiedzieć, lecz powstrzymał się. Kopnął w oponę.

– Nic wielkiego. Zmienię koło – mruknął. Twarz miał zamyśloną i jakby nieobecną.

* * *

– Dziwny był ten pan – powiedziała Maja. – Taki trochę straszny. Jak z horroru.

– Uhm. – Matylda całą swoją uwagę koncentrowała na operowaniu sprzęgłem i ręcznym hamulcem. Podjeżdżanie pod strome wzniesienia nie było jej mocną stroną. Zwłaszcza gdy niewiele było widać w ciemności, a koła samochodu ślizgały się po błocie. – Najważniejsze, że pomógł zmienić koło. Dalej nie podjadę. Trzeba będzie iść na piechotę.

– Szczególnie to, co powiedział na koniec – nie ustępowała Maja. – Żebyśmy na siebie bardzo uważały.

– Miałaś siedzieć w samochodzie i nie wysiadać. – Matka starała się uciąć ten temat chociażby dlatego, że z jakiegoś powodu słowa córki napawały ją coraz to większym lękiem.

– Uchyliłam tylko szybę – usprawiedliwiła się Maja. – Dlatego słyszałam,

jak mówił, że mamy uciekać jak najszybciej, jeśli zobaczymy coś podejrzanego, a nawet nie wchodzić w ogóle do schroniska, jeśli coś nas wystraszy.

– Czy możesz wreszcie przestać? – zirytowała się Matylda. – To był bardzo miły, ale odrobinę zwariowany pan. Pomógł nam naprawić samochód i to jest najważniejsze. To, co powiedział na zakończenie, nie ma żadnego znaczenia. Tacy ludzie często zmyślają różne historyjki i dziwne przestrogi, żeby trochę nastraszyć przyjezdnych. Mają później z tego radość.

– Czyli nie mamy się czego bać? – upewniła się Maja.

– Sądzę, że nie – odparła jej matka, spoglądając gdzieś w bok.

* * *

Trudno oddać słowami ponure wrażenie, jakie na dwóch zziębniętych i przemoczonych kobietach wywarło schronisko na Wilczycy. W tym budynku było coś przytłaczającego i odpychającego zarazem. Nie kojarzył się on zupełnie z miejscem bezpiecznym, w którym schronienia szukają zmęczeni drogą turyści. Czerniał spadzistym dachem na tle ciemnoszarego, ponurego nieba. Krople deszczu uderzały w blaszany okap dachu niczym małe kamyki. Wiatr napierał na jego ściany jakby nienawistnie, ze zdwojoną siłą. Czarne, postrzępione tu i ówdzie chmury zakrywały nieboskłon szczelną zasłoną, spoza której jednak zaczynał przenikać już chłodny blask księżyca, zwiastujący nadchodzącą wielkimi krokami zimę.

Było to jedno z tych złowieszczych miejsc, które z oddali prezentują się może i nie najgorzej, ale gdy człowiek podejdzie bliżej, dostaje gęsiej skórki i ma ochotę uciec.

Szyby w oknach schroniska nabrały dziwnego, rtęciowego zabarwienia. Budynek sprawiał wrażenie od dawna opuszczonego, nigdzie nie dało się dostrzec najmniejszego nawet światełka. Skądś dobiegał uporczywy odgłos

ciurkającej wody. Matylda pomyślała, że schronisko wygląda tak, jakby Janek tak naprawdę nigdy tu nie dotarł. Jednak słowa Plichty temu przeczyły. Emanująca od schroniska aura zła była tak silna, że uruchamiała podstawowe, atawistyczne matczyne odruchy. Matylda uznała, że za nic nie pozwoli wejść do środka Mai, przynajmniej dopóki nie upewni się, że w środku nie czyha jakieś niebezpieczeństwo.

– Posłuchaj. – Złapała córkę za ramię i zawahała się. Było coś surrealistycznego, groźnego i zarazem upajającego w tym zimnym wietrze pętającym się wokół nogawek jej dzinsów. Matylda nigdy nie doświadczała żadnych mistycznych stanów, lecz świadomość bezkresnego nieba znajdującego się ponad ciężką pokrywą z chmur spadła nagle na nią i przytłoczyła jej serce niezrozumiałym chłodem. To było jak rozstanie. –

Posłuchaj mnie bardzo uważnie – powtórzyła, potrząsając głową. – Zostaniesz na zewnątrz. Nie wejdiesz do środka pod żadnym pozorem.

– Ale mam...

– Nie. Może nie byłam najlepszą matką, wiem o tym. Nie powinniśmy kłócić się tyle razy z ojcem i to w twojej obecności. Mimo to wiedz, że twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze, a ja mam wrażenie, że tu dzieje się coś złego. Zostaniesz na zewnątrz i wejdiesz do środka dopiero wtedy, gdy cię zawołam.

– A jeśli nie wyjdiesz?

– Wyjdę.

– A jeśli nie?

Matylda westchnęła.

– Jeśli nie wyjdę za piętnaście minut, zadzwoń po policję. Przedstaw się i powiedz, gdzie jesteśmy. W porządku? Nie wchodź do środka, czekaj na pomoc.

Kategoryczny ton w głosie matki potrafi paraliżować. Wie o tym każde

dziecko, bez względu na to, czy ma lat dziesięć, piętnaście czy pięćdziesiąt. Dlatego Maja nie zadawała więcej pytań. Gdy patrzyła na to schronisko, nawiedziło ją mgliste wspomnienie z głębokiego dzieciństwa. Jak ze wszystkimi tego typu echami przeszłości bywa, nie potrafiła umiejscowić zdarzenia w czasie z precyzją charakterystyczną dla dorosłego okresu życia. Przypomniała sobie pająka, którego zobaczyła – a przynajmniej tak wówczas, mając kilka lat, sądziła – pierwszy raz w życiu. Przeraził ją śmiertelnie. Skądś wiedziała, że należy bać się pajaków, chociaż nikt jej tego nie powiedział, podobnie jak nikt nie uczy człowieka oddychać czy trawić pokarm. To jest właśnie ten rodzaj strachu – instynktowny, mechaniczny, ślepy. Schronisko było niczym tamten pająk, wystarczyło na nie spojrzeć, by wiedzieć, że należy szybko odejść, nie oglądając się za siebie. Było złe i wrogie. Maja nie wypowiedziałaby tych wszystkich skomplikowanych uczuć głośno. Nie miałyby na to ani ochoty, ani odwagi, bowiem lęki wypowiedziane stają się bardziej realne, wyskakują z ukrycia i czasem potrafią się materializować, by stanąć przed naszymi oczami w całej swojej ponurej okazałości. W miejscu takim jak to należało milczeć i poskramiać swoją wyobraźnię. Przypominało to balansowanie nad przepaścią, kiedy całą siłą woli zakazujemy sobie spoglądać w dół.

Tymczasem pani Matylda podeszła do drzwi schroniska i zapukała w nie kilka razy. Odpowiedziała jej cisza, nie licząc szelestu deszczu w trawie, jękliwego zawodzenia wiatru i uporczywego ciurkania lodowatej wody w rynnach. Ponowiła próbę, uderzając tym razem znacznie mocniej.

– Janek! Janek! – zawołała głośno i choć zimny wiatr natychmiast porwał i poniósł jej okrzyk w kierunku ciemnego lasu, to powinna zostać usłyszana przez kogoś, kto przebywał w środku. Jeśli ktokolwiek tam był. Jeśli Jankowi nic się nie stało. Było to wszystko bardzo niepokojące.

Nacisnęła kłamkę, boleśnie świadoma tej dalekiej odległości, jaka dzieli je

od najbliższych ludzkich siedzib. Nie obawiała się swojego męża, bała się raczej o niego. Jako żona w pewien sposób intuicyjnie wyczuwała desperackie zabarwienie nagłego wyjazdu i wiedziała, że musi kryć się za tym głęboki, psychiczny kryzys. Mimo to podejrzewała, że Janka mogło spotkać coś złego, a te ciemne okna zdawały się ją w tym przeczuciu utwierdzać.

Nacisnęła klawisk i w tym momencie przeczucia przestały być jedynie przeczuciami. Nikt nie siedzi w schronisku na odludziu w ciemności. Nikt nie wychodzi z takiego miejsca, zostawiając frontowe drzwi otwarte.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam! – Spojrzała przez ramię i ostrzegła córkę.

Maja milcząco, obserwowała, jak jej matka, która teraz wydawała się nagle zupełnie krucha i bezbronna, grzebie w podróźnej torbie i wyciąga z niej małą latarkę. Zawsze była przewidująca.

– To na wszelki wypadek, gdyby w środku nie było światła.

Mówiąc to, Matylda skądś wiedziała, że na pewno go nie będzie. Kobiety mają wycucie sytuacji. Wiedzą, kiedy zbliża się niebezpieczeństwo.

Maja chciała powstrzymać mamę, powiedzieć jej, żeby nie wchodziła do środka, że powinny wrócić – być może nawet prosto do samego Poznania – i tam zastanowić się, co dalej robić. Ogarnął ją nagły strach o matkę. Zimny wiatr jednak zasznurował jej usta, odebrał siły, więc uniosła jedynie w górę rękę w geście trochę otuchy, a trochę... pożegnania. Patrzyła, jak jej matka otwiera drewniane, skrzypiące nienaoliwionymi zawiasami grube drewniane drzwi i wchodzi do wnętrza schroniska. Nikłe, błędzące światełko latarki połyskiwało jeszcze przez moment, zanim pochłonęła je ciemność.

13.

Strughold wyczuwał, że nowy gospodarz schroniska może nie podołać wyzwaniu, że gotów jest postradać zmysły, jak poprzedni, i nie wykonać

swojej pracy. Wiedział również, że kobieta i dziecko zbliżają się do schroniska. To była wiedza pochodząca od Tego, Który Przemawia Ustami Umarłych. Strughold odczytywał jego wolę i przesłanie w spływających na niego zimnych, przerażających w swojej obojętności krótkich wizjach, które nazywał Prześwitami, a które nawet jego umarłą od dawna duszę ścinały lodowatym strachem. Wyglądało to tak, jakby zasłona oddzielająca światy rozchyłała się na moment i ukazywała coś, co jest tam, w tym dziwnym świecie, z którego On przybywał, w którym wszystko jest podobne do naszego, lecz zupełnie inne, świecie, którego nie sposób opisać ludzkimi słowami. Prześwity przypominały symboliczne, statyczne obrazy, hieratyczne malowidła ozdabiające wnętrza egipskich grobowców, z tą różnicą, że pełne były jadowitych barw i autentycznej, choć niejako zawieszanej w czasie grozy.

W ostatnim Prześwicie ujrzał kobietę i dziewczynkę martwe. Trzymały się za ręce, miały odcięte głowy. Zrozumiał, że to żona i córka Piołuna, i pojał jasno, czego tym razem żąda od niego Choronzon.

Moc demona była potężna, spływała niejako falami, przenikała do naszego świata w zależności od tego, jak wielka ofiara została złożona, lecz i jej wpływ miał swoje granice. Takie granice posiadało nawet przeznaczenie, które jest pisane każdemu człowiekowi. Zawsze bowiem może wydarzyć się coś, co odwróci bieg zdarzeń.

Nazistowski lekarz już dawno sprzedał swoje serce złu i wykorzystywał płynącą z tego siłę, więc był gotów doprowadzić swój plan do końca. Jego chłodna inteligencja sprawiała, że dobrze oceniał sytuację i wiedział, że następna okazja może się nie powtórzyć. Mogło istnieć co najmniej kilka osób, które znały sekret Wilczycy. Tego rodzaju wieści zwykle szybko docierają do odpowiednich uszu. W Watykanie pracowali specjaliści wyznaczeni do tego ludzie, zajmujący się właśnie takimi sprawami. Wywiady Stanów Zjednoczonych, Izraela i Rosji również miały oczy szeroko otwarte. Nie

wszystkie dokumenty pochodzące z prac Ahnenerbe zostały zniszczone, część z nich nadal znajdowała się w tajnych archiwach Moskwy i Waszyngtonu, a Strughold nie miał wątpliwości, że w dalszym ciągu istnieją znawcy zdolni odczytać ich tajemne przesłanie. Jak również niezależni badacze, tropiciele tajemnic, prowadzący swoje prace w ukryciu przed światem, wyczuleni na wszelkie niepokojące wieści i sygnały mogące świadczyć o tym, że pewne siły znów się przebudziły. Wiedli oni zazwyczaj życie zwykłych ludzi, wykonywali uważane powszechnie za zwyczajne zawody, lecz w pewnych okolicznościach mogli wkroczyć do akcji i pokrzyżować jego plan. Ktoś mógł się zorientować w czym rzecz, przysłać na miejsce egzorcystów, pod jakimś pretekstem zrównać schronisko z ziemią, zaorać to miejsce i ogrodzić, nie dopuszczając w pobliże nikogo, kogo on, Strughold, mógłby usidlić niczym pająk swoją zdobycz. W ten sposób brama, którą przekroczył już do połowy, zostałaby na długo, a być może nieodwołalnie zapieczętowana. Dlatego nie mógł pozwolić sobie na błędy, lecz musiał pokierować biegiem zdarzeń z iście niemiecką perfekcją. W tym wszystkim jednak najgorsza była ona – wampirzyca.

Piołun, choć już niemal całkowicie będący w mocy Choronzona, mógł się jeszcze wyślizgnąć niczym piskorz, przebudzić pod wpływem niskiego, ludzkiego uczucia, jakim w oczach Strugholda była miłość. Czym innym przecież jest otwarcie grobu i stanięcie oko w oko z grozą duchową, a czym innym zbrodnia popełniona na najbliższych sercu osobach. Z tej racji tego wieczoru Strughold postanowił wspiąć się na wyżyny swoich umiejętności, wprowadzić Piołuna w rodzaj głębokiego transu hipnotycznego, przejąć nad nim kontrolę z pomocą sił, które, jak sądził, zjednał już sobie w dużym stopniu. Jako człowiek obeznany z sekretami okultyzmu wiedział dobrze, że żaden eksperyment, żadna magiczna czynność, żaden rytuał nie dawał całkowitej gwarancji powodzenia. Zawsze coś mogło pójść nie tak, istniały siły mogące zaingerować w bieg zdarzeń, byty mogące pojawić się

najzupełniej nieoczekiwanie. Przypominało to przebijanie ściany oddzielającej nasz świat od tamtych światów i stopniowe powiększanie otworu – nigdy nie można było całkiem przewidzieć, co się w nim pojawi. Równowaga została naruszona i Strughold doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jego dylemat był zaskakująco podobny do dylematu samego Piołuna, był to wybór między dziwnym półistnieniem w świecie cieni a pełnią życia. Strughold kochał życie, lecz tamto zdarzenie sprawiło, że z ludzkiego punktu widzenia był martwy, stał się czymś w rodzaju żywego trupa lub wampira. To mogła być ostatnia szansa. Sądził, że powrócił już na tyle, by poradzić sobie z dwoma kobietami. W końcu miał w tym rzemiośle sporą wprawę.

* * *

Stare budynki niemal od zawsze przerażały Matyldę, ponieważ miały w sobie coś złowieszczonego. Nie lubiła ich z tego samego powodu, dla którego unikała podziemnych parkingów, ciemnych zaułków, nieoświetlonych bram czy opustoszałych wagonów nocnych pociągów. Wszystkie te miejsca same w sobie nie stanowiły zagrożenia. Budziły jednak podskórny niepokój, ponieważ mogły przyciągać złe zdarzenia i stanowiły dla nich swego rodzaju idealną scenografię; niosły ze sobą milczącą groźbę.

Teraz, stojąc u podnóża ponurego schroniska na Wilczycy, pomyślała, że trafiły w niewłaściwe miejsce. A może Janek wyszedł i niebawem wróci. Zapomniał po prostu zamknąć drzwi na klucz, to się zdarza. Ten dziwny lęk to wynik zmęczenia oraz uporczywego wiatru zawodzącego na otwartej przestrzeni. Trudno nie bać się, gdy wiatr tak rozpacza. Ten szloch brzmi jak przestroga.

Otworzyła niskie drzwi i skierowała strumień latarki w głąb krótkiego przedsionka. Na ścianach wisiły poroża jeleni wpatrujące się w nią połyskującymi szklanymi oczami. Ujrzała wejście do czegoś, co było

zastawioną ławami i stołami niewielką jadalnią. Pociągnęła lekko nosem. Pachniało tutaj drewnem i czymś nienazwanym, co ewidentnie jej się nie spodobało.

– Janek? – Jej głos brzmiał słabo, niepewnie. – Janek, jesteś tu?

Drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem tak głośnym, że aż podskoczyła. Przeklęty wichur. Niech diabli wezmą to schronisko. Ostrożnie postąpiła kilka kroków, słysząc, jak pod jej stopami trzeszczy podłoga. Omiotła pomieszczenie snopem światła. Spostrzegła kilka leżących opakowań po produktach spożywczych i ten widok w osobliwy sposób dodał jej nieco otuchy. Zauważyła drzwi w ścianie i postąpiła w tamtą stronę kilka kroków, kiedy gdzieś z góry dobiegło do niej nagłe, głośne skrzypnięcie podłogi. Zatrzymała się i skierowała światło latarki na sufit.

Skrzypienie nie powtórzyło się, a jednak coś jakby uległo zmianie. Matylda odniosła wrażenie, że atmosfera w schronisku zgęstniała, stała się w pewien sposób wilgotna i lepka. Zupełnie jakby ktoś lub coś nasłuchiwało i wiedziało o jej obecności. Ciemność w kątach zdawała się gęstnieć, choć może to wrażenie było wynikiem słabnącej latarki. Przez pomieszczenie przeszedł chłodny powiew, jakby gdzieś zostało uchylone małe okienko i zrobił się przeciąg. Znowu trzeszczenie, tym razem bliżej, od strony wąskich, prowadzących na górę schodów. Poświeciła w tamtą stronę, nie dostrzegła jednak niczego prócz zdobitych drewniane boazerie ponurych, czarno-białych fotografii.

Janek miał zawsze dość czujny sen – pomyślała. Więc nawet gdyby uciął sobie drzemkę, raczej zbudziłby się, słysząc jej głos, a przede wszystkim słysząc głośne trzaśnięcie drzwiami. Więc może po prostu go tu nie ma. Może po prostu jest tu ktoś inny. Ostrożnie stawiając nogi i zagryzając zęby, przeszła po kuchni. Drewniana podłoga zdradziecko zatrzeszczała pod jej ciężarem.

Wtem gdzieś z góry dobiegł dźwięk grającego radia. Tym razem jednak nie

odważyła się zawołać. Melodie płynące z odbiornika były niepokojące. Brzmiało to jak fokstrot. Dzisiaj mało kto słuchałby takiej muzyki. Do dźwięków orkiestry dołączył kobiecy głos śpiewający w języku niemieckim. Stwarzało to wrażenie, jakby radio odbierało jakąś nieistniejącą już od dawna stację. Matyldę opanowała granicząca z pewnością obawa, że ktoś bawi się jej kosztem.

* * *

Maja stała, przestępując z nogi na nogę. Wpatrywała się w ciemne okna schroniska. Coraz silniej przenikało ją nieprzyjemne uczucie, że zza tych okien ktoś się jej przygląda. Ktoś, kto życzy jej źle. Schowała zmarznięte dłonie w kieszeniach kurtki, lecz niewiele to pomagało. Wiatr przybrał na sile, unoszone podmuchami zimne krople deszczu coraz mocniej smagały ją po twarzy. Wokoło zapadała coraz głębsza ciemność, kontury okolicznych gór stały się prawie niedostrzegalne. Dziewczyna nie była już nawet pewna, czy zdołałaby odnaleźć drogę z powrotem do Przygórza.

Wyjęła z kieszeni telefon. Już prawie dziesięć minut. Gdzie podziewa się matka? Całkiem poważnie zaczęła myśleć o wezwaniu pomocy. Przecież jej ojcu – mówiąc bez ogródek – rzeczywiście mogła odbić palma. Takie przypadki się zdarzają, można przeczytać o nich niemal codziennie w Internecie, prawda?

* * *

Świadomość, że córka czeka na nią na zewnątrz, dodała Matyldzie odrobinę odwagi. Zdawała sobie sprawę, że jej niepokój może okazać się zupełnie bezpodstawny. Dziwna muzyka to jeszcze nie powód, by wpadać w panikę. Wszystkiemu zapewne winna była przytłaczająca i działająca na wyobraźnię

atmosfera tego ponurego budynku, męcząca podróż, a także paskudna pogoda. To niewiarygodne, jaką atmosferę potrafią posiadać stare budynki. Przypomniała sobie, jak dwa lata temu oglądała wystawiony na licytację dom. Komornik chciał sprzedać go po zaskakująco niskiej cenie. Kiedy przyjechała na miejsce, dom okazał się wspaniałą, opuszczoną willą. Musieli mieszkać tam bardzo zamożni ludzie.

Zanim przez półotwartą zardzewiałą furtkę weszła na zachwaszczoną działkę, usiłowała porozmawiać z mieszkającym naprzeciwko sąsiadem. „To zły dom, pechowy” – uciął rozmowę sąsiad, czym prędzej chowając się w garażu i zerkając w stronę budynku przestraszonym wzrokiem, zupełnie jakby w tym opuszczonym domu był ktoś, kto mógłby usłyszeć ich rozmowę i nie byłby zadowolony. Ktoś, kogo lepiej nie drażnić.

Wówczas roześmiała się w duchu. Kiedy jednak weszła do starego domu, opanował ją nagły niepokój. W pokojach na górze świstał wiatr, niedomknięte okno uderzało rytmicznie o ścianę. Czuć było zapach zimnej wilgoci i obecność, niemal namacalną, czegoś nienawistnego. Nigdy w życiu nie odważyłaby się tu zamieszkać.

Jeszcze tego samego dnia, gdy Janek już spał, postanowiła prześledzić w Internecie wzmianki na temat tego domu, głównie historię księgi wieczystej. Później jednak zaczęła wpisywać w wyszukiwarce adres domu i nazwiska ludzi, którzy w nim zamieszkiwali. Była to dziwna historia, pełna niepokojących niedopowiedzeń. W środku miał znajdować się specjalny gabinet bioenergoterapii niejakiego doktora Michalskiego, który, zgodnie z sensacyjnymi informacjami, jakie wyczytać można było na forach, był sprawcą wielu spektakularnych uzdrowień. Potem jednak wydarzyło się coś, nikt nie wiedział co. Michalski zniknął, przepadł bez wieści. Rodziny, które usiłowały zamieszkać w tym domu, uciekały w panice.

Jaki to ma związek z Wilczycą? – pomyślała Matylda. Zrobiła jeszcze kilka

ostrożnych kroków w stronę schodów. Wtedy właśnie ogarnęło ją graniczące z pewnością przeświadczenie, że kątem oka uchwyciła delikatny ruch, jakby coś poruszyło się w jednym z ciemnych kątów jadalni. Poświeciła w tamtą stronę, lecz małe światełko niewiele mogło zdziałać w konfrontacji z ciemnością, która zdawała się gęstnieć z sekundy na sekundę. Była to słaba latareczka, jaką dało się nosić przy kluczach. Podłoga na górze znów zatrzeszczała, jakby ktoś tam chodził.

– Jest tu ktoś?– wyszeptała.

Niepokojący zapach przybrał teraz na sile i stał się znacznie bardziej wyrazisty niż wcześniej. Kojarzył się z gnijącymi cmentarnymi kwiatami lub padliną leżącą w słońcu od dobrych kilku dni. W tym ciężkim, nieprzyjemnym zapachu było coś złowróżbnego, przywodził on na myśl pylistą starość; niedawno otwartą, długo pozostającą zapieczętowaną kryptę lub zapomniane katakumby, których od dziesięcioleci nie tknął żaden ożywczy przeciąg.

W pomieszczeniu zapanował nagły chłód. Matylda wyczuła lodowate prądy powietrza, krzyżujące się nieopodal jej twarzy. Nagle ktoś musnął jej kark, poczuła jakby delikatny dotyk zimnej dłoni. Drgnęła gwałtownie, wciągając powietrze, i upuściła na ziemię małą latareczkę, która natychmiast zgasła. Ciemność otoczyła ją ze wszystkich stron. Matylda rozłożyła szeroko ręce, po omacku starając się kierować w stronę wyjścia. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe.

Udało jej się ujść w ten sposób kilka kroków, gdy nagle wyczuła dłońmi, że ktoś przed nią stoi. Pod palcami poczuła wyraźnie dotyk szorstkiego materiału i guzików. Ten ktoś nie odezwał się jednak słowem.

– Kto tu... – wyszeptała zdrętwiałymi ze strachu wargami. – Janek?

Intuicja podpowiadała jej jednak, że nie jest to jej mąż. Przywołując w myślach rozkład pogrążonej w ciemności jadalni, popchnęła z całych sił niewidzialnego przeciwnika, usiłując przedrzeć się w stronę wyjścia. Czująca,

że wpadła w pułapkę i grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Myślała teraz przede wszystkim o córce. Musi ją za wszelką cenę ostrzec, nie dopuścić, by weszła do środka. Jej ręce jednak nie napotkały większego oporu, równie dobrze mogłaby popchnąć zawieszony na sznurze prześcieradło. Coś jakby prąd elektryczny przeniknęło jej ręce aż do łokci i wtedy właśnie nadeszło pierwsze niespodziewane, lecz bolesne cięcie.

W pierwszym ułamku sekundy miała wrażenie, że ktoś smagnął ją po łydce szpicrutą lub cienkim prętem. Moment później poczuła spływającą do buta lepka, ciepłą ciecz i zrozumiała, że nie jest to żaden bat, lecz coś niebywale ostrego.

Jej lewa noga nagle osłabła, coś delikatnie i niemal pieszczotliwie popchnęło ją na ziemię, sprawiając, że upadła. Chciała krzyknąć, lecz lodowato zimna i koścista dłoń zacisnęła się na jej ustach. Próbowwała wyrwać się, krzyknąć, raz jeszcze stawić opór niewidzialnemu wrogowi. Zrozumiała, że jeśli tego nie uczyni, umrze. Jednak ten, którego skrywała ciemność, okazał się szybszy. Błyskawiczne cięcie chirurgicznego skalpela przecięło gardło kobiety, przynosząc szybką śmierć. Ciałem wstrząsnęły przedśmiertne drgawki, lecz Strughold wiedział, że najdalej za kilka sekund będzie już po wszystkim. Nie był do końca usatysfakcjonowany, umarła zdecydowanie zbyt szybko, bez należytej finezji. Nie mógł pozwolić sobie jednak na długie delektowanie się agonią, jak zwykł był to czynić niegdyś. Odgłosy szamotaniny mogły spłoszyć czekającą na zewnątrz kolejną ofiarę, a ona również musiała zginąć. Nie mogła uciec do wsi, to oznaczałoby katastrofę. Strughold nie był głupi i doskonale wiedział, że są ludzie, którzy mogą coś pamiętać, znać stare sprawy i którzy wiedzieliby, jak pokrzyżować jego plany.

Niemiecki lekarz czekał teraz, aż córka kobiety, którą zabił, wejdzie do środka. Podejrzewał, że tak właśnie postąpi, bo jak sądził – znał naturę ludzką na wylot. Siła łącząca matkę z dzieckiem jest najmocniejszą więzią, jaką zna

natura. Któż, zwłaszcza mając na względzie tamto zdarzenie, wiedział o tym lepiej od niego? Potrafił wczuć się w umysł czekającej przed schroniskiem dziewczyny, niemal ujrzeć targające nią sprzeczne impulsy.

Matka nie wychodziła na zewnątrz już dwadzieścia minut, a ona nie wiedziała, co teraz zrobić. Telefon jednak z jakiegoś powodu nie działał. Zdecydowała, że pobiegnie do wsi i poprosi o pomoc tego zwariowanego człowieka, który pomógł im naprawić koło. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę, z której przyszły.

Wtedy zawołała ją matka.

Drzwi schroniska lekko się uchyliły. Maja wyteżyła wzrok lecz nie dostrzegła w szparze nikogo ani niczego. Panowała tam zdradziecka ciemność. Wyraźnie jednak słyszała, że mama ją woła:

– Przyjdź tu szybko, potrzebuję twojej pomocy! – Jej głos był jakby głuchy, dochodzący z daleka, a jednak nie miała wątpliwości, że słuch jej nie myli. W tej sytuacji nie mogła uciec. Musiała jej pomóc, ponieważ matka mogła znajdować się w niebezpieczeństwie.

Zebrała się na odwagę, rozejrzała wokoło. Podniosła z ziemi spory kamień. Wsunęła go do kieszeni. Na wszelki wypadek. Potem energicznie ruszyła w stronę drzwi, które czekały na nią, wpółotwarte, przypominające jej nie wiedzieć czemu wrota do samego piekła, o którym z taką werwą opowiadał katecheta podczas lekcji religii.

* * *

Strughold również posłyszał ten głos, wydobywający się z półotwartych ust martwej kobiety o przeciętym gardle, głos, który z medycznego punktu widzenia nie miał prawa się rozlegać. Widział w ciemności jak kot, stwierdził więc, że ciało spoczywa absolutnie nieruchomo, a usta się nie poruszają. Mimo to głos był słyszalny. Brzmiał tak, jakby należał do kobiety, lecz

Niemiec dobrze wiedział, iż tak nie jest. Widział to już kiedyś, wiele lat temu. To był znak, Choronzon nadchodził. Z każdą krwawą ofiarą był bliżej naszego świata. Strughold mniemał, że gdy moment ten wreszcie nadejdzie i Ten, Który Przemawia Ustami Zmarłych da wyraźny znak swojej obecności – on będzie odczuwał radość. Teraz jednak nawet jego ogarniało zabobonne przerażenie. Wiedział, że staje w obliczu potęgi, której ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć, Demona Chaosu i Otchłani, znanego pod wieloma imionami jak ziemia długa i szeroka jeszcze w czasach, gdy o chrześcijaństwie nikt nie słyszał, a nawet jeszcze o wiele wcześniej – w tych epokach, o których nawet delikatna wzmianka jest w najwyższym stopniu zakazana – gdy na skutek interwencji przybyszów z innych wymiarów Uniwersum powstawał ludzki gatunek. Demona znanego dobrze Salomonowi oraz Mojżeszowi, czczonego w Sodomie i Gomorze. To On dawał Strugholdowi moc uzdrawiania, On sprawiał, że pojawiały się prorocze Prześwity, wizje pozwalające na moment wejrzeć poza zasłonę czasu i przestrzeni. On wreszcie umożliwił mu powrót do świata żywych i pokonanie klątwy.

To nie był jednak czas na rozmyślanie. Strughold przycisnął się przy drzwiach, by wykorzystać szansę, którą dał mu Choronzon. Gdy tylko dziewczyna przekroczyła próg, zaatakował z niebywałą szybkością i ekstatyczną niemal furją. Tym razem ciął na oślep, a jej krzyki sprawiały mu dziką przyjemność. Czuł się jak szaman składający ofiarę, wyzwolony z ciasnych kajdan fałszywej moralności czarownik, służący sprawom wyższym, dalece wykraczającym poza zwykłą ludzką egzystencję robaka i znany porządek rzeczy. Krew tryskała w powietrze, a on zlizywał ją z własnych dłoni łapczywie i niecierpliwie, czując, jak tkanka ciała w skropionych nią miejscach staje się coraz bardziej materialna i żywa. Zimny strach, który wcześniej zmroził jego półumarłą duszę, ustąpił teraz przed ogniem bałwochwalczego szaleństwa. Choronzon nadchodził, a to oznaczało,

że znów wszystko jest możliwe. Zabijał bez litości, marząc o wiecznym życiu pośród ludzi.

Następnie udał się na piętro. Tam, w łóżku, pogrążony w hipnotycznym, wzmocnionym jeszcze zastrzykiem morfiny śnie leżał Piołun. Nie był świadomy tego, co się z nim dzieje, gdy Strughold, recytując magiczne inkantacje, przejmował na własność jego ciało. Dusza doktora Piołuna została uwięziona w mrocznym świecie, w którym władał Choronzon. Teraz należało wykonać jeszcze jedno posunięcie.

Leżący na łóżku Strughold-Piołun nagle otworzył oczy. Jego źrenice były jakby pochłonięte przez białka i zupełnie niewidoczne. Lśniły za to martwo, odbijając wpadający przez okno blask księżyca. Wstał z łóżka i kopnął leżące na ziemi ubranie należące do Strugholda. Nie będzie już potrzebne. Teraz miał nowe ciało, znacznie doskonalsze. Ciało, które było równocześnie jego domem, ale i domem Choronzona, podobnie jak niegdyś w Betlejem ciało ludzkie stało się ciałem samego Boga.

Należało jeszcze wykonać jedną czynność – przygotować kryjówkę, tak jak przygotowuje ją pająk gotujący się na polowanie. Strughold-Piołun zszedł do piwnicy, tej samej, w której dokonywał swoich mrozących krew w żyłach eksperymentów. Znajdowało się tam coś cenniejszego niż złoto, lecz niepozornego, coś, co Piołun wziął za konsolę pomagającą w przeprowadzaniu badań. Owoc prac Wernhera von Brauna i Bernharda Tessmanna – generator fali skalarnej Tesli, wierna kopia urządzenia, które umożliwiło Hitlerowi ucieczkę z oblężonego Berlina.

Część druga

PIOŁUN I LAMBERG

1.

Tragedia, jaką jest strata bliskich sercu osób, jest bezmierna, a przekonanie, że mogłyby oddać ją słowa poety, talent kompozytora, zdolności malarza lub geniusz jakiegokolwiek innego artysty – to mrzonka. Podobnie rzecz ma się z miłością, ponieważ miłość i tragedia to dwie nieodłączne siostry. Ludzie jednak bezustannie ulegają mrzonkom i może dlatego w ogóle istnieje jakakolwiek sztuka.

Sednem każdej głębokiej tragedii są rzeczy banalne, a banał jest obcy artystom. Najbardziej bolą sprawy prozaiczne, a rozpacz i smutek atakują z zaskoczenia; straszną rzeczą jest obudzić się samemu w łóżku, które przez tyle lat dzieliło się z bliską osobą. Falę smutku przynosi widok drugiej szklanki herbaty, którą przygotowało się niejako z rozpędu, zupełnie zapominając, że nikt jej nie wypije, chyba że zrobimy to sami. Tragedia manifestuje się najdobitniej w rzeczach małych, takich jak ulubiony program telewizyjny nieżyjącej już osoby, na który natrafiamy przypadkiem, przełączając machinalnie kanały. Smutek żałoby nadchodzi w ciszy i prozie dnia codziennego.

Lamberg nie był artystą, lecz twardo stąpającym po ziemi policjantem. Obce mu były wzniosłe słowa i porównania. W szkole średniej szczerze nie znosił lekcji języka polskiego i innych humanistycznych przedmiotów, przepadał natomiast za lekcjami wychowania fizycznego. Mimo to zawsze był przez otoczenie postrzegany jako człowiek bystry, inteligentny i elokwentny, choć nieco zamknięty w sobie. O niezwykłym darze, którym dysponował, wcale nie myślał w kategoriach duchowych, metafizycznych czy magicznych. Ten punkt widzenia nie stał wcale w sprzeczności z przeświadczeniem, że zdolności owe pochodzą od Stwórcy. Dar był bowiem czymś takim jak węch, słuch czy

wzrok.

Podczas swojej wieloletniej służby nieraz zetknął się ze zbrodnią, lecz nigdy nie dotyczyła ona jego samego. Utrata żony i dziecka zmieniała perspektywę, z jaką patrzy się na świat. Była końcówka czerwca, przeszło miesiąc po tragedii, gdy powrócił na komisariat ze zwolnienia lekarskiego, które otrzymał od lekarza psychiatry. Trzymał się jakoś na sporych dawkach relanium. Wszyscy koledzy, którzy witali go, odwracali wzrok. Trudno było powiedzieć coś sensownego człowiekowi, który stracił wszystko, co w życiu wartościowe. Słowa musiał zastąpić uścisk dłoni. Wszyscy, którzy zobaczyli go, jak zmierza w kierunku gabinetu komendanta, milcząco zgadzali się co do jednej kwestii – zjawił się za wcześnie. Był wymizerowany, twarz miał poszarzałą, ale oczy lśniły mu jak nigdy.

Koledzy nie zdawali sobie sprawy, jak wielką rządzą zemsty jest ogarnięty. Było to uczucie, które owładnęło Lambergiem doszczętnie, którego uchwycił się instynktownie jako ostatniej rzeczy nadającej sens jego istnieniu po utracie ukochanej żony i syna. Nikt nie wiedział, jak wielką wewnętrzną walkę przeszedł, ile razy był bliski samobójstwa i jak opierał się tej pokusie ostatkiem sił z jednego powodu – wiedział, że zbrodniarz nadal nie został schwytany. Mało tego, cała ta sprawa była w najwyższym stopniu dziwna i niepokojąca. Po dokonanej masakrze morderca zdołał opuścić nie tylko kościół, ale i najprawdopodobniej miasto. Zorganizowana szybko obława nie przyniosła żadnego skutku. Przeczesano nawet lasy – wszystko na nic.

Nie jest rzeczą możliwą opisać stany umysłu, których doświadczał Lamberg, bliski obłąkania, chodząc tam i z powrotem po swoim pustym mieszkaniu aż do białego rana. Czas wówczas wyczyniał niebywałe sztuczki, raz zwalniał, to znów przyśpieszał, zaskakując go pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Z pasją szaleńca siadał do komputera, obserwował wiadomości, słuchał radia i rozmyślał o dniu, w którym schwyta zabójcę. Dostrzegał

wspólny mianownik w zdarzeniach, którego inni zdawali się uporczywie nie widzieć. Fala zagadkowych, krwawych ataków przetaczała się przez Wałbrzych. Przypisywano je różnym osobom, domniemywano istnienie siatki terrorystycznej, sekty satanistycznej, wreszcie zbiorowej hysterii, która sprawiała, że ludzie widzieli rzeczy niemające prawa istnieć. Lamberg nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest to wielka, celowa dezinformacja.

Zdawać by się mogło, że tego typu postępowanie nie przystaje do człowieka ogarniętego przez obezwładniającą rozpacz. Z większym raczej przekonaniem sądzilibyśmy, że mężczyzna w kwiecie wieku dotknięty śmiercią dwóch najbliższych osób zatone w milczącej, apatycznej rozpacz. W przypadku Lamberga tak się nie stało. Bylibyśmy jednak w błędzie, przypisując taki stan rzeczy jedynie pragnieniu zemsty. Owszem, to uczucie zdawało się przyćmiewać wszystko inne, przywodziło na myśl gorejący i nigdy niespalający się krzew z biblijnej opowieści. Pod nim jednak skrywało się coś o wiele bardziej głębokiego i mrocznego. Lamberg bowiem miał wiele czasu na to, by podczas długich bezsennych nocy cofać się pamięcią, odbywać niczym nieograniczone podróże po myślowych bezdrożach, łączyć zdarzenia na pozór odległe i pozostające bez logicznego związku.

Te długie noce i dni, gdy jego ciało i umysł poddawane były straszliwej, bezlitosnej rozpacz, wydały jednak coś na kształt gorzkiego owocu. Otóż Lamberg, balansując na granicy jawy i snu, poruszając się od koszmaru do najbardziej wybujałej fantazji, uznał wreszcie, że sam jest współwinny tragedii, która się wydarzyła.

Stało się to wkrótce po północy, między wyjściem z łazienki, którą odwiedził z jednoznacznym zamiarem powieszenia się, a dotarciem do kuchni, aby nalać sobie szklankę obrzydliwie ciepłego napoju colopodobnego. Był winien, i to nie tylko dlatego, że nie posłuchał owego dziwnego wewnętrznego głosu, który nakazywał mu natychmiastowe opuszczenie świątyni. Był winien

nie tylko z tego powodu, że zareagował zbyt wolno, zanim zabójca zdążył wyciągnąć broń.

Był winien, ponieważ całe to zło, którego istnienia od dawna się domyślał, którego manifestację dostrzegał w wielu niedawnych zbrodniach i zaginięciach, mogło nie być jedynie wytworem jego wyobraźni. Być może człowiek, który zjawił się wówczas w świątyni, by zabijać bez wyraźnej przyczyny, był jego wysłannikiem. Być może gdyby on, Lamberg, okazał się lepszym śledczym, odkryłby, skąd ono pochodzi. I być może w ten sposób ocaliłby zawczasu życie swojej żony, syna i innych ludzi.

Podszedł do półki i zdjął z niej Biblię. Jeśli Bóg ma zamiar do mnie przemówić, niech lepiej uczyni to teraz, ponieważ jestem bliski utraty zmysłów – pomyślał. Otworzył księgę na chybił trafił i zaczął czytać. Był to werset, który mówił o niewiernym Tomaszu. Tomasz jako jedyny nie uwierzył w opowieść o zmartwychwstaniu Jezusa i zapragnął dotknąć Jego ran. Tomasz był typem fizyka, racjonalisty. Być może gdyby on, Lamberg, nie był również takim niewiernym Tomaszem, zdołałby zapobiec nieszczęściu. Policjant zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, pozwalając, by dym wniknął do płuc.

Po chwili namysłu otworzył Pismo Święte w innym miejscu i znów natrafił na interesujący fragment. Opowiadał on o Hiobie i zakładzie, który Bóg zawarł z Szatanem. Bóg wystawił wierność Hioba na najstraszliwszą próbę, jaką można sobie wyobrazić. Zabrał mu wszystko – rodzinę i majątek. Mimo to Hiob oparł się rozpacz, zachował wierność wobec Boga i w nagrodę za to Bóg zwrócił mu wszystko, co uprzednio zabrał.

Zakład z Bogiem – pomyślał Lamberg, wypuszczając okrągłe kółeczko dymu. Rzecz niebywała. Gdyby nie było o tym napisane w Biblii, historyjkę tę można by uznać za policzek wymierzony w Jego oblicze. Za bluźnierstwo. Bogu wolno wszystko, ale w tej opowieści było coś z ludzkiego punktu

widzenia głęboko nieuczciwego. To trochę tak, jakby celowo rzucić dziecko na pożarcie zdziczałym psom, zakładając się co do wyniku tego eksperymentu z adwersarzem, a potem ocalić je w ostatniej chwili, gdy zdoła jakimś cudem wdrapać się na drzewo. Gdyby w taki sposób postąpił człowiek, z pewnością podchodziłoby to pod jakiś paragraf. Ale Bóg nie był człowiekiem, wolno mu było wszystko. Wówczas Lamberg po raz pierwszy w życiu pomyślał, że może Bóg właśnie taki jest – niepojęty, nieprzewidywalny, nieobliczalny i w pewien sposób... szalony. Samo stworzenie świata, rozmach tego zdarzenia, bezmiar zniszczenia, który musiał towarzyszyć wyłanianiu się nowych form życia – wszystko to było szalone.

Lamberg nigdy więcej nie powrócił do tych rozważań, a nawet w pewien sposób się ich wstydził. Nosił je jednak ukryte na samym dnie serca. Kiedy kroczył korytarzem komendy miejskiej policji w Wałbrzychu, wiedział już, że jest coś, czego powinien poszukiwać. Chciał, by jak najszybciej przydzielono go do sprawy zabójcy z kościoła. Chciał, by udostępniono mu akta zdarzeń, o których donosiła telewizja na przestrzeni ostatnich miesięcy: tragicznej katastrofy wiozącego dzieci autobusu, niezrozumiałego wykolejenia się pociągu, zagadkowej napaści na trzy młode turystki, które znaleziono przybite gwoździami do drzew, a także niepojętego i zdawałoby się bezrozumnego mordu rytualnego, którego dokonano w Wigilię Bożego Narodzenia na rodzinie Damięckich z Przygórza. Wreszcie ta niewiarygodna sprawa ze schroniskiem na Wilczycy, kompletnie nie do wyjaśnienia ludzkim rozumem. Podejrzewał, że istnieje jakiś wspólny mianownik, który łączy te wszystkie makabryczne i tajemnicze zarazem zdarzenia. Myślał o Hiobie.

Kiedy wszedł do gabinetu komendanta, ten poderwał się z fotela na tyle, na ile pozwalała mu jego słuszna waga. Był już lekko łysiejącym oraz posiwiiałym mężczyzną o szerokich ramionach. Niegdyś sporo ćwiczył, ale od dobrych dziesięciu lat porządnie się zaniedbał. W pomieszczeniu nie było

nikogo więcej. Przez otwarte na oścież okno wlewało się ciężkie, późnoczerwcowe powietrze niosące ze sobą zapowiedź nadchodzącej nawałnicy. Firanka poruszała się niespokojnie.

– Wiesz, że bardzo nam wszystkim przykro – wybełkotał komendant Jaroszewski. Podał Lambergowi wielką dłoń do uściśnięcia. Sprawiał wrażenie zażenowanego całą sytuacją i nieustannie odwracał wzrok, kierując go w stronę zdjęć przedstawiających poszukiwane osoby. Nie można mu się było zresztą dziwić i Lamberg to rozumiał. Trudno jest powiedzieć coś sensownego w obliczu tego, co się wydarzyło.

– Mam nadzieję, że dajesz sobie jakoś radę – kontynuował Jaroszewski i urwał, ponieważ Lamberg wszedł mu w słowo.

– Muszę dokładnie przejrzeć wszystkie akta poważniejszych spraw z ostatnich sześciu miesięcy, a nawet roku – stwierdził stanowczo. – Oraz wszystkie zgłoszenia, kopie notatek, jednym słowem, co się da.

Jaroszewski odpowiedział wydłużającym się niepokojąco milczeniem. Widać było, że nad czymś myśli. Potem przyjrzał się uważnie twarzy Lamberga.

– Źle wyglądasz – rzekł. – Powinieneś być jeszcze na zwolnieniu.

– Rozumiem – rzucił Lamberg – że jest to odpowiedź odmowna?

– Każda z tych spraw została już przydzielona konkretnym śledczym. Mówię o zabójcy z kościoła, ukrzyżowaniu turystek, wypadku z udziałem wiozącego dzieci autokaru i masakrze Damięckich. Te śledztwa zostały przejęte przez specjalne zespoły z Komendy Głównej Policji. Każdy z nich został powołany do poszczególnych spraw i z tego, co wiem, nie ma najmniejszych podstaw, aby sądzić, że może łączyć je cokolwiek.

– A ukrzyżowanie? – zdumiał się Lamberg. – Trąbili o tym w telewizji. Trzy turystki przybite do drzew w lesie za nogi i za ręce za pomocą wielkich gwoździ. Dziwne symbole wycięte na ich nagich ciałach ostrym narzędziem.

Czy to nie łączy się ze sprawą Damięckich? Tam również na wigilijnym obrusie namalowano znak, posługując się krwią jednego z dzieci. Widziałem rekonstrukcję tego symbolu na pierwszej stronie „Nowinek Wałbrzycha”. Inna sprawa, ciekawe, skąd „Nowinki” wzięły tę informację. Pewnie ktoś się wzbogacił. Komendancie, to symbol Ahnenerbe.

Komisarz uśmiechnął się lekko, choć wydawało się to nie na miejscu, gdy rozmawia się o takich sprawach. W tym momencie Lamberg intuicyjnie wyczuł w swoim rozmówcy coś niepokojącego. Jaroszewski bał się. Panicznie bał się czegoś, choć dobrze to maskował.

– Spekulacje – podsumował słowa Lamberga. – Domysły. Sam wiesz, ile warte są pogłoski i informacje z gazet. Dziwi mnie, że ty, policjant, w ogóle bierzesz te doniesienia z brukowców za godne uwagi. W pracy policyjnej liczą się fakty.

– Dlatego chciałbym mieć znów dostęp do akt spraw. Zdjęć. Protokołów przesłuchań świadków. Czemu nagle nasilenie tych zdarzeń nastąpiło, od jesieni poczynając? Wcześniej nie wzbudziło to naszych podejrzeń. Być może do miasta przyjechał ktoś, kto za tym wszystkim stoi.

– Posłuchaj – odrzekł komisarz Jaroszewski. Z jego twarzy nagle spadła maska wyważonej jowialności. Uniósł się lekko, wspierając dłońmi o blat biurka. Wbił w Lamberga zimne spojrzenie. – Tłumaczę ci przecież, że nie ma tutaj żadnych akt. Wszystko zabrali ludzie z KGP. To oni przejęli śledztwa. Nic nie łączy sprawy ukrzyżowania turystek z masakrą Damięckich. Jedno to napaść na tle sadystycznym, z tego, co wiem, wytypowano już podejrzanego zbiega z zakładu dla umysłowo chorych w Międzyrzeczu. Drugie to zbrodnia wywołana zadawnionymi sąsiedzkimi porachunkami. Takie rzeczy się zdarzają. Nic mi nie wiadomo o jakichś symbolach, a gdybym się nimi interesował, byłbym magiem albo historykiem sztuki. Autobus wypadł z drogi, ponieważ było ślisko, a hamulce zawiodły. Fakt, że wydarzenia te miały

miejsce od ubiegłej jesieni do wiosny tego roku, o niczym nie świadczy. Jesteś zmęczony i przeżyłeś tragedię. Jesteś nadal w szoku. Wysyłam cię na płatny urlop, czy tego chcesz, czy nie. Nie możesz w tym stanie prowadzić jakichkolwiek czynności.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz – oznajmił stanowczo Lamberg.

Komendant gwałtownie poczerwieniał i spuścił wzrok. Dłonie lekko mu drżały.

– Do cholery! – wybuchnął. – Tak ciężko ci pojąć najprostsze spawy? Pamiętasz historię tego pismaka, studenta, który prowadził bloga? Tego Piotrowskiego? Wypisywał niestworzone rzeczy, bzdury jakich mało. Te jego teorie o Wałbrzychu i tajemnicach Gór Sowich...Czytałem to nawet swego czasu. Każdy jego kolejny pomysł był bardziej dziwny od poprzedniego. Pisał o ludziach z głowami wilków, bestiach grasujących w lasach, hitlerowskich wynalazkach, przybyszach z innego świata, dziwnym promieniowaniu, skarbach ukrytych w podziemiach, no i oczywiście o wampirzycy. Twierdził, że wszystkie te tajemnice istnieją nadal, że są ludzie, którzy o nich wiedzą i strzegą ich, nazywając siebie Werwolfem. Oczywiście, to stek bzdur, żadnego Werwolfu już nie ma, a ludzie, którzy go pamiętają, jeśli jeszcze jacyś pozostali, są teraz pewnie po dziewięćdziesiątce. Pewnego dnia chłopak po prostu zniknął bez śladu. Długo go szukaliśmy, w końcu trzeba było umorzyć śledztwo. Przepadł jak kamień w wodę.

– Czemu mówisz o nim właśnie teraz? – spytał powoli i z namysłem, chociaż oczywiście doskonale rozumiał ukryte w słowach zwierzchnika ostrzeżenie. Chciał jednak upewnić się, że trafnie wyczuł targające komendantem emocje. Był to już pewien trop, mogący mieć znaczenie w sprawie.

– To tylko taki przykład – zmieszał się Jaroszewski. – Przenośnia. Chodzi mi o to, że czasem lepiej jest pilnować swojego nosa. Chłopak chciał

wiedzieć za dużo i widać spotkało go coś złego. Nie zrozum mnie źle. Nie uważam, że w tym, co pisał, mogło kryć się jakieś ziarno prawdy. Gdybym tak sądził, byłbym równie stuknięty jak on. Nie myślę też wcale, że komuś się naraził. Po prostu przytrafił mu się wypadek, bo poszedł włóczyć się gdzieś, gdzie nie powinien, zamiast siedzieć z matką w domu. Zgubiła go wybujała wyobraźnia, ot i wszystko. Więc odpuść sobie to śledztwo. Zostaw je innym, lepszym od nas.

2.

Lamberg bez słowa opuścił gabinet komendanta, zaniepokojony tą dającą do myślenia wymianą zdań. Przebywał na przymusowym urlopie i wydawało się, że niewiele będzie mógł zdziałać w sprawie schwytania zabójcy. Czuł się bezradny. Wyszedł z komendy, zamykając za sobą z hukiem ciężkie, drewniane drzwi. Na ulicy kręcili się liczni przechodnie, dochodziło południe.

Niebo zasnuwały chmury. Po ulicy hulał wiatr, niosąc ze sobą tumany pyłu porwanego z pobliskiej budowy. Wielkie krople deszczu zaczynały spadać tu i ówdzie na ziemię, zmuszając jednych do otwarcia parasoli, a innych do szybszego kroku. Nagle Lamberg uświadomił sobie fakt na pozór zupełnie prozaiczny. Od jesieni ubiegłego roku pogoda była szczególnie nieprzyjazna. Jesień deszczowa, zima ostra i bardzo wietrzna, a wiosna – z wyjątkiem chyba tego jednego, jedyne dnia tragedii w kościele – mocno burzowa. Ostatnimi czasy przyroda wydawała się jakby wytracona z równowagi, a, co najdziwniejsze, anomalie zdawały się dotyczyć szczególnie Góry Sowie. Zdał sobie sprawę, że śledząc prognozy pogody, nieraz zdumiewało go skupienie negatywnych zjawisk atmosferycznych właśnie w tej okolicy. Przypomniał mu się widziany kiedyś w telewizji program o Trójkącie Bermudzki. Tam ponoć również zdarzały się zupełnie niewyjaśnione, zaskakujące meteorologów

anomalie pogodowe.

Szedł tak przez pewien czas pogrążony we własnych myślach. Piotrowski... tak, to nazwisko i jemu coś mówiło. Był kimś w rodzaju niezależnego badacza tajemnic i zjawisk paranormalnych. Kiedyś i on sam wszedł na jego bloga, lecz wówczas przeczytał zaledwie fragment i zrezygnował. Zawarte tam teorie wydawały mu się stanowczo zbyt wymyślne i fantastyczne. Potem strona zniknęła, a niebawem matka zgłosiła na komendzie zaginięcie chłopaka.

Nagle Lamberg uniósł wzrok i na moment zamarł. Na końcu ulicy dostrzegł dwie znajome sylwetki. Kobietę i dziecko. Znajdowali się jakieś sto metrów od niego, jednak w sposobie ich poruszania się było coś, co sprawiło, że serce niemal podeszło mu do gardła. Rzucił się pędem w tamtym kierunku, roztrącając grupkę zaskoczonych przechodniów, a następnie przy akompaniamencie klaksonów przebiegł poprzeczną ulicę.

– Monika! Paweł! – wrzasnął, chociaż wiedział, że to nie są oni, że to nie mogą być oni. Kobieta ubrana była identycznie jak jego żona w dniu, w którym zginęła. Podobnie towarzyszący jej chłopiec, miał taki sam jasny garniturek jak Paweł. Wydawało się, że nie słyszą jego nawoływań, zresztą rzeczywiście mogło tak być, ulicą cały czas przejeżdżały hałasujące samochody.

– Monika! Paweł! – zawołał ponownie. Nagły żal i poczucie straty ścisnęły jego krtań, łzy niemal napłynęły mu do oczu. Przechodnie zaczęli się zatrzymywać, spoglądając na niego, jakby postradał zmysły. Tymczasem kobieta i dziecko zniknęli za rogiem. Gdy dobiegł wreszcie w tamto miejsce i znalazł się w wąskiej uliczce między starymi kamienicami, nie było już po nich śladu.

– Przepraszam – zagadnął starszą kobietę niosącą zakupy i trzymającą w ręce otwarty parasol. – Nie widziała pani odświętnie ubranej kobiety oraz chłopca?

Ta przyjrzała mu się uważnie.

– Nikogo nie widziałam – odparła.

– Musiałem się pomylić – wyjąkał zmieszany Lamberg. Był mocno roztrzęsiony i starsza kobieta musiała to dostrzec. Przyjrzała mu się.

– Czy... te osoby, które pan widział, są dla pana ważne? – zapytała.

Skinął głową. Gula utkwiała mu w gardle, ale zdołał odpowiedzieć:

– Tak, bardzo ważne.

– Rozumiem...

– Oni odeszli... Nie ma ich już... – Poczł, że ma łzy w oczach i szybko dodał: – Przepraszam.

– Nie szkodzi – odparła cicho staruszka. – Oni czasem nas odwiedzają.

Lamberg spojrział na nią, ale ona tylko się uśmiechnęła. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, więc skinął jej głową i pomału ruszył w stronę swojego osiedla.

Mieszkał w bloku, na piątym piętrze, kilka ulic od kościoła, w którym doszło do masakry. Zastanawiał się, czy kobieta i chłopiec, których ujrzał, rzeczywiście mogli być Moniką i Pawłem. Wiele razy słyszał rozmaite opowieści o duchach, ale niezbyt w nie wierzył. Pomimo swojej wyczulonej intuicji, był przekonany, że zmarli po śmierci odchodzą gdzieś daleko, do innego świata, w którym otrzymują karę lub nagrodę za swoje uczynki. W takiej tradycji był wychowany. Przeszło mu wtedy pierwszy raz przez myśl, że dusze Moniki i Pawła mogą nadal w pewien sposób mu towarzyszyć, zwłaszcza jeśli istnieje coś ważnego, o czym chciałyby mu powiedzieć. Tak mogło być w istocie, ponieważ od samego początku przeczuwał, że ta sprawa jest zupełnie inna niż wszystkie.

* * *

Wiara, że Monika i Paweł nadal w pewien sposób są obecni pośród żywych, a nawet trwają przy nim, w dużym stopniu dodała Lambergowi sił. Wszystko,

co sprawdza się w działaniu, jest prawdziwe, a celem Lamberga stało się teraz wyjaśnienie zagadki, schwytanie zbrojcy i wymierzenie sprawiedliwości. Nie miało przy tym znaczenia, czy przeświadczenie o obecności duchów odpowiadało faktycznemu stanowi rzeczy – być racjonalnym czy żyć nadal – oto problem, przed którym obecnie stanął. Po namyśle wybrał to drugie.

Zmierzch pomału zaczął zakradać się do opustoszałego mieszkania, w którym siedział Lamberg. Kiedyś było ono pełne życia, jasne, wesołe. Tamte dni odeszły jednak w niepamięć, zostały przekreślone przez jedno niespodziewane zdarzenie – „rzeź niewiniątek” w wałbrzyskim kościele. Gdzieś w oddali metalicznie szczęknęła winda, dało się słyszeć odległe głosy zmierzających do swoich mieszkań lokatorów. Dalekie śmiechy dochodzące do jego uszu zdawały się potęgować jeszcze poczucie wyobcowania ze świata, w którym ludzie mogą pozwolić sobie na luksus cieszenia się... lub martwienia z błahych powodów. Deszcz uporczywie wtórował jego rozmyślaniom, spływając po szybach mieszkania, szumiąc, kapiąc i stukając o parapet.

Lamberg myślał intensywnie nad sprawą, rozważał różne za i przeciw. Po rozmowie z komendantem utwierdził się w przekonaniu, że Góry Sowie skrywają tajemnicę i to być może niejedną. W fakcie, że ponurymi zbrodniami, jakie rozegrały się na przestrzeni ostatniego półrocza, zainteresowali się policjanci z KGP, nie było nic nadzwyczajnego. Czasem, w przypadku szczególnie trudnych lub poważnych spraw, tak właśnie się dzieje. Komenda Główna wyznacza wtedy zespół specjalistów, którzy współpracują z lokalną policją. W tym przypadku Lamberg nie mógł oprzeć się wrażeniu, że żadnej współpracy nie będzie, a sprawy zostały przejęte jedynie po to, by ukreślić im łeb i jak najszybciej zamknąć. Wrócił myślami do przerażającej zbrodni dokonanej jeszcze przed wydarzeniami w kościele, zdawałoby się bezmyślnym

i okrutnym mordzie dokonany na młodym człowieku, przybitym do drewnianej podłogi we własnym pokoju, z ciałem ułożonym tak, by przypominało jakiś symbol. Wówczas to on jako pierwszy zaczął mówić głośno o tym, czego wszyscy zdawali się nie dostrzegać. To on zaczął przeczesywać Internet, przeglądając setki magicznych symboli i znaków. Wreszcie znalazł to, czego szukał – symbol Ahnenerbe, tajnej, nazistowskiej, okultystycznej organizacji. Sądził po prostu, że jakiś pomyleniec inspirowane nieistniejącym już kultem. Powiedział o swoich domysłach komendantowi. Choć nie mógł postąpić inaczej, być może właśnie to było błędem. Nazajutrz sprawa została przejęta przez Komendę Główną Policji wraz z całą związaną z nią dokumentacją. Zapanowała zмова milczenia i z tego, co wiedział, winnego lub winnych do tej pory nie schwytano.

Takich zastanawiających zdarzeń było więcej, na przestrzeni kilku lat popełniono kilka morderstw, których tropy wiodły zawsze w stronę zapomnianych podziemi, opuszczonych fabryk, cieszących się złą sławą domów, do których nikt nie miał najmniejszej ochoty się zapuszczać. Lamberg odnosił wrażenie, jakby wszystkie te tragedie były w jakiś sposób lepkie, brudne, i każdy ze śledczych nie drążył ich nigdy zbyt głęboko, niejako bojąc się zabrać część kryjącego się za nimi zła ze sobą, do swojego domu i rodziny. Tak – Lamberg poczuł, że właśnie znalazł właściwe słowo – to było jak klątwa.

Zastanawiał się, co mógłby teraz zrobić. Odsunięty od śledztwa, które w dodatku zostało przekazane śledczym spoza Wałbrzycha, na pierwszy rzut oka mógł działać niewiele. Gdyby był to film sensacyjny lub powieść, mógłby spróbować pojechać do Warszawy, podszyć się pod kogoś, kto rzekomo posiada upoważnienie komendanta i przejrzeć akta. Może mógłby nawet spróbować znaleźć hakera, który dałby radę dostać się do bazy danych KGP, do materiałów skatalogowanych w postaci cyfrowej. W rzeczywistości

jednak takie sztuczki byłyby błyskawicznie wykryte, a on sam znalazłby się w poważnych tarapatach. Posiadał jednak pewien atut. Zaangażowanie. Postanowił dobrze to wykorzystać.

Praca policjanta, jaką znamy z filmów sensacyjnych oraz powieści kryminalnych, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Wszystkie opowieści o śledzących złoczyńców funkcjonariuszach są nacechowane sporą dawką utopii. W rzeczywistości policjant to zawód jak każdy inny. Pracuje się w określonych godzinach, wykonując wyznaczone przez przełożonego czynności. Liczy się praca papierkowa, trzymanie się procedur oraz statystyki. Policjant nie jest zapatrzonym w rozwikłanie kryminalnych zagadek idealistą. Szczególnie jeśli pracuje w policji trochę dłużej. W pracy stróża prawa liczy się zgłoszenie. Świadkowie. Okoliczności. Notatka. Postawienie zarzutów. Nikt nie traktuje prowadzonych spraw osobiście.

Może dlatego często są tacy nieskuteczni – pomyślał Lamberg. Może właśnie tego brakuje w każdej z tych nierozwikłanych spraw – aby ktoś pojechał na miejsce zdarzenia i nie wracał stamtąd, dopóki czegoś nie ustali lub nie znajdzie. Może aby rozwikłać zagadkę, należy zrobić coś więcej, niż jedynie przejść się tam i z powrotem w towarzystwie prokuratora, zrobić kilka zdjęć czy pobrać odciski palców. Kłopot w tym, że sam nie wiedział, czym właściwie miałyby być to coś.

Nagle usłyszał jakiś odgłos, który go zaniepokoił. Wstrzymał oddech. Z kuchni dobiegł szelest jakby delikatnego materiału ocierającego się o mebel. Był pewien, że drzwi do mieszkania starannie zamknął na klucz. Ze względu na deszcz okna również były pozamykane, nie licząc tego jednego, lekko uchylonego u góry, w pokoju, w którym właśnie siedział. Poza tym to nie był parter ani nawet pierwsze piętro. Nikt nie dałby rady dostać się do mieszkania oknem.

A jednak szelest znów się powtórzył, teraz jakby nieco bliżej przedpokoju.

Dołączył do niego odgłos tak delikatny, że Lamberg nie zdziwiłby się zupełnie, gdyby był wytworem jego wyobraźni. Ciche skrzypnięcie panelu podłogowego, tak jakby ktoś przemieszczał się bardzo ostrożnie i celowo w stronę pokoju, w którym on się znajdował.

Lamberg wstał z fotela najciszej, jak potrafił. W mieszkaniu panował półmrok, paliła się jedynie mała lampka, roztaczająca wokoło krąg żółtego światła. Rozejrzał się za improwizowaną bronią, lecz nie potrafił niczego naprędce znaleźć. Wziął więc jedynie w dłoń ciężką popielniczkę i, jak mógł najciszej, podniósł się z fotela.

Zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę przedpokoju. Stał już niemal w takim miejscu, że gdyby wychylił głowę, mógłby do niego zajrzeć. Nie miał jednak odwagi tego uczynić. Nasłuchiwał, a serce biło mu coraz mocniej. Może zdawać się dziwne, że delikatny szelest dobiegający z kuchni wprowadził w tak wielki niepokój rosłego, postawnego mężczyznę, który w dodatku był policjantem. Jednak w istocie Lamberg nie przestraszył się możliwości, że w kuchni lub w przedpokoju czeka na niego uzbrojony bandyta. Od tamtej chwili, gdy stracił żonę i syna, praktycznie opuścił go lęk przed śmiercią. Nie obawiał się szczególnie, że ujrzy tam kogoś w kominiarce trzymającego w ręce łom, nóż czy jakikolwiek inny niebezpieczny przedmiot. Jakąś częścią swojej duszy lękał się natomiast, że mógłby to być ktoś inny.

Ten szelest. Suknia ocierająca się o mebel. Spędziliśmy w tym mieszkaniu razem ładnych parę lat i może wcale nie jestem w nim zupełnie sam, tak jak mi się wydaje – pomyślał nagle. Fakt, że przestraszyłby się własnej żony i dziecka, chociażby wracających jakąś niepojętą mocą zza grobu, byłby jednak jeszcze bardziej irracjonalny niż to, że w stan lęku wprowadziły go delikatny szelest i skrzypienie.

Przyczyna przyspieszonego bicia jego serca leżała gdzie indziej. Jeśli jego żona i syn w jakiś sposób dawali mu znaki, mogło to oznaczać, że

potrzebowali jego pomocy, że nadal nie zaznali spokoju i znajdowali się w niebezpieczeństwie. Ich śmierć była tragiczna i nie miała nic wspólnego ze spokojnym rozstaniem się z tym światem. Była pełna bólu, strachu, rozpacz i zupełnie niespodziewana.

Zebrał się w sobie i wszedł do przedpokoju. Zapalił szybko światło i rozejrzał się. Panował bałagan, na podłodze leżało kilka porzucanych butów. Przykręcony do ściany wieszak na ubrania był wyraźnie przeładowany, należałoby część ubrań przenieść do garderoby. Natomiast drzwi szafy były lekko uchylone. Lamberg przełknął ślinę, podszedł do mebla, lewą ręką otworzył gwałtownym ruchem drzwi i zajrzał do środka. Oprócz rzędów ubrań nie znalazł w niej nikogo. Mimo to było coś, co sprawiało, że jego serce nadal biło szybko. Coś nieuchwytnego, jakaś dziwna zmiana, jaka zaszła w mieszkaniu. Odnosił wrażenie, jakby pewne przedmioty, jak na przykład buty rozrzucone po podłodze czy pamiątkowe bibeloty spoczywające na małej, stojącej pod ścianą szafce zmieniły nieznacznie swoje położenie.

Atmosfera mieszkania była w pewien sposób naruszona, i nagle Lamberg pojął wreszcie dlaczego. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny, lecz charakterystyczny zapach perfum marki Celine Dion, których używała jego żona. Sam kupował jej właśnie ten zapach w prezencie, ponieważ wiedział, że go uwielbia. Być może subtelny zapach unosił się tu cały czas, a ja po prostu dopiero teraz zwróciłem na to uwagę – pomyślał.

Wszedł prosto do kuchni. Zapalił światło. Była to mała kuchenka, pozbawiona zakamarków, w których ktoś mógłby się skryć. Można było ją z łatwością ogarnąć jednym spojrzeniem. Miał jeszcze do sprawdzenia pokój Pawła oraz ich sypialnię.

Najpierw poszedł do pokoju chłopca. Wszystko było tutaj po staremu, Lamberg nie zdobył się na to, by cokolwiek zmienić. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby czekało na powrót dziecka. Na ścianie wisiały plakaty z piłkarzami

reprezentacji Polski, Lewandowskim i Błaszczykowskim. Na kredensie stały zdjęcia chłopca. Na niektórych był ubrany w strój piłkarski. Na innych, wykonanych na tle jeziora, trzymał wędkę. Jedno z nich stało inaczej niż zawsze, jakby ktoś celowo je przestawił.

Lamberg wziął je do ręki. Zostało zrobione podczas spaceru po mieście. Pamiętał, że Paweł upierał się wówczas, żeby poszli na zapiekankę z pieczarkami, z dużą porcją ketchupu i surówki. Takie uwielbiał najbardziej. Nagle spostrzegł coś niepokojącego. Z początku sądził, że jest to po prostu plama na szkle i spróbował zetrzeć ją palcem. Bez skutku. Poczł chłodny ucisk w żołądku.

Zdjęcie zrobili właśnie w pobliżu kościoła, w którym doszło do masakry, jakieś kilka tygodni przed zdarzeniem. Ukazywało ono wypełniony przechodniami plac. Pogoda owego dnia była dość spokojna, co na przestrzeni ostatnich miesięcy stanowiło swoisty ewenement. Przechodnie mieli więc na sobie porozpinane, lekkie przeciwdeszczowe kurtki, a niektórzy sportowe bluzy lub nawet koszulki z krótkimi rękawami.

Na drugim planie widać było jednak ciemny zarys ludzkiej postaci, jakby rozmyty. Był to albo błąd, co w przypadku fotografii cyfrowej występuje rzadko, albo ktoś tam rzeczywiście stał, ktoś, kogo aparat uchwycił jedynie częściowo. Lamberg usilnie starał się przywołać w pamięci tamtą chwilę. Niemal usłyszał otaczające ich wówczas śmiechy i te słowa, które padły z mijającej ich grupki gimnazjalistów: „I chuj. Nie ma sieci”.

Kiedy doszło do tragedii, jego telefon również wykazał brak zasięgu. To wszystko było bardzo zastanawiające i Lamberg nie wiedział, czy może istnieć coś, co łączy ze sobą wszystkie te spostrzeżenia. Jednak fotografia nie dawała mu spokoju. Wyjął ją ostrożnie z ramki, jak wyjmując się relikwię. Przyszło mu bowiem do głowy, że między szkło a zdjęcie coś się dostało. Znów delikatnie potarł palcem fotografię, wyczuwając jej śliską fakturę. Dziwna zmiana,

przypominająca wydłużoną, lekko rozmytą ludzką postać nie zeszła. Stanowiła ona zatem część obrazu, który został uwieczniony. Lamberg natomiast nie przypominał sobie, by spostrzegł owego dnia cokolwiek niepokojącego, nieprzystającego do otoczenia. Zdawało mu się, przynajmniej na tyle, na ile potrafił cofnąć się pamięcią, że w miejscu, w którym na zdjęciu widniała owa skaza, nie było widać nikogo.

Lamberg włożył z powrotem zdjęcie do ramki i ostrożnie odstawił na półkę. Wyszedł z pokoju Pawła i skierował kroki do sypialni. Znajdował się tam sporych rozmiarów kredens. Policjant otworzył jedną z szuflad i wydobyl z niej album z rodzinnymi zdjęciami. Mieli ich bardzo dużo, większość w postaci cyfrowej na komputerze, ale część z nich postanowili wywoływać, przynajmniej te najbardziej udane.

Zabrał ze sobą album, poszedł do kuchni. Zrobił sobie mocnej kawy, a z szuflady wyciągnął paczkę papierosów. W trudnych sytuacjach nałóg, choć paskudny dla zdrowia, pomagał mu skupić myśli. Tak wyposażony powrócił na fotel w salonie. Zależało mu na tym, aby odszukać więcej wywołanych zdjęć z tamtej wycieczki. Było ich zaledwie kilka, ponieważ większość znajdowała się w komputerze. Obejrzał je wszystkie, pomagając sobie nawet lupą. Nigdzie indziej nie dopatrywał się tajemniczej skazy.

Zdecydował, że dla świętego spokoju przejrzy jeszcze inne zdjęcia, te, które są na twardym dysku komputera. Usiadł przy stole i włączył laptop. Zdjęć było kilkadziesiąt. Przedstawiały one Pawła w różnych ujęciach, wskazującego na coś palcem, stojącego przed sklepową wystawą, siedzącego na schodkach zabytkowej kamienicy. Obydwaj lubili fotografowanie i stanowiło ono urozmaicenie wspólnych spacerów.

Policjant przypatrywał się dokładnie każdej fotografii, popijał mocną kawę i zaciągał się papierosem. Była to nie tylko pewnego rodzaju sentymentalna podróż w czasie, którą musiał jakoś przetrwać, lecz również praca śledcza.

Lamberg miał znów to swoje charakterystyczne przecucie, że może być na właściwej drodze, że oto czubkami palców niejako schwycił długą nić, której drugi koniec tonie gdzieś w mroku.

Istniała możliwość, że gdzieś tam, w tym przemykającym na drugim planie tłumie ludzi mógł być zabójca. Szansa, że uchwycił go przypadkowo obiektyw aparatu, była niewielka, ale istniała, a Lamberg nie miał chwilowo lepszego pomysłu. Na tej analizie spędził przeszło pół godziny i miał już zrezygnować, gdy pewien szczegół znów przykuł jego uwagę.

W prawym górnym rogu jednego ze zdjęć, na dalszym planie, widać było ciemną, zaparkowaną przy ulicy furgonetkę. Wydawała się ona dość niewyraźna, lecz mogła to być po prostu kwestia odległości. Inna natomiast rzecz zdumiała Lamberga w najwyższym stopniu. Z furgonetki coś wystawało.

Wyglądało to trochę tak, jakby przyklejono do niej połowę człowieka. Lambergowi nie przychodziło do głowy żadne lepsze określenie na to, co widział. Zrobił duże zbliżenie, aż piksele stały się bardzo mocno widoczne. Przechodzień jak gdyby nigdy nic wchodził w furgonetkę. Nie wchodził do niej, a raczej przechodził przez nią.

Lamberg wpatrywał się przez chwilę w to dziwaczne odkrycie, którego właśnie dokonał. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mu do głowy, to błąd techniczny. Jeszcze raz przejrzał wszystkie zdjęcia, starając się znaleźć najbliższe czasowo ujęcie. Miał taki zwyczaj, że robiąc fotografie, pstrykał kilka razy, w krótkich odstępach czasu. Nieraz bardzo pomagało to odnaleźć najlepsze ujęcie, zwłaszcza gdy ktoś zamykał odruchowo oczy. Jego canon był nawet wyposażony w automatyczną funkcję wykonywania serii szybkich zdjęć.

Po chwili odnalazł to, czego szukał. Kolejne zdjęcie, wykonane chwilę potem, przedstawiało tego samego przechodnia, wyłaniającego się tym razem z przodu ciemnej furgonetki. Wyglądało to tak, jakby ów człowiek przeniknął przez nią, w ogóle nie zauważając jej istnienia.

Lamberg opadł na oparcie krzesła. Coś tu było nie tak. Być może przyczyna tkwiła w jego aparacie. W głowie kotłowała mu się jeszcze inna myśl, która zdawała się zlepiać wszystko w niewiarygodną całość. Postanowił przejrzeć ostatnie zdjęcia zachowane w pamięci canona, którego wówczas miał przy sobie, a który niemal cudem przetrwał, gdy Lamberg nadludzką siłą został ciśnięty między kościelne ławki. Nie uczynił tego wcześniej, ponieważ nie mógł się na to zdobyć. Był to zapis ostatnich chwil życia jego żony i syna.

Przemógł się jednak. Poszedł po aparat i zaczął przeglądać zdjęcia. Po chwili jego niepokój wzrósł jeszcze bardziej. Na zdjęciach widać było plecy owego tajemniczego człowieka, którego obecność tak go zaniepokoiła. Na kolejnych ujęciach stał coraz bliżej, zupełnie jakby podchodził pod ołtarz niepostrzeżenie, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Jego postać utrwalona na fotografiach była lekko przezroczysta. Sam Lamberg uświadomił sobie, że spostrzegł go właściwie w ostatniej chwili, jakby przybysz pojawił się nie wiadomo skąd. Dlaczego nie zauważył go wcześniej?

Postanowił, że przemyśli tę sprawę dokładnie jeszcze tej nocy. Zastanowi się nad nią w drodze, zamierzał bowiem nie czekać i pojechać pod kościół, w którym doszło do masakry.

Miał dziwne przeczucie, że noc może okazać się długa i ciężka. Zjadł na siłę kolację, ubrał nieprzemakalną ortalionową kurtkę z kapturem. Po Wałbrzychu często poruszał się na piechotę, ale tym razem, ze względu na deszczową pogodę, postanowił pojechać na miejsce swoim kilkunastoletnim oplem.

Miał już wyjść, gdy naszła go dziwna myśl. Mógłby, jak miał to w zwyczaju, spróbować poradzić się Biblii. Czasem ten sposób zasięgania informacji, który niegdyś zdradziła mu jego matka, przynosił zadziwiające rezultaty, czasem jednak nie dawał żadnej odpowiedzi. Była to zresztą, jak dowiedział się Lamberg, dość znana praktyka nosząca nazwę bibliomancji.

Podszedł więc do półki, z której wziął sfatygowany już mocno egzemplarz pełen zrobionych przez niego zakładek. Otworzył na chybił trafił, powiódł palcem i zatrzymał go na przypadkowym wersecie. Mówił on o tym, jak Jezus wszedł do Wieczernika po zmartwychwstaniu, czym zaskoczył niezmiernie uczniów, ponieważ drzwi były porządnie zaryglowane. Lamberg myślał przez chwilę, i szczerze mówiąc, nie przyszedł mu do głowy żaden związek, jaki opisywany fragment mógłby mieć ze sprawą. Być może chodziło o to, aby nadal zachować wiarę i drążyć sprawę, ponieważ prawda i tak w końcu wyjdzie na jaw.

Po chwili wahania wcisnął egzemplarz Biblii do obszernej kieszeni kurtki, mając nadzieję, że Bóg w ten czy inny sposób jednak się do niego odezwie. W drugą kieszeń włożył latarkę.

3.

Było już po dwudziestej drugiej, gdy Lamberg zaparkował wóz na jednej z bocznych uliczek. Deszcz przybierał na sile. Właściwie nie miał zielonego pojęcia, po co tu przyjechał i co spodziewał się odnaleźć, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Kierowała nim intuicja, lecz również nagła potrzeba rozejrzenia się po okolicy. Skaza na zdjęciu nie dawała mu spokoju, podobnie jak podejrzana furgonetka, przez którą przenikał przechodzień.

Wysiadł i zamknął za sobą auto, zapiął mocniej ortalionową kurtkę i nałożył kaptur. Wiatr spływający z gór był wyjątkowo zimny, zdawał się pochodzić jakby z innego świata. Policjant ruszył wąską uliczką między zabytkowymi, starymi kamienicami. Tu i ówdzie w mieszkaniach paliły się światła. Gdzieś zaszczekał zaniepokojony pies.

Idąc ulicą, minął patrol trzech policjantów uzbrojonych w broń automatyczną i ubranych w kamizelki kuloodporne. Środki masowego przekazu

nawoływały mieszkańców, by nie dawali ponieść się panice, lecz widok uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy temu przeczył. W całym mieście obowiązywały podwyższone środki bezpieczeństwa. Lamberg żadnego z policjantów nie znał osobiście, musieli rekrutować się z posiłków przysłanych przez Wrocław. Zatrzymali Lamberga i wylegitymowali. Zostawili go w spokoju dopiero wtedy, gdy pokazał im odznakę.

Był już w pobliżu placu, na którym znajdował się kościół. Ogarnął go nagły niepokój przed konfrontacją z tym miejscem, obawiał się, że straszne wspomnienie znów zmaterializuje się przed jego oczami jak żywe. Wtedy właśnie w jego głowie z całą wyrazistością pojawiła się myśl – tak oczywista, że aż przystanął.

Zasadnicze pytanie w tej sprawie brzmiało: w jaki sposób mordercy udawało się uciec? Owszem, niewiele wiedział o okolicznościach poszczególnych śledztw, od ukrzyżowania turystek poczynając, a na okrutnym mordzie rodziny Damięckich kończąc, ponieważ szczegóły tych mrozących krew w żyłach zdarzeń konsekwentnie były utrzymywane w tajemnicy. Było to paradoksalne, że on, pracujący w Wałbrzychu policjant, więcej informacji czerpał z rządnych sensacji gazet oraz telewizji i Internetu. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że mogą być to wiadomości w wysokim stopniu wypaczone, a jednak mocno działały na jego wyobraźnię i kierowały jego myśli w stronę najmroczniejszego zła, którego istnienia powoli się domyślał. Jednak nie trzeba było posiadać w tej sprawie szczególnych informacji, by zacząć się nad tym wszystkim zastanawiać. Jak to możliwe, że w dzisiejszych czasach uciekający z miejsca masakry zabójca nie został uchwycony w obiektywach dziesiątek kamer należących do sklepów, stacji benzynowych, bankomatów i zamontowanych w prywatnych domach i samochodach? Jak to możliwe, że telewizja nie podała do wiadomości jego dokładnego rysopisu, że na wszystkich kanałach oraz na portalach internetowych nie wyświetlały się

zdjęcia poszukiwanego, które przecież musiały zostać zrobione przypadkiem, wtedy, w kościele przez wiele osób?

Lamberg owładnęło nagle przeczucie, że właśnie tutaj tkwi sedno zagadki. Policja zapewniała w mediach, że robi wszystko, aby ująć mordercę. Z pewnością tak było, Lamberg był pewien, że przeczesano las przy pomocy psów tropiących, sprawdzono kamerami termowizyjnymi, a policjanci przesłuchali dziesiątki, jeśli nie setki osób, lecz nie ustalili niczego konkretnego, ponieważ być może relacje świadków były sprzeczne, a niektóre nawet... niedorzeczne. Oto paradoks: z jakiegoś powodu nikt nie wiedział, jak człowiek, którego widziało mnóstwo osób, wygląda. Było to absurdalne, lecz Lamberg był pewien, że w istocie tak musi być – w przeciwnym razie portret mordercy wisiałby nawet na drzwiach toalet w restauracjach. Może facet ma coś, co utrudnia zrobienie mu zdjęcia – pomyślał Lamberg. Skoro istniały urządzenia zakłócające działanie telefonów komórkowych, to dlaczego nie miałyby istnieć urządzenia zakłócające pracę obiektywów kamer i aparatów fotograficznych? Ta teoria jednak była niekompletna. Przecież musieli zobaczyć go jacyś świadkowie, a ludzkiego wzroku chyba nie da się zakłócić. Policjant pomyślał o artykule, który kiedyś przeczytał w „Męskim Punkcie Widzenia”. Było to co prawda czasopismo mało wiarygodne, wypełnione w dwóch trzecich zdjęciami samochodów, na które nigdy nie będzie go stać, oraz skąpo ubranych panienek, lecz ten artykuł zainteresował go. Można było w nim przeczytać, że armia amerykańska pracuje nad prototypowym mundurem, będącym doskonałym kamuflażem. Mundur za pomocą światłowodów wyświetlał obraz znajdujący się za plecami żołnierza, dzięki czemu stawał się on praktycznie niewidzialny. A jeśli morderca ma skądś taki mundur?

Znalazł się na niewielkim, opustoszałym rynku, pośrodku którego stał kościół, miejsce „rzezi niewiniątek”. Był oczywiście zamknięty do odwołania,

a w sprawie jego ewentualnego ponownego udostępnienia dla wiernych dało się słyszeć najrozmaitsze pogłoski. Niebawem akt profanacji zaowocował mszami ekspiacyjnymi w całej Polsce, jednak najwyraźniej nie wystarczyło to, aby biskup zdecydował się na otwarcie świątyni dla wiernych. Poza tym, choć Lamberg nie miał w tej sprawie dokładnych informacji, być może teren kościoła nadal przeszukiwała policja.

Obszedł kościół wokoło, czując bijącą od niego zimną grozę. Główne drzwi były zaplombowane i oklejone taśmą z napisem „policja”. Nie musiał sprawdzać, aby wiedzieć, że są zamknięte na cztery spusty. Na kilku niskich schodach stało mnóstwo zniczy, lecz tylko niektóre z nich się paliły, większość zgasił wiatr. Pod ścianą leżały również wciąż świeże wiązanki kwiatów i kilkanaście mokrych od deszczu maskotek.

Wysokie okna, niegdyś rozświetlone od środka, teraz ziały złą czernią. Po witrażach spływały strugi deszczu i Lamberg oczami wyobraźni ujrzał straszne wnętrza, pogrążone w ciemnościach, opustoszałe i zimne. Zobaczył też poprzewracane ławki oraz dywan, na którym być może jeszcze znajdowały się ślady krwi oraz pobladłe twarze świętych, spoglądających na to wszystko z zawieszonych na ścianach obrazów.

Nagle zatrzymał się. Odniósł wrażenie, że na jednym z witraży ujrzał błysk, jakby przez chwilę musnął go snop światła. To niemożliwe – pomyślał. Rozejrzał się wkoło. Podobny efekt mogłoby od biedy wywołać przejeżdżające auto, jednak plac sprawiał wrażenie wymarłego. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żywej duszy, nawet zasłony w mieszkaniach były szczelnie pozaciągane. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że mieszkańcy w ogóle bali się wychodzić z domów po zmroku.

Już miał ruszyć dalej, gdy ponownie dostrzegł, jak po jednym z witraży przemyka jasna plama światła. To musiała być latarka. Ktoś był w środku. Nagle Lamberg pomyślał, że tym kimś może być morderca i ta myśl

zelektryzowała go. Mówi się przecież, że zabójca wraca na miejsce zbrodni. Może to psychopata, który kieruje się chorą żądzą, silniejszą od niego, która nakazała mu przyjść tu pod osłoną nocy i napawać się rozmiarami zbrodni, której się dopuścił? W wyobraźni Lamberga rozkołysanej tym nagłym i niespodziewanym bodźcem pojawił się obraz człekokształtnej istoty, wędrującej na czworakach po podłodze świątyni i zlizującej z niej resztki zaschniętej krwi. Była to wizja tak makabryczna, że aż groteskowa, lecz sprawiła, że ciało Lamberga przeniknęła zimny strach.

Opanował się jednak w porę i kazał zamilknąć wyobraźni. To nie był czas na przypuszczenia i mroczne fantazje, lecz na działanie. Najprościej byłoby oczywiście wyjąć telefon komórkowy i wezwać policję. Pojawią się tu w kilka minut, zapewne otoczą świątynię i będą czekać na oddział antyterrorystyczny.

Możliwe jednak, że wcale nie jest to morderca, ale grupka rządnych przygód nastolatków, którzy włamali się do wnętrza, by obejrzeć miejsce mordu, o którym ludzie będą pamiętać nawet za kilkaset lat. Może zapragnęli zrobić sobie zdjęcia tam, gdzie ginęły dzieci, by chwalić się tym potem przed znajomymi i na portalach społecznościowych. Ludzie byli do tego zdolni. Równie dobrze jednak mógł ulec złudzeniu optycznemu, a dziwne światło było refleksem padającym od strony latarni.

Pomyślał o słowach komendanta i całej otoczce tajemnicy wiążącej się ze sprawą. Mogło istnieć coś, czego policja nie chciała ujawniać, coś, czym wolała się nie zajmować. Zachowanie Jaroszewskiego, jego wzmianka o tajemniczym zaginięciu blogera Piotrowskiego mogły o tym świadczyć. Lamberg od samego początku czuł, że ta sprawa jest w pewien sposób inna, że ma ona swój szczególny charakter i że nie da się jej rozwikłać za pomocą zwykłych metod śledczych.

Przyszedł mu do głowy fragment Biblii, wybrany na chybił trafił, mówiący

o Jezusie, który wszedł do Wieczernika pomimo zamkniętych drzwi. Czyżby to była jakaś wskazówka? Czyżby należało wejść do wnętrza świątyni, chociaż drzwi frontowe są zabezpieczone? Nie, taki tok rozumowania był zbyt karkołomny, uznał Lamberg. W ten sposób dałoby się dopasować do przepowiedni wiele różnych zdarzeń.

Postanowił, że obejdzie kościół dookoła i, jeśli nie natknie się na nic podejrzanego, wróci do samochodu. Nie było sensu wzbudzać alarmu z powodu nikłego światełka, które równie dobrze mogło być złudzeniem.

Zbeczczony kościół był spory i dość wysoki, ze strzelistą wieżą, na której znajdował się dzwon niegdyś zwołujący swym metalicznym głosem wiernych. Lamberg obchodził budynek powoli, przyglądając się bacznie murów wzniesionym z pociemniałej z wiekiem, a czerwonej niegdyś cegły. Przeszedł obok płaczącej wierzby, której liście szeleściły ostrzegawczo. Minął ozdobny, miejski hydrant i małą fontannę bez wody. Gdzieś w oddali rozległo się odległe, majestatyczne bicie dzwonu dobiegające z innego kościoła, a po chwili dołączyło do niego stłumione zawodzenie wilka. Policjant dotarł do bocznych drzwi zaopatrzonych w dużą mosiężną klamkę. Po chwili wahania nacisnął ją, mechanizm szczęknął tak głośno, że dźwięk ten musiał odbić się echem w opustoszałych nawach, drzwi jednak nie ustąpiły. Były zamknięte na klucz, nikt nie dostał się do środka tą drogą. Szedł więc dalej, coraz bardziej umacniając się w przeświadczeniu, że w świątyni nikogo nie ma. Już niemal obszedł całą budowlę dookoła i miał zrezygnować, gdy spostrzegł położone tuż nad ziemią niskie, piwniczne okienko.

Podszedł bliżej i kucnął. Było uchylone. Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Podejrzenie, że to sam morderca mógł zakraść się do wnętrza, zdało mu się na powrót całkiem prawdopodobne. Sięgnął po telefon komórkowy i przejrzał kontakty. Odnalazł prywatny numer komendanta. Powiadomi go o swoim odkryciu, a ten niech przyśle na miejsce każdego, kogo uda mu się

postawić na nogi. Lamberg zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji. Wiedział, że wewnątrz świątyni może natknąć się na kogoś znacznie bardziej niebezpiecznego niż zwykły włamywacz. Kogoś, kto był zdolny przybijać ludzi do drzew, a następnie wycinać na ich ciałach złowróżbne znaki, gdy ofiary jeszcze żyły. Kogoś, kto bez wahania wymordował rodzinę Damięckich z Przygórza, rysując krwią dzieci na wigilijnym obrusie znak Ahnenerbe. Kogoś, kto być może miał związek z katastrofą autokaru wiozącego dzieci na wycieczkę, oraz kogoś, kto zamordował z zimną krwią trzydzieścioro troje dzieci i kilkunastu dorosłych, pogrążając całą Polskę w straszliwej żałobie, sprawiając, że wszystkie telewizje kraju emitowały niemal w kółko marsz żałobny Chopina i zdjęcia ukazujące kondukty pogrzebowe. Wreszcie kogoś, kto dysponował nadludzką wręcz siłą.

Nieuchwytny zabójca, oto jak niebawem zaczną o nim mówić i niech mnie szlag trafi, jeśli nie znajdą się ludzie, którzy napiszą o nim książkę lub zrobią film – pomyślał Lamberg i na tę myśl opanowała go zimna wściekłość.

Zbliżał już kciuk do ekranu telefonu, by nawiązać połączenie, lecz rozmyślił się. Jeszcze nie teraz. Nie miał pewności. Okienko było uchylone. Nie wybite. Ktoś mógł po prostu niezbyt dokładnie je domknąć, a przeciągi sprawiły, że się otwarło.

Wiedział, że jeśli zadzwoni teraz do Jaroszewskiego, nie skończy się na przyjeździe patrolu. Sprawa była zbyt wielkiej wagi, a człowiek, którego poszukiwano, skrajnie niebezpieczny. Możliwe, że zdecydują się przysłać śmigłowiec. Niewykluczone, że ściągną transporter opancerzony. Reporterzy ze wszystkich stron Polski zjadą tu na wyścigi, jedynie po to, by dowiedzieć się, że on, Lamberg, wywołał fałszywy alarm, ponieważ zdało mu się, że ujrzał światło latarki, oraz spostrzegł, że jedno z piwnicznych okienek jest uchylone.

Mógłby też odszukać patrol policjantów. Było całkiem możliwe, że tym

razem natknąłby się na kogoś znajomego – i poprosić o sprawdzenie wnętrza kościoła. Tylko czy funkcjonariusze rzeczywiście to zrobią? Każdy, kto miałby choć trochę oleju w głowie, nie podjąłby takiego ryzyka, byłoby to nieprzestrzeganie procedur bezpieczeństwa i można było za to zdrowo beknąć. Wszyscy znali relacje tych świadków, którym cudem udało się przeżyć strzelaninę w kościele. Wiedziano, że sprawca „rzezi niewiniątek” dysponował szybkostrzelną bronią automatyczną o dużym kalibrze, mógł również być w posiadaniu materiałów wybuchowych oraz zapalników. To mogła być jakaś pułapka, a drzwi kościoła oblepione trotylem lub innym materiałem wybuchowym.

Lamberg podejrzewał, że poproszeni o pomoc policjanci będą starali się chronić własną skórę i wezwą posiłki. Tak zresztą postąpiłby i on sam, gdyby był na służbie. W tym czasie jednak zabójca mógł się wymknąć, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że był sprytny. Z kościoła mogło biec podziemne przejście, co po części wyjaśniałoby tak łatwą ucieczkę sprawcy. Co mógł zrobić w pojedynkę? Nie miał przy sobie nawet pocziwego, służbowego glocka, który leżał zamknięty w pancерnej szafie na komendzie.

Jedyną bronią, jaką dysponował, była latarka taktyczna w aluminiowej obudowie i sfatygowany egzemplarz Biblii upchnięty w kieszeni kurtki. To było zdecydowanie za mało, by decydować się na konfrontację z przestępcą wyposażonym w karabin maszynowy, którego wizerunek na wszystkich fotografiach musiał być z jakiegoś powodu na tyle niewyraźny, że nie zdecydowano się go nawet opublikować.

Czas naglił. Lada chwila mógł nadejść patrol policji. Bardzo możliwe, że znów go zauważą i zaczną wypytywać. Nagle drgnął. Nieopodal usłyszał gwałtowny łopot skrzydeł. Spłoszony czymś ptak poderwał się do lotu.

Kierowany nagłym wewnętrznym impulsem policjant kucnął przy uchylonym okienku. Z wnętrza płynęło chłodne powietrze, dało się wyczuć lekki zapach

wilgoci i stęchlizny. Delikatnie i cicho otworzył okienko, odchylając je do wewnątrz. Najpierw wsunął nogi, po czym wcisnął się cały, przytrzymując się rękoma muru. Po chwili wyczuł pod czubkami butów podłogę i wtedy miękko zeskoczył. Piwnica wyglądała na niską. Zapalił latarkę i na wszelki wypadek przymknął okno.

4 .

Mroczna, cuchnąca stęchlizną piwnica musiała pamiętać zamierzchłe czasy. Może nawet kiedyś znajdowała się tu jakaś poświęcona prastarym słowiańskim bóstwom kaplica? To było zupełnie możliwe, dawne kościoły nieraz wznoszono na miejscach uważanych przez miejscowych za święte, lecz słowo „święte” rozumiano wówczas zupełnie inaczej niż teraz. Należałoby raczej powiedzieć: miejsca pełne Mocy.

Wiedziony zawodową rutyną policjant przyświecił sobie i przyjrzał się uważnie piwnicznemu okienku. Na pokrytym rdzą ryglu spostrzegł świeżą rysę. Mogła ona pochodzić od noża lub innego metalowego przedmiotu, którym podważono zabezpieczenie.

Ściany i łukowate sklepienie piwnicy wzniesiono z kamieni. Policjant skradał się i ścierał z twarzy stare pajęczyny. Pod ścianami oraz na środku stały drewniane skrzynki, lecz nie miał czasu zastanawiać się nad ich zawartością. Spostrzegł niskie, metalowe drzwi. Były lekko uchylone. Za nimi znajdowały się zaskakująco wąskie, kręte, pnące się w górę schody. Zaczął się po nich wspinać. W niskim korytarzyku było tak ciasno, że wysoki i postawny policjant ledwie się mieścił. Mur był zimny i wilgotny, gdy dotykał go dłonią. Gdzieś z góry docierał ledwie wyczuwalny powiew powietrza. Po pokonaniu kilkunastu stopni światło latarki wydobyło niewielkie, drewniane drzwi, które okazały się otwarte. W ten sposób Lamberg znalazł się w zakrystii kościoła.

Pomieszczenie, przez które zakradł się do środka, musiało być jakimś schowkiem, do którego wrzucano niepotrzebne nikomu rupiecie.

Delikatnie i cicho przymknął za sobą drzwi. Od zewnątrz były wyłożone ozdobną boazerią idealnie pasującą do reszty ściany i bardzo możliwe, że ktoś, kto nie wiedziałby o ich istnieniu, nie domyśliłby się obecności schowka.

Starał się pozostawiać jak najmniej śladów, wiedząc, że mogą być zauważone przez tego, kto być może ukrywał się w zalegającej kościół ciemności.

Lamberg nie należał do ludzi bojaźliwych, jednak trudno mu było oprzeć się ponurej grozie, jaką emanowała świątynia. Dawało się tu wyczuć obecność czegoś złego, co rozpanoszyło się w sprofanowanym „rzezią niewiniątek” kościele. Miał już kilka razy w życiu właśnie takie odczucie, gdy poszukując zaginionych, wchodził do cieszących się złą sławą budynków. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, lecz coś sprawiało, że człowiek pragnął wyjść stamtąd jak najprędzej.

W kościele panowała grobowa cisza, a jednak wyczuwał, że jest ona pozorna i stanowi przykrywkę dla czegoś, co na razie pragnie pozostać niewykryte. Policjant poczuł lęk przed swoim dziwnym darem, który pozwalał mu wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo oraz dostrzegać cienie mrocznych zdarzeń, które miały miejsce w przeszłości. Bał się tego, co mógłby ujrzeć lub zobaczyć w tym naświetlonym aurą nieszczęścia i nagłej rozpacz miejsc.

Wyglądało na to, że w zakrystii niczego nie ruszano. Światło latarki ślizgało się po długich półkach wypełnionych mszalnymi kielichami, krzyżami i monstrancjami. Na starodawnym dębowym biurku leżały w nieładzie grube księgi liturgiczne. Ponad meblem widać było wielki witraż, poszarzały już ze starości i ukazujący św. Michała Archanioła, patrona kaplic cmentarnych. Unosił on włócznię, którą przygwaźdżał do ziemi wijącego się węża. Teraz jednak wąż wydawał się w pewien sposób zwycięsko unosić swój łeb,

a oblicze Archanioła tchnęło smutkiem i melancholią.

Zaniepokojona wyobraźnia zaczęła podsuwać Lambergowi wizje odświętnie ubranych dzieci, siedzących w ławkach kościoła i czekających na niego, dzieci o oczach lśniących martwo i o ciałach z ranami postrzałowymi.

Nagle wzdrygnął się. Odniosł nieodparte wrażenie, że nie jest w zakrystii sam.

Nie nakarmiłem przed wyjściem rybek, wszystkie zdechną.

Chcę dostać telefon z dotykowym ekranem.

Ciekawe, czy mama i tata mnie widzą.

Ta sukienka jest strasznie niewygodna!

Były to tylko myśli, lecz Lamberg wiedział, że nie należą one do niego. Złapał się dłońmi za twarz i głęboko oddychał. Czuł, jak łzy spływają mu po policzkach, ogarnięty nagłą falą dojmującego smutku. Teraz bardziej niż kiedykolwiek pojmował, dlaczego jego dar jest również przekleństwem. Był bliżej świata duchów niż inni, zwykli ludzie. Widział i słyszał więcej.

Nagle głośny, metaliczny brzęk wyrwał go z tego osobliwego transu. Lamberg znieruchomiał, nie mając odwagi nawet drgnąć. Dźwięk był donośny, odbił się echem w wysokich nawach. Tym razem nie było mowy o złudzeniu. W kościele ktoś był i najprawdopodobniej strącił na ziemię któryś z mosiężnych lichtarzy. Niewykluczone, że zrobił to celowo, gdyż wiedział o jego obecności i pragnął zwabić go w pułapkę. Lamberg zrozumiał, że musi przygotować się na najgorsze.

Mógłby oczywiście wycofać się i spróbować wezwać pomoc. W tym czasie jednak morderca zapewne zbiegłby, zwłaszcza jeśli istniały jakieś sekretne wyjścia z kościoła. W zakrystii było dwoje drzwi, nie licząc dyskretnego przejścia ze schowka, którym się tu dostał. Jedne z nich wiodły do bocznej nawy. Zwykle to wtedy po skończonej mszy wchodzili interesanci. Drugie prowadziły wprost pod ołtarz.

Lamberg uznał, że rozsądniej będzie skorzystać z tych pierwszych. Boczna nawa zapewniała minimum schronienia. W razie zagrożenia mógłby schować się za jedną z wielkich kolumn, skoczyć pomiędzy drewniane ławki lub uciec z powrotem do zakrystii, a stamtąd poprzez schowek wydostać się ze świątyni.

Starając się nie narobić hałasu, otworzył kilka szuflad, poszukując cegokolwiek, co mógłby wykorzystać w charakterze broni. Znalazł krótki, wąski nożyk, zapewne służący do rozcinania listów. Dobrze i to. Jeśli uda mu się zbliżyć do mordercy wystarczająco blisko. Jeśli uda się go zaskoczyć. Wsunął znalezisko do kieszeni. Nie miał wątpliwości, że gdy stanie oko w oko ze sprawcą „rzezi niewiniątek”, nie będzie starał się ująć go żywcem za wszelką cenę. Zabije go, kiedy tylko nadarzy się okazja. To chyba właśnie dlatego nie wyszedł z kościoła i nie wezwał pomocy. Żądza zemsty znów zapłonęła w nim ze zdwojoną siłą. Chociaż wiedział, że może mieć niewielkie szanse w konfrontacji z kimś tak niebezpiecznym, wolał zginąć, niż później śledzić w telewizji relację z farsy, w której morderca dzieci zostaje uznany za niepoczytalnego i trafia do wygodnego szpitala psychiatrycznego, a kto wie – historia kryminalistyki znała bowiem takie przypadki – może nawet zostaje wypuszczony po kilkunastu latach na wolność pod zmienionym nazwiskiem i z nowymi dokumentami.

Rozejrzał się po półkach i znalazł kawałek ciemnego materiału. Przysłonił nim latarkę niczym żałobnym całunem, tak by dawała niewiele światła. Postanowił dobrze wykorzystać swój jedyny atut – element zaskoczenia.

Najciszej jak potrafił nacisnął wielką, mosiężną kłamkę. Każde lekkie szcęknięcie mechanizmu sprawiało, że zaciskał usta niemal do krwi. Wślizgnął się w końcu do bocznej nawy, której wygląd starał się usilnie odtworzyć z pamięci. Przysłonięta tkaniną latarka dawała bardzo niewiele światła, starczało go na tyle, by mógł wiedzieć, gdzie stawia kroki.

Lamberg wciąż miał nadzieję, że skryty w ciemności zabójca nie zdaje

sobie sprawy z jego obecności. Na wszelki wypadek trzymał latarkę z dala od ciała. Wiedział, że morderca będzie strzelał w światło, które dostrzeże.

Lewą ręką wymacał zimną marmurową ścianę i powoli, niemal w absolutnych ciemnościach, przesuwał się w głąb nawy. Wysilał przy tym wzrok tak bardzo, że aż rozbolały go oczy. Nieustannie wydawało mu się, że dostrzega jakieś postaci, wiedział jednak, że są to jedynie rzeźby przedstawiające świętych i anioły. Kościół pełen był niedużych cherubinków i posepnych świętych w długich szatach. Jedna z takich rzeźb musiała znajdować się całkiem niedaleko, przy kolumnie po prawej stronie. Policjant widział wyraźnie ciemny zarys niewysokiej, jakby dziecięcej postaci. Niepokoiło go to, ponieważ bywał w tym kościele wiele razy i żadną miarą nie mógł przypomnieć sobie, aby jakaś rzeźba stała w tym właśnie miejscu. Gdy jednak podszedł bliżej, cień rozpląnął się, jakby nigdy go nie było.

Jeśli zabójca jest w kościele, też powinien używać światła – pomyślał Lamberg. A co, jeśli nie? Zreflektował się. Przecież może mieć noktowizor. Może być świetnie wyposażony. Możliwe, że cały czas mnie obserwuje, a nawet jest tuż za moimi plecami. Mimowolnie drgnął, wystraszony, wy dobył z kieszeni ostry nożyk i ścisnął go w dłoni.

Znajdował się w połowie długości kościoła, gdy usłyszał odgłos przypominający szuranie butów trących o drewnianą podłogę. Zmierzał w stronę głównego wyjścia, a odgłos ten dobiegł nieco z prawej i jakby z wysoka. Korciło go, aby zerwać tkaninę z latarki i omieść mocnym strumieniem światła pogrążone w ciemności wnętrze świątyni. Powstrzymał się jednak, wiedząc, że mogłaby to być ostatnia rzecz, jaką zrobiliby w życiu.

Nagle Lamberg spostrzegł, że zarysy kolumn stają się na moment bardziej wyraziste. Ponownie ujrzał postać stojącą pod jedną z nich. Przez chwilę sądził, że ma przed sobą zabójcę. Chciał właśnie rzucić się przed siebie, zanim przeciwnik zdoła użyć broni, w ostatniej chwili jednak powstrzymał się,

ponieważ postać znikła z jego pola widzenia, a masywne kolumny znów pochłonęła nieprzenikniona ciemność.

Wtedy dotarło do Lamberga, co mogło być przyczyną przedziwnego rozrzedzenia ciemności. Był to efekt wywołany użyciem latarki przez tego, kto zakradł się do świątyni. To właśnie nieostrożne użycie światła zdradziło intruza, który znów powtórzył swój błąd.

Zmysły policjanta były zbyt pochłonięte analizowaniem ciszy i ciemności napełniających kościoł. Ciało miał pełne adrenaliny, gotowe do gwałtownego skoku, nagłego ataku na przeciwnika lub ucieczki.

Wówczas usłyszał ciche kroki oraz skrzypienie drewna. Ktoś wchodził po schodach na chór, gdzie znajdowały się stare organy. Odgłos stąpania był głuchy i przypominał monotonne uderzenia w zamknięte wieko trumny. Intruz musiał być postawny i ważyć swoje. Lamberg, wykorzystując ten niespodziewany hałas, sam ostrożnie podkradł się w stronę wejścia na chór. Zastanawiał się, co począć dalej. Mógłby sam wejść na górę, lecz wówczas skrzypiące schody zawczasu ostrzegłyby włamywacza. Jeśli był nim sprawca „rzezi niewiniątek”, Lamberg mógłby utracić swój jedyny atut – zaskoczenie.

Był na tyle krytyczny, by wiedzieć, że wiele własnych przeświadczeń na temat sprawcy masakry może wynikać z doznanego głębokiego szoku. Był jednak przekonany, że nie wszystko jest wytworem jego wyobraźni. Zabójca rzeczywiście dysponował wielką siłą fizyczną, ponieważ zdołał odrzucić go jedną ręką pomiędzy ławki, zanim posłał kolejną serię pocisków w przerażony tłum wiernych. Zdołał również jednym skokiem wzbić się na ozdobną galerię, a następnie bez przeszkód zbiec. Konfrontacja z kimś takim wymagała szczególnej ostrożności.

Lamberg uznał, że najlepiej będzie zacząć się na niego w miejscu, w którym właśnie stoi, przy wejściu na chór. Nie był zupełnie pewien, lecz z tego, co udało mu się odtworzyć w pamięci, wejście i wyjście zarazem było

tylko jedno. Pochylił się i położył latarkę na posadzce. Ustawił ją tak, aby tylko w bardzo minimalnym stopniu rozrzedzała ciemność. Chciał mieć obie ręce wolne. W prawej dłoni trzymał ostry, wąski nożyk do papieru. Powinien wystarczyć, jeśli zrobi z niego dobry użytek.

Policjantem kierowała nie tylko chęć pomszczenia żony i syna. Nie była to również jedynie chęć powstrzymania bezwzględnego psychopaty. W tym momencie była to po prostu chłodna kalkulacja.

Dłonie Lamberga były spocone, mimo tego, że w kościele panował przenikliwy chłód. Umysł jednak pracował szybko. Chciał użyć noża, ale jeśli sprawca ma na sobie kamizelkę kuloodporną, taki mały nożyk na niewiele się zda. Uderzenie ostrzem w głowę z kolei mogło ześlizgnąć się po czaszce i dać mordercy cenne sekundy na uwolnienie się z uścisku i użycie własnej broni. Lamberg uznał, że założy włamywaczowi zniecka duszenie, ściskając jego szyję między bicipsem a przedramieniem, jednocześnie przystawiając mu ostrze noża do szyi. Większość ludzi byłaby w takiej sytuacji bezradna.

Z chóru znajdującego się nad głową przyczajonego Lamberga dobiegło stąpanie. Ktoś chodził w tę i z powrotem, jakby wytrwale czegoś szukając. Znow światło latarki wymknęło się intruzowi spod kontroli i omiotło snopem światła gotyckie zwieńczenie stropu. Wówczas Lamberg zrozumiał, skąd brały się jego wątpliwości i poczucie, że coś się nie zgadza.

Zachowanie intruza cechowała pewnego rodzaju nieporadność. Dźwięk spadającego na posadzkę świątyni lichtarza w pierwszej chwili zinterpretował jako próbę zwabienia go w pułapkę. Nie zastanowił się również dostatecznie nad światłem latarki, którym włamywacz posługiwał się co prawda z ostrożnością, lecz najwyraźniej niezbyt zręcznie.

Nieporadność nie była słowem mogącym kojarzyć się z mężczyzną, którego ujrzał na chwilę przed „rzezią niewiniątek”. Tamten wyglądał na kogoś wręcz nadludzko zwinnego, jego ruchy cechowała wyniosłość i zimna elegancja. Biła

od niego czysta siła. Lamberg żadną miarą nie mógł wyobrazić go sobie, jak strąca przez nieuwagę na ziemię przedmioty, jak nieostroźnie świeci latarką po oknach świątyni i wreszcie jak ociężale wdrapuje się po schodach na chór. Być może więc wcale nie był to sprawca masakry. Lamberg nie miał czasu na zastanawianie się nad tą sprawą, bowiem na schodach rozległy się kroki. Tajemniczy człowiek, kimkolwiek był, schodził na dół. Lamberg znajdując się w sytuacji bez wyjścia, postanowił działać instynktownie i zdać się na dalszy bieg zdarzeń.

5.

Lamberg ujrzał plecy napastnika i zareagował od razu. Opasał jego szyję ramieniem i pochwycił w żelazny uścisk. Tamten zacharczał przerażony, szarpnął się kilka razy. Był barczysty i silny, lecz niewystarczająco, by się uwolnić. Wypuścił latarkę z dłoni, która spadła z łoskotem na posadzkę i wysyłała teraz strumień światła prosto w górę.

– Nie ruszaj się – warknął Lamberg. – Albo rozplątam ci gardło.

Mężczyzna znieruchomiał. Oddychał szybko, niespokojnie. Wydawał się przerażony i nagle Lamberga owładnęło graniczące z pewnością przeświadczenie, że nie jest to szalony morderca. Tamten nie dałby się podejść tak łatwo, nie wpadłby w panikę.

– Coś za jeden? – rzucił Lamberg. – Mów! Jestem z policji!

– Nie zabijaj – wycharczał mężczyzna. – Zadusisz!

Lamberg nieco poluzował chwyt.

– Wszedłem... chciałem sprawdzić... Nazywam się Plichta. Mieszkam w Przygórzu. Dokumenty mam w kieszeni. Możesz pan sprawdzić.

Lamberg, cały czas trzymając nóż w pogotowiu, opuścił lewą rękę i obszukał mężczyznę. Nie odnalazł przy nim żadnej broni. W lewej kieszeni

jego kurtki istotnie znalazł prostokątny, śliski przedmiot. W blasku leżącej na ziemi latarki ujrzał dowód rejestracyjny w plastikowej okładce. Wysilił wzrok. Nazwisko się zgadzało. Plichta, Plichta – myślał. Skądś znał to nazwisko.

– Czego tu szukasz? – syknął Lamberg. – Po coś tu przyszedł?

– Musiałem coś sprawdzić – wydukał mężczyzna. – Zrozum pan, miałem podejrzenie.

– Jakie podejrzenie?

– Wiem dużo rzeczy.

– Jakżeś tu wlaź? – naciskał policjant, choć domyślał się odpowiedzi.

– Okienkiem od piwnicy. Obchodziłem kościół dookoła i zobaczyłem je. Nie chciałem, żeby ktoś mnie zauważył.

– Połóż się płasko na posadzce, rozłóż szeroko ręce i nogi – nakazał zimno Lamberg.

– Ale...

– Bez żadnych ale. Nie próbuj mnie zagadywać. – To mówiąc, policjant sięgnął po telefon komórkowy, by sprowadzić posiłki. Jakoś nie wierzył, że ten facet jest sprawcą „rzezi niewiniątek”. Mógł być kimkolwiek, od złodzieja metali kolorowych poczynając, na poszukiwaczu chorych wrażeń kończąc. Powinien zostać zatrzymany i przesłuchany.

Sieć jednak była poza zasięgiem.

– Nie chcę skończyć jak Piotrowski – rzucił Plichta, który posłusznie położył się na posadzce kościoła. – Oni mnie zabiją.

– Coś powiedział? – spytał ostro Lamberg. – Co wiesz o tej sprawie? Co za „oni”?

– Rezydenci. Strażnicy. Werwolf. Znałem osobiście tego chłopaka. Gadałem z nim. Wiedział dużo rzeczy. Mówiłem mu, żeby trzymał gębę na kłódkę. Nie posłuchał. Pewnego razu zniknął. To samo będzie ze mną, jeśli teraz wezwiesz

policję. Nie rób tego, człowieku. Nie przyszedłem tu kraść.

Lamberg zawahał się. Sprawa zaginięcia blogera Piotrowskiego rzeczywiście była zagadkowa. Policjant przypomniał sobie ukryte między wierszami ostrzeżenie ze strony komendanta Jaroszewskiego. „Nie interesuj się. Nie draż sprawy. Niech zajmie się nią ktoś inny”. Nagle uświadomił sobie, dlaczego nazwisko Plichty wydało mu się znajome. Najwyraźniej miał przed sobą tego samego człowieka, który zgłosił się pół roku temu na komisariat, bodajże pod koniec listopada, z najbardziej nieprawdopodobnym zgłoszeniem, z jakim miała do czynienia policja, ze zgłoszeniem, którego oczywiście nikt nie mógłby przyjąć. Przez wiele dni opowiadano sobie o tym zdarzeniu, śmiejąc się do rozpuku.

A więc to on. Plichta. Wariat z Przygórza. Nieszkodliwy czubek. Facet, który przyszedł na komisariat i powiadomił, że schronisko na Wilczycy zniknęło. Że go nie ma, jakby nigdy nie istniało.

– To ty zgłosiłeś sprawę tego schroniska – mruknął Lamberg.

Przez chwilę panowała cisza.

– Ono nadal pobiera prąd – odparł Plichta. – Duże ilości. Można sprawdzić to w zakładzie energetycznym. Zrobiłem to. Są zdjęcia tego schroniska. Można je znaleźć w Internecie. Ono istniało. Teraz go nie ma.

– Wiesz dobrze, że to niemożliwe. – Lamberg coraz bardziej utwierdzał się w przeświadczeniu, że ma do czynienia z godnym współczucia chorym umysłowo człowiekiem. Zapewne Plichta, kierując się swoimi urojeniami, postanowił zakraść się z jakiegoś powodu aż tutaj. Przybycie policji mogło skończyć się dla niego fatalnie.

Nagle jak błyskawica przez umysł Lamberga przeniknęła jeszcze jedna myśl. Może być i tak, że Plichta stanie się jednym z głównych podejrzanych. Jako umysłowo chory będzie właściwie pozbawiony możliwości obrony. Któż lepiej nadawałby się do roli kozła ofiarnego? Zabójca schwytyany

przypadkowo przez przebywającego na urlopie (nieistotne, że przymusowym) policjanta, w chwili, gdy włamał się do kościoła, by delektować się bezmiarem zbrodni, jakiej się dopuścił? Tak, oczywiście, w tak poważnym procesie musiano by brać jeszcze pod uwagę bardzo wiele innych elementów, takich jak ślady DNA, narzędzia zbrodni, świadkowie. Mimo to Lamberga zaniepokoiła myśl, że schwywanie Plichty może w pewien sposób skierować śledztwo na błędne tory i że mogą minąć długie miesiące, zanim zostanie ono z tych torów zawrócone. Aresztowanie zbzikowanego górala mogło paradoksalnie opóźnić znalezienie prawdziwego sprawcy, tego, którego ujrzał przez chwilę, a którego nie zarejestrował żaden aparat fotograficzny ani kamera.

– Możesz pan to wszystko sprawdzić – ciągnął mężczyzna. – Jesteś pan z policji. Nie trzeba dużo, żeby się przekonać. Wiesz pan, gdzie mnie szukać.

Lamberg bił się z myślami. Właśnie w momencie, gdy zdecydował, że powinien jednak zatrzymać Plichtę i wyprowadzić go z kościoła, a następnie wezwać pierwszy lepszy patrol – nieopodał jego głowy rozległ się trzask drewna, jakby coś uderzyło w stojący obok nich konfesjonał.

– Oni wiedzą, że tu jesteśmy – syknął ostrzegawczo z ziemi Plichta. – Na ziemię chłopie, jeśli ci życie miłe!

Policjant instynktownie przyklęknął na jedno kolano. Usłyszał świst i odgłos pękającego drewna. Dopiero po chwili pojął, co się dzieje. Ktoś właśnie użył broni z tłumikiem i usiłował zabić ich obydwo. Ze względu na ciemność chybił dwukrotnie.

– Szybko – syknął Lamberg. – Nie mam broni palnej. Musimy stąd uciekać! Zostaw latarkę! Moja wystarczy.

Złapał Plichtę za rękę i pociągnął za sobą. Biegli zgięci w pół, w niemal zupełnie ciemności. Lamberg starał się myśleć szybko. Trudno było ocenić, kim był strzelec. Nie zbliżał się do nich, lecz strzelał z pewnej odległości.

Mogło to oznaczać, że obawia się, iż on lub Plichta są uzbrojeni. Nie było czasu do stracenia. Jediną sensowną drogą ucieczki wydawała się zakrystia i sekretne przejście.

– Ciii! – szepnął nagle Lamberg. – Na ziemię!

Tuż przed nimi zamajaczyła jakaś sylwetka. Ktoś kroczył wzdłuż ławek, a Lamberga ogarnęło koszarne *déjà vu*. Przypomniał sobie chwile, gdy chował się przed kulami sprawcy „rzezi niewiniątek”. Policjant zgasił latarkę, by jej nikły blask nie zdradził ich położenia. Kroki oprawcy były coraz bliżej. On również przyświecał sobie latarką, światło przemknęło ponad ich głowami, tak nisko, że zarówno Plichta, jak i Lamberg jak na komendę pochylili się jeszcze bardziej, niemal leżąc już na posadzce kościoła.

Strzelec zatrzymał się, a potem skręcił. Szedł prosto w ich stronę. Lamberg uznał, że jest tylko jeden sposób, w zasadzie bardzo prosty, by spróbować uratować życie. Metoda znana z filmów sensacyjnych, co nie znaczy, że nie mogła zdać egzaminu w rzeczywistości. Sięgnął do kieszeni i namacał w niej pęk kluczy. Nosił przy nich brelok – dość ciężki, metalowy otwieracz do piwa. Odpiął go i cisnął go z całej siły daleko, aż do przeciwległej nawy kościoła, by odwrócić uwagę napastnika. Prześladowca zatrzymał się, wyraźnie zaniepokojony nagłym hałasem i ruszył w tamtą stronę. Lamberg ścisnął mocno ramię Plichty, wstrzymując go jeszcze chwilę.

– Teraz – szepnął. – Do zakrystii.

Najciszej, jak potrafili, przemknęli kościelną nawą i schronili się za półotwartymi drzwiami zakrystii. Potem wąskimi schodkami dostali się do dyskretnego schowka, a stamtąd piwnicznym okienkiem na ulicę.

– Powinienem cię aresztować i przekazać moim kolegom – rzekł Lamberg.

– Czemu tego nie robisz? – spytał Plichta. – Boisz się, że i ciebie załatwią?

– Powiedzmy – odparł policjant – że bardzo zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy. W tym kościele zginęli moja żona i syn. A ty byłeś tutaj, z jakiegoś

powodu.

– Więc tym bardziej mówię ci, zastanów się, czy chcesz mnie zatrzymać. – Plichta spojrzał na niego przenikliwie. – Bo to ważna decyzja. Sam widziałeś, że człowiek z Werwolfu chciał nas zabić. Oni chronią tajemnicę. Więc radzę ci, uciekaj. Znajdziesz mnie w Przygórzu, spytasz miejscowych. Powiem ci, co wiem o sprawie. Powiem ci, czemu mnie interesuje. Ale jeśli wydasz mnie teraz, zabiją mnie. Nigdy niczego się nie dowiesz.

– Dlaczego niby miałbym ci wierzyć?

– Nic nie rozumiesz? – Góral powiódł wzrokiem po rynku, na którym stała świątynia. – Popatrz! Nie ma ani jednego! Rozumiesz? Ani jednego!

Lamberg rozejrzał się po rynku. Mógł to być zbieg okoliczności. A jednak intuicja podpowiadała mu, że to coś więcej. Plichta miał rację. Ani jednego policjanta.

– Pyskaj stąd – powiedział do Plichty. – Znajdę cię niedługo.

Góral odwrócił się na pięcie i odbiegł, znikając za rogiem świątyni.

Lamberg nie wiedział, co ma zrobić dalej. Obawiał się, że zabójca z kościoła lada chwila znów się pojawi i podąży jego tropem. Ruszył biegiem w stronę swojego samochodu. Rzeczywiście, gdy wcześniej zmierzał w stronę kościoła, napotkał uzbrojony po zęby patrol. Po ostatniej masakrze na ulicach Wałbrzycha było mnóstwo policjantów. Teraz jednak nigdzie nie było ich widać. Zupełnie jakby otrzymali rozkaz opuszczenia okolicy na pewien czas.

Popadam w paranoję – pomyślał Lamberg. Dzieje się coś złego, ale niemożliwe, by nawet policja maczała w tym palce. To zbieg okoliczności, akurat wszystkie patrole weszły w głąb ulic, może sprawdzają podwórza. Śledził telewizyjne wiadomości i wiedział, że policja jest niemal nieustannie alarmowana przez mieszkańców. Ktoś twierdził, że widział sprawcę „rzezi niewiniątek” jadącego pociągiem. Kto inny zawiadamiał dyspozytora pogotowia policji, że morderca z kościoła stoi właśnie przed sklepem,

w którym on sam robi zakupy. Były to bez wątpienia przejawy zbiorowej hysterii, których nie należało traktować zbyt poważnie, a jednak, jak mniemał Lamberg, każdy taki ślad musiał zostać dokładnie zbadany i sprawdzony. Nawet jeśli nie wiedziano ostatecznie, jak sprawca wygląda, a zeznania świadków były w tej kwestii zdumiewająco zróżnicowane. Na tysiąc fałszywych zgłoszeń jedno mogło okazać się prawdziwe, możliwe więc, że policja zadziałała i byli teraz w innym miejscu.

Była już głucha noc. Padał deszcz. Policjant naciągnął kaptur i wszedł w wąską uliczkę. Panowała ciemność. Chciał jak najszybciej znaleźć się na powrót w swoim mieszkaniu. Postanowił zacząć prowadzić własne, prywatne śledztwo i na razie nie informować nikogo o dokonanych ustaleniach. Należało porozmawiać z Plichtą, czego nie uczyniono, traktując go z góry jak świra. Lamberg nie wątpił, że opowieść o znikającym schronisku musi być zmyślona. Jednak nawet człowiek cierpiący na urojenia mógł zauważyć coś niepokojącego. W tym względzie umysł szaleńca mógł być podobny do umysłu dziecka. Policjant przypomniał sobie, jak pewnego razu przybiegł do niego przestraszony Paweł, który wówczas miał pięć lat. Opowiadał o tym, że w jego szafie mieszka potwór, który nocą uchyla drzwi i przygląda mu się lśniącyimi oczami. Po kilku dniach okazało się, że mają w mieszkaniu szczura. Jego nora znajdowała się za szafą, całkiem więc możliwe, że wymykając się na nocne spacerzy, otwierał drzwi, a nie było wykluczone, że lśniące oczy należały właśnie do niego. Szaleńcy i dzieci mają wspólną cechę – mówią prawdę, ale słowami, których prawdziwego znaczenia nie rozumiemy.

Może przez „zniknięcie” schroniska należało rozumieć coś innego. Coś, czego Plichta nie chciał lub nie miał odwagi nazwać wprost. Lamberga martwiła jeszcze jedna rzecz. Jego kontakt z Plichtą trwał bardzo krótko, lecz policjant nie mógł oprzeć się niepokojącemu wrażeniu, że facet wcale nie jest stuknięty. Sprawiał wrażenie normalnego. Lecz, oczywiście, mogło to być

mylne wrażenie.

Podszedł do auta i wydobył kluczyki. Nacisnął pilot centralnego zamka, lecz ten nie zadziałał. Włożył kluczyk do zamka i manipulował nim przez chwilę, starając się ręcznie otworzyć drzwi. Wtem zorientował się, że ktoś zaszedł go od tyłu. Odwrócił się raptownie, łapiąc gwałtownie powietrze. Jednak na jakąkolwiek reakcję obronną było już za późno. Poczł potężne uderzenie nieco poniżej serca i osunął się na ziemię. Ujrzał buty oprawcy oraz dłoń trzymającą wyposażony w tłumik pistolet. Następnie nadszedł niebyt.

6.

Historia balistyki zna wiele zdumiewających przypadków. Samobójca, który włożył sobie lufę pistoletu w usta i pociągnął za spust, lecz przeżył, ponieważ kula prześlizgnęła się po kościach czaszki. Myśliwy, który spacerując po lesie z naładowaną strzelbą, potknął się i oddał niekontrolowany strzał. Pocisk przeleciał przeszło trzysta metrów, zmieniając swoją trajektorię pod wpływem liści, które strącał, wypadł na parking, wleciał przez tylną szybę auta, przebił oparcie fotela i zabił wczasowicza, który dosłownie przed sekundą zajął miejsce przeznaczone dla pasażera. Wreszcie niedoszła ofiara porachunków mafijnych, do której nasłany zabójca wystrzelił cały magazynek z broni automatycznej, lecz wszystkie kule zostały zatrzymane przez rozwieszony na sznurach mokre prześcieradła oraz pierzynę. Są to niewiarygodne wręcz zdarzenia oraz zbiegi okoliczności, potwierdzają one jednak znane porzekadło, iż „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. W przypadku Lamberga to powiedzenie z jakiegoś powodu wydawało się szczególnie trafne.

Kiedy policjant ocknął się w kałuży deszczu, leżąc obok swojego samochodu, na ulicy nadal nie było nikogo. Oszołomiony podciągnął rękaw kurtki i spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. A więc nie był zbyt długo

nieprzytomny.

Z trudem wstał i oparł się o samochód. Bez wątpienia strzelono do niego z pistoletu wyposażonego w tłumik. Zastanawiał się, jak to możliwe, że jeszcze żyje. Pomacał się po miejscu, z którego emanował ból. Włożył dłoń pod koszulę, wyjął ją, lecz nie spostrzegł na niej nawet śladu krwi. Wsadził rękę do kieszeni i namacał w niej prostokątny przedmiot. Wtedy zrozumiał, czemu zawdzięcza ocalenie. Wyjął z kieszeni Biblię. Gruba książka była wgnieciona, a pośrodku okładki znajdował się okrągły otwór. To tędy weszła ołowiana kula. Spojrzał na tylną okładkę. Tutaj otworu nie było. Otworzył więc Biblię szczerze zdumiony i odnalazł spłaszczony pocisk, który przeszedł przez wszystkie kartki i zatrzymał się na tylnej okładce.

Lamberg sam nie wiedział, co o tym myśleć. Był to bez wątpienia pewnego rodzaju cud. Trudno było mu powiedzieć, czy to, co się stało, było możliwe z punktu widzenia fizyki. Niewykluczone, że tak. Nie był ekspertem od broni, ale podejrzewał, że założenie tłumika, zwłaszcza jeśli nie był on wykonany w fabryce broni, lecz przez domorosłego rusznikarza, mogło w pewnym stopniu wpłynąć na energię kinetyczną kuli. Biblia dodatkowo wyłapała pocisk, działając niczym kamizelka kuloodporna, przekazała jednak część zabójczej energii, wywołując szok organizmu i chwilową utratę przytomności. Zabójca odszedł przekonany, że wykonał swoje zadanie, zwłaszcza po tym, jak Lamberg bezwładnie osunął się na ziemię.

* * *

Piętnaście minut później Lamberg zaparkował wóz pod blokiem. Było już po pierwszej w nocy. Deszcz siąpił nieustannie, a nocny wiatr przynosił ze sobą górski chłód. Uliczne lampy wydobywały z ciemności mgłę, która rozpanoszyła się na parkingu. Policjant zdawał sobie sprawę, że ktoś chce go zabić, choć motywy tego kogoś nie były jeszcze dla niego całkiem jasne. Czuł

jednak, że jeśli chce przeżyć, w najbliższych dniach musi zachować szczególną ostrożność. Będzie również potrzebował wiele szczęścia.

Wokoło nie było żywej duszy. Zatłoczony parking rozciągał się przez dobre kilkadziesiąt metrów. Z jednej strony znajdowała się pogrążona w cieniach ulica, na drugim zaś krańcu cichy i nieoświetlony park. Lamberg nie zauważył żadnego śledzącego go samochodu, nie mógł jednak wykluczyć, że zabójca i tutaj mógł zastawić jakąś pułapkę, a nawet jeśli tego nie uczynił, pojawi się niebawem, gdy tylko dowie się, że jego ofiara cudem przeżyła napaść.

Mam kilka dni – zdał sobie nagle sprawę policjant. Kilka dni na wyjaśnienie tej niezwykłej sprawy, potem szczęście może mnie opuścić, tak jak opuściło Piotrowskiego.

Nagle ogarnęło go niemiłe uczucie, że ktoś mu się przygląda. Rozejrzał się czujnie wokoło. Samochody stały zaparkowane w rzędach, czerniejąc mokrymi szybami. Gdyby w środku któregoś z nich ktoś się czał, prawdopodobnie Lamberg nie byłby w stanie go dostrzec. Otworzył szybko bagażnik i wyciągnął z niego krótki, stalowy łom. Zawsze to jakaś broń. Wcisnął go za pasek spodni i nakrył kurtką. Szybkim krokiem ruszył w stronę przeszklonych drzwi prowadzących do bloku, mijając kolejne samochody. Wtem jego wzrok zarejestrował jakiś krótki i nagły ruch. Jednak nie na parkingu, lecz w ciemnym parku. Przystanął na moment. Odniósł wrażenie, że coś jasnego, odcinającego się na tle głębokiej ciemności przemknęło między drzewami. Mogło to być cokolwiek, na przykład niesiony podmuchem wiatru kawałek gazety. Albo biała suknia jego zmarłej żony.

Cały czas czuł się nieswojo. Wszystko wydawało się w zasadzie zwykłe, normalne, a jednak nie opuszczało go przecucie czającego się niebezpieczeństwa. Światło żarówki oświetlającej korytarz było dziwnie stłumione. Przeszedł obok metalowych skrzynek na listy, a jego kroki odbijały się echem. Nagle głośno szczęknęła winda.

Ktoś zjeżdżał na dół.

Policjant rozchylił lekko kurtkę i dłonią dotknął łomu. Winda zjechała, lecz nikt z niej nie wysiadł. Lamberg zajrzał przez szybkę, stwierdził, że jest pusta i wszedł do środka.

Kiedy jechał na górę, w głowie kotłowały mu się rozmaite myśli. Uznał, że musi jak najszybciej zobaczyć się z Plichtą. O ile facet jeszcze żył. Na niego również mógł napaść nasłany zabójca. Ta myśl zelektryzowała Lamberga niemalże do tego stopnia, że już chciał jechać wprost do Przygórza. Ostatecznie uznał jednak, że pojawiając się tam o tak późnej porze, dzwoniąc do domów mieszkańców i wypytyjąc o Plichtę, wszcząłby wieki raban, który mógłby szybko dotrzeć do niepowołanych uszu. On tymczasem po spotkaniu z nasłanym zabójcą nie ufał już nikomu. Nawet Jaroszewskiemu. Może nawet szczególnie jemu.

Gdy wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi. Po chwili zastanowienia uznał, że to może być za mało. Ktoś, kto dysponuje bronią palną wyposażoną w tłumik, nie powinien mieć większych problemów z otwarciem zwykłego zamka. Zabarykadował więc dodatkowo drzwi ciężką szafką na buty. Gdyby włamywacz zdołał nawet cichaczem otworzyć zamek, to z pewnością musiałyby narobić hałasu, starając się dostać do środka.

Policjant po raz kolejny pożałował, że nie miał przy sobie broni palnej. Wziął szybki prysznic, zażył tabletkę przeciwbólową i popił ją kilkoma łykami wody z kranu. Miejsce, w które uderzył pocisk, wciąż pulsowało tęnym bólem. Nie użalał się jednak. Mogło być dużo gorzej.

Obiecał sobie, że przez noc będzie starał się czuwać i nasłuchiwać. Tak też czynił przez pierwsze dziesięć minut. Wsłuchiwał się w monotony stukot deszczu o parapet okienny. Gdzieś na granicy słyszalności rozległ się odległy skowyt psa, który urwał się gwałtownie i ucichł. Winda znów ożyła, słychać było głuchy odgłos pracującego silnika. Lamberg wyobraził sobie pustą

windę, uruchamianą jakąś nieznaną siłą, jeżdżącą bez celu tam i z powrotem. Myśli zaczynały mu się kotłować. Wówczas, balansując na granicy jawy i snu, usłyszał, a może jedynie wyobraził sobie ciche skrzypnięcie drzwi od sypialni. Do jego uszu dotarł cichy szelest materiału ocierającego się o leżący na podłodze dywan. Poczł delikatny dotyk drobnej dłoni na swoim czole. To musi być sen – pomyślał i zasnął rzeczywiście.

* * *

Przebudził się dopiero około dziesiątej rano. Za oknem było już jasno, lecz nieodmiennie niebo zasnuwały ciemne chmury. Miał wrażenie, że coś wyrwało go z objęć snu, jakieś nagłe szuranie dobiegające zza okna. Pewnie ptak przysiadł na parapecie, to bez znaczenia – pomyślał.

Postanowił, że zje śniadanie, doprowadzi się do porządku, a następnie jak najszybciej pojedzie do Przygórza. Był to w zasadzie jedyny plan, jaki w tej chwili przychodził mu do głowy. Wcześniej jednak musiał coś sprawdzić. Należało to zrobić, zanim w ogóle zobaczy się z Plichtą.

Po śniadaniu zrobił sobie mocnej kawy z cukrem i mlekiem. Usiadł przy stole i włączył laptop. Zapalił papierosa i zaciągnął się nim głęboko, patrząc w zamyśleniu na pojawiające się logo Windows. Okolice Wałbrzycha znał dobrze. Wiele szlaków prowadzących przez Góry Sowie przemierzył albo razem z rodziną, albo, te trudniejsze i dłuższe – samotnie. Jednak z jakiegoś powodu nigdy nie zapuścił się w rejon Przygórza i nie mógł przypomnieć sobie niczego na temat tajemniczego schroniska na Wilczycy. Postanowił sprawdzić w wyszukiwarce, czy takie schronisko rzeczywiście istnieje.

Po chwili ze zdumieniem przeglądał zdjęcia ukazujące stary budynek. Zrobił zbliżenie. Napis nad drzwiami, wyrzeźbiony w drewnie, nie pozostawiał złudzeń. Schronisko na Wilczycy istniało. Jeśli więc Plichta zwariował, będzie to bardzo łatwo sprawdzić. Wystarczy pójść na miejsce. Lamberg

jeszcze raz dokładnie przyjrzał się otoczeniu budynku. Starał się je zapamiętać. Musiał mieć stuprocentową pewność, że nie doszło do żadnej pomyłki.

Nagle jedna z fotografii przykuła jego uwagę. Schronisko w ogóle wyglądało mało przyjaźnie, by nie powiedzieć wrogo. Lecz na tym zdjęciu zdawało się budzić jakiś szczególny dreszcz niepokoju i respekt. W jednym z okien ktoś stał. Lamberg zrobił zbliżenie. Był to mężczyzna ubrany jak gdyby w mundur, lecz mimo maksymalnego powiększenia jego twarz stanowiła jedynie mieszaninę pikseli.

Zdumiewające – pomyślał Lamberg. Zdjęcie zdawało się pochodzić najdalej z końca dwudziestego wieku. Jakość fotografii była świetna i policjant uznał, że zrobiono je nowoczesnym jak na ówczesne czasy aparatem. Tymczasem w stojącym w oknie mężczyźnie było coś archaicznego. Wydawał się wycięty jakby z innej fotografii i przyklejony w to miejsce. Fotomontaż? W jakim celu? Wszedł na stronę, na której znajdowała się fotografia. Nie była to bynajmniej jedna z tych stron poświęconych zjawiskom paranormalnym, na których zamieszczano nieudolnie zmontowane zdjęcia z rzekomo ukazującymi się duchami. Był to portal turystyczny opisujący atrakcje Gór Sowich.

Nagle policjant wpadł na jeszcze jeden pomysł. Po śmierci Piotrowskiego jego blog został usunięty. Załóżmy, że komuś zależało na ukryciu tych wszystkich tajemnic. Pozostawała jednak nadzieja, że jakieś wzmianki o blogerze lub fragmenty jego bloga przetrwały gdzieś w czeluściach Internetu.

Żmudne poszukiwania zajęły mu przeszło dwie godziny. Przez ten czas nie natrafił na żaden ślad. Wpisywał w wyszukiwarkę najróżniejsze frazy typu: „Piotrowski tajemnice Gór Sowich”, „Piotrowski niezależny badacz”, „Piotrowski odkrycia”, lecz wszystkie wyniki, na jakie udawało mu się natrafić, dotyczyły jedynie wieści o zaginięciu chłopaka i poszukiwaniach,

które zresztą wcale nie trwały zbyt długo. Zabrnął już na setną stronę wyników Google, gdzie wytypowane przez wyszukiwarkę frazy pozostawały w zasadzie bez związku z interesującym go tematem, gdy nagle między „Remontem ulicy Piotrowskiej” a „Tajemnicami Astronautyki” natknął się na coś, co przykuło jego uwagę. Link prowadził do popularnego portalu udostępniającego filmy, muzykę, gry komputerowe oraz wszystko, co dało się udostępnić. Na profilu jednego z użytkowników, posługującego się nickiem „Astaroth”, policjant odnalazł folder, w którym poupychane były najrozmaitsze pliki tekstowe. Część z nich była e-bookami, część jednak tekstami skopiowanymi z Internetu i powklejanymi w dokumenty Worda oraz zwykłego Notatnika.

Jeden z plików nosił tytuł „Piotrowski tajemnice”. Lamberg uznał, że natrafił na to, czego szukał. Kliknął dwukrotnie, aby otworzyć plik. Miał przed sobą kilkadziesiąt stron tekstów skopiowanych najwyraźniej z bloga zaginionego Piotrowskiego, ułożonych w przypadkowej kolejności. Ktoś interesujący się tego typu niewyjaśnionymi sprawami uznał najwyraźniej, że warto je zapisać i umieścić w jednym miejscu.

Policjant od razu zabrał się za lekturę. Już przeczytanie pierwszego wpisu utwierdziło go w przekonaniu, że Piotrowski był niegroźnym wariatem. Tym bardziej zastanowiło go, że zniknął bez wieści. Można było to jednak wyjaśnić nie teorią spiskową, lecz faktem, iż ten młody chłopak wyruszył na samotne poszukiwania w jakieś niebezpieczne miejsce, gdzie po prostu przytrafił mu się tragiczny wypadek.

Pierwszy wpis dotyczył nazistów, którzy pojawili się na zamku Książ. Miało być wśród nich wielu najwyższej klasy ekspertów badających rozmaite dziedziny wiedzy, od medycyny począwszy, a na lotach kosmicznych skończywszy. Byli oni zrzeszeni w tajnej organizacji o nazwie Ahnenerbe. Zgodnie z tym, co pisał Piotrowski, nazistów pochłaniały niesłychane projekty, znacznie wykraczające poza tamte czasy. Marzono o podbojach kosmosu.

Chciano zbudować tajemniczą broń, która unieruchomi pojazdy przeciwnika na odległość. Wreszcie, zgodnie z tym, co pisał bloger, podejrzewano, że na tych ziemiach może żyć szczególna rasa ludzi, których zamierzano poddać eksperymentom, jak to wówczas określano – eugenicznym. Chciano stworzyć żołnierza o nadnaturalnych zdolnościach, który nie odczuwałby zmęczenia i którego ciało regenerowałoby się w zadziwiający sposób. Inspiracji poszukiwano nie tylko w nauce, lecz również w czymś, co oględnie określano mianem „starych pism” oraz „dawnej wiedzy”.

Piotrowski wysnuwał w tym momencie hipotezę, która zdawała się z miejsca stawiać pod znakiem zapytania jego zdrowy rozsądek. Twierdził bowiem, że owe „stare pisma” oraz „dawna wiedza” miały pochodzić z jakichś starodawnych, bardzo zamierzchłych czasów, o których mało kto wie, a o których nie wolno ani mówić, ani nauczać. Teoria Piotrowskiego opierała się na przypuszczeniu, że w otchłani czasów Ziemię odwiedzili przybysze „z nieba”. Sam Piotrowski odnosił się do tego sformułowania z pewną nieufnością, sugerując, że wyrażenie „z nieba” może być swego rodzaju przenośnią, użytą wówczas przez ludzi z braku bardziej trafnego określenia. Niemniej nasiłci, zdaniem badacza, znali tę opowieść, mało tego, dysponowali dokumentami i dowodami niemal w stu procentach potwierdzającymi autentyczność tej legendy. Miały to być między innymi starożytne pisma, informujące o „istotach z innego świata”, które pojawiały się w przeszłości wielokrotnie i przyczyniły do powstania rodzaju ludzkiego. Dowody przechowywano pierwotnie w tajnych archiwach Watykanu, zanim trafiły w ręce nazistów, ponieważ mogły zachwiać całym wyobrażeniem, jakie ludzkość wypracowała sobie na temat swojego pochodzenia. Autentyczność opowieści miała być potwierdzona poprzez tajemnicze przedmioty, swego rodzaju artefakty. Jednym z nich była ludzka czaszka wykonana ze stopu aluminium i ołowiu, absolutnie nie do uzyskania w ziemskich warunkach.

Drugim była miniaturowa piramida wykonana z wody. Wszelkie możliwe wówczas ekspertyzy naukowe potwierdziły, że jest to woda w stanie ciekłym, a jednak przedmiot nie rozplywa się, lecz zachowuje swój kształt do tego stopnia, że próba jego zniszczenia najpierw za pomocą młota kowalskiego, a następnie najsilniejszych materiałów wybuchowych skończyła się sromotną porażką. Był to więc, jak sugerował Piotrowski, nie zwykły „przedmiot”, ale jakby ucieleśniony kształt. Kolejnym, trzecim najbardziej zdumiewającym przedmiotem było coś, co obserwatorzy oraz laboranci określali mianem „ciekłego światła”. Była to emanująca niewyczerpanym blaskiem oraz ciepłem substancja niewielkich rozmiarów, którą można było nawet wziąć do ręki. Substancja ta pulsowała i zgodnie z opisem niektórych świadków sprawiała wrażenie „żywej”. Piotrowski sugerował, że mogło to być coś na kształt pierwotnej energii, jakiejś elementarnej postaci materii, stojącej u podstaw wszystkiego, co istnieje, lecz w obecnych czasach niemożliwej już do zaobserwowania w naszym Wszechświecie.

Lamberg nie miał pojęcia, co właściwie na ten temat sądzić. Wyglądało to na stek niegroźnych banialuk, na jakie można natknąć się nieraz w czasopiśmie spoczywających najczęściej na najniższych półkach w podrzędnych kioskach z gazetami. Kolejny wpis jednak nieco go zaniepokoił. Była w nim mowa o „niezwykłym wynalazku” wyprzedzającym o stulecia współczesną myśl techniczną. Miał on rzekomo doprowadzać do znikania przedmiotów, przenosząc je – jak to określał sam autor tekstu – „na inną częstotliwość”. Autorem projektu miał być genialny Nikola Tesla, inżynier i wynalazca serbskiego pochodzenia. Wiele jego odkryć, takich jak silnik elektryczny, prądnica prądu przemiennego, dynamo rowerowe, radio, urządzenia zdalnie sterowane drogą radiową – zyskało sobie ogromną popularność i przysporzyło mu wielkiej sławy.

Wiadomo było, że Tesla zmarł w roku 1943, w apartamencie numer 3327

hotelu w Nowym Jorku. Oficjalną przyczyną jego śmierci był zakrzep tętnicy wieńcowej. Gdy jednak następnego dnia do jego pokoju pośpieszył siostrzeniec zmarłego, stwierdził z całą pewnością, że z pokoju wujka zniknęły zapiski naukowe oraz czarny notatnik, który był dla niego bardzo ważny i którego ten strzegł osobiście. Notatnik miał zawierać „sekret wielkiej wagi”, a sam Tesla podobno zastanawiał się nad jego zniszczeniem, czego ostatecznie nie zdążył uczynić.

Osobą, która odkryła ciało Tesli, była jego służąca. Piotrowski podejrzewał jednak, że służąca nie zainteresowałaby się notatnikiem pełnym szkiców i matematycznych obliczeń. Zanim więc kobieta weszła do pokoju, był tam wcześniej ktoś inny. Niewykluczone, że owa osoba, lub osoby, przyczyniła się do śmierci geniusza i zabrała notatnik. Co zawierały zapiski? Tego można się jedynie domyślać. Piotrowski wspominał o największym odkryciu Tesli, tajemniczej „fali skalarnej”. Według niego skradziony czarny notatnik mógł zawierać szkice i wskazówki umożliwiającego budowę urządzenia zdolnego wytworzyć falę skalarną, a za śmiercią Tesli i kradzieżą notatnika stali nazistowscy agenci, wysłani na tę misję przez samego Heinricha Himmlera.

Lamberg zaznaczył cały tekst i uruchomił drukarkę. Nie miał pojęcia, czy z tej przedziwnej legendy da się wyłuskać jakiegokolwiek ziarno prawdy, a jednak jego intuicja podpowiadała mu, że warto trochę bliżej przyrzeć się teoriom blogera. W umyśle policjanta powstawały już pierwsze skojarzenia. Formowało się z wolna niezwykle podejrzenie, było ono jednak na tyle nieprawdopodobne, że na świadomym poziomie Lamberg odrzucał je właściwie w stopniu całkowitym. Wstał na chwilę, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Panowała dziwna szarość, miasto tonęło we mgle i deszczu. Mimo to uchylił okno, wpuszczając do środka trochę świeżego powietrza. Po chwili powrócił do lektury tekstów, które ocalały ze skasowanego bloga. W kolejnych wpisach Piotrowski wyjaśniał, czy też usiłował wyjaśnić, czym

jest fala skalarna. Nie był matematykiem ani fizykiem, lecz kimś w rodzaju pasjonata historii. Mimo to jego słowa działały na wyobraźnię:

Fala skalarna jest czymś fundamentalnym dla Wszechświata. Współczesna fizyka zabrnęła w ślepy zaułek, starając się odnaleźć najmniejsze cząsteczki, z których zbudowana jest materia. Znajduje się wciąż coraz mniejsze i mniejsze, i tak bez końca. W rzeczywistości jednak nie istnieją one w taki sposób, w jaki naucza się o tym na lekcjach fizyki w szkole. Wszelkie modele atomów przedstawiające wirujące wokół jądra atomowego piłeczki są jedynie mąceniem w głowach uczniom. W rzeczywistości wewnątrz atomu jest puste, a sam atom jest jedynie matematycznym modelem, niczym więcej. Wszelkie cząsteczki, o których się mówi, w rzeczywistości nie istnieją. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że nie można ustalić ich konkretnego położenia w danej chwili, a ich rzekoma lokalizacja jest określana jedynie za pomocą prawdopodobieństwa. Jeśli napiszę, że mój kot jest w tym pokoju z prawdopodobieństwem wynoszącym sześćdziesiąt procent, to czy kot przebywa w tym miejscu, czy też nie? Na to pytanie każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

Fala skalarna może stanowić odpowiedź na ten paradoks. Tesla mógł odkryć, że wszystko, co istnieje, jest falą. Podobnie jak audycja radiowa, którą odbieramy tylko na danej częstotliwości. Nasze mózgi są zestrojone z tą częstotliwością za pomocą czegoś, co najczęściej określamy mianem świadomości. Świadomość również jest falą elektromagnetyczną. Dlatego w ogóle „widzimy” świat. Posługując się falą skalarną, można doprowadzić, że część naszego świata na pewien czas przeniesie się na inną częstotliwość. To potężne narzędzie o trudnych do wyobrażenia możliwościach – zwane również „generatorem fali skalarnej Tesli”. Nie jest wykluczone, że urządzenie takie mogło zostać przez nazistów zbudowane. Być może chodziło o stworzenie czegoś w rodzaju „absolutnego kamuflażu”. Jeśli tak było

rzeczywiście, to jest to wielki sekret strzeżony po dzień dzisiejszy przez Werwolf. Objawami towarzyszącymi uruchomieniu generatora mogą być gwałtowne anomalie pogodowe występujące na skutek zakłócenia zjawisk elektrycznych w atmosferze ziemskiej, a także zakłócenia sprzętu elektronicznego, szczególnie współczesnych telefonów komórkowych, kamer czy aparatów cyfrowych.

Lamberg z zapartym tchem przeczytał ostatni akapit. Postanowił, że podejście do dziwnych domysłów blogera z należytą ostrożnością i krytycyzmem. Owszem, był człowiekiem uduchowionym, lecz mimo to mocno stąpającym po ziemi. Uważał, że prawdę wykuwa się w ogniu krytyki i nie zamierzał pochopnie wierzyć w ani jedno słowo napisane przez Piotrowskiego. A jednak nie mógł oprzeć się niektórym myślom, które nagle zaczęły cisnąć mu się do głowy. Człowiek „wchodzący” w furgonetkę na zdjęciu, a następnie „wychodzący” z niej po drugiej stronie jakby nigdy nic – jakby w ogóle jej nie zauważył... Sekret nieuchwytnego sprawcy „rzezi niewiniątek”, którego wyraźnego wizerunku nie zdołała zarejestrować żadna kamera, a przecież uciekając po dokonaniu tej strasznej zbrodni, musiał minąć ich dziesiątki... Wreszcie zastanawiający fakt, że część ludzi albo w ogóle nie dostrzegła sprawcy mordu, albo opisywała go w zupełnie rozbieżny sposób...

Minęło południe, a on nadal skrupulatnie analizował skopiowane wpisy pochodzące z bloga. W ostatnich z nich Piotrowski stwierdzał, że czegoś się obawia. Pisał, że otrzymuje telefony, esemesy oraz e-maile z groźbami. Twierdził, że jest śledzony. Lamberga szczególnie zaciekał fragment mówiący o samym Werwolfie. Ta zmilitaryzowana, partyzancka organizacja powstała rzekomo, by chronić Niemców na Ziemiach Odzyskanych. Jednak jej prawdziwym celem było strzeżenie skarbów oraz tajemnic, jakie skrywają Góry Sowie. Członkowie Werwolfu oraz wyznaczeni ludzie noszący miano Rezydentów po dzień dzisiejszy pilnowali sekretów, przekazując sobie tę

funkcję z ojca na syna. Aby móc sprostać swojemu zadaniu, sprawowali ważne funkcje – leśniczych, konserwatorów zabytków, inspektorów ochrony przyrody, wojskowych, a także wysoko postawionych funkcjonariuszy policji.

* * *

O siedemnastej Lamberg jechał w stronę Przygórza. Szosa prowadziła przez iglasty las wypełniony deszczem i mgłą. Olbrzymie sosny i świerki ociekały wodą, a mijające go auta wyrzucały spod kół strugi deszczu. Mimo stosunkowo wczesnej godziny było zadziwiająco ciemno. W kieszeni kurtki miał wydrukowane te fragmenty z bloga Piotrowskiego, które wydawały mu się najciekawsze.

Gdy dojechał do Przygórza, zaparkował przy chodniku. Wokoło nie było widać żywej duszy. Lamberg poszedł do sklepu spożywczego „Cho No Tu”. Sprzedawczyni знаła Plichtę i bez trudu wskazała jego dom. Po chwili policjant dzwonił już do pomalowanej na zielono furtki. Jego uwagę przykuły czarne kruki siedzące rzędem na płocie. Wyglądały tajemniczo i uroczyście, przywodziły na myśl sędziów w togach, którzy przybyli na rozprawę sądową.

Przez pewien czas nikt nie otwierał. Lamberg już przestraszył się, że Plichtę rzeczywiście zabili ludzie z Werwolfu. Później jednak do uszu policjanta dobiegło jakieś szuranie z wnętrza domu oraz szczęk przesuwanych rygli. Następnie drzwi uchyliły się i ukazał się w nich barczysty Plichta. Lamberg z pewnym podziwem uznał, że góral, gdyby był młodszy, mógłby być zapaśnikiem lub uprawiać jakiś sport siłowy. Teraz jednak posiwiałe włosy przydawały mu czcigodnego wyglądu, lecz efekt ten psuła zmęczona twarz. Widać było, że Plichta sporą część nocy spędził, czuwając.

Podali sobie na powitanie ręce. Lamberg wszedł do domu, rozglądając się wokoło z ciekawością. Był to budynek z jednej strony współczesny, z drugiej jednak przesycony tradycją. Na ścianach wisiały religijne obrazki, wiązki ziół,

ludowe makatki. Drewniana podłoga skrzypiała pod nogami.

– Mieszka pan tu sam? – zagadnął Lamberg.

– Z żoną.

– Nie ma jej teraz?

– Wyjechała do dzieci do Wrocławia – odparł mężczyzna. – Tu jest zbyt niebezpiecznie. Tej nocy... a zresztą. Zaraz powiem. Zrobię wpierw herbaty.

Wiele spraw trzeba wyjaśnić. Poza tym ja nie żaden pan.

– Czemu akurat ja? – spytał Lamberg, siadając przy stole w pokoju.

– Nie rozumiem? – Plichta spojrzał na niego pytająco.

– Czemu zdecydowałeś się opowiedzieć o tym akurat mnie?

Góral wyglądał na zaskoczonego.

– Muszę o tym komuś powiedzieć. Jesteś z policji, prawda?

– Owszem.

– Właśnie. Ale nie wchodziłbyś do tego kościoła, gdyby coś cię do niego nie przyciągnęło. Powiedziałaś, że tam zginęła twoja żona i syn. Masz swój powód, żeby doprowadzić te sprawy do końca. A ja mam swój. Jest mało czasu. Widziałeś kruki, prawda? Nie przyleciały tu bez powodu, zapewniam cię. To coś znów się przebudziło, jest jak radiolatarnia, tak mawiał mój dziadek.

– Posłuchaj – przerwał mu Lamberg. – Od razu mówię, że chciałem dowiedzieć się czegoś o sprawie mordercy z kościoła, który jest prawdopodobnie sprawcą reszty zbrodni. Nie chcę, żeby zabrzmiało to nieuprzejmie. Nie przyjechałem jednak do Przygórza, żeby słuchać o krukach i radiolatarni. Jeśli to jakieś opowiadki dla turystów, nie musisz mi o nich mówić. Nie będę też ukrywał, że na komendzie mają cię za świra. Powiedz mi lepiej, czy wiesz, albo chociaż domyślasz się, kim może być ten, który stoi za „rzezią niewiniątek”. Chcę zobaczyć schronisko na Wilczycy. Sprawdziłem w Internecie i zapewniam cię, że istnieje i nie znikło.

– Niczego nie rozumiesz – rzucił Plichta.

– Nie? To może mi wyjaśnisz?

– Droga do tej sprawy jest kręta i cholernie niebezpieczna. Jeden z jej końców tkwi gdzieś w starych ludowych bajdach, w dawnych opowieściach, których lepiej jest nie znać, i tajemnicach, których można się tylko domyślać. Drugi koniec stanowi, jak podejrzewam, samo schronisko lub coś, co jest z nim związane. Od dziecka słyszałem niezwykle historie związane z tą okolicą. Część z nich pochodziła od mojego dziadka, część od ojca. Wiele myślałem o tych sprawach i z czasem pozornie niezwiązane ze sobą fragmenty tych dziwnych opowieści zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Jeśli nie chcesz mnie wysłuchać, nigdy nie zrozumiesz, o co w tej sprawie chodzi.

– Chcę cię wysłuchać – rzekł Lamberg. – Mów więc.

– Sprawdzę jeszcze raz, czy drzwi zamknięte. Noc zapada. – Policjant wywrócił oczami, Plichta zaś wrócił po chwili i zasiadł naprzeciwko Lamberga. Splótł wielkie dłonie i oparł je na blacie stołu. Spojrzenie miał zamysłone i jakby skierowane w głąb siebie samego. Wreszcie przemówił:

– Legenda powiada, że w lasach żył ród czarownic. Jedni mówią, że były one niebezpieczne. Inni, że potrafiły pomagać w chorobie. Różnie się o nich gadało, jedni nazywali je wiedźmami, a inni szeptuchami. Próżno by szukać odpowiedzi na to, skąd się wzięły. Byli tacy, co gadali coś o starych bogach, wiesz, tych, w których ludzie wierzyli, jeszcze zanim przyszło chrześcijaństwo. Podobno oni mieli coś z tym wspólnego, te kobiety w jakiś sposób obcowały z nimi cieleśnie, pewnie rozumiesz, co mam na myśli. To niemożliwe, ale tak się gadało. Żyły więc w tych górach od niepamiętnych czasów. Niby ludzie, a jednak nie ludzie. Inna rasa. Tak było, aż doszło do pogromu, kobiety wymordowano przed wybuchem drugiej wojny światowej z pomocą specjalnych wysłanników z Watykanu. Rzecz jasna, stało się to w absolutnej tajemnicy i nikomu nie wolno było o tym ani pisać, ani mówić.

Ocalała tylko jedna. Wampirzyca. Podobno wyglądała jak zwykła, bardzo piękna kobieta. Ile prawdy w tym, nie wiem. W końcu udało się ją dopaść i zabić, nie wiadomo, kto to zrobił ani jak. Ciało odnaleziono w lesie, z rozciętym brzuchem, strasznie pokiereszowane. Pochowano ją w grobie na starym cmentarzu pod wsią. Od dawna nikt się tam nie zapuszcza, bo strach. Spytasz, skąd wiedziano, że to ona stała się wampirzycą? Odpowiedź jest prosta. Już kilka dni po pogrzebie wróciła. Od tamtego czasu wielu ludzi ją widziało. Widziałem też ja sam.

Lamberg pokręcił głową, ale nie odezwał się. Milczeli przez dłuższą chwilę, którą ostatecznie przerwał policjant.

– Czas na mnie – rzekł lakonicznie.

– Nie wierzysz mi.

– Cóż...

– To mnie nie dziwi. Ale zanim wyjdiesz, wysłuchaj, co mam do powiedzenia. Werwolf strzeże tej tajemnicy. Wiem, że mnie obserwują.

– Już to...

– Przez wiele lat nie wyściubiałem nosa i starałem się pilnować swoich spraw. Wiem, że będą starali się mnie usunąć. Nocą w kościele strzelano do nas. Przyjdą i tutaj. Przynajmniej jedna osoba powinna wysłuchać moich podejrzeń, bo wampirzyca to tylko część opowieści.

Lambergowi trudno było to wszystko pojąć. Podświadomie jednak chciał wysłuchać historii Plichty do końca. Chyba liczył też skrycie, że w lawinie tych niesłychanych opowieści natknie się na jakąś wartościową informację.

– A więc słuchaj, choć widzę, że i ty masz mnie za wariata – rzekł Plichta. – Nie szkodzi. Myślę, że niedługo wielu ludzi przekona się, że to ja miałem rację. Ważne jest, co stało się w czasie drugiej wojny światowej. Zbliżamy się do sedna.

Wtedy Lamberg coś usłyszał. Kroki. Nieopodal domu.

– Kto to? – rzucił.

– Nie mam pojęcia – odparł Plichta.

Nasłuchiwali. Panowała absolutna cisza, taka, jaka potrafi zagościć jedynie w starych domach na wsi. Nagle z sieni dobiegło ciche skrzypienie. Urwało się jednak nagle i znów zapanowała cisza. Plichta i Lamberg spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Góral położył palec na ustach. Wstał i skradając się, wyszedł na chwilę z pokoju. Policjant posłyszał zgrzyt otwieranej szafy.

Po chwili w drzwiach ukazał się Plichta. W rękach trzymał dwie strzelby.

– Jeśli to oni, tym razem nie będziemy bezbronni – oświadczył głosem, w którym brzmiała determinacja.

– Legalne? – Lamberg zerknął na broń. Nie mógł powiedzieć, że w tym momencie nie poczuł się pewniej, bardziej bezpiecznie.

– W zupełności. Rozmawiasz z członkiem koła łowieckiego z dziada pradziada. Mam wszelkie możliwe pozwolenia. Mój dziadek znał się dobrze z komendantem milicji obywatelskiej, dziadkiem Jaroszewskiego. To wszystko sami swoi.

Lamberg drgnął. Tego się nie spodziewał.

– Żartujesz. Twój dziadek znał się z dziadkiem Jaroszewskiego? Jesteś pewien?

– Chyba niczego w życiu nie jestem bardziej pewien. Wypili razem morze wódki. Chodzili razem na polowania. Potem ich drogi się rozeszły. Dziadek za bardzo zaczął drażnić pewne sprawy. Ale nie czas teraz na towarzyskie historie. To jest mossberg 500, kaliber 12mm, amerykańska konstrukcja. Swego czasu kosztował kupę forsy.

Lamberg skinął głową.

– Całkiem przyjemna.

– Prawda? Strzelba kupiona niby do celów myśliwskich, ale w rzeczywistości do obrony domu. Dobra na krótki dystans.

Drugą strzelbą była kniejówka. Dwustrzałowa. Ten sam kaliber co mossberg. Można było załadować kulą lub śrutem. Jedna lufa była gwintowana, druga nie.

Plichta oparł obydwie strzelby o blat stołu, tak żeby w razie potrzeby znajdowały się w zasięgu ręki.

– Czuję, że mamy mało czasu – stwierdził. – Dlatego powiem ci najważniejsze rzeczy, które wiem albo których się domyślam. Schronisko na Wilczycy jest niebezpieczne. Swego czasu byłem tam kilka razy. Jest w nim coś, co sprawia, że będąc w środku, cały czas oglądasz się przez ramię. Do głowy przychodzą ci różne myśli, okropne myśli, których po wyjściu na światło dzienne zaczynasz się wstydzić nawet przed sobą samym. Przez pewien czas było nawet otwarte dla turystów, ale ludzie stamtąd uciekali, podobnie jak gospodarze. Żaden z nich nie miał odwagi powiedzieć głośno, co go tak przeraziło.

Lamberg słuchał, kiwając co jakiś czas głową. Niekiedy spoglądał w stronę okna, ale szybko wracał wzrokiem ku Plichtcie.

– Dwa lata temu jesienią, przed sezonem grzewczym poszedłem tam, żeby sprawdzić stan kotła centralnego ogrzewania. Wiedziałem, że na pewno nie ma tam nikogo, drzwi były zresztą zamknięte na klucz. Już wchodząc, czułem, że coś jest nie tak, ale nie umiem powiedzieć dlaczego. Kiedy zszedłem do piwnicy, kocioł był jeszcze ciepły, zupełnie jakby ktoś niedawno w nim palił. W schronisku wyczuwało się czyjąś obecność, jakby ktoś tam cały czas jednak mieszkał. Potem usłyszałem kroki na górze, bardzo głośne, nie było mowy o pomyłce. Było to bardzo dziwne, bo wchodząc, zamknąłem za sobą drzwi. Z duszą na ramieniu poszedłem sprawdzić, co to takiego. Bałem się jak wszyscy diabli, ale to był wtedy jeden z moich obowiązków – dbanie o schroniska. Nie mogłem pozwolić, by kręcili się tam jacyś nieproszeni goście.

– Do rzeczy – ponaglił Lamberg.

– Kiedy wszedłem na górę, sprawdziłem wszystkie pokoje. Zajrzałem nawet do szaf. Nikogo. Cały czas jednak czułem, że nie jestem tam sam. Wtedy znów posłyszałem kroki kogoś chodzącego na dole. Wyglądało to tak, jakby ktoś bawił się ze mną w ciuciubabkę, jednak mnie ani trochę nie było do śmiechu. Kiedy zszedłem na dół, oniemiałem. Wszystkie drobne przedmioty, jakie leżały w jadalni na dole, małe widelce, łyżeczki, filiżanki, zostały powyjmowane z szuflad i porozkładane w różnych miejscach, na stole, na półkach i na podłodze. Nie mogłem pojąć, jak coś takiego mogło nastąpić w równie krótkim czasie. Przyznam, że miałem już wtedy niezłego pietra, więc nie ruszając niczego, czym prędzej zwałem z tego schroniska. Od dziadka wiem, że działo się tam coś strasznego. Nikt nie wie jednak dokładnie co. W czasie wojny dziadek, ponieważ był dość znaczącą osobą we wsi oraz znał dobrze polski i niemiecki, został poproszony o pełnienie funkcji tłumacza. Do schroniska wprowadziła się ważna szych. Nazywał się Hubertus Strughold. Dziadek bał się go jak wszyscy diabli, ale starał się nie pokazywać tego po sobie. Mówił jednak, że ten gość miał w sobie coś takiego, co potrafiło zmrozić cię do szpiku kości, chociaż na pozór wyglądał normalnie. Wierzyłem dziadkowi i wierzę nadal w tę opowieść, ponieważ był on jednym z tych ludzi, którzy strach uznają za coś wyjątkowo niemęskiego i jeśli coś jest w stanie ich przestraszyć, to chyba tylko sam diabeł. Dziadek mówił, że Strughold miał w sobie coś z diabła, bez cienia przesady. Ciekawe jest jednak, że nie od samego początku. W pierwszych rozmowach, zaraz po przybyciu do schroniska, które wówczas pięknie odremontowano i zmieniono w willę, Strughold wydawał się podobno dość sympatyczny. Dziadek towarzyszył mu nieraz na górskim szlaku, odprowadzał go do samych drzwi. Potem jednak Niemiec stawał się coraz bardziej nerwowy. Plotki mówiły o tajemniczych ciężarówkach, które pod osłoną nocy pięły się przez las w kierunku tego

przeklętego wzgórza. Musiały przejeżdżać przez Przygórze, bo innej drogi zwyczajnie wtedy nie było, a ci, którzy przypadkiem znaleźli się na trasie ich przejazdu, znikali na zawsze. Pewien grzybiarz zasiedział się jednak w lesie długo w noc. Mówiąc wprost, poszedł tam z flaszką, i pociągając sobie od czasu do czasu, przysnął gdzieś pod drzewem i spał tak aż do głębokiej nocy. Nazywał się Molicki, od dawna już nie żyje. Tak więc zbudził się w lesie, oparty o pień. Zerwał się na równe nogi, bo wiedział, że w domu czeka na niego rozsierzona baba. Nagle ujrzał światła ciężarówki z wolna pełnącej przez las w stronę tego diabelskiego schroniska. Była nakryta czarną plandeką. Miał w pamięci plotki miejscowych, więc zaraz padł na ziemię, żeby nikt go nie zauważył. Znajdował się niedaleko drogi, ale na szczęście skryły go gęste krzaki i ciemność. Kiedy później opowiadał o tym dziadkowi, a znali się dość dobrze, ponieważ chodzili do jednej szkoły, zaklinał się na wszystkie świętości, że posłyszał dobiegający z ciężarówki płacz dzieci. Poleżał tak jeszcze dość długo na ziemi, bojąc się ruszyć, a potem pognął do wsi. Sprawa jednak nie dawała mu spokoju i w kilka dni później, kiedy było już ciemno, postanowił zakraść się pod schronisko. Wystrychnął jakoś na dudka swoją wścibską babę, co, jak się domyślam, nie było łatwe, i rzeczywiście pod osłoną ciemności podszedł całkiem blisko. Dziadek mówił, że w tym momencie opowieści Molicki robił się biały jak kreda. Przerywał i za żadne skarby świata nie chciał powiedzieć, co było dalej. Dopiero kilka solidnych haustów bimbrowo było w stanie rozwiązać mu język na tyle, by dukając oraz trzęsąc się, doprowadzić opowieść do końca. Będąc pod schroniskiem, posłyszał straszne krzyki dzieci. Brzmiały one tak, jakby ktoś dosłownie kroił je na kawałki za życia. Krzyki po pewnym czasie nagle się urywały. I wtedy Molicki coś zobaczył. Nikt nie wie, co to było. Żadna ilość bimbrowo nie była w stanie wydusić z niego dalej nawet najmniejszego słowa. Trząsł się tylko i łapał powietrze gwałtownymi haustami, a po jego policzkach płynęły łzy

wielkie jak groch, aż się robiło chłopu żal. Jest jednak faktem, że tamtej nocy zupełnie posiwiął. Straszne pogłoski zaczęły roznosić się po wsi, dziadek zaczął bać się Strugholda, ale nie do końca dawał wiarę wszystkiemu, co mówiono. Jednego razu razem ze Strugholdem podeszli pod samo schronisko, jednak Niemiec oczywiście nie wpuścił dziadka do środka. Dziadek jednak zauważył niewielkie wzgórze nieopodal schroniska. Ziemia była tam świeżo poruszona, ktoś naznosił też liczne głązy, jakby chcąc zabezpieczyć się, by zwierzęta nie mogły kopać w tamtym miejscu. Domyślasz się, co mam na myśli. Sądzę, że dziadek już wówczas doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Mówił, że Strughold przyjrzał mu się bacznie, a on pilnował całą siłą swojej woli, aby zachować pogodny wyraz twarzy. Wiedział, że umrze, jeśli Strughold zorientuje się, że czegoś się domyśla.

– Czemu po wojnie tego nie wyjaśniono? – zapytał lekko znużony Lamberg.
– Zbrodniarze wojenni zostali albo schwytani, albo zdołali uciec. Jeśli we wsi mówiło się, że pod głazami mogą być ukryte szczątki dzieci, to czemu tego nie sprawdzono?

– Sam się nad tym zastanawiałem, Bóg mi świadkiem, wiele razy – odparł Plichta. – Spytałem o to nawet kiedyś dziadka. Powiedział mi, że zapytał swojego kumpla, Jaroszewskiego, dziadka obecnego komendanta. Chyba rzeczywiście zapytał, bo kolejnej nocy ktoś próbował podpalić nasz dom. Dobrze, że dziadek ocknął się, a żeby było dziwniej, stało się to za sprawą kruka. W środku nocy kruk przysiadł na parapecie i narobił takiego hałasu, że wyrwało to dziadka ze snu. Zły jak piorun wstał z łóżka i wtedy zobaczył płomień. Zdołał je ugasić w ostatniej chwili. Nie miał wątpliwości, że stali za tym ludzie z Werwolfu. Wtedy też jego przyjaźń z Jaroszewskim – dziadkiem znacznie osłabła. Dziadek nie wracał już więcej do tematu głązów na wzgórzu, w każdym razie nie wprost, a mnie kazał o wszystkim zapomnieć. Myślę jednak, że do ostatnich dni, zanim umarł na atak serca w Wigilię Bożego

Narodzenia, ta sprawa nie dawała mu spokoju. Pewnego razu, mając już naprawdę mocno w czubie, powiedział coś bardzo dziwnego o krukach. „Dusze dzieci weszły w kruki, widziałem je, jak krążą nad wzgórzem. Kiedyś wrócą. Wiem, że ten dzień nadejdzie, wrócą po swoje i rozszarpią tego skurwysyna”. Nie miałem jednak pojęcia, o czym właściwie gada. Miał jednak pewnego rodzaju hopla na punkcie tych ptaków.

Lamberg przypomniał sobie rząd czarnych kruków siedzących na płocie domu Plichty. Nie przerywał jednak góralowi. Od czasu do czasu tylko nasłuchiwał. Plichta opowiadał dalej, a Lamberg słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

Cisza, wcześniej nabrzmiała jakimś długotrwałym oczekiwaniem, została przerwana nagłym, niespodziewanym podmuchem wiatru, który uderzył w okna domu. Podmuch cofnął się gwałtownie, niczym szarża małego oddziału kawalerii badającej siły obronne obleganej twierdzy, a następnie zaświstał w kominie.

– Nikt nigdy nie odważył się dążyć dalej tej sprawy – kontynuował Plichta.
– Wszyscy za to bali się wampirzycy. A najbardziej ja, ponieważ wiedziałem, kim ona jest.

– Jakim sposobem? – zdumiał się Lamberg.

– Widziałem kilka razy, jak snuje się po lesie. Byłem diabelnie przerażony. Co innego siedzieć tutaj i gadać o tych sprawach, a co innego stanąć z nią twarzą w twarz. Ciało miała już naznaczone rozkładem, ale wyglądała tak, jakby wstała z grobu kilka dni po pogrzebie. Nadal jednak jej rysy twarzy były w pewien sposób piękne, choć nie życzę nawet największemu wrogowi, by kiedykolwiek zobaczył jej oczy. Ja... znam tę twarz. Jestem tego właściwie pewien.

– Wiesz... wiesz kim ona może być? – Opowieść górala pochłonęła Lamberga. Była tak zdumiewająca, że zapragnął nagle poznać jej zakończenie.

Bez względu na to, czy wierzył w nią czy nie.

– Widziałem tą kobietę na starej fotografii, którą raz jedyny pokazał mi dziadek. W towarzystwie Niemca Strugholda i jego samego. Już wtedy wydała mi się bardzo ładna. I o dziwo bardzo dobra. Wtedy byłem na to za mały, ale dzisiaj domyślam się, że mogła zostać kochanką Strugholda. Dziadek był nieco zdziwaczalnym człowiekiem i lubił mamrotać do siebie różne rzeczy. Kiedy zwracało mu się na to uwagę, denerwował się i mówił, że po prostu głośno myśli. W każdym razie pamiętam, jak mruknął do siebie: „mieli się ku sobie” oraz coś w stylu: „straszna sprawa”. Trudno mi domyślać się, do czego doszło między dziewczyną a Strugholdem. Jakies pół roku później jednak podsłuchałem plotki dorosłych, dziewczynę znaleziono martwą, zmasakrowaną, z rozciętym brzuchem. Myślę, że to była sprawka tej bestii, że Strughold ją zabił. Ciało pochowano na cmentarzu, tym, na który od dawna nikt nie chodzi. W kilka dni po pogrzebie gruchnęła wieść, że widziano zmarłą, że dziewczyna w jakiś sposób powróciła zza grobu. Od tamtego czasu były okresy spokoju. Bywało, że nikt nie widział jej przez długie lata, chociaż stary cmentarz omijano z daleka. Ostatnio jednak coś sprawiło, że się przebudziła. Widziałem ją sam, choć możesz mi nie wierzyć. Widziały ją też dzieciaki od Damięckich, kiedy cała rodzina jeszcze żyła.

– Myślisz, że to ona może zabijać? – zapytał Lamberg. – Nie chodzi mi oczywiście o prawdziwą wampirzycę, bo po prostu trudno mi uwierzyć w coś takiego, ale może ktoś przebiera się za wampirzycę... Może za tymi zbrodniami stoi jakiś przebieraniec psychopata. Może to on zabił rodzinę Damięckich, ukrzyżował turystki, a może nawet ma jakiś związek z masakrą w kościele i wypadkiem autobusu z dziećmi.

– Nie wiem – odparł góral. – Im więcej o tym myślę, tym większy mam mętlik w głowie. Jak daleko sięgam pamięcią, wszyscy bali się wampirzycy. Jest jednak jeszcze jedna rzecz, o której musisz wiedzieć. Chodzi o przybysza,

który pojawił się tu jesienią zeszłego roku. Człowieka, który przyjechał z Poznania. Od razu czułem, że coś jest nie w porządku, bo znam się trochę na ludziach.

Lamberg nadstawił uszu. To było coś namacalnego, jakiś konkretny trop.

– Facet przyszedł do mnie do domu. Nazywa się Jan Piołun. Mówił, że będzie zajmował się schroniskiem na Wilczycy. Z miejsca wyczułem nadchodzące kłopoty. Wierz mi lub nie, ale ona budzi się zawsze, gdy ktoś usiłuje zamieszkać w schronisku. Bałem się, że i tym razem tak będzie. To dziwne sprzężenie, którego przyczyny nie znam. Widuje się ją wówczas częściej, jakby była z jakiegoś powodu wściekła. Zaniepokojony sprawdziłem tego tłumacza, dzwoniąc do urzędu gminy, i to akurat się zgadzało, rzeczywiście miał zajmować się schroniskiem. Szybko wyczułem, że nie mówi całej prawdy. Sam fakt, że przyjechał tu aż z Poznania, wydał mi się trochę dziwny. W wielkim mieście nie było dla niego pracy? Zwłaszcza z dobrą znajomością języka? Nie jestem jednak ciekawski i gdyby tylko ta jedna rzecz mi nie pasowała, to nie zastanawiałbym się nad tym wiele. Przez te wszystkie lata, kiedy zajmowałem się schroniskami, trafiali się różni ludzie. Trafiali się i tacy po odsiadce, jak to się mówi, „z przeszłością”. Nigdy nie byłem wścibski. Ten gość jednak miał wymalowane na twarzy jakieś wielkie kłamstwo. Był zdenerwowany, jakby przed czymś uciekał, jakby coś spędzało mu sen z oczu. Poza tym opieka nad schroniskiem w górach to ciężka, fizyczna robota. Po dłoniach od razu poznałem, że nie jest do niej przyzwyczajony. Wtedy jednak, jak mówię, nie wnikałem zbyt mocno.

– Myślisz, że on może mieć coś wspólnego ze zbrodniami? – zapytał Lamberg.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Plichta – ale na pewno ma związek z jakąś tajemnicą, która dotyczy również schroniska. Posłuchaj, co było dalej. Nie minęło wiele czasu, raptem parę dni, jak znowu zadzwonił do mojej furtki.

Z początku byłem przekonany, że to ktoś inny, chociaż był ubrany w to samo ubranie co Piołun. Wpuściłem go do domu zupełnie ogłupiały, chociaż starałem się nie pokazać tego po sobie. Przedstawił się, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że mam do czynienia nadal z tą samą osobą. I w pewnym sensie tak było. Ale nie do końca.

– Nie rozumiem – mruknął Lamberg. – Możesz mówić jaśniej? To był w końcu ten Piołun czy ktoś inny?

– Nie umiem tego do końca wyjaśnić. Sam nie wiem. Przynajmniej był młody.

– Młody?

– Tak. Człowiek, którego widziałem za pierwszym razem, sprawiał wrażenie, jakby zbliżał się w podskokach do starości. Włosy miał już porządnie posiwiałe, na twarzy zmarszczki, a szedł tak, jakby na plecach niósł wór cegieł. Kiedy przyszedł do mnie za drugim razem... kiedy wrócił z tego schroniska...

Lamberg ze zdumieniem spostrzegł, że potężnie zbudowany góral zadrżał.

– On... – Plichta miał trudności ze znalezieniem odpowiednich słów – był ten sam, ale młodszy. Znacznie młodszy. Dwadzieścia, a może nawet trzydzieści lat. Wszelka siwizna i zmarszczki zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Szedł prosto jak struna. Wydawał się wyższy i znacznie silniejszy niż za pierwszym razem. Przypominał tych akrobatów, których czasami widuje się w telewizji. Nie był ociężały, nic z tych rzeczy. Raczej same kości i mięśnie twarde jak stal. Robił takie wrażenie, jakby lada moment od niechcenia mógł wzbić się w powietrze, zrobić potrójne salto i wylądować z gracją na ziemi, jak gdyby nigdy nic. Był niesamowicie pewny siebie. Wypytywał mnie o wampirycę. Powiedziałem, że najwięcej na ten temat wie stary ksiądz proboszcz.

– Może to jakaś sztuczka – wymamrotał Lamberg, choć na wspomnienie

wyglądu Piołuna przeszedł go zimny dreszcz. Zabójca z wałbrzyskiego kościoła, sprawca „rzezi niewiniątek” wywarł na nim takie samo, trudne do podrobienia wrażenie. Jakby... był kimś więcej niż człowiekiem. – Może... to jakaś mistyfikacja? Bracia, jeden starszy i schorowany, a drugi znacznie młodszy? Postanowili zrobić cię w konia?

– Nie – zaprotestował góral. – Nie widziałeś tego, co ja! To było coś więcej niż zmiana wyglądu. Coś znacznie więcej. Bałem się spojrzeć w jego oczy, ale zrobiłem to. Widzisz, opowiadałem ci, jak mój dziadek znalazł się kiedyś w pobliżu tego schroniska w towarzystwie Strugholda. Zobaczył ten przeklęty pagórek ze śladami kopania. Myślę, że wtedy zauważył coś jeszcze, coś, co upewniło go, że dzieją się tam straszne rzeczy, lecz wiedzę o tym wolał zabrać ze sobą do grobu. Myślę, że dziadek zrozumiał wtedy, że nie może pokazać po sobie strachu. Myślałem o tym przez wiele nocy, kiedy moja żona smacznie spała. Rozumiesz, rozmyślałem o tamtej chwili tak wiele, że prawie ją widziałem, kiedy zamykałem oczy. Mój dziadek stojący naprzeciwko potwora w ludzkiej skórze, a za jego plecami to wzgórze oraz jeszcze coś, co musiało tam być, chociaż dziadek nigdy o tym nie powiedział. Musiało być, bo samo wzgórze to – sam przyznasz – trochę za mało, by przerazić rosnącego górala. Jednego razu przyśnił mi się dziadek, już parę lat po śmierci. Był to bardzo dziwny sen. Śniło mi się, że znów jestem małym chłopcem, a on jakby postanowił mnie przed czymś ostrzec. Poszliśmy pod schronisko. Nagle zobaczyłem człowieka w mundurze SS. Stał przed budynkiem zupełnie nieruchomo, jak rzeźba, a jednak skądś wiedziałem, że widzi nas i wie, że tam jesteśmy. Dziadek powiedział: „Mamy mało czasu, tylko raz pozwolono mi tu przyjść, żeby cię ostrzec”, a potem pokazał mi sznury rozciągnięte na wbitych w ziemię słupach. Na początku myślałem, że to zwykłe pranie, chociaż przecież pranie nie jest poplamione krwią, jednak trzymałem się tej myśli o praniu kurczowo, czując, że jest to dla mnie lepsze

niż ujrzenie prawdy. Dziadek jednak szarpnął mnie za rękę, o ile w ogóle można szarpnąć za rękę kogoś we śnie, ale wtedy tak to odebrałem, i usłyszałem jego słowa: „To ludzkie skóry, to skóry zdarte z dzieci, kiedy jeszcze żyły, on suszy je na słońcu!”.

Plichta zamilkł. Widać było, że przez chwilę nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej. Lamberg milczał wstrząśnięty koszmarną wizją, którą niemal ujrzął w swojej wyobraźni. Wiatr na zewnątrz hulał coraz mocniej, dobijając się do drzwi i oknem domu. W końcu góral zebrał się w sobie i zaczął mówić dalej:

– To nie wszystko. Czułem, że dziadek próbuje ostrzec mnie przez czymś jeszcze znacznie gorszym, ale że nie może tego z jakiegoś powodu zrobić, zupełnie jakby ktoś mu zabronił. Spojrzał tylko na coś, co znajdowało się za moimi plecami, zupełnie jakby ujrzął tam kogoś, i jego twarz po prostu skamieniała w wyrazie przerażenia. Obudziłem się. Nie mam pojęcia, czy ten sen miał jakieś znaczenie, czy to była tylko moja wyobraźnia. Zawsze jednak bałem się schroniska. Wiem, że odbiłem teraz znacznie od tematu, ale nie zrobiłem tego bez powodu. Widzisz, myślę, że Strughold nie wiedział do końca, co robi. Myślę, że był czymś narzędziem, kogoś znacznie gorszego niż on sam. Sądzę, że on w pewnym sensie rzeczywiście mógł myśleć, że rozwiesza pranie.

7.

Gdzieś na granicy słyszalności rozległ się niski, basowy pomruk nadchodzącej burzy. Światło w domu przygasło na dobre kilkanaście sekund, po czym zapaliło się na powrót.

– Wiatr szarpie przewodami – wyjaśnił Plichta. – W tych stronach to częste. Duża część linii energetycznych całymi kilometrami prowadzi przez lasy.

Zawsze trzymam latarkę i świece w pogotowiu.

– Myślisz – Lamberg zignorował tę dygresję – że... to było coś na kształt opętania? Że w schronisku jest coś, co opętało Strugholda, a potem, wiele lat później, zrobiło coś podobnego z Piołunem?

– Powiem ci, co myślę. – Plichta nachylił się lekko w stronę Lamberga. – W tamtej chwili, kiedy przyszedł do mnie Piołun, wiedziałem, że nie mogę pokazać, że znam naturę jego przemiany. Wiem, jak to brzmi, ale miałem wrażenie, że jego oczy nie są jego własnymi oczami, ale że ktoś mnie przez nie bacznie obserwuje. Ktoś... to będzie chyba najdziwniejsza rzecz, jaką powiem w życiu... kto jest diabelnie cwany, a jednocześnie niezbyt rozumie nas, ludzi. To było moje odczucie. Bałem się, że zabije mnie, jeśli zacznę krzyczeć lub w jakikolwiek sposób zareaguję gwałtownie. Potem Piołun wyszedł, a ja, Bóg mi świadkiem, odetchnąłem z ulgą. Mniej więcej miesiąc później trafił sprawił, że spostrzegłem samochód przy drodze. Była przy nim młoda kobieta i dziewczynka, na oko trzynastoletnia. Wyglądało na to, że popsuł się im samochód. Postanowiłem pomóc. Okazało się, że to żona i córka Piołuna. Jechały do schroniska. Rozumiesz, korciło mnie, żeby je o coś wypytać. Lata mieszkania w tych okolicach nauczyły mnie jednak, że w pewnych sprawach lepiej trzymać gębę na kłódkę. Powiedziałem, żeby na siebie uważały, ale nie wiem, na ile poważnie potraktowały moje ostrzeżenia.

– Domyślam się, że potem bałeś się o nie – podsunął Lamberg.

– Powiem inaczej: sprawa nie dawała mi spokoju. Z jednej strony bałem się o kobietę i dziewczynkę, bo czułem, że w schronisku znów dzieje się coś złego. Z drugiej strony próbowałem to wszystko jakoś sobie tłumaczyć. Chyba każdy z nas próbuje sobie jakoś tłumaczyć rzeczy niezwykłe. Podobnie jak ty zacząłem myśleć o jakimś młodszym bracie i dziwnym dowcipie, który postanowił zrobić mi Piołun. Ale jak to często bywa, korciło mnie jednocześnie, by sprawdzić, jak się sprawy mają. I wtedy właśnie poszedłem

do schroniska. Niezupełnie sam, zabrałem nabitego mossberga, a nawet kilka zapasowych naboí. Szedłem dobrze znaną drogą. Pogoda była kiepska, ścieżka śliska, wiał zimny wiatr, jednym słowem paskudna pogoda. Ja jednak lałem naprzód, nie zważając na nic. Była to część drogi, którą samochód przy odrobinie szczęścia mógł jeszcze pokonać. Później już nie dałby rady, bo zaczynała się wąska i stroma ścieżka. I rzeczywiście, zobaczyłem tam auto. Dokładnie takie samo, jakim przyjechały żona i córka Piołuna. Trwało to jednak dosłownie mgnienie oka. Zatrzymałem się jak wryty, ale auto zniknęło. Podeszedłem bliżej do miejsca, w którym je ujrzałem. Zupełnie nic, pusty skrawek ziemi, trochę błota i kupa kamieni, jak to mówią. Przywidzenie, uznałem. Mimo to narastał we mnie jakiś dziwny strach. W sumie nie miałem zamiaru wchodzić do schroniska, chciałem przyjrzeć mu się tylko z pewnej odległości, popatrzeć, czy nie widać gdzieś Piołuna, choć przyznam się, że na myśl o ponownym spotkaniu z nim czułem jakiś trudny do wytłumaczenia lęk. Myślałem, czy nie zaczekać, aż się ściemni, i nie podkraść się pod któreś z okien, by podejrzeć, co się tam wyprawia. Uznałem, że jeśli zobaczę coś podejrzanego, zawiadomię po prostu policję, żeby sprawdzili schronisko. Im bardziej zbliżałem się do tamtego miejsca, tym większego miałem pietra. Dokładnie w momencie, kiedy wychodziłem z lasu na polanę, zorientowałem się, że pomyliłem drogę. W każdym razie tak wtedy pomyślałem. Było to bardzo dziwne, bo okolice znam jak własną kieszeń. Rozejrzałem się uważnie i po prostu zgłupiałem. Schronisko powinno być na wzgórzu, obok tego pagórka z głazami. Pagórek nadal stał, ale schroniska nie było.

– To przecież niemożliwe – prychnął Lamberg. – Może jednak się pomyliłeś? Podeszedłeś w tamto miejsce?

– Nie ma mowy o pomyłce. Oczywiście, że podeszedłem. Byłem zdumiony jak nigdy w życiu. Polana była pusta, nie rosła na niej trawa, szczyt wzgórza pokrywały kamienie. Stałem tam, rozglądając się wokoło, i sam nie

wiedziałem, co mam o tym myśleć. Widzisz, przyszło mi nawet do głowy, że ktoś mógł je ukraść. Słyszałem o przypadku, kiedy złodzieje w jakiś sposób ukradli cały stalowy most. Ale w jakim celu i jakim sposobem ktoś miałby ukraść taki duży budynek?

– Może po prostu spłonął – podsunął Lamberg, wiedząc oczywiście, co odpowie góral, lecz chcąc po prostu powiedzieć cokolwiek, co miałoby pozory normalności.

– Wiesz dobrze, że wtedy byłyby ślady, osmalone fundamenty, cokolwiek. Schronisko miało piwnice. Niemożliwe, żeby spłonęło bez śladu. Tymczasem wyglądało to mniej więcej tak, jakby nigdy nie zostało wybudowane.

– Założmy, że to prawda – powiedział wolno Lamberg, mocno akcentując słowo „założmy”. – Przychodzi ci do głowy jakieś wyjaśnienie?

– Nie mam pojęcia, jak to możliwe – odparł Plichta. – Powiem jednak, że stojąc tam, zauważyłem jeszcze kilka dziwnych rzeczy. Po pierwsze, kiedy się tam kręciłem, miałem na rękach gęsią skórę. W ustach czułem metaliczny posmak. Druga sprawa to ptaki. Kruki, dokładnie mówiąc. Chodzi o to, że... na niebie zobaczyłem te ptaki. Kołowały w niewielkim stadzie. Było ich kilkanaście. Nagle część z nich po prostu zniknęła. Zupełnie, jakby ich nie było. W chwilę później ujrzałem je znowu, w dalszej odległości. Zacząłem obserwować to nieprawdopodobne zjawisko. Policzyłem szybko kruki, bo zaczynały nawracać. Było ich dokładnie czternaście. Kiedy znów znalazły się nad wzgórzem, pozostały trzy, te, które leciały znacznie wyżej od innych. W chwilę potem reszta kruków wyłoniła się z drugiej strony wzgórza. I wtedy zrobiłem jeszcze coś.

Lamberg nie przerywał. Słuchał uważnie i z niepokojem dochodził do wniosku, że zachowanie górala, przynajmniej jak wynikało z tej niewiarygodnej opowieści, było racjonalne i krytyczne. Umysł policjanta zaczynał pomału godzić się z faktem, że w opowieści Plichty może tkwić

jakieś maleńkie ziarnko prawdy. Przypomniały mu się zdjęcia i dziwna furgonetka, w której „znikał” przechodzień. Przypuszczał jednak, że jeśli jest to robota sprawcy „rzezi niewiniątek”, to może on dysponować czymś, co zakłóca nie tylko działanie urządzeń takich jak kamera, lecz wpływa również na sposób widzenia człowieka. Lamberg pomyślał, że schronisko mogło być tam nadal, lecz w jakiś sposób ukryte przed wzrokiem górala. Jeśli jednak tak, to w jaki sposób Plichta zdołał stanąć pośrodku wzgórza, nie wyrznąwszy nosem w ścianę budynku?

– Podniosłem z ziemi patyk i rzuciłem nim przed siebie – powiedział góral.

– Patyk zniknął? – mruknął Lamberg.

– Nie. Upadł, tak jak powinien. Dopiero gdy odchodziłem ze wzgórza, zatrzymałem się na moment i ponowiłem próbę. Rzuciłem kamieniem i wtedy kamień rzeczywiście zniknął. Rozpłynął się w powietrzu.

– Co zrobiłeś potem? – zapytał Lamberg.

– Szczerze? Rzuciłem się do ucieczki. Myślałem, że zwariowałem. Kiedy widzisz, że dzieje się coś, co nie może się wydarzyć, zaczynasz mieć porządnego pietra. Bałem się, że sam zniknę i że nikt już mnie nie zobaczy. Dalszego ciągu się domyślasz. Próbowałem zgłosić to, co widziałem, w kilka miejsc, ale wszędzie się ze mnie wyśmiewali. Myślę, że mogli wysłać kogoś z urzędu, ale sądzę, że ta osoba albo niczego nie zobaczyła i uznała, że to jakaś pomyłka, albo – przeciwnie – doświadczyła czegoś takiego jak ja, zdała relację i uznano, że lepiej tej sprawy dalej nie drążyć.

– A ludzie? Co na to ludzie? Przecież to nie lada sensacja, wielu musiało pamiętać schronisko.

– Było paru, do których ta sprawa dotarła i rzeczywiście poszli na miejsce. Szczególnie młodzi, wiadomo. Następnego dnia jednak, przynajmniej z tego, co udało mi się dowiedzieć, wszyscy oni mieli jakichś dziwnych gości. Pojawił się ktoś, kto zastraszył ich na tyle skutecznie, że bali się o sprawie

w ogóle gadać. Kto wie, może Werwolf. Potem wymordowali Damięckich i wtedy na okoliczne wsie padł blady strach. Teraz ludzie w ogóle boją się mówić o czymkolwiek, co jest związane ze schroniskiem, lasem czy wampirzycą.

Lamberg milczał przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad niezwykłą opowieścią górala. Twarz miał poważną, widać było, że kojarzy jakieś fakty i raz za razem w jego oczach pojawiały się przebliski na przemian zdumienia i niepokoju.

– Trzeba jak najszybciej iść na Wilczycę – powiedział w końcu. – Chcę zobaczyć to na własne oczy.

– Idzie burza, już prawie noc. Za oknami ciemno. Słyszysz, jak wiatr wyje – rzekł ponuro góral.

– To nic – zachnął się policjant. – Nie ma czasu do stracenia. Może rzeczywiście to Piołun jest mordercą i jakimś sposobem się tam ukrył. Może jest sprytniejszy, niż ktokolwiek przypuszcza, może ktoś mu pomaga, jakaś organizacja terrorystyczna. Są urządzenia zdolne zakłócać fale elektromagnetyczne, są też gazy halucynogenne i tym podobne rzeczy. Może w jakiś sposób wszedł w ich posiadanie i używa nie tylko w czasie zbrodni, ale też by się ukrywać. Może to jakaś nowa wojskowa technologia. Niedawno czytałem, że ruscy mają coś, co nazywają „elektronicznym kloszem”. Podobno wszystkie pociski raketowe są wobec tego bezsilne. Może to coś w tym rodzaju, a facet, który wprowadził się do schroniska na Wilczycy, nie jest żadnym tłumaczem z Poznania, ale terrorystą powiązany, dajmy na to, z Państwem Islamskim. Mogli poddać go jakiejś nowatorskiej terapii genowej, może dlatego stał się taki młody i silny.

– Jeśli tak – odrzekł Plichta, wstając zza stołu – to niewiele zdziałamy.

– Zamierzasz iść ze mną? – Lamberg również się podniósł.

– Według mnie to nie jest najlepszy pomysł – odparł góral. – Noc jest

niebezpieczna, szczególnie tutaj. Wiem, o czym mówię. Jeśli się na niego natkniemy, to nie wiem, czy damy radę sobie z nim poradzić. Z drugiej strony możesz mieć rację. Ja też chcę znaleźć wyjaśnienie tej tajemnicy. Całe zło wiąże się ze schroniskiem. Myślę, że tam tkwi sekret zaginięcia mojego wnuka. Już dziesięć lat, jak przepadł. Ktokolwiek za tym stoi, powinien za to zapłacić. Dlatego, jeśli decydujesz się iść, pójdę razem z tobą.

– W jaki sposób Piołun mógłby maczać w tym palce, skoro wydarzyło się to wiele lat temu?

Twarz Plichty stała się nagle zmęczona.

– To schronisko jest wszystkiemu winne lub coś, co jest tam w środku. Być może to coś przyzywa ją, wampirycę. Myślę, że Piołun to tylko jedna z części całej układanki, ale Bóg mi świadkiem, nie wiem, o co w niej chodzi.

Lamberg nic nie odrzekł. Góral natomiast zszedł do piwnicy i po chwili wrócił z dwoma ciemnozielonymi płaszczami przeciwdeszczowymi. Policjant z milczącym zdumieniem obserwował Plichtę, gdy ten zdejmował z półki zdjęcie przedstawiające zaginionego Jacusia oraz niewielki metalowy krzyżyk i chował te przedmioty w kieszeniach. Po chwili wychodzili już z domu uzbrojeni w mocne latarki. Plichta niósł swojego mossberga, a Lamberg kniejówkę.

Wokoło królowały ciemność i wicher. Potężne masy powietrza sięgające na kilometry w górę ścierały się ze sobą, wywołując prądy wznoszące i opadające. Ciepłe i lodowato zimne prądy powietrza walczyły ze sobą o palmę pierwszeństwa. Tumany pyłu wzbijały się, wirując wściekle, wicher szarpał drzewami z narastającą furją, uliczne latarnie jakby struchlałe z przerażenia przygaszały raz za razem, znaki drogowe wibrowały niczym kamertony, a w okolicznych domach było ciemno, jakby mieszkający w nich ludzie pokornie wyłączyli wszystkie światła, nie chcąc zwracać na siebie uwagi tego mrocznego, pierwotnego żywiołu, który gotów był pochłonąć ich

w każdej chwili.

Wtedy na moment zapanowała cisza, jakby wszystko zastygło w oczekiwaniu. Przywodziło to na myśl pauzę w koncercie szalonego dyrygenta. Trwało to jedynie krótką chwilę, a potem, zdało się, całe niebo zapłonęło nagłym, oślepiającym światłem i rozległ się straszliwy łoskot gromu, jakby ziemia pękła na pół.

Lamberg i Plichta parli naprzód, przyświecając sobie latarkami. Plichta krzyczał coś do Lamberga, lecz ten go nie słyszał, choć biegł zaraz obok niego. Zdradziecki wiatr porywał jego słowa i unosił wysoko w przestworza. Chyba każdy z nich wiedział, że wędrownka na Wilczycę przy tej pogodzie to szaleństwo. Lamberga opanowała jakaś dziwna euforia, która w tych okolicznościach zdawała się zupełnie nie na miejscu. Chyba uznał, że piorun go zabije, zanim dotrą na miejsce, i – o dziwo – zapragnął tego. To było lepsze niż samotność i życie pozbawione celu. Co w tym czasie czuł góral? Być może sądził, że podejmując ryzykowną wyprawę, spłaca coś w rodzaju długu zaciągniętego przez jego dziadka dawno temu, gdy ten zgodził się na współpracę ze Strugholdem, a dokładnie mówiąc, z tym czymś, co mieszkało w schronisku na Wilczycy.

* * *

Z góry spływały strugi wody i błota. Niebo raz za razem przecinały błyskawice. Mimo to obydwaj straceńcy pięli się wytrwale w górę, wykorzystując górskie głazy jako podparcie dla stóp oraz zwisające tu i ówdzie gałęzie jako uchwyt dla rąk. Plichta powiesił sobie latarkę na szyi, a strzelbę przewiesił przez ramię, by w razie upadku mieć obie ręce wolne, a Lamberg poszedł za jego przykładem.

Normalnie dotarliby na miejsce może w pół godziny, lecz teraz wędrownka była wyjątkowo mozolna. Gdy znaleźli się nieco wyżej, deszcz stał się jeszcze

bardziej zimny i dotkliwy. Strugi wody spływały po kapturach, płaszczach i spadały na ziemię. Lamberg rozglądał się wokoło, choć niewiele było widać, poza chwilami, gdy światło błyskawic wyławiało z ciemności czubki znajdującego się nieco poniżej świerkowego lasu.

– Polana już niedaleko! – zawołał Plichta. – Przy tej pogodzie wiele nie zobaczymy, ale przekonasz się, że mówię prawdę! Podejdziemy tam na chwilę!

Lamberg skinął głową na znak, że rozumie. Na otwartej przestrzeni bardziej niż gdzie indziej groziło im porażenie piorunem. W chwilę potem stali już na skraju lasu, po kolana w wysokiej, chłostanej strugami deszczu trawie. Było wprawdzie ciemno, lecz światło błyskawic raz po raz rozjaśniało niebo, ukazując puste wzgórze oraz ponury pagórek z głazami. Nieco dalej rysowała się zwarta i ciemna ściana lasu. Policjant odtwarzał w myślach krajobraz, który zapamiętał ze znalezionej w Internecie fotografii. Odnosił wrażenie, że mimo ciężkich warunków atmosferycznych jest w stanie stwierdzić prawie z całkowitą pewnością, że są we właściwym miejscu i schronisko powinno się tu znajdować. Rzeczywiście jednak nie było go nigdzie widać.

– Trzeba podejść bliżej! – krzyknął do Plichty. – Upewnić się!

– Jak chcesz! Ale to cholerne ryzyko! – odkrzyknął góral i wskazał ręką wymownie w górę. Zaraz potem jednak dodał: – Można spróbować!

Nad ich głowami kłębiły się chmury podświetlane raz za razem przez błyskawice. Po każdym nagłym rozbłysku niemal natychmiast rozlegał się ogłuszający huk. Zdawało się, że burza jest tuż nad nimi. Ruszyli, pnąc się szybko po łagodnym stoku. Po chwili światła ich latarek wydobyły z ciemności kamienistą dróżkę. Wszystko się zgadzało, brakowało jedynie schroniska.

– Jesteśmy na miejscu! – zawołał Plichta. – To tutaj! Tutaj powinno stać!

Lamberg podniósł z ziemi kamień i cisnął go przed siebie. Czy to jednak z racji padającego deszczu, czy stosunkowo słabego światła latarki nie udało

mu się wyśledzić wzrokiem toru jego lotu.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć – rzucił pod nosem. – To wszystko jest po prostu... zbyt dziwne.

Wtedy od strony lasu, po ich prawej stronie dobiegł ogłuszający trzask. Brzmiało to jak bardzo głośne wyładowanie elektryczne, od którego coś się zapaliło. Lamberg i Plichta jak na komendę spojrzeli w tamtą stronę. W oddali, ponad drzewami w niebo wystrzelił snop iskier.

– Patrz! – krzyknął Plichta, łapiąc za ramię Lamberga. – Jest!

Na krótką chwilę ujrzeli schronisko. Pojawiło się ono przed ich oczami w całym swoim ponurym majestacie, niczym zjawą z zaświatów. Wydawało się z jakiegoś powodu nie do końca realne, jakby przeniesione tu na krótką chwilę z innej rzeczywistości. Trwało to dosłownie moment, na tyle jednak długo, by wzrok Lamberga zarejestrował zabarwione dziwną, rtęciową poświatą szyby okien i światło palące się w jednym z nich, a nawet coś, co mogło być sylwetką stojącego w oknie człowieka. Budynek zmaterializował się tak nagle, że twarz policjanta opryskały odbite od drewnianej ściany zimne krople deszczu. Potem jednak ciemność i ulewa wdarły się do środka, przenikając bez problemu przez ściany, a w kolejnym ułamku sekundy budynek przestał istnieć, jakby nigdy go nie było.

Lamberg i Plichta stali jak skamieniali w obliczu przedziwnego zjawiska, nie bacząc, że sami lada moment mogą stać się celem pioruna.

8.

Po powrocie do domu Plichta zaproponował Lambergowi nocleg. Dochodziła pierwsza w nocy, a leżące na jezdni połamane konary utwierdziły policjanta w przekonaniu, że powrót do Wałbrzycha może okazać się wyjątkowo niebezpieczny, jeśli nie niemożliwy. Obydwaj byli zmęczeni, ale niezwykłość,

z jaką się zetknęli, mocno ich podekscytowała. Zjedli kolację i siedzieli jeszcze jakiś czas przy stole w salonie. Lamberg miał wyraziste przeczucie, pewność charakterystyczną dla swojej rozwiniętej intuicji, że trafili na właściwy trop i sprawca „rzezi niewiniątek” ukrywa się właśnie na Wilczycy.

– Trudna sprawa. – Lamberg splótł dłonie, odchylił się na oparcie krzesła i zastanawiał się głęboko. – Gdyby to było zwykłe schronisko i zwykły człowiek, moglibyśmy nawet sami spróbować go ująć, mamy przecież broń, lub po prostu podzielić się naszymi podejrzeniami z komendantem. Morderca jest uzbrojony i niebezpieczny. Przysłałiby na miejsce antyterrorystów, kto wie, pewnie też helikopter. Nie możemy jednak powiedzieć nikomu, że domniemany sprawca „rzezi niewiniątek” uległ jakiejś tajemniczej przemianie i ukrywa się w niewidzialnym schronisku. Szczerze mówiąc, teraz, gdy upłynęło już trochę czasu od momentu, gdy zobaczyłem to wszystko na własne oczy, samemu trudno mi uwierzyć. Wzięliby nas za wariatów.

– Musimy sami go powstrzymać – stwierdził twardo Plichta.

– Myślisz, że będzie zabijał nadal? Że jest kimś w rodzaju wampira, który musi to robić albo chce, bo sprawia mu to... przyjemność?

– To ty jesteś policjantem – zauważył bez cienia złośliwości góral. – A ja prostym człowiekiem. Nie trzeba być jednak psychologiem, żeby rozumieć, że facet, który strzela do dzieci w kościele, w dniu ich Pierwszej Komunii, to prawdziwa bestia w ludzkiej skórze. Ktoś taki nie zadowolony nawet kilkoma przypadkowymi zbrodniami. Nie odpuści tak łatwo.

– Są dwie rzeczy, które rzucają mi się w oczy, kiedy myślę o tej sprawie – stwierdził Lamberg. – Po pierwsze, motyw. Zwykle zabójca kieruje się określonym motywem. Może nim być chęć rabunku. To odpada, bo z tego, co wiem, z domu Damięckich nic nie zginęło, czyniąc tę sprawę jeszcze bardziej dziwną. Przyczyną zbrodni może być też nagły afekt, chęć zemsty, osobiste urazy. Jeśli założymy, że za sprawą Damięckich, trzech turystek, masakrą

w kościele i niewyjaśnioną katastrofą autobusu z dziećmi kryje się osoba Piołuna, to kwestia motywu pozostaje właściwie nierozwiązana. Zabił przypadkowe osoby, nie znając ich osobiście, nie dokonując kradzieży, a turystki, chociaż umarły potworną śmiercią, z tego przynajmniej co udało mi się dowiedzieć, nie były przez niego napastowane seksualnie. Pytanie więc, co kieruje tym człowiekiem? To jedno z wielu pytań w tej sprawie, ale mam wrażenie, że jest bardzo ważne, i mam pewne podejrzenie.

Plichta spojrział na niego pytająco.

– Wszystkie te zbrodnie mają rytualny charakter. Kiedy zmagalem się z żałobą po stracie żony i syna, miałem dużo czasu na przemyślenia. Wiele wiadomości docierało do mnie jakby z dużej odległości, brałem leki uspokajające. Mimo to musiałem się czymś zająć. Siadałem do komputera i czytałem o tym, co się działo, a było co czytać, bo o tych zdarzeniach wiele się pisało w Internecie.

– Rozumiem – wymamrotał Plichta.

– Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to coś w rodzaju ofiary składanej jakimś ciemnym mocom. Chyba nawet media dostrzegły ten dziwny charakter napaści, używając określenia „rzeź niewiniątek”, które przecież nawiązuje do wydarzeń z Biblii. Prawdziwym sprawcą „rzezi niewiniątek” był według tradycji król Herod. To się zdarzyło w świątyni, wygląda więc, że celowo zrobił to właśnie tam, by popełnić ostentacyjne bluźnierstwo. Przybicie trzech turystek do drzew mogło być karykaturą ukrzyżowania Chrystusa, bo przecież na Golgocie umierały trzy osoby, a masakra dokonana na rodzinie Damiękich miała miejsce w Wigilię Bożego Narodzenia. Trudno powiedzieć, jak było z autobusem. Nie wiadomo nawet, czy Piołun maczał w tym palce. W wielu artykułach pojawiły się jednak wzmianki na temat kogoś, kto celowo wystraszył kierowcę, tak że ten zjechał z trasy i uderzył w drzewo. Może znów chodziło o jakiś rodzaj ofiary z niewinnej krwi. W Biblii czytamy, że nie ma

większego zła niż takie, które wyrządza się dziecku. Chrystus mówi o tym zupełnie otwarcie i wydaje się, że szczególnie troszczy się o los dzieci. Może właśnie dlatego Piołun lub ten ktoś, kto wpływa na niego, tak chętnie wybiera je za swój cel.

– Skóry. – Plichta drgnął nagle, a jego twarz pobladła gwałtownie. – Te skóry dzieci suszące się na słońcu, które pokazał mi we śnie dziadek... bezimienne groby na wzgórzu i opowieść Molickiego o strasznych krzykach dobiegających ze schroniska. To wszystko składa się w jakąś paskudną całość! To coś, czymkolwiek jest, szczególnie kocha zabijać niewinne dzieci. To trwa już od dawna. To jeden z diabelskich sekretów tej przeklętej Ahnenerbe chronionych po dzień dzisiejszy przez rezydentów z Werwolfu.

Obydwaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę, jak gdyby porażeni grozą bijącą z tych słów. Rytualne zbrodnie dokonywane na niewinnych dzieciach wydawały się obydwu szczególnie odrażające, budziły w nich również zacięty gniew i chęć odwetu na sprawcy. Szczególnie Lamberg zacisnął pod stołem pięści tak mocno, że paznokcie niemal wbiły się w jego dłonie. Nie mógł pojąć, jak ktoś mógł pozbawić go całego szczęścia w imię jakiejś chorobliwej idei lub odrażającej, bluźnierczej praktyki.

– Ale jak z nim walczyć? Jak go powstrzymać? – rzucił Lamberg. – Ma nadludzką siłę. Wtedy, w kościele cisnął mną jak szmacianą lalką. Najwyraźniej potrafi stawać się niewidzialny, podobnie jak schronisko. Dla kamer i dla ludzkiego oka. Wszystko jedno, w jaki sposób się to dzieje, czy za sprawą jakiejś magii czy też techniki. Nie wiemy, co jeszcze potrafi ani nawet gdzie może zaatakować ponownie. Czy istnieje w ogóle jakaś siła, która jest zdolna go powstrzymać?

– Może trzeba poradzić się kogoś, kto dobrze zna takie stare sprawy? Kogoś, kto posiada jakąś wiedzę w sprawach duchowych? – zasugerował Plichta.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Wiele może wiedzieć stary proboszcz. Myślę, że ten ksiądz mógłby nam pomóc. To dobry człowiek, życzliwy.

– W porządku. Udajmy się do niego.

– Jutro pójdziemy. Teraz musimy odpocząć. Musimy mieć siły.

Zanim poszli spać, sprawdzili, czy dom jest dobrze zamknięty. Zarówno Lamberg, jak i Plichta mieli przy sobie załadowaną broń. Plichta udał się do sypialni, a policjant zajął rozkładaną kanapę w salonie. Obaj bardzo szybko zapadli w sen.

Góral znów śnił o schronisku, widział budzącego grozę mężczyznę w mundurze SS, który zdawał się przypatrywać uważnie jego poczynaniom. Następnie ujrzał cień padający na ziemię. Za jego plecami ktoś stał. W jakiś sposób znów stał się mały, a gdy odwrócił się, ujrzał swojego dziadka.

– Już jest za późno. Stało się. On wrócił – rzekł dziadek. We śnie przypominał sędziwego, biblijnego patriarchę. – Granica, której nie wolno było przekraczać, została przekroczona. Zamieszkał w ciele człowieka.

Nadchodził świt, lecz ptaki nie miały odwagi zacząć śpiewać. Coś nieskończenie złego wisiało w powietrzu, choć na razie nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co ma nastąpić. Gdyby spojrzeć uważnie na wieś Przygórze, można by dostrzec zdumiewające zjawisko, jakby drzewa podchodziły coraz bliżej do ludzkich siedzib. W rzeczywistości były to dziwne, przypominające ludzi cienie, skradające się bezszelestnie. Można by również dostrzec, jak cichaczem w kilku domach gospodarze uchylają drzwi frontowe i krwią zabitego zwierzęcia kreślą na drzwiach znak Ahnenerbe, w nadziei, że ci, którzy przebudzili się i nadchodzą, ominą ich domostwa. Tak mówiła stara, przekazywana z dziada pradziada instrukcja. Wiadomo było bowiem, że dzień taki jak ten kiedyś nadejdzie.

Martwe dłonie niemal lubieżnie dotykały mokrych od deszczu okien, za

którymi kryli się śmiertelnie przerażeni mieszkańcy. Wielu z nich czuwało po straszliwej burzy, a szelesty, szepty i głosy, jakby należące do nadchodzącego tłumu upiorów, pobudziły resztę, sprawiając, że trwali, nasłuchując i nie mając nawet odwagi się poruszyć. Wówczas jednak zabrzmiał jasny i dźwięczny głos dobiegający z kościelnej wieży. Na ten niespodziewany odgłos wszystko ucichło, jakaś niewidzialna siła zatrzymała wyłaniające się z lasu cienie i znów można było odnieść wrażenie, że to były jedynie stare drzewa, poruszone siłą wybujałej wyobraźni. Pochowani w domach ludzie odetchnęli z ulgą. Być może nie nadeszła jeszcze godzina zagłady. Niektórzy domyślali się, że to stary proboszcz czuwa nad ich bezpieczeństwem, odprawiając modły i byli mu za to wdzięczni. Odgłos porannego dzwonu i wstający świt powstrzymały na razie cienie, lecz rozbudzona nadzieja miała okazać się płonna.

Część trzecia

CIEMNOŚĆ NADCIĄGA ZNAD GÓR

1.

– Mówię ci, że wszystko to sprawka jakiegoś pieprzonego arabusa – stwierdził siedzący w radiowozie policjant Piotr Skowroński. – To wygląda właśnie na ich robotę. Obcinają głowy, wysadzają się w powietrze, strzelają do ludzi. Kto inny może za tym wszystkim stać? No, powiedz mi, kto?

– Nie wiem, kto to zrobił, ale dobrze ci radzę, pij kawę, bo będziesz miał zimną – odparł policyjny zwiadowca, Marek Sawicki. – Myślę, że złapią tego chuja, wkurwia mnie tylko, że musimy tu siedzieć tyle godzin i nic się nie dzieje.

– Całe szczęście, że nic się nie dzieje! A ludzie czują się pewniej, jak wiedzą, że tu jesteśmy – przemówił ponownie Skowroński swoim mocnym, tubalnym głosem. – Aczkolwiek wątpię, żeby gość, ot tak, pokazał się na ulicy. Sprzątnęlibyśmy go od razu i mógłby sobie wołać na pomoc tego swojego Achu-lachu czy kogoś tam innego.

Skowroński znany był z charakterystycznej dla niego manieri narzekania i cynicznego komentowania wszystkiego, co się aktualnie działo. Był przemyślany i często wypowiadał nieprzemyślane, a nawet sprzeczne opinie, kiedy jednak patrzyło się na jego jowialną twarz, z miejsca wiedziało się, że jest to swego rodzaju specyficzne poczucie humoru. O tej porze mogło ono być nawet użyteczne, ponieważ pełniło funkcję budzika. Policjanci byli na służbie od północy, siedząc właściwie cały czas w zaparkowanym w jednej z odchodzących od rynku ulic radiowozie. Byli świadkami nieprawdopodobnej, spektakularnej wręcz burzy, a teraz, gdy przyroda się uspokoiła, walczyli z narastającą sennością za pomocą kawy z termosu przygotowanej przez Annę, żonę Skowrońskiego. Dochodziła piąta nad ranem. Do końca dyżuru pozostała im jeszcze przeszło godzina.

Skowroński był potężnym, zwalistym mężczyzną o wielkich udach, z których każde wydawało się ważyć tyle, co worek z cementem. Siedzenie w radiowozie skrzypiało głośno za każdym razem, gdy się poruszał. Sawicki był raczej drobnej postury, ale regularne wizyty na siłowni nadawały jego sylwetce wysportowany wygląd.

Sawicki włączył radio.

– Posłuchajmy, co tam w wielkim świecie... – Odbiornik jednak szumił tylko jednostajnie. Funkcjonariusz uruchomił automatyczne wyszukiwanie stacji, jednak i to nie przyniosło oczekiwanego efektu.

– Coś musiało się spieprzyć – skomentował z właściwą sobie bezceremonialnością Skowroński. – Nawet radia nie posłuchamy.

Nagle coś zwróciło jego uwagę, a wyraz zdziwienia na jego twarzy sprawił, że Sawicki mruknął:

– Co jest?

– Patrz...

– Co?

Skowroński uniósł brwi.

– Widzisz? Furgonetka.

Auto było zaparkowane przy chodniku. Było ciemne, w kolorze grafitowym lub ciemnoszarym, nie sposób było stwierdzić jednoznacznie.

– Co ona tu robi?

– Może ktoś rozwozi pieczywo czy coś?

– Nieoznakowanym wozem? Nie sądzę.

Skowroński zrobił kwaśną minę.

– Coś mi tu nie gra – oznajmił. – Pójdę sprawdzić.

– Nie podoba mi się ten samochód – powiedział z niepokojem Sawicki. – Ma przyciemnione szyby. Nie wiadomo, co jest w środku. Zobacz, cały czas chodzi silnik.

– Powiem ci, co moim zdaniem jest w środku – odparł Skowroński, otwierając drzwi. – Jakiś niewyspany, piegowaty nastolatek, który rozwozi rano mleko. Świeżo po odebraniu prawka, w dodatku nie zauważył zakazu parkowania. Zapomniał też, że nie można stać z włączonym silnikiem dłużej niż minutę. To szkodzi środowisku naturalnemu.

Resory radiowozu jęknęły z wyraźną ulgą, gdy potężny policjant opuścił samochód i stanął na chodniku. Pociągnął nosem. W powietrzu czuć było wilgoć mglistego poranka. Powoli podszedł do źle zaparkowanego samochodu. Świadom, że z wnętrza radiowozu obserwuje go kolega, zamanifestował swoją pewność siebie, delikatnie kopiąc w oponę furgonetki. Następnie podszedł do drzwi od strony kierowcy. Szyba była za mocno przyciemniona. To było niezgodne z przepisami.

– Proszę wyłączyć silnik i opuścić szybę! Policja! – Zapukał energicznie w drzwi.

Odpowiedziała cisza. Na próżno usiłował dojrzeć, co znajduje się w kabinie pojazdu. Widział jedynie własne odbicie. W końcu zdecydował się pociągnąć za klamkę. Drzwi pojazdu były zablokowane. Silnik pracował nieustannie. Wtedy po raz pierwszy ogarnął go niepokój i podejrzenie, że może rzeczywiście coś się święci. Prawa ręka machinalnie opadła mu na kaburę z glockiem. Obszedł jeszcze dookoła furgonetkę i spróbował otworzyć drugie drzwi, te od strony pasażera, one jednak również okazały się zamknięte. Przyszło mu do głowy, że kierowca mógł zasłabnąć, nie było jednak sposobu, aby to sprawdzić, chyba że wybijając szybę, do tego jednak nie chciał się posuwać. Postanowił na chwilę wrócić do radiowozu. Odchodząc, zauważył, że furgonetka dość mocno osiadła na resorach. W środku musiał znajdować się dość ciężki ładunek.

– Sprawdź go po numerze rejestracyjnym – rzekł do Sawickiego, wsiadając do samochodu.

Sawicki obrzucił go zaniepokojonym spojrzeniem i bez namysłu sięgnął po radiotelefon. Wywoływał centralę, lecz bezskutecznie.

– Użyję prywatnego telefonu – odrzekł, ale i ta próba nawiązania kontaktu z posterunkiem skończyła się fiaskiem.

– Jakieś kurewstwo zakłóca fale radiowe – skonstatował Skowroński, spoglądając na swoją nokię. – Radio nie działa, telefony nie działają. Może to ta burza pierdolnęła w jakiś maszt.

– Albo coś jest w furgonetce – zasugerował Sawicki. – Jakaś masa metalu albo elektronika. To może być cholerna bomba.

Nagle na środku ulicy pojawił się młody mężczyzna idący w stronę radiowozu. Zjawił się jakby znikąd, lecz w jego wyglądzie było coś, co sprawiło, że policjanci zamilkli. Był wysoki i wydawał się bardzo silny. Miał na sobie długi, czarny skórzany płaszcz, pod którym dało się dostrzec mundur SS z lśniącymi srebrem trupimi główkami. Wyglądał jak członek grupy rekonstrukcyjnej udający się na inscenizację bitwy.

Skowroński z narastającym niepokojem spostrzegł, że spod poły płaszcz przebierańca wyziera charakterystyczna kolba niemieckiego lugera. Mężczyzna skierował swoje kroki wprost do furgonetki. Skowroński nagle z bólem serca uświadomił sobie wszystkie niedostatki w szkoleniu policji. Codzienna praca funkcjonariusza sprowadzała się do służby patrolowej, wypisywania mandatów i pouczeń za niewłaściwe parkowanie auta oraz przechodzenie przez jezdnię w miejscu niedozwolonym. Najbardziej brawurową akcją, jaka przytrafiła mu się w ciągu ostatniego roku, było obezwładnienie za pomocą gazu pieprzowego agresywnego pijaka pod sklepem monopolowym i skucie go kajdankami. Zajęcia na strzelnicy mieli dwa razy do roku. Mimo to nie wątpił, że byłby w stanie użyć pistoletu, gdyby zaszła taka potrzeba, choć w głębi duszy zawsze wierzył, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. Byli przecież w Wałbrzychu, a nie w jakimś arabskim kraju, w którym wszyscy biegają

z kałasznikowami.

Te wszystkie niepokojące myśli przemykały przez jego głowę, gdy wysiadał z radiowozu. Przyłożył dłoń do kabury ze służbowym glockiem.

– Stać! Policja! – zawołał i wyjął broń. – Odsuń się od samochodu! Połóż się na ziemi, ręce szeroko! Nogi szeroko!

Mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi.

– Policja! Na ziemię! – wrzasnął funkcjonariusz.

Wówczas człowiek w mundurze SS odwrócił się. Jego oczy nie zdradzały żadnych emocji, były zimne i okrutne. Było to spojrzenie zbrodniarza, zabijającego bez wahania. Na jego ustach błąkał się jedynie delikatny, cyniczny uśmiezek. Zanim Skowroński zdążył pomyśleć o wprowadzeniu pocisku do komory glocka, ugodziły go trzy pociski. Pierwsze dwa w brzuch. Wówczas zdążył pomyśleć jeszcze, że to absolutnie niemożliwe, aby ktokolwiek wydobył broń i strzelił w tak krótkim czasie. Trzeci pocisk, który trafił go dokładnie między oczy, zakończył wszelkie wątpliwości.

Drugi z policjantów zachował się prawidłowo, to znaczy wyrwał pistolet z kabury, przeładował go, odbezpieczył i wyskoczył z radiowozu, kryjąc się za pojazdem. Ręce miał mokre od potu, a serce waliło mu jak młotem. Był przekonany, że Skowroński nie żyje, widział, że dostał prosto w głowę. Nie zamierzał wołać już więcej „policja!” ani „rzuć broń!”. Mówiąc szczerze, miał głęboko w dupie wszelkie procedury, chciał tylko przeżyć za wszelką cenę.

Wyczekawszy, jak mu się zdawało, na odpowiedni moment, wychylił się zza samochodu i oddał strzał w kierunku bandyty. Człowiek w mundurze SS stał blisko i nawet ktoś, kto ćwiczył strzelanie tylko dwa razy do roku, powinien trafić. Pocisk nie wyrządził jednak temu człowiekowi najmniejszej szkody. Wręcz przeciwnie, mężczyzna szedł nieśpiesznie w jego stronę, jakby w pewien sposób delektując się tą chwilą i traktując ją jako interesujące

urozmaicenie poranka. Sawicki strzelał, raz za razem naciskając spust, aż opróżnił cały magazynek. Dźwięczały metalicznie sklepowe szyldy znajdujące się za człowiekiem w mundurze, gdy trafiały w nie pociski kalibru dziewięć milimetrów. Jedna z szyb eksplodowała. Kule nie były jednak w stanie w żaden sposób zranić człowieka w płaszczu, przechodziły przez niego na wylot, jakby był tylko złudzeniem, czymś w rodzaju hologramu.

Zabójca w płaszczu podszedł do Sawickiego i pozbawił go życia jednym celnym strzałem. Broń wypadła policjantowi z martwej dłoni, a jego głowa uderzyła o chodnik. Z głębi ulicy nadbiegali kolejni, zwabieni hukiem wystrzałów funkcjonariusze. Ubrani byli w kamizelki kuloodporne i uzbrojeni w broń automatyczną. Widząc, co się dzieje, od razu przystąpili do wymiany ognia, kryjąc się w bramie oraz za wielkimi, betonowymi kwietnikami. Ponieważ o tej porze na ulicy nie było przypadkowych przechodniów, sprawca „rzezi niewiniątek” znalazł się pod huraganowym ogniem z policyjnej broni automatycznej. Funkcjonariusze, widząc powagę sytuacji, strzelali, żeby zabić.

Pociski rozbijały okienne wystawy, rykoszetowały, dziurawiły znaki drogowe. Grad ołowiu siał prawdziwe spustoszenie, nie naruszając jednak w najmniejszym stopniu ani furgonetki, ani mężczyzny. Ten rozchylił poły płaszcza i wyjął spod nich dwa granaty z długimi, drewnianymi trzonkami. Rzucił je w stronę ostrzeliwujących go policjantów, potem otworzył drzwi furgonetki i wydobył z kabiny potężny karabin automatyczny, wyposażony w taśmę z nabojami.

Gdy granaty eksplodowały falą śmiertelnych odłamków, rozszarpując część policjantów, on nacisnął spust, a z lufy karabinu wystrzeliła struga ognia. To była prawdziwa, wojenna broń, nie to samo, co zabawki, którymi dysponowali policjanci. Pociski zdolne przebijać stal w opancerzonych pojazdach odłupywały grube fragmenty muru, rozszarpywały ciała policjantów na strzępy, podrywając je w powietrze swoją zabójczą energią.

Człowiek w mundurze SS wstrzymał na chwilę ogień, nasłuchując, czy nie zbliżają się nowi przeciwnicy. Słyszał paniczne krzyki dobiegające z mieszkań, odgłosy płaczących dzieci, które obudziła strzelanina, odległe syreny nadjeżdżających radiowozów, kroki nadbiegających policjantów. Jego wyczulone zmysły potrafiły dokładnie ustalić, kto i gdzie w danej chwili się znajduje. Był gotów kontynuować swoją masakrę. We wnętrzu samochodu, oprócz generatora fali skalarnej Tesli, znajdowało się mnóstwo broni i amunicji, jak również ulubione narzędzie zagłady samego Hitlera – śmiercionośny miotacz płomieni. Mógłby wywołać gwałtownie rozprzestrzeniający się pożar kilku kamienic, a następnie dobijać poparzonych, uciekających z ich wnętrza pogorzalców.

Był nieco skonsternowany, ponieważ wydarzenia nie przebiegały zgodnie z planem. Wszystko przez tych dwóch gliniarzy, którzy zauważyli furgonetkę i wszczęli alarm. W rzeczywistości zaparkował ją tylko na chwilę, a sam postanowił rozpoznać zawczasu teren. Nie dlatego, że obawiał się walki i zranienia. Moc samego Choronzona po przebytej przemianie dawała mu niemal całkowitą nieśmiertelność, a generator fali skalarnej Tesli umożliwiał znikanie i skryte przemieszczanie się w razie potrzeby. Jednak jego prawdziwym celem nie byli policjanci. Pragnął doczekać do godziny dziesiątej, do otwarcia galerii handlowej Victoria. Problem polegał na tym, że od dłuższego czasu, ze względu na alarm antyterrorystyczny, szkoły oraz przedszkola były zamknięte.

Choronzon potrzebował wciąż nowych ofiar. W galerii handlowej znajdował się kącik do zabaw dziecięcych z plastikową zjeżdżalnią, wypełniony łatwopalnymi, kolorowymi piłkami. Miał zamiar podpalić go za pomocą miotacza płomieni, składając całopalną ofiarę z Niewinnych. Kolejnymi celami miały stać się osiedlowy plac zabaw, a w końcu szpitalny oddział dziecięcy. Strughold pouczył go, że Choronzona najbardziej cieszy

ofiara złożona z młodej krwi. Mimo to nie zamierzał wybrzydzać. Czuł się zupełnie bezkarny, niemożliwy do pokonania przez żadną naturalną siłę. Docierała do niego potęga magii nazistów oraz niezwykle możliwości, jakie dawał wynalazek Tesli. Kiedy demon stanie się jeszcze potężniejszy, zapewnił go Strughold, nastąpią rzeczy niewyobrażalne, te, o których wspomina Apokalipsa. Umarli ożyją i stworzą armię, której nikt nie będzie w stanie się przeciwstawić. W sekretnych świątyniach kultu Ahnenerbe, takich jak Totenburg, na nowo zapłonie wieczny ogień, a na ziemi zapanuje Nowy Ład, tak jak przepowiadali to angielski pisarz Edward Bulwer-Lytton, rosyjska okultystka Helena Bławatska czy Alfred Rosenberg.

Wynalazek Tesli, odpowiednio użyty, umożliwi stworzenie niewidzialnej armii i podbicie całego świata. Ziemia pełna jest złych ludzi, przesyconych nienawiścią i okrucieństwem. Wielu z nich z radością stanie po stronie nadchodzącego Choronzona, wybrani ulegną przemianie w Nadludzi, podobnie jak Piołun, a reszta będzie musiała im służyć po wszystkie dni lub zginąć. Część ludzkości zostanie przemieniona w rasę niewolników, a część w rasę panów. Znow, podobnie jak w czasach Sodomy i Gomory, rządzić będą siła i wolność. Nie będzie już fałszywej moralności, nakazującej miłość bliźniego i prowadzącej do degeneracji tego, co najcenniejsze – życia. Wszelka słabość prowadzi bowiem do tego, że gorsze geny ulegają przekazaniu, wszelka troska jest złem szkodzącym naturze, jej wynaturzeniem. Sednem przyrody jest bowiem rozrzutność oraz śmierć, miliardy zarodników muszą obumrzeć, aby wyłonić ten jeden, który godny jest przetrwania. Życie zawdzięcza swoje istnienie i swoją doskonałość nie czemu innemu, ale właśnie śmierci.

Dostrzegł jakiś ciemny kształt kołujący na niebie. Od czasu Przemiany nie był już jedną osobą, lecz jakby dwoma, a nawet większą liczbą istnień. Przypominało to ciemny pokój, pośrodku którego pali się lampa, a w jej świetle widać Strugholda oraz Piołuna, lecz większa część pomieszczenia

skryta jest w całkowitej ciemności i naprawdę lepiej jest nie wiedzieć, kto kryje się tam jeszcze. Jego ciało stało się mieszkaniem duchów, spośród których Strughold nie był jedynym. Czasem czuł się niemal rozrywany od środka przez natłok mrocznych istnień, które szukały jak gdyby przejścia do świata znanego zwykłym śmiertelnikom, a niektóre z tych istnień wydawały się starsze niż sama Ziemia.

Widok nadlatującego kruka napełnił go nagłym, zupełnie niezrozumiałym lękiem, jakby ktoś wyszeptał mu do ucha ostrzeżenie. Było w tym obrazie coś nieskończenie apokaliptycznego, symbolicznego i złowróbnego. Nagle Piołun posłyszał gniewny, ostrzegawczy wrzask, lecz, o dziwo, nie był to wrzask z zewnątrz, lecz jak gdyby z wewnątrz, z samego kąta tego zasiedlonego przez upiory ciemnego pokoju, którym stała się jego dusza.

Uniósł broń ku niebu i wystrzelił wściekłą, długą serię w stronę ptaka, ten jednak poszybował z impetem w jego stronę. Piołun poczuł nagły ból. Złapał się za policzek i ze zdumieniem spostrzegł, że krwawi. Kruk dokonał czegoś, czego nie były w stanie dokonać ołowiane kule policjantów.

Wycofaj się, wycofaj! – ryczał w jego głowie jakiś rozwścieczony, skrzeczący głos i Piołun uświadomił sobie, że osobowość Strugholda oddzieliła się na moment od jego własnej, gdyż Strughold z jakiegoś powodu wpadł w panikę. Ponieważ wydarzyło się coś, czego zupełnie nie wziął pod uwagę. Przez moment nie było już Piołuna/Strugholda, lecz Piołun i Strughold. Stało się coś ze wszech miar niepokojącego dla Niemca, coś, co sprawiło, że nakazywał Piołunowi natychmiastowy odwrót. Mężczyzna posłusznie wrócił do furgonetki, nastawił generator Tesli na odpowiednią częstotliwość i powrócił czym prędzej do schroniska na Wilczycy, wciąż z niedowierzaniem obserwując w lusterku kroplę krwi zastygającą na jego niezniszczalnym – jak sądził – obliczu Nadczłowieka.

2.

Lamberg spał na rozkładanej wersalce w domu Plichty i śnił o swojej żonie i synu. We śnie widział też biblijnego Hioba, który był razem z nimi. Rzecz jasna, nie miał pojęcia, jak prawdziwy Hiob mógłby wyglądać, lecz jego umysł uporał się z tą mało istotną kwestią, stwarzając do bólu typową postać biblijnego patriarchy z długą, siwą brodą ubranego w kolorową szatę, sięgającą do ziemi, oraz sandały. Hiob mówił coś w rodzaju: „Widzisz, ja wytrzymałem, straciłem wszystko, to była straszna próba, ale dałem radę. Bóg myślał, że wytrzymuję dla Niego, ale ja wytrzymałem dla siebie i naprawdę nie wiem, który z nas był wtedy sprytniejszy. Wiedziałem, że nawet najgorsze rzeczy nie mogą trwać wiecznie”.

Była to senna wizja, niemal porażająca swoją tandetą, jakby żywcem wzięta z ilustrowanej Biblii Świadków Jehowy. Kolory na łące, na której stali Paweł, Monika i Hiob, były zbyt jaskrawe. Cały obraz przenikało światło. Co gorsza, Hiob przemawiał głosem telewizyjnego handlarza oferującego wysyłkową sprzedaż terapeutycznych sandałów.

Mimo to z kącików oczu śpiącego Lamberga spływały łzy. Miał bowiem pewność, że przekaz, który stoi za tym obrazem, jest cenny, a tylko jego nieudolny umysł ubiera go w taką postać, ponieważ jedynie taką udaje mu się stworzyć w tej chwili. To, co mówił Hiob, wydawało się z jakiegoś powodu nieskończenie ważne, tak samo jak widok syna i żony, a cała otoczka nie miała większego znaczenia.

– Zbudź się, do cholery! – Plichta szarpał go za ramię. – Szybko!

Lamberg otworzył oczy. Był oszołomiony.

– Patrz, co się dzieje! On znowu zaatakował! – zawołał Plichta, wskazując na ekran telewizora. Nadawano właśnie specjalne wydanie „Wiadomości”. Na dole ekranu przewijał się pasek z zatrważającymi informacjami:

„Ponowny atak szaleńca w Wałbrzychu! Policja uspokaja, lecz kategorycznie zaleca pozostanie w domach! Czy minister sprawiedliwości wprowadzi stan wyjątkowy? Sprawca »rzezi niewiniątek« widziany również w innych miastach Polski!”

– Jasna cholera – zaklął Lamberg. – Można było się tego spodziewać. Daj głośniej!

Na ekranie telewizora widać było przestraszonego dziennikarza, Tomasza Siecko. W pierwszej chwili ktoś nieznający sytuacji mógłby uznać, że jest to relacja z wojny toczącej się na Bliskim Wschodzie, a nie transmisja z Wałbrzycha. Siecko stał na jednej z głównych ulic miasta, ubrany w kamizelkę kuloodporną z napisem „Press” oraz kevlarowy hełm. Nie była to żadna inscenizacja mająca na celu podniesienie oglądalności, przerażające fakty mówiły same za siebie:

– Szanowni państwo – relacjonował Siecko. Mówił szybko. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że chce czym prędzej zejść ze środka ulicy i schować się w jakimś bezpiecznym miejscu. – Z naszych informacji wynika, że w godzinach porannych dnia dzisiejszego, w samym centrum Wałbrzycha miał miejsce kolejny atak uzbrojonego po zęby szaleńca. W tej chwili trudno mi powiedzieć coś konkretnego, jak państwo sami widzą, trwa tutaj zakrojona na szeroką skalę akcja policyjno-ratunkowa, przyjeżdżają i odjeżdżają karetki pogotowia, na miejscu są wozy bojowe straży pożarnej, a także naprawdę mnóstwo, mnóstwo policjantów.

Siecko zamilkł na moment, przyciskając do lewego ucha małą słuchawkę.

– Tak, tak, jak już mówiłem, jest to prawdopodobnie ten sam sprawca odpowiedzialny za słynną „rzeź niewiniątek”, zbrodnię niemającą precedensu w historii polskiej kryminalistyki. Jest również podejrzewany o dokonanie innych brutalnych morderstw. Z niepotwierdzonych w tej chwili informacji wynika, że doszło do gwałtowniej strzelaniny, w której zginęło łącznie

kilkunastu policjantów. Sprawca prawdopodobnie użył granatów oraz, jak wynika z tego, co udało mi się tu na miejscu dowiedzieć od pracujących w pocie czoła techników kryminalistyki, jakiejś szybkostrzelnej, bardzo groźnej amunicji dużego kalibru... tak... chwileczkę, spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej...

Siecko wraz z operatorem podążył w stronę idącego szybkim krokiem technika kryminalistyki i usiłował go podejść.

– W tej chwili trwają intensywne prace – usłyszał w odpowiedzi. – Część terenu jest ogrodzona, na chwilę obecną staramy się zabezpieczyć wszelkie ślady, w dużej mierze skupiamy się na śladach balistycznych...

– A więc badacie ślady po kulach, rozumiem, czy jesteście już w stanie coś powiedzieć...

– W tej chwili trudno stwierdzić coś konkretnego – oznajmił, wahając się, technik. – Zdołaliśmy jedynie ustalić, że sprawca strzelał z dość szczególnej broni wojskowej, o ogromnej sile rażenia. Prawdopodobnie były to pociski kumulacyjne, wyposażone w tytanowe rdzenie, które bez trudu przebijały również ściany budynków. Wiemy już teraz, że są ofiary nie tylko wśród policjantów, ale też cywili, których te pociski dosięgły.

– To niebywałe! – ekscytował się reporter.

– Oczywiście tak tylko mówię – zmitygował się tamten. – Są to absolutnie wstępne ustalenia i na tym etapie śledztwa trudno powiedzieć cokolwiek bardziej konkretnego. Bardzo przepraszam, muszę wrócić do pracy.

– Oczywiście, oczywiście. – Siecko ustawił się teraz frontem do kamery, a operator dał lekkie zbliżenie. – Jak państwo sami słyszeli, trwa intensywne śledztwo, policja zaleca, aby mieszkańcy w ogóle nie opuszczali swoich domów, ponieważ morderca, jak państwo sami widzą, jest niezwykle niebezpieczny i może uderzyć w każdej chwili. Pojawiły się też niepotwierdzone doniesienia, jakoby widziano osobę z karabinem również

w kilku innych miastach Polski, na szczęście na razie nie mamy informacji na temat podobnych zdarzeń w innych rejonach kraju. Na chwilę obecną to wszystko, oddaję głos do studia, będziemy informować państwa na bieżąco o przebiegu tych dramatycznych wydarzeń, których jesteście właśnie świadkami. Dla „Wiadomości” mówił Tomasz Siecko.

– Trzeba powiadomić komendanta Jaroszewskiego! – Lamberg zwyczajnie nie mógł znaleźć sobie miejsca. – Jestem właściwie pewien, że sprawca to Piołun i porusza się furgonetką, którą widziałem na przypadkowo zrobionym zdjęciu. Po każdym ataku na ludzi wraca na Wilczycę.

– To nic nie da. – Plichta ponuro pokręcił głową. – I co mu powiesz? Jaroszewski to prawdopodobnie jeden z Rezydentów, którym zależy na ochronie tajemnic, jakie kryje schronisko.

– Nie w takiej sytuacji – zaprzeczył Lamberg. – Nawet jeśli byłby jakoś powiązany z tą organizacją, Werwolfem. Zbyt wielu ludzi zginęło, nie dadzą rady wyciszyć tej sprawy.

– I co zrobią? – spytał góral. – Przypuszczają atak na puste wzgórze? On nie musi nawet ich zabijać. Po prostu użyje tej swojej sztuczki i stanie się niewidoczny, podobnie jak cały budynek i ta jego furgonetka. W jaki sposób mieliby zabić lub aresztować kogoś, kogo nie widać? Kogo właściwie nie ma? Jaki człowiek jest w stanie tego dokonać? Kto może się z nim zmierzyć?

* * *

W niecałą godzinę później Lamberg i Plichta podążali na plebanie, w której urzędował stary ksiądz proboszcz Witczak. Cała wieś Przygórze wyglądała na wymarłą. Nikt nie miał odwagi wychodzić na zewnątrz. Lamberg domyślił się, że ludzie zabarykadowali drzwi, pozastawiali szafami okna i siedzą w środku uzbrojeni w co tylko się dało. Oni byli jedynymi, którzy odważyli się wyjść z domu.

Zarówno Plichta, jak i Lamberg zabrali ze sobą broń. Asfaltowa droga opadała dość stromo w dół, dawało się słyszeć głośny szum strumienia wartko spadającego z gór kanałem biegnącym wzdłuż drogi. W gęstej, przypominającej mleko białej mgłę zieleniały ogromne świerki oraz sosny. Niebo skrywała zasłona z chmur.

Gdy dotarli do plebanii, zastukali w drewniane drzwi. Były pomalowane odchodzącą już ze starości zieloną farbą. Lamberg spostrzegł, że niski budynek wyposażono w okiennice, które teraz były starannie zamknięte. Długo dobijali się do środka, zanim usłyszeli skrzypienie podłogi dobiegające z przedsionka. Wokoło słychać było tylko monotonne skapywanie wody z dachu.

– Kto tam? – W głosie proboszcza można było wyczuć niepokój.

– To ja, Plichta – odparł góral. – Jest ze mną policjant z Wałbrzycha. To bardzo ważne.

Rozległ się dźwięk otwieranych zamków. W uchylonych drzwiach ukazała się przestraszona twarz Witczaka. W prawej ręce trzymał duży krzyż.

– Szybko, szybko! – poganiał szeptem. – Trzeba zamknąć drzwi. Teraz dzień, ale nigdy nic nie wiadomo. Któryś z nich mógł się gdzieś zaciąć. Słońce nie sięga we wszystkie zakamarki. Tej nocy byli blisko, słyszałem ich! Tuż pod oknami. Bogu dzięki, że zamknąłem okiennice.

Pomimo dnia na plebanii panowała ciemność, paliło się za to mnóstwo świec, których blask pełzał po ścianach, wprawiając zalegające w kątach cienie w obłąkańczy taniec. Witczak postawił krzyż na środku stołu i trzech mężczyzn siedli wokoło.

– Musi nam ksiądz powiedzieć wszystko co wie. To bardzo ważne. Zbyt dużo ludzi zginęło. Coś bardzo złego dzieje się w okolicy – z naciskiem rzekł Plichta.

– Istnieje pewien numer telefonu – ostrożnie i pozornie bez związku powiedział Witczak. – Dość dziwny. Długi. Poprzedni proboszcz przekazał mi

go w najwyższym sekrecie. Powiedział, że mam z niego skorzystać, jeśli uznam, że należy to zrobić.

– Co to za numer? – zainteresował się Lamberg.

– Zadałem to samo pytanie – odparł Witczak. – Spytałem, skąd będę wiedział, że nadeszła właściwa chwila, by z niego skorzystać.

– I co?

– Proboszcz powiedział tylko: „Będiesz wiedział”. Byłem młody i zaciekało mnie to, więc spytałem jeszcze, trochę żartem, nie przejmując się poważną twarzą mojego poprzednika, czy zastanę osobę, do której mam zadzwonić, na przykład, za dwadzieścia lat. Proboszcz, który nazywał się Chocimski, powiedział: „Odbiorą zawsze, niezależnie od pory nocy lub dnia, ktoś zawsze czuwa”. Połączenie można było wykonać tylko z jednego, konkretnego aparatu telefonicznego, który mi wskazał. Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, mniej więcej w odstępach pięciu, przychodziła do mnie dziwna paczka bez adresu nadawcy, dostarczana przez kuriera. Znajdował się w niej nowszy model aparatu. Nie zadawałem zbędnych pytań, zresztą jestem pewien, że ów kurier nie udzieliłby mi na nie żadnej odpowiedzi. Domyślałem się jednak, w czym rzecz, i zastępowałem stary aparat nowym. Ten, który mam teraz, wygląda całkiem nowocześnie, ale nie różni się właściwie niczym od typowego telefonu stacjonarnego. Odchodzący proboszcz wymógł na mnie uroczystą przysięgę, że nigdy nie wybiorę numeru z czystej ciekawości lub jeśli okoliczności nie będą naprawdę tego wymagały. Dotrzymałem danej obietnicy. Sprawdziłem jednak numer kierunkowy, myślę, że to wolno mi było zrobić. To numer do Watykanu. Tej nocy go wybrałem.

– Co księdza skłoniło? – spytał Lamberg. – Sprawa mordercy z kościoła w Wałbrzychu?

– Wówczas, gdy się to stało – w oczach proboszcza zalśniły łzy – gdy doszło do tej koszarnej masakry, istotnie zastanawiałem się, czy nie nadeszła

właściwa chwila, aby skorzystać z aparatu. Pomyślałem jednak, że to sprawa jakiegoś szaleńca, terrorysty, zamachowca i że jest to praca dla policji. Modliłem się i codziennie się modlę za dusze tych nieszczęsnych dzieci. Mam nadzieję, że dobry Bóg zabrał je wszystkie do nieba. Nie ruszałem jednak telefonu, aż do dzisiejszej nocy.

– Dlaczego zdecydował się ksiądz zadzwonić? – zapytał Lamberg.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece – wyszeptał Włtczak. Milczał dłuższą chwilę, drżąc na całym ciele. Wreszcie otarł wierzchem dłoni spływające łzy. – To brzmi jak szaleństwo, lecz już zeszłej nocy usłyszałem ich głosy. Głosy umarłych dobiegające z lasu. Z początku sądziłem, że ulegam jakiemuś złudzeniu, więc wyszedłem przed plebanię z latarką. Wtedy zobaczyłem ich, jak wyłaniają się z gęstwiny drzew. Wiedziałem, że są martwi od dawna, że przybyli tu z czasów, gdy była jeszcze wojna, a teraz jakimś strasznym sposobem zbudzili się do ponownego życia i powstali z mogił, w których zostali pochowani. Ujrzałem mundury i rozpoznałem, przynajmniej w niektórych, żołnierzy Werwolfu. Myślę, że nie tylko ja ich zobaczyłem, bo posłyszałem we wsi straszne, pełne trwogi krzyki. Czym prędzej wróciłem na plebanię. Bliski utraty zmysłów złapałem za słuchawkę i wybrałem ten numer. Ktoś po drugiej stronie odebrał natychmiast. Zdawał się wiedzieć, dlaczego dzwonię. Sprawiał takie wrażenie, jakby spodziewał się, że prędzej czy później TO musi nastąpić! Nakazał mi natychmiast zapalić gromnicę, przygotować święconą wodę oraz krzyż. Pozamykać okna i drzwi. Miałem bezzwłocznie odmówić Wielki Egzorcyzm z Rytuału Rzymskiego. Dopiero po odprawieniu modlitwy wolno mi było wyjść z plebanii i udać się do kościoła. Był środek nocy, a mnie ogarniało coraz większe przerażenie. Uliczne latarnie przygasaly, jakby ktoś je po kolei wyłączał. Robiło się coraz ciemniej i ciemniej. Miałem wrażenie, że egzorcyzm zatrzymał ich, lecz tylko na trochę. Stali tam nadal skryci w ciemności, słyszałem ich szepty, przypominające

pomruk wielkiego tłumu. Bałem się jednak spojrzeć w tamtą stronę. Gnałem prosto do kościoła, by odprawić mszę oraz uderzyć w dzwon, tak jak poinstruował mnie głos ze słuchawki. Modliłem się całą noc. Gdy na niebie zaczęły ukazywać się pierwsze promienie wschodzącego słońca, odważyłem się wyjść z kościoła i popatrzeć w las. Ten dziwny tłum zniknął. Względny spokój panował za dnia, lecz kolejnej nocy usłyszałem ich znacznie bliżej, jak czają się pod oknami i oblegają drzwi. Znów szeptali, tak strasznie, że z przerażenia zatykałem uszy i nie chciałem słuchać, ponieważ w jakiś sposób czułem, że jeśli zrozumie to, o czym szeptały, postradam na zawsze rozum. Drapali w drzwi i okiennice, próbując wedrzeć się do środka. Nieustannie odmawiałem tekst egzorcyzmu, lecz oni nie odchodzili, nie byłem już w stanie wyjść na zewnątrz i dostać się do kościoła. Myślę, że kolejna noc będzie jeszcze straszniejsza, kto wie, może dostaną się do domów, a wtedy niech Bóg zlituje się nad nami!

Lamberg i Plichta spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Czy... – zaczął policjant – ten człowiek, z którym ksiądz rozmawiał przez telefon, powiedział, co należy robić? Jak się ratować?

– Niestety – oznajmił zrezygnowanym głosem Witczak. – Mówił o wielu sprawach, wszystko, jak mi się zdaje, dobrze zapamiętałem, lecz próżno doszukać się w tym jakiegoś sensu. Mówił coś o klątwie, że to klątwa jest wszystkim winna. Potem powiedział, że „trzeba zniszczyć Wilczycę”, to jedyny sposób. Ostrzegwał mnie również przed kimś, jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, kto „przemawia ustami umarłych”. Nagle połączenie zostało przerwane, jakby kabel został umyślnie uszkodzony.

– A więc wszystkim winna wampirzyca? – mruknął góral. – Owszem, ludzie od dawna o niej gadają. Ale czy to ona mogła sprawić, że z lasu wyszły te cienie, duchy, nieumarli, czy jak ich nazywać? Przecież przez lata był spokój, nic się takiego nie działo! Ten i ów widywał ją w lesie, uciekał tak, że

mało ducha nie wyzionął, ale wracał żywy. Parę osób przepadło bez śladu, ale czy to była jej sprawka?

– Księżę proboszczu – rzekł Lamberg. – Proszę mnie uważnie posłuchać, bo to jedyny trop, jaki mamy. Jesienią ubiegłego roku pojawił się tutaj przyjezdny z Poznania. Nazywał się Piołun. Wiem, że pytał o proboszcza. Czy proboszcz z nim rozmawiał? Proszę sobie przypomnieć.

Plichta w krótkich słowach opisał proboszczowi wygląd Piołuna.

– Ach, tak! Nie mógłbym go zapomnieć. Było w nim coś dziwnego, trudno to opisać – rzekł proboszcz Witczak. – Coś, co niesamowicie przykuwało uwagę. Kiedy jednak myślę o tym teraz, to raczej w negatywnym tego słowa znaczeniu. Wtedy jednak sprawił, że bardzo się rozgadałem.

– A co go interesowało? – zapytał ostrożnie Lamberg.

– Przede wszystkim legenda związana z wampirzycą. Powiedziałem mu sporo. Szczególnie interesowało go miejsce jej pochówku. Twierdził, że chce napisać jakąś książkę. Wyjaśniłem mu, że znajduje się na starym i zapomnianym cmentarzu, który lepiej omijać z daleka...

Nagle do uszu rozmawiających mężczyzn dobiegł głośny łoskot, jakby przewróciło się coś ciężkiego. Proboszcz zamilkł nagle, a jego twarz przybrała odcień kredy.

– Co to? – zapytał Plichta, zaciskając dłoń na lufie mossberga.

– Nie wiem – odparł Witczak – ale... chyba wiem, skąd dobiegł ten dźwięk. Mój Boże. Wolę nawet nie myśleć, co to może znaczyć!

Lamberg pytająco uniósł brwi, więc proboszcz wyjaśnił.

– Nie będzie więcej jak dwa dni, kiedy przywieziono ciało. Młoda dziewczyna, straszna tragedia, wypadek, auto owinęło się wokół drzewa. Rodzina tak chciała. Pogrzeb miał być wczoraj, ale sami widzicie, co się dzieje, nikt z domu nosa nie wychylił, bo strach. Leży w małej piwniczce. Można tam wejść z plebanii małym korytarzykiem. Już wcześniej trzymano tam

czasem zwłoki przed pochówkiem, choć nigdy tak długo, chyba że w zimie. Znam ten budynek od trzydziestu lat i hałas dobiegł właśnie stamtąd.

Żaden z mężczyzn nic nie powiedział, ale wszyscy trzej zdrętwieli, jakby przez pomieszczenie przemknął jakiś lodowaty powiew.

– Trzeba to sprawdzić – oznajmił stanowczo Lamberg. – Ktoś może próbować tamtędy dostać się do środka.

– Ktoś lub coś – wyszeptał zbielełymi wargami stary proboszcz.

3.

Do pomieszczenia, w którym spoczywały zwłoki, prowadził schodzący pod ziemię niski korytarzyk. Było tu chłodno i wyczuwało się zapach świeżo zasychającego cementu. Świecąca pod sufitem żarówka dawała niewiele światła. Przodem siedł uzbrojony w kniejówkę Lamberg, w środku ściskający krzyż proboszcz, a na końcu kroczył Plichta, trzymający w pogotowiu mossberga. Ich długie cienie kładły się na ścianie i prowadzących w dół schodkach. Zeszli po nich, stanęli przed niskimi, okutymi żelazem drzwiami i zaczęli nasłuchiwać. Panowała cisza, nie licząc cichutkiego jak tchnienie wiatru szeptu modlitwy odmawianej przez księdza Witczaka. Nagle, zza drzwi pomieszczenia, w którym trzymano zwłoki, rozległo się głośne skrzypienie starej, drewnianej podłogi. Ustało ono równie nagle, jak się rozpoczęło, a trzej mężczyźni zastygli w bezruchu niczym kamienne rzeźby.

Proboszcz Witczak wysunął przed siebie metalowy krucyfiks, jakby jedynie w nim oczekiwał ratunku. Jego lęk udzielał się pozostałym, zwłaszcza że kapłan w istocie sprawiał wrażenie człowieka statecznego, który wiele widział i niełatwo było przerazić go do tego stopnia.

Policjant intuicyjnie odczuwał głęboki niepokój. Za drzwiami ktoś był, czuł tam czyjąś obecność, wrogą istotę, która doskonale zdawała sobie sprawę

z tego, że się zbliżają. Miał wrażenie, że jego serca dotyka zimna jak lód dłoń, która pragnie go przeniknąć, wyczuć największe lęki i zidentyfikować najsłabsze punkty.

Lamberg zdecydował się wreszcie nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi. Gdy to uczynił, poczuł delikatny zapach wilgotnej i chłodnej piwnicy oraz czegoś, co kojarzyło się ze starością. W pomieszczeniu panowała ciemność, więc niczego nie udało mu się dojrzeć. Wystawił przed siebie lufę kniejówki, choć palca nie trzymał na spuście.

– Światło, szybciej, po prawej stronie! – wyszeptał gorączkowo proboszcz.

Policjant sięgnął do ściany, czując pod opuszkami palców szorstki tynk. Nie od razu znalazł przycisk. Nagle spostrzegł, że w ciemności coś błysnęło, jakby dwoje wpatrujących się w niego oczu. Trwało to zaledwie ułamek sekundy i mogło być złudzeniem, w tych jednak okolicznościach gęsia skórka pokryła jego plecy.

Oczami wyobraźni ujrzał tę młodą dziewczynę, martwą już od dłuższego czasu, jak stoi w absolutnych ciemnościach, wyciągając w jego stronę ręce. Ubrana w ciemną suknię, z jakiegoś powodu nie odeszła na zawsze, była tutaj, i to właśnie zagadkowy blask jej oczu zobaczył w ciemności Lamberg. Spróbował odpędzić od siebie tę wizję, lecz ona nie chciała odejść, zupełnie jakby została przez kogoś podsunięta. Kogoś, kto życzył mu źle, kto przebywał w tym miejscu.

Wreszcie udało mu się namacać przycisk. Pod sufitem zapłonęła mała, szklana żarówka dająca niewiele światła. Lamberg błyskawicznie omiótł wzrokiem wszystkie zakamarki pomieszczenia, spodziewając się jakiegoś nagłego ataku, jednak nie dostrzegł nikogo. Wszedł do środka, mocniej zaciskając dłonie na broni. Za nim do wnętrza wsunęli się Witczak i Plichta.

Było to piwniczne pomieszczenie ze znajdującym się nisko sufitem. Wysoki Lamberg niemal dotykał głową stropu. Nie było tu żadnych mebli, oprócz

niskiego drewnianego katafalku. Spoczywała na nim otwarta trumna, a w niej leżało ciało młodej, może dwudziestoletniej kobiety. Jej twarz była tak blada, że wydawała się niemal biała. Nikt nie mógł się tu ukryć. Do pomieszczenia dało się wejść z zewnątrz, a Plichta podszedł i złapał za klamkę solidnych drzwi. Były zamknięte i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek mógł dostać się do środka.

– Spójrzcie – powiedział cichym głosem Witczak. – Stojak na świece...

Istotnie, przed trumną, na podłodze, leżał drewniany świecznik. Długa świeca spadła z niego i leżała obok. Gdyby była zapalona, musiałyby wywołać pożar. To jej upadek był źródłem głośnego hałasu, który zwabił ich do tego ponurego pomieszczenia.

– Więc to nic takiego – stwierdził Plichta. – Świeca spadła i narobiła hałasu. Pewnie była słabo przymocowana. A myśmy już myśleli, że się ktoś włamuje...

– Coś tu jest nie tak, jak być powinno – wszedł mu w słowo proboszcz. – Jej ręka... przysięgłbym, że kiedy byłem tu po raz ostatni, leżała w innej pozycji niż teraz. Zobaczcie, dłoń spoczywa na krawędzi trumny, tak jakby miała zamiar powstać.

– To... – Lambergowi zaschło w ustach. – To niemożliwe. Nieważne, co ksiądz widział w lesie. Tamto, to mogły być jakieś cienie, dziwne zjawisko, niech będzie, że paranormalne, ale, mimo wszystko, rodzaj jakiejś wizji, obojętnie, jak bardzo realistycznej... Tutaj jednak leżą zwłoki zwykłej dziewczyny. Niemożliwe, żeby...

W tym samym momencie usłyszeli odgłos, który momentalnie zmroził im krew w żyłach. Było to jakby ciche westchnienie dobiegające od strony trumny. Wszyscy trzej spojrzeli na ciało. Było absolutnie nieruchome, lecz dziewczyna miała lekko otwarte usta. Lamberg nie mógł sobie przypomnieć, czy było tak również, kiedy wchodzili.

– Boże, może ona żyje! – wykrzyknął Plichta. – Trzeba ją ocucić!

– Uważaj! – ostrzegł go kapłan. – To może być coś innego niż letarg! Nie podchodź!

Góral zatrzymał się, jednocześnie zdumiony i przerażony niezwykłą sytuacją. Stanęli w obliczu fenomenu, którego kompletnie się nie spodziewali. Nie mogły pomóc tutaj techniki interwencyjne, jakich Lamberg nauczył się w szkole policyjnej. Tchnienie dobiegło z ust martwej dziewczyny, a oni w najwyższym napięciu wyczekiwali, co się stanie dalej. Wtem do ich uszu dobiegł mrozący krew w żyłach cichy głos. Wydobywał się on z ust dziewczyny, choć nie widać było, aby poruszała wargami. Jej klatka piersiowa nie była unoszona najlżejszym nawet oddechem.

– Przychodzę z wielkiej ciemności – oznajmił głos. Nie należał z pewnością do młodej dziewczyny. Bardziej do mężczyzny, chociaż było w nim coś hermafrodytycznego, co jeszcze bardziej potęgowało niesamowitość brzmienia.

– Kim jesteś?! – zawołał drżącym głosem proboszcz Witczak. – Kim, na Boga, jesteś? – Ksiądz cały się trząsł. Plichta natomiast przypominał kamienny posąg – wpatrywał się oniemiały w ciało kobiety i jedynie bielejące kłykcie zdradzały ogromną siłę, z jaką zaciskał dłonie na strzelbie.

– Ja jestem Tym, Który Przemawia Ustami Zmarłych. Przyłączcie się do mnie. Nie pożałujecie. Świat będzie leżał u waszych stóp!

– Zejdź mi z oczu, szatanie! – wykrzyknął proboszcz Witczak, wyciągając przed siebie krzyż. – Przepadnij, w imię Jezusa Chrystusa!

Ciało martwej kobiety zgięło się gwałtownie, trup usiadł, wyciągając z wściekłości rozczapierzone palce w stronę trójki mężczyzn. Lamberg ujrzał w całej okazałości to, co udało się wcześniej zamaskować, przygotowując ciało do publicznego wystawienia – zmiażdżony obojczyk, wgłębienie po prawej stronie czaszki, pozostałości po tragicznym wypadku, w którym

zginęła.

– Należycie do mnie! – syknął demon. – Nadchodzi czas ofiary!

Martwe ciało powstało z trumny. Kobieta sunęła w ich stronę, cały czas wyciągając drapieżnie ręce w stronę zasłaniającego się krzyżem Witzaka.

– Trzeba to zabić! – krzyknął ochryple proboszcz. – Strzelajcie! Nie pozwólcie mu się dotknąć! Nie spoglądajcie temu w oczy!

Przeraźliwy okrzyk kapłana wstrząsnął Lambergiem i Plichtą, wyrwał ich na moment z ostatecznego, pętającego umysł i wolę przerażenia. Trup młodej kobiety był dwa metry od nich. Lamberg uniósł w górę kniejówkę.

– Tato – odezwał się nagle jego zamordowany syn, Paweł. Chociaż głos dobiegał z ust martwej kobiety, Lamberg rozpoznał go natychmiast. – Tato, nie rób tego. Tato, nie rób mi krzywdy.

Policjant, wystawiony na straszliwą próbę, znieruchomiał na chwilę, zatrzymując palec na spuście. Dziewczyna była już bardzo blisko. Jej dłoń niemal dotykała twarzy Lamberga. Oczy miała szeroko otwarte, wyglądały jak pozbawione białek. W tych oczach była jakaś magia przypominająca potężną siłę czarnej dziury, wciągającej do środka wszystko, co znajdzie się w pobliżu. Policjantowi zdawało się, że oczy dziewczyny pochłaniają go, że jest w nich coś, czemu nie sposób się oprzeć, coś przerażającego, a jednocześnie nieskończenie zniewalającego.

– To podstęp! – zawołał Witzak. – To nie są prawdziwe głosy!

Straszliwy, zwielokrotniony niewielką przestrzenią huk targnął powietrzem. To strzelał Plichta. Raz za razem. Pierwszy pocisk oderwał kobiecie połowę głowy. Drugi trafił ją w szyję. W powietrze jednak nie uniosła się nawet najmniejsza kropelka krwi, ponieważ jej krew od dawna już zastygła. Kolejne pociski trafiały w klatkę piersiową, wrywając wielkie fragmenty ciała. Zwłoki zostały rzucone na trumnę, która spadła na ziemię z łoskotem, a potem opadły na katafalk. Plichta postąpił do przodu i strzelił jeszcze dwukrotnie, dla

pewności. W całym pomieszczeniu unosił się ostry zapach spalonego prochu. Lamberg stał nieruchomo, na wpół ogłuszony, niezdolny nawet się poruszyć, a w jego myślach wciąż brzmiał głos Pawła. Głos, za którym tak bardzo tęsknił.

* * *

– To już koniec. – Witczak zdawał się coraz bardziej tracić wewnętrzną równowagę. – To wszystko było tak naprawdę zapowiedziane w Piśmie Świętym. „I morze wydało zmarłych, co w nim byli, i Śmierć, i Otchłań wydały zmarłych, co w nich byli”. To słowa z Apokalipsy świętego Jana... Zawsze myślałem, że to, czego uczyłem wiernych, to jedynie przerośnięcie. Teraz jednak... nastał czas ostateczny. Lucyfer, który był uwięziony w Otchłani przez tysiąc lat, powraca!

– Księżę proboszczu – Lamberg złapał go mocno za ramiona i potrząsnął – proszę się uspokoić! Zawsze jest jakaś nadzieja. Musi istnieć przyczyna tego szaleństwa, jakaś reguła, której nie widzimy. Piołun pytał o stary cmentarz. Musimy tam natychmiast pójść! Może coś znajdziemy, jakiś trop, który pomoże nam rozwikłać tajemnicę. Wydaje się, że z jakiegoś powodu to miejsce miało dla niego szczególne znaczenie.

– Nie róbcie tego, jeśli wam życie miłe – zaklinał ich Witczak. – Widzieliście przed chwilą, co się dzieje. Jest ich dużo więcej, oni nadchodzą. Nie oszukujmy się, świat nie będzie już wyglądał tak, jak wcześniej. Nie spodziewaliśmy się tego, ale to się stało. Jak było zapowiadane w Piśmie, przyszło niczym złodziej.

– Ksiądz zostanie tutaj – powiedział Plichta siląc się na spokój. – My idziemy na cmentarz.

– Proszę zabarykadować się na plebanii.

– Mówił ksiądz, że te... cienie, te istoty z lasu, kimkolwiek są...

– To umarli – oświadczył Witczak. Wydawało się, że jego własne słowa w jakiś sposób śmiertelnie go przerażają, ale i jednocześnie fascynują. – To umarli, którzy przebudzili się w swoich mogiłach.

– A niech będzie, że to umarli. – Plichta przełknął ślinę i mówił dalej: – Proboszcz powiedział, że zbliżają się coraz bardziej z każdą nocą. Ale do zmroku jeszcze daleko. Może uda nam się to jakoś zatrzymać. Wszystko zaczęło się od schroniska. I na schronisku musi się skończyć.

Proboszcz odprowadził ich do drzwi, kreśląc w powietrzu kilkakrotnie znak krzyża.

– Uważajcie na siebie – niemal zawodził. – Ona zawsze była straszna, lecz teraz nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie niebezpieczeństwa mogą na was tam czyhać. Skoro jednak musicie, to idźcie. Weźcie to!

Kapłan wcisnął w dłoń Lamberga mały krzyżyk.

– Może się przyda. Nie ryzykujcie zbyt wiele. Jeśli poczujecie, że jest niebezpiecznie, ratujcie się ucieczką!

– Teraz już nigdzie nie jest bezpiecznie – podsumował Plichta i energicznym ruchem zarzucił mossberga na ramię.

4 .

Mgła rozpanoszyła się ponad wszelkie wyobrażenie. Domy wyglądały, jakby unosiły się w obłokach, iglaste drzewa przypominały nieruchome zjawy z rozpostartymi ramionami. Na ulicy nie było widać żywej duszy, nikt nie miał odwagi wyjść na zewnątrz. Nie wiadomo, co będzie dalej – pomyślał Lamberg.

Czuł się, jakby nagle znalazł się na wojnie. W pewnym sensie to była wojna. W Przygórzu nie było widać ludzi, nawet policji czy służb porządkowych. Nie wiedział do końca, czemu tak się dzieje. Mógł tylko się

domyślać, że cała okolica Gór Sowich, a może nawet już cała Polska, stała się areną zagadkowych zdarzeń skupiających na sobie uwagę służb ratunkowych, które po prostu nie dawały sobie z tym rady. Przebudzone zło mogło przejawiać się na tysiące sposobów, doprowadzając do wypadków, tragedii, morderstw, przyczyniając się do awarii urządzeń technicznych i paraliżując cały nasz znany świat zaledwie w kilka dni. Było w tym coś nieprawdopodobnego. Lamberg uważał, że jeśli istotnie Piołun był swego rodzaju Przemienionym, Posłańcem, czy jakkolwiek to nazwać – dokonał czegoś niewyobrażalnego. Był Mesjaszem Zła, poprzez niego przedostało się ono do naszego świata, a schronisko na Wilczycy stanowiło wrota do samego piekła. Uderzyła go przedziwna analogia do wydarzeń opisywanych na kartach Ewangelii. Piołun jawił się jako pewnego rodzaju antychryst, pół człowiek, pół demon. Nawet fakt, że zło obrało za swą siedzibę górę, wydał mu się w jakiś sposób nieprzypadkowy, poprzez nawiązanie do Golgoty, na której umarł Jezus. Było w tym wszystkim jakieś szyderstwo, jakby sam szatan chciał powiedzieć: „Przez człowieka przyszło zbawienie i przez człowieka przyjdzie zniszczenie, to, jak i tamto, nastąpi na górze”.

Przeszli przez Przygórze i kierowali się w stronę gęstych zarośli, niepokojącego tworu przyrody, który zdawał się bronić dostępu na przeklęty cmentarz. Przez dłuższy czas błądzili wokół zarośli, starając się odnaleźć starą, zapomnianą ścieżkę, o której wiedział Plichta.

– Przez tę mgłę nie widać nawet wieżyczki kaplicy – powiedział. – Zresztą może już jej nie ma, kto tam wie, może nawet zaważyła się ze starości. Powiem ci jedno: nikt nie przychodzi w takie miejsce bez ważnego powodu.

Lamberg musiał się z tym stwierdzeniem zgodzić. Już same otaczające cmentarz krzaki wydawały się w pewien sposób osobliwe, w jakiś sposób odmienne od reszty roślin. Słyszał, że rozkładające się zwłoki tworzą atrakcyjny dla rośliny nawóz, w tym jednak przypadku było to coś zupełnie

innego. Rośliny, choć tak mocno wybujałe, wydawały się w pewien sposób chore lub skażone jakimś błędem, którego obecność wyczuwał wzrok, lecz nie umysł. To było miejsce emanujące przygnębiającym smutkiem, świątynia rozkładu i zapomnienia. W normalnych warunkach człowiek, wyposażony w naturalne mechanizmy obronne, w ogóle nie zauważa takich miejsc, które mogą przyciągać jedynie samobójców i straceńców.

– Jest ślad starej drogi. – W otaczającym ich gąszczu było coś, co kazało Plichcie ściszyć głos, jakby bał się, że ktoś może ich usłyszeć. – Zarosła bardzo mocno, chodź tędy.

Krzewy były tak wysokie, że zamykały się nad ich głowami. Szli przygarbieni tym osobliwym korytarzem, który uwiły gałęzie. Pod nogami mieli pozostałości drogi, która niegdyś prowadziła na cmentarz. Po chwili ich oczom ukazała się brama, zardzewiała i zawieszona na murowanych słupach. Ozdobne strzały zwieńczały ogrodzenie.

– Spójrz. – Góral wskazał ręką. – Ktoś tu majstrował przy kłodce, już jakiś czas temu, ale da się to poznać. Łańcuch jednak wytrzymał. Jeśli tu był, przeszedł przez płot albo znalazł jakąś inną drogę.

– Tu nie ma innej drogi. – Lamberg potoczył wzrokiem po zaroślach. – Te akacje, czy też coś, co jest podobne do akacji, otacza cmentarny mur. Jeśli tam wszedł, to górą. Spróbujemy zrobić to samo.

Pomagając sobie nawzajem, przeszli przez bramę. Wokoło nich znajdowały się spowite mgłą, zapomniane groby, których nikt nie odwiedzał od dziesiątków lat. Ponura sława cmentarza musiała być silniejsza nawet od rodzinnych więzi. Lamberg uznał, że musiało to być coś więcej niż jedynie legenda. Z pewnością występowały tu jakieś zjawiska sprawiające, że ci, którzy postawili na tej ziemi nogę choć raz, bali się zrobić to ponownie. Zupełnie jakby nad cmentarzem roztaczała się jakaś klątwa.

Stojąc na zapomnianej nekropolii, pośród ciężkiej mgły i na wpół

zapadniętych grobów Lamberg widział, że nie tylko on, lecz również Plichta czuje się nieswojo. Niepewnie. Źle.

Na cmentarzu było cicho jak makiem zasiał, lecz policjant nie mógł oprzeć się graniczącemu z pewnością przeświadczeniu, że nie są tu sami, że we mgle ktoś lub coś się czai.

– Ruszajmy, szybciej – powiedział ściszym głosem Plichta. – To ma być gdzieś pod murem. Tam ją pochowali.

Przeszli przez kilka zapomnianych alej, gdy Lamberg zatrzymał się gwałtownie, wskazując na coś palcem.

– Tutaj. Ktoś rozkopywał tę mogiłę.

– Piołun?

– Któż by inny – odparł Plichta. – Myślę, że to jego sprawka. Dlatego chciał koniecznie wiedzieć, gdzie spoczywają jej szczątki. Nie chodziło o żadną książkę.

– Jaki miał w tym cel?! – zdumiał się Lamberg. – Po co miałby się tu zakradać? Facet przyjeżdżałby tu z Poznania, żeby pytać o zapomniany cmentarz, a następnie profanować grób?

– Jest tylko jeden sposób, żeby przekonać się, o co chodziło Piołunowi.

Lamberg pokręcił głową.

– Ta sprawa robi się coraz bardziej śliska.

– Trzeba tu trochę pogrzebać...

– Przyszliśmy tu szukać śladów, ale to, co chcesz zrobić, to przestępstwo, wiesz o tym?

– Przestępstwo? – Plichta zrobił kilka kroków za mogiłę, w miejsce, gdzie na płot wspinał się dziki, trujący bluszcz. – Żartujesz? Zobacz, co tu jest! Porzucił szpadel. Musimy to sprawdzić! I dobrze o tym wiesz!

Lamberg przełknął tylko ślinę.

Plichta zaś wbił z rozmachem szpadel w miękką ziemię. Pracował

wytrwale, nawykły do fizycznej roboty. Kupa ziemi obok grobu powiększała się coraz bardziej. Po około kwadransie intensywnej pracy zatrzymał się na chwilę i otarł pot z czoła.

– Cii... Słyszałeś?

Zastygli w bezruchu, nasłuchując. Gdzieś z głębi cmentarza, całkowicie zasłoniętego oparem mgły dobiegł odgłos toczących się kamyków, przypominający Lambergowi cichy grzechot kości staczających się z kurhanu. Trwało to chwilę i ucichło.

– Może to Piołun – szepnął Plichta. – Może tu wrócił?

– Jeśli tak, mamy kłopoty – odparł Lamberg, kucając za porośniętą mchem kamienną płytą, by w razie czego stanowić trudniejszy cel. Uniósł strzelbę i wymierzył w stronę, z której dobiegł zagadkowy odgłos. Nagle rozległ się gwałtowny furkot skrzydeł. Policjant, którego nerwy były napięte niczym postronki, o mały włos nie nacisnął spustu. Niewielki, ciemny kształt przemknął przez mgłę, przeleciał, klucząc pomiędzy grobami i poderwał się stromo w górę.

– Kruk! – wskazał ręką Plichta.

Stali w ciszy jeszcze chwilę, wpatrując się w mgłę i czekając, czy coś jeszcze się z niej wynurzy.

– Pomogę ci – zdecydował w końcu Lamberg. – Chyba masz rację, nie ma innego sposobu.

Po godzinie wyteżonej pracy na zmianę cała ziemia z mogiły została wykopana. Policjant z podziwem myślał o sile Piołuna, który w jakiś sposób uporał się z tym zadaniem samodzielnie. Ujrzeni starą, zbitą z drewnianych desek trumnę. Jej pokrywa nosiła ślady otwierania.

– Prędeż! – ponaglał Plichta, rozglądając wokoło. Obawiał się, że wampirzyca może pojawić się lada chwila.

Podnieśli we dwóch ciężką pokrywę. Ich oczom ukazał się ludzki szkielet.

– Patrz na to! – Plichta wskazał dłonią na czaszkę. – Wbity gwóźdź! Nowy! Ledwie naszedł rdzą, to musiało stać się niedawno.

– Bardzo możliwe, że zrobił to Piołun – przytaknął równie zdumiony Lamberg. – Ale po co?

– Chciał ją unieruchomić. Chciał, by nigdy więcej nie wstała z grobu. Może to był jego pomysł, a może ktoś go nasłał – myślał głośno Plichta. – Z jakiejś przyczyny zależało mu na tym, by stała się bezradna. To stary przesąd, według którego, aby unieszkodliwić wampirzycę, należy przebić jej czaszkę stalowym gwoździem, a potem odciąć głowę i ułożyć ją odwrotnie, tak by upiór nie mógł więcej wychodzić z grobu.

– Wiem już, na czym polega sekret – rzekł Lamberg. – Domyślam się też już, kim jest wampirzyca. To ta kobieta, którą zabił Strughold. To ona powraca z grobu. Strzeże schroniska! Piołun uległ przemianie po tym, jak tam zamieszkał. Możemy domyślać się, że uległ czemuś na kształt opętania. Klątwa schroniska właśnie na tym polega – to coś, co tam jest, było przez te wszystkie lata utrzymywane w szachu przez... wampirzycę. To, co powiedział do Witczaka człowiek z Watykanu: „Trzeba zniszczyć Wilczycę”. Nie chodziło o wampirzycę, ale o samo schronisko na Wilczycy.

Plichta spoglądał na Lamberga jak oniemiały. Zastanawiał się, dlaczego nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy coś równie oczywistego. Wampirzyca nie musiała być wcale zła. Mogła to być dusza oszukanej kobiety, zamordowanej przez bezlitosnego Hubertusa Strugholda. Być może w godzinie śmierci, kiedy zabijał ją, w okrutny sposób rozcinając brzuch z nienarodzonym jeszcze dzieckiem, rzuciła na niego klątwę. To właśnie ona sprawiła, że wampirzyca mogła powracać z grobu aż do chwili, gdy Piołun przebił jej czaszkę gwoździem.

– Wyjmij ten gwóźdź – powiedział góral bezbarwnym głosem. – Może nie jest jeszcze za późno.

Lamberg dotknął czaszki i w tym momencie przez jego dłonie przeniknęło dziwne ciepło. Była to jedna z tych wizji, które czasem przychodziły nagle. Zobaczył piękną kobietę, jasnowłosą, idącą pośród wysokich, kwitnących górskich traw w stronę schroniska na Wilczycy. Jej dłoń pieszczotliwie dotykała falujących na wietrze kłosów. Następnie ujrzał mężczyznę pochylającego się nad nią z chirurgicznym skalpelem w dłoni. Poczł strasliwą falę rozpacz i nieopisanego cierpienia, a także ogromną wściekłość. „Pozostaniesz tu na zawsze” – te słowa zabrzmiały w myślach Lamberga, jakby słyszał je poprzez zasłonę z czasu. „Twoja dusza nie zazna spokoju”.

Policjant z trudem łapał oddech przytłoczony nagłą wizją. Wiedział, że posiada rozwiniętą intuicję, lecz przekaz nigdy nie był tak silny, tak wyrazisty. Usłyszał niemal te wypowiedziane przez kobietę ostatnie słowa. Wyczuł pychę i drwinę Strugholda, który nigdy nie sądził, że klątwa się spełni, pętając swoimi więzami zarówno duszę kata, jak i ofiary.

Lamberg z szacunkiem wyciągnął gwóźdź. Potem wraz z Plichtą nakryli trumnę wiekiem.

– Zasypimy, jak się godzi – powiedział Plichta. – Jesteśmy jej to winni. Nie spodziewałem się, że kiedyś to powiem, ale strzegła nas przez te wszystkie lata. To nie w niej tkwiła przyczyna całego zła, ale tam, w diabelskim schronisku na Wilczycy.

Chociaż obydwaj byli już mocno zmęczeni, zasypali z powrotem grób. Lamberg obiecał sobie w duchu, że gdy to wszystko się skończy, opłaci kamieniarza, by ten postawił należyty nagrobek.

* * *

Obydwaj mężczyźni z narastającym niepokojem obserwowali ciemność, nieubłaganie gęstniejącą za oknem. Trudno było przewidzieć, co stanie się

najbliższej nocy.

Wracając z cmentarza, zaszedli jeszcze do Witczaka, ten jednak był tak przestraszony, że nawet im nie otworzył. Zapewniał jedynie, że wszystko jest jak na razie w porządku, lecz za nic nie chciał wyjść na zewnątrz.

Telefony nie działały. Telewizja nadawała wiadomości mówiące o szczególnych środkach ostrożności i zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach sprawcy, „Niewidzialnego Zabójcy”. Każdy się bał. Ludzie wpadali w panikę. Niektórzy twierdzili, że widzieli duchy zmarłych, zbliżające się nocą do ich domów. Szaleństwo opanowywało najbardziej spokojnych i powściągliwych w domysłach.

Lamberg i Plichta nie mogli połączyć się z Internetem, jednak nastrój apokaliptycznej grozy płynący z telewizora był zupełnie wystarczający. Poza tym, nawet gdyby mogli, zapewne nie mieliby czasu śledzić tych wszystkich doniesień. Przygotowywali dom do obrony.

– Myślisz, że wampirzyca mogłaby nas uratować? – zapytał Lamberg.

Przesuwali właśnie po podłodze ciężki regał z książkami, chcąc zastawić nim jedno z okien. Plichta naszykował kilka butelek z benzyną. Mieli zapasy wody oraz świece i zapałki.

– Nie mam pojęcia, co może się wydarzyć – odparł – ale musimy być przygotowani na wszystko. Oni mogą tej nocy przypuścić szturm na wioskę. To diabelstwo, które uaktywnił Piołun, rozlewa się po okolicy. Dobrze, że choć Lena jest chwilowo bezpieczna.

– A może popełniamy błąd – zastanawiał się policjant. – Może powinniśmy spróbować jakoś powstrzymać Piołuna i zniszczyć schronisko? Może wtedy to wszystko wreszcie się skończy. – Na moment zamilkł, a potem nagle krzyknął:
– Mam! Piorun!

Plichta spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Co?

– Piorun. Pamiętasz piorun, który uderzył w lesie? Wtedy, kiedy będąc na Wilczycy, zobaczyliśmy ten snop iskier unoszący się w niebo? To jest odpowiedź! Schronisko wtedy stało się widzialne. Stało się zupełnie rzeczywiste i podatne na zniszczenie.

Plichta wyprostował się i patrzył na Lamberga z narastającym zdumieniem, słuchał jednak uważnie tego, co mówił policjant.

– To może być sposób.

– Spróbujemy.

– A wampirzyca? – zastanawiał się Plichta. – Może w niej jest nadzieja? Teraz, kiedy wyjęliśmy z jej czaszki gwóźdź, może powrócić... i powstrzymać Strugholda, Piołuna oraz całe zło, które kryje się w schronisku. Przecież strzegła nas tyle lat.

– Obawiam się, że może nie dać rady – odparł Lamberg – ponieważ zarówno Piołun, jak i Strughold używają czegoś, co sprawia, że w danej chwili schronisko nie jest realne. Podobnie jak oni sami. Nie można zabić ani zranić czegoś, co w danej chwili nie istnieje. Nie można tego zniszczyć, ponieważ w naszym świecie po prostu tego nie ma.

– To cholernie skomplikowane. – Góral pokręcił głową. – Możemy nie dać rady.

– Nie, posłuchaj – przekonywał go Lamberg. – Jeśli my nie damy rady tego powstrzymać, nikt tego nie zrobi. Ponieważ znamy prawdę i potrafimy ją zaakceptować. Większość ludzi będzie wolała umrzeć, niż przyznać, że za tajemnicą schroniska na Wilczycy kryją się nadprzyrodzone moce i tajemne wynalazki. Sądzę, że Piołun używa jakiejś maszyny. Wiem nawet, co to może być. Pisał o nim pewien bloger, który zaginął w tajemniczych okolicznościach. Piotrowski. Chodzi o generator fali skalarnej Tesli. To może być to. Pamiętasz? Sam powiedziałeś, że schronisko nadal zużywa prąd. To urządzenie, które sprawia, że zarówno schronisko, jak i sam Piołun mogą

stawać się niewidzialni, przenosić się na moment gdzieś, gdzie nikt nie może się z nimi zmierzyć...

– ...a piorun trafił w drzewo, stojące obok linii energetycznej – wszedł mu w słowo góral – albo w znajdujący się w lesie transformator. Usłyszeliśmy huk i w chwilę potem schronisko było zupełnie prawdziwe. Trzeba odciąć dopływ prądu do budynku. Wtedy maszyna przestanie działać. Że też wcześniej o tym nie pomyśleliśmy!

– Czasami odpowiedzi są na wyciągnięcie ręki. Jeśli nam się uda, zarówno samo schronisko, jak i Piołun staną się zupełnie realni, tak jak ty czy ja. Być może na jakiś czas, bo nie możemy wykluczyć, że istnieje zasilanie awaryjne. Będzie można wykorzystać ten moment i spróbować go zabić.

– Chęć zemsty zabiera ci zdolność jasnego myślenia. – Słowa Plichty były jak struga zimnej wody wlana za kołnierz. – Nawet jeśli ta maszyna Tesli rzeczywiście istnieje, to nie tylko na niej polega sekret Piołuna. Sprawa jest znacznie głębsza, a maszyna jedynie ułatwia mu sprawę, stanowi jego narzędzie, którym się posługuje. Zastanów się! Strzelanina w Wałbrzychu. Myślę, że Piołun, żeby dokonać swojego ataku, musi stać się na chwilę widzialny. Żeby jego broń mogła ranić i zabijać, musi stać się prawdziwą bronią, a nie jakąś, która istnieje tylko w innym świecie. Nawet ja wiem, że rzeczy z innego świata, żeby mogły zabijać, muszą w jakiś sposób należeć i do naszego. Jest jeszcze coś, co daje mu ochronę, co sprawia, że jest nadludzko silny i niepokonany. Jakiś rodzaj magii.

– Musi istnieć sposób – myślał intensywnie Lamberg. – Jeśli udało się zatrzymać wampirzycę za pomocą gwoźdźcia wbitego w jej czaszkę, to może jest jakiś rodzaj broni, który byłby w stanie go zabić? Bo ja wiem... poświęcone pociski, osikowy kołek, coś tego rodzaju, tak jak w ludowych opowieściach. Przecież on jest wampirem. Odmłodniał, zabija bez opamiętania. Może nie wszystkie z tych opowieści to zwykłe bajania.

– Można spróbować, ale ryzyko będzie ogromne. Nie wiemy, ile prawdy jest w historyjkach o poświęconych kulach i osikowych kołkach. A jeśli to nie zadziała? – spytał Plichta. – Tu nie ma miejsca na próby i błędy. Jeden z nas będzie musiał w jakiś sposób odciąć dopływ prądu na Wilczycę, a drugi spróbować zabić Piołuna poświęconym pociskiem.

– Można by spróbować jeszcze jednej rzeczy. Odciąć prąd i gdy schronisko znów stanie się widzialne, powiadomić o wszystkim policję. Niech przypuszczą szturm, użyją ciężkiego sprzętu.

– Obawiam się – pokręcił w zamyśleniu głową Plichta – że może skończyć się to jedną wielką masakrą lub ucieczką Piołuna. On przeszedł przemianę, w wyniku której nie tylko odmłodził, ale wszystko wskazuje na to, że stał się niezwykle sprawny. Nawet bez osłony ze strony generatora zwykłe pociski mogłyby nie wyrządzić mu krzywdy. A nie sądzę, żeby udało nam się przekonać antyterrorystów do użycia poświęconych kul lub osikowych kołków.

– Masz rację – westchnął Lamberg. – Chyba jesteśmy jedynymi, którzy mają cię szansę, aby go powstrzymać. Prawdopodobnie nam się to nie uda i zginiemy, ale trzeba spróbować. Bez tego cały świat zacznie pogrążyć się w mroku i chaosie. Jestem pewien, że siła, która stoi za Piołunem, tego właśnie pragnie.

Plichta podszedł do okna.

– Nadciąga zmierzch. Nocą możemy nie zdołać przedostać się na Wilczycę. Las stał się skrajnie niebezpiecznym miejscem. Trzeba ruszać jak najszybciej!

– Jak odetniemy dopływ prądu?

Góral zastanowił się przez chwilę.

– Znam dobrze okolicę i wiem, którędy przebiega linia. Przychodzą mi do głowy trzy sposoby. Pierwszy z nich to zbudowanie jakiegoś ładunku wybuchowego, którego eksplozja zniszczy słup podtrzymujący linię energetyczną, za pomocą której schronisko jest podłączone do sieci. Można by

użyć do tego chociażby butli z gazem. Brakuje nam jednak czasu na zbudowanie takiej bomby. Poza tym trzeba by uzbroić ją w jakiś mechanizm zegarowy. Możliwe, że w schronisku istnieje jakiś rodzaj awaryjnego zasilania. Jeśli Piołun dysponuje tym... generatorem fali skalarnej, to trzeba zakładać, że ma jakieś zabezpieczenie na wypadek braku dostawy prądu. W momencie odcięcia energii musimy być już pod schroniskiem, żeby od razu wejść do akcji.

– A inne możliwości?

– Druga możliwość to ogień. Nie wiadomo jednak, jak by się to mogło skończyć. Las jest wprawdzie mokry po deszczach, ale wiatr może skierować ogień w stronę wsi.

– A trzecia możliwość?

Lamberg spojrzał na górala wyczekująco. Ten wahał się i widać było po twarzy, że toczy ze sobą jakąś trudną wewnętrzną walkę.

– Ja pójdę na Wilczyce – powiedział Plichta. – To chyba najlepsza decyzja.

– Ty?

– Tak. Dam ci piłę spalinową. Wyłumaczę, jak iść. Dojdiesz do linii energetycznej prowadzącej w stronę wzgórza i przetniesz drewniany słup. Musisz być bardzo ostrożny, powiem ci, jak to zrobić, żeby nie zginać. Weźmiesz linę. Ja spróbuję zmierzyć się z Piołunem.

– Nie! – zaprotestował Lamberg. – Ten człowiek, o ile można jeszcze nazywać go człowiekiem, zabił moją żonę i dziecko. Muszę wyrównać rachunki. Nie mam już nic do stracenia.

Góral przyjrzał mu się z uwagą.

– Nie chodzi tylko o to, prawda? – zapytał Plichta. – Jest jeszcze jakaś tajemnica, mam rację? Znam się na ludziach i widzę to w tobie.

Lamberg wiedział, że góral przeniknął w tym momencie jego umysł aż po najgłębsze zakamarki. Przeszedł jak pocisk przez warstwy uzasadnień, takich

jak dobro ludzkości, sprawdzenie istnienia świata duchów, chęć samounicestwienia po stracie najbliższych sercu osób i dotknął jądra tajemnicy. Była ona jednak tak niezwykła, tak niewypowiedzialnie szalona, że nawet on, Lamberg, nie miałby odwagi ubrać jej w słowa. Była to nadzieja dotycząca samego sedna ludzkiego istnienia, sekret Boga, tajemnica Hioba.

– Nieważne – uciął policjant. – Ja idę. Wiem, że tak musi się stać. Nie potrafię wytłumaczyć tego inaczej. Czuję, że on czeka na mnie, że wzgórze jest miejscem przygotowanym dla mnie samego, jakby nie było żadnej innej drogi, którą mógłbym pójść.

Plichta długo milczał. W końcu rzekł krótko:

– Zgoda.

5.

Kiedy wyszli przed dom, zasnuwane chmurami niebo mocno już pociemniało. Wiatr szamotał wściekle gałęziami drzew, przynosił rozpaczliwy dźwięk dzwonu dobiegającego od strony cmentarza. Nikogo w pobliżu nie było, jakby wszyscy pochowali się w domach i nie zamierzali wychodzić.

Góral niósł zawieszoną na ramieniu piłę spalinową. Na drugim ramieniu kołysał się przewieszony mossberg. Na szyi połyskiwał mały, srebrny krzyżyk od proboszcza Witczaka. Lamberg przez głowę i ramię przełożony miał zwój grubej liny. Przed sobą niósł nabitą kniejówkę.

– Chodźmy do proboszcza – zaproponował Plichta. – Niech kapłan poświęci kule i broń.

– Sądzisz, że nam otworzy? – wymamrotał Lamberg.

– Przekonajmy się. Najlepiej od razu.

Obydwaj mieli uczucie, że muszą zdążyć przed zmrokiem, wygrać wyścig z nadciągającą ciemnością. Gdy dotarli na miejsce, drzwi plebanii były

zaryglowane, panowała przyprawiająca o dreszcz grobowa cisza.

– Księżę proboszczu! – Plichta zapukał raz, potem drugi. – Proszę otworzyć!

– Może wyszedł?

– Niemożliwe.

– Niby dlaczego?

Plichta westchnął, po czym znowu zapukał, tym razem o wiele mocniej niż wcześniej.

– Przecież panicznie się bał.

Lamberg skinął głową.

– Prawda. Może coś mu się stało?

– Sprawdźmy – odparł Plichta.

Ruszył wzdłuż ściany budynku, przekraczając płataninę zarośli. Pochylił się, przystawiając twarz do okiennej szyby, jakby poszukując właściwego kąta widzenia. Lamberg obserwował jego poczynania w napięciu. Nagle cofnął twarz, odwrócił się i podbiegł z powrotem do drzwi, zdejmując z pleców piłę spalinową. Szarpnął za rączkę raz i drugi, gdy wreszcie powietrzem targnął huk odpalającego silnika. Piła zawyła głośno na maksymalnych obrotach, a góral skierował ją prosto na drewniane drzwi plebanii.

– Może nie jest jeszcze za późno! – rzucił, przekrzykując odgłos pracującej piły. – Trzeba szybko wejść do środka!

Nie tracąc czasu na dłuższe wyjaśnienia, góral natarł na drzwi. Łańcuch piły wgryzał się z łatwością w stare drewno, dokonując dzieła zniszczenia i zasypując obydwu mężczyzn chmurą wiórów. Gdy mocowanie zamka zostało już mocno nadwyrężone, Plichta kopnął w drzwi kilkukrotnie. Te, zabarykadowane od wewnątrz, nie chciały ustąpić. Naparli więc na nie razem z całych sił, aż wreszcie udało im się wejść do środka. Ponieważ okna pozabijane były deskami oraz dyktą, w środku panowała ciemność. Plichta pstryknął włącznik, a wtedy pod sufitem zapaliła się niewielka żarówka,

roztaczając wokoło blask żółtego światła. Plichta szybko podążył w głąb budynku, a Lamberg pobiegł za nim.

W niewielkim parafialnym biurze, w którym kapłan zwykł przyjmować interesantów, było ciemno. Jednak w świetle zapalonych latarek ukazał się ponury widok. Ciało kapłana kołysało się na sznurze. Wyglądało na to, że Witczak tak bardzo obawiał się nadchodzącej nocy, iż postanowił popełnić samobójstwo. Góral podszedł do niego i położył swoją dłoń na piersi kapłana.

– Nie żyje – stwierdził ponuro.

– Kto teraz poświęci kule?

– Możemy spróbować zrobić to samemu.

– Samemu?! Nie jesteśmy osobami duchownymi.

– Jest pewna opowieść, z którą spotkałem się jako młody chłopiec – rzekł Lamberg. – Niegdyś, na polach bitewnych nie zawsze można było znaleźć kapelana. Bywało, że ksiądz zginął albo nie było go w pobliżu, aby mógł wyspowiadać umierającego człowieka. Wówczas spowiedzi mógł wysłuchać jakiś jego kolega i nawet mógł udzielić rozgrzeszenia. Oznacza to, że w bardzo szczególnych sytuacjach każda wierząca w Boga osoba może Go w pewnym sensie reprezentować. To jest szczególna sytuacja, sam przyznasz.

– Spróbujmy – zgodził się góral. – Chodźmy zatem do kościoła. Księdzu Witczakowi i tak już nic nie pomoże.

Nagle Plichta głośno wrzasnął. Lamberg na moment zamarł, nie wierząc w to, co właśnie widzi. Dłoń kapłana, który wisiał dobre pół metra nad ziemią i którego rdzeń kręgowy z całą pewnością był już przerwany, z nienacką pochwyciła górala za przedramię. Ten, zwykle silny psychicznie i opanowany człowiek, teraz odruchowo zaczął gwałtownie wrywać się kapłanowi. Jednak uścisk trupa był zdumiewająco silny.

– Pomóż mi! – zawołał do Lamberga. – Prędko!

Policjant pochwycił zaciśniętą dłoń wisielca i usiłował ją rozewrzeć.

Pomimo że wkładał w to całą swoją siłę, nie był w stanie tego uczynić. W pewnym momencie uświadomił sobie, że trup również jego pochwycił drugą ręką w stalowy uścisk. Obydwaj mężczyźni z przerażeniem ujrzeni, jak przez ciało Witczaka przebiega nagły wstrząs, jakby elektryczny dreszcz, a jego oczy powoli się otwierają.

– Zginiecie obydwaj – rozległ się potępieńczy syk. Podobnie jak w przypadku martwej kobiety, dobiegał on z rozchyłonych ust Witczaka, chociaż w ogóle się nie poruszały. – Ja jestem tym, który pożera ludzkie serca!

Lamberg poczuł, że poprzez przedramię w jego ciało wślizguje się dziwny chłód. Wnikał on w ciało policjanta, aż ten zaczął drżeć.

Policjanta na moment ogarnęła nieprzeparta chęć, by się poddać, odejść na zawsze. Życie zaczęło jawić mu się jako pasmo udręki, pełne pogoni za mrzonkami, które ostatecznie i tak kończy wielka oraz niezwykła nicość. Usiłował walczyć z tym obezwładniającym uczuciem, lecz czuł, że przegrywa. To coś było zbyt silne.

– Jestem Panem Chaosu i do mnie należy świat – przemówił demon. – Istniałem, zanim powstał kosmos, i będę długo po tym, kiedy zgasną ostatnie słońca. Służcie mi!

Nagle kątem oka Lamberg ujrzał w kącie pomieszczenia jakiś delikatny, narastający blask. Mimo pętającej jego umysł ostatecznej grozy zwrócił wzrok w tamtą stronę. Dziwne niebieskie światło stawało się coraz silniejsze i policjant pomyślał, że to wrota do śmierci, granica, którą przekracza każdy z nas w momencie umierania. A jednak było to coś innego. Ujrzał dwie stojące w świetle postacie – swoją żonę i syna.

– Musisz się temu przeciwstawić – powiedziała żona.

– Jesteś nam potrzebny, tato – dodał Paweł.

Lamberg ostatnim wysiłkiem woli sięgnął do szyi górala. Wolną ręką złapał za sznurek i szarpnął. Zerwany krucyfiks przycisnął do piersi Witczaka,

w której stygło zimne serce.

– W imię Chrystusa, odejdz, szatanie! – wykrzyknął głośno.

Przez chwilę nic się nie działo. Lamberg miał uczucie, że zaraz serce wyrwie mu się z piersi. Słyszał urywany oddech Plichty, przypominający zachłystywanie się tonącego, i ujrzał, że oczy górala zdają się gasnąć, jakby pod wpływem wnikającej w jego ciało trucizny.

Nagle z ust martwego Witzaka dobiegł wściekły ryk, wycie, którego niepodobna opisać w ludzkich słowach. Przez pokój przetoczyło się coś w rodzaju gwałtownego wichru, a szyby w oknach eksplodowały z hukiem. Potem wszystko ucichło. Zły duch chwilowo ustąpił, a ciało kapłana znów zwiotczało, kołysząc się niczym upiorne wahadło. Martwe dłonie zsunęły się bezwładnie i opadły wzdłuż ciała, uwalniając ich z uścisku.

Lamberg, choć sam utrzymywał się na nogach z najwyższym trudem, podtrzymał osuwającego się na ziemię górala. Lodowate zimno zaczęło odpełzać z jego ręki. Również Plichta pomалу dochodził do siebie, stanął pewniej na nogach, spoglądając z niedowierzaniem na policjanta, jakby nie do końca pewien, czy wszystko to działo się naprawdę.

– On podąża naszym tropem – powiedział Lamberg. – Pojawił się tu nieprzypadkowo. Usiłuje nas przerazić. Chyba w pewnym stopniu wie, że chcemy mu się przeciwstawić. Musimy działać, i to szybko!

Nie zdradził się przed Plichtą z tym, co ujrzał w kącie pomieszczenia. Zerknął tam jednak ukradkiem, lecz nie dostrzegł tym razem niczego nadzwyczajnego. Mimo to w jego serce wlała się jakaś nadzieja. Nawet jeśli to, co widział, było jedynie zwykłym złudzeniem, obraz najbliższych sercu osób podtrzymał jego wolę przetrwania. Czasem nawet zwykłe wspomnienie jest w stanie to uczynić, ponieważ wspomnienia również istnieją wiecznie, zawieszane w czasie i nieprzemijające. Mogą stanowić punkt zaczepienia stanowiący o naszej tożsamości i pomagający przetrwać najtrudniejsze chwile.

Policjant domyślał się, że Choronzon w jakiś sposób śledzi ich poczynania, a być może wie o nich również Piołun. Czuł, że zbliża się finał tej historii, podobnie jak kobieta przy nadziei spodziewa się przyjścia na świat jej dziecka. Napełniało go głębokie przeświadczenie, że nadchodzi coś naprawdę niezwykłego.

Na dworze było już niemal zupełnie ciemno. Kościół stał opuszczony, ponury i zaryglowany na cztery spusty. Góral znów bezceremonialnie użył piły spalinowej, by dostać się do środka, lecz ze względu na grubość drzwi zajęło im to dobry kwadrans. Obydwu opanował swego rodzaju amok, nie oglądali się już na nic, myśląc jedynie o wykonaniu swojego zadania. Okoliczności były naprawdę wyjątkowe i Lamberg nie czuł wyrzutów sumienia, tak bezceremonialnie wdzierając się do kościoła. W końcu to świątynia powinna służyć ludziom, a nie odwrotnie.

Gdy weszli do środka, skropili wodą święconą broń i naboje. Lamberg nie był do końca pewien, czy ta metoda podziała, a jednak miał taką nadzieję, ponieważ zdawało się, że demon uląkł się krzyża. Pozostawało mieć przekonanie, że podołają sprawie...

* * *

Mgła zwykle pojawia się o poranku, a potem wraz z upływem godzin przemija. Ciepło słońca i wiatr robią swoje i około dziesiątej rano nie ma już po niej śladu. Zdarzają się jednak w górach dni deszczowe, gdy mgła snuje się w kotlinach przez cały dzień. Tak też było i tym razem, z tą różnicą, że mgła unosiła się z kotlin, wynurzała z wąwozów, zdawałoby się – wypływała – z każdego zagłębienia w ziemi. Zarówno Lamberg, jak i Plichta mieliby nie lada problem z opisaniem tego, co rzeczywiście widzieli i czego istotnie doświadczyli. Mogliby oczywiście całymi godzinami opowiadać o tej mgle, o drzewach, które w zapadającej już ciemności wyglądały jak zjawy,

o dziwnie czarnym niebie i nieustającym dobiegającym z głębi lasu pomruku. Nie oddałoby to jednak chyba w najmniejszym stopniu tego, co się rzeczywiście działo.

Kiedy otrzymujemy list, zawiera on jedynie ciąg znaków. List sam w sobie jest tylko papierem pokrytym znakami i nie ma on żadnego wymiaru emocjonalnego, dopóki nie zagłębimy się w jego treść i znaczenie. Dopiero wówczas doświadczamy tego, czym on jest naprawdę. Tak też rzeczy się miały wówczas w Górach Sowich. Nagle cała przyroda stała się w pewien sposób groźna i złowroga. Była jak list z ostrzeżeniem. Lamberg miał przedziwne uczucie, że oto nie znajdują się już w dobrze znanej miejscowości Przygórze, lecz raczej w jakiejś krainie z sennego koszmaru. Co gorsza było w tym coś atawistycznego, pradawnego, archaicznego – jakieś straszne wspomnienie, jakby pochodzące z prastarych czasów, o których nikt już nie pamięta, tych okresów, w których ludzie czcili nieznanym obecnie bogów.

Policjanta ogarniał coraz większy niepokój. Całą siłę woli wkładał w to, by wkroczyć w las i nie widzieć ponurych obrazów, jakie podsuwała mu wyobraźnia. Zdawało się, że cała cywilizacja wraz z zapewniającą uczucie bezpieczeństwa otoczką znikła. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że znajduje się w jakiejś innej krainie, dla której „Góry Sowie” były jedynie nietrwałą, tymczasową nazwą. Ze zdumieniem wodził światłem latarki po świerkach i sosnach, odkrywając, że ich gałęzie wyglądają nieco inaczej, niż powinny, że igły są dziwnie okazałe, a gałęzie tajemniczo powykręcane we wszystkie strony. Coś się zmieniło, doszło do jakiegoś niezwykle przesunięcia w czasie i przestrzeni i nagle Lamberg pojął, że zbliżając się do Wilczycy, wkraczają nie na znaną ścieżkę, lecz na jakiś szlak należący do świata, który być może istniał niemal nieskończenie dawno temu lub dopiero będzie istniał w odległej przyszłości.

Rozglądali się wokoło, na próżno usiłując dostrzec światła dalekich

ludzkich siedzib. Być może nastąpiła przerwa w dostawie prądu elektrycznego, lecz obydwu ich opanowało nagle, jedyne w swoim rodzaju przeświadczenie, że świat ludzi w jakiś niezrozumiały sposób zniknął, a oni zostali zupełnie sami, twarzą w twarz z odwieczną grozą.

Z ciemnego nieba spadała nieustanna mżawka, którą podmuchy nasilającego się wiatru unosiły falami daleko w ciemność. Światła latarek wyławiały z mroku kamienistą ścieżkę.

– Szybciej! – cichym, lecz pełnym wewnętrznego napięcia głosem ponaglał góral. – Idą w naszą stronę!

Lamberg nie musiał nawet świecić latarką między drzewa, by wiedzieć, kogo góral ma na myśli. Trzaski gałęzi stawały się coraz bardziej donośne, odnosili teraz wrażenie, że podąża za nimi żądny krwi tłum.

– Ktoś jest na ścieżce! – wysapał ostrzegawczo Plichta.

Lamberg skierował przed siebie snop światła. W odległości jakichś dziesięciu metrów stało kilka ludzkich postaci, których oczy jarzyły się jak ślepia dzikich zwierząt. Prawdopodobnie byli to mężczyźni, choć jeden z ożywionych mocą Choronzona trupów wydawał się kobietą. Wyciągali w ich stronę ręce, jakby starając się powstrzymać przed dalszą wędrówką. Policjant bez większego namysłu uniósł uprzednio załadowaną broń i wycelował w stronę zagradzających im drogę upiorów. Również góral przeładował mossberga i złożył się do strzału.

– Z drogi! – wykrzyknął.

Tamci w pierwszej chwili jakby nie zareagowali, lecz w kilka sekund później ruszyli w ich stronę. Przez ten moment Lamberg mógł się im baczniej przyjrzeć i wiedział, że obraz ten prześladować go będzie do końca życia. Było ich kilku, lecz funkcjonariusz nie miał wątpliwości, że w lesie czają się dziesiątki, setki, a kto wie, może nawet tysiące innych, podobnych. Ciemne mundury były potargane i nosiły ślady ziemi. To, co określić można by mianem

twarży, nie zasługiwało w rzeczywistości na to określenie. Były to raczej parodie twarzy, jakby jakaś siła starała się odtworzyć ich dawne oblicze, lecz w wyniku nieudolności lub zwykłej złośliwości zupełnie jej się to nie udało. Przypominali raczej ofiary szalonego mordercy, które zostały oddane w ręce przyuczającego się dopiero do swojego fachu, nieudolnego pracownika zakładu pogrzebowego. Wyciągali w ich stronę ręce, zapewne pragnąc rozszarpać obydwu mężczyzn na strzępy.

Lamberg i Plichta oddali w ich kierunku salwę z broni. Poświęcone pociski uderzyły w martwe ciała, a w miejscach, w których wchodziły w tkankę, widać było delikatne rozbłyski błękitnego światła. Trupy, upiory, zjawy legły pokotem na ziemi. Jednak obydwaj mężczyźni nie mieli wątpliwości, że zyskali jedynie trochę czasu, zanim reszta ich dopadnie. Ruszyli biegiem przed siebie, starając się dotrzeć jak najszybciej do celu.

– Na chwilę ich zgubiliśmy – rzekł Plichta, zatrzymując się. – Teraz musimy się rozdzielić. Ja idę na prawo. Zabieram linę.

– Skąd będę wiedział, że ci się udało? – zapytał Lamberg.

– Zetnę słup. Jeśli mamy rację, to schronisko nagle się pojawi. Bądź gotów. Nie wiem, na jak długo nasz sposób zadziała. Piołun może mieć do dyspozycji zasilanie awaryjne. Nie wiem, ile czasu będziesz miał do dyspozycji, może sekundy, a może minuty. Spróbuj szybko wejść do schroniska. Może kiedy będziesz wewnątrz, ciebie też obejmie ta fala, znajdziecie się obaj na tej samej częstotliwości, w tym samym świecie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wykorzystaj to i spróbuj zabić Piołuna. Będę starał się jak najszybciej do ciebie dołączyć. Kiedy uda nam się wyłączyć maszynę Tesli, podpalimy schronisko i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

* * *

Plichta przedzierał się przez las, a przewieszona przez ramię piła spalinowa

ciężła mu niesamowicie. Choć dobrze znał okolicę, teraz wszystko wydawało mu się jakieś inne, jakby odmienione. Usiłował sobie przypomnieć, którądy należy iść. Przeskakiwał przez powalone konary drzew, przystając co jakiś czas i ocierając pot zalewający mu oczy. Starał się przy tym nie narobić hałasu i zachowywać możliwie cicho, by nie ściągnąć na siebie uwagi tych, których w myślach nazywał „martwymi ludźmi z lasu”.

Po piętnastu minutach uznał, że jest prawie na miejscu. Do tej pory unikał świecenia latarką na boki, słusznie obawiając się, że takie światło mogłoby zostać dostrzeżone z daleka i ściągnąć na niego poważne kłopoty. Teraz jednak skierował strumień światła najpierw na boki, a następnie w górę, pomiędzy wierzchołki drzew. W lesie było dużo mgły i liczył na to, że ta zasłona pomoże mu pozostać niedostrzeżonym, przynajmniej przez najbliższy czas.

To powinno być gdzieś tutaj – pomyślał. Przesieka między drzewami. Przeszedł jednak kolejne kilkaset kroków, kiedy wreszcie udało mu się na nią natknąć. Wtem znieruchomiał. Z wnętrza lasu coś nadchodziło. Nie były to jednak szmery ani szelesty, jak w przypadku „martwych ludzi”. To było coś innego. Drzewa trzeszczały, jakby napierała na nie jakaś wielka, niewidzialna dłoń. Góral schował się za drzewem, przypadł do leśnej ściółki, niemal wbijając palce w ziemię. Zastanawiał się, czym może być to, co nadchodzi. Roztaczało zimną aurę wrogości. Góral oddychał szybko i płytko. Pierwszy raz spotkał się z podobnym zjawiskiem, odczuwalnym w zasadzie jedynie na poziomie emocji. Nie widział niczego, a jednak skądś wiedział, że nie może spojrzeć na to, co się zbliża. Czuł, że jeśli to uczyni, straci rozum.

To coś minęło go zaledwie o kilka kroków. Upłynęło może kilkanaście sekund, które Plichcie zdawały się wiecznością. Nie miał odwagi podnieść się i spojrzeć. Leżał znieruchomiały niczym dotknięty strachem robak. Dopiero po upływie kilku minut pozbierał się.

Ruszył w kierunku przesieki. To fale z tego urządzenia Tesli są wszystkiemu

winne – myślał. To musi być to. Nigdy nie byłem dobry z fizyki, ale coś się zmieniło, wszystko jest w pewien sposób inne. Rzeczy, które przed kilkoma godzinami nie miały prawa się wydarzyć, teraz dzieją się na moich oczach.

Nagle skamieniał, zamarł, jakby ktoś wylał mu za kołnierz kubeł zimnej wody. Była pewna sprawa, którą przeoczył. Pewna prasowa wiadomość, którą zlekceważył lub też po prostu wymazał z pamięci jako nieistotną, a przecież jako opiekun schronisk nie powinien tego robić. Przyśpieszył kroku, odgarnął ręką tarasujące mu drogę mokre od deszczu chaszcze i wyszedł na przesiekę. Jego najgorsze przypuszczenia stały się rzeczywistością.

Słupy już jakiś czas temu wymieniono na betonowe.

Nagle jego ucho posłyszało dochodzące z lasu trzaski. Były liczne i narastały. Zdawały się nadciągać ze wszystkich stron. To martwi ludzie odnaleźli jego trop, podążali za nim cały czas, nieśpiesznie i wytrwale, coraz bardziej zacieśniając złowrogi pierścień okrążenia.

Plichta rozejrzał się wokoło, wbił wzrok w otaczające go zewsząd ciemności i z przerażeniem dostrzegł dziesiątki lśniących oczu. Wyglądało na to, że wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte.

Drzewo – myślał gorączkowo. Muszę szybko ściąć drzewo! Upadając, powinno przerwać prowadzącą na Wilczycę linię energetyczną. Przy odrobinie szczęścia... lecz nie... to nie może się udać. Przesiekę zaprojektowano, starannie wyliczono jej szerokość, tak by złamane wichrem drzewa nie mogły tak łatwo jej uszkodzić. Owszem, istniała nadzieja, że pomysł się powiedzie, lecz nikła.

Góral zrzucił piłę na ziemię. To już koniec. Jest zbyt mało czasu. Pomyślał jeszcze o Lambergu. Może zdoła uciec, kiedy zorientuje się, że cały ich pomysł spalił na panewce. Może ujdzie z życiem, zanim dostrzeże go Piołun. Uniósł lufę mossberga i odczekał, zanim pierwszy z nadchodzących martwych ludzi wyszedł z lasu. Potem zaczął strzelać, celując starannie.

Niewiele to dało. Okrażali go ze wszystkich stron, było ich coraz więcej. Wychodzili zza drzew, usiłowali zająć go od tyłu. Cofał się, coraz bardziej przerażony, w stronę betonowego słupa. Nagle posłyszał furkot skrzydeł. Cofnął się jeszcze o kilka kroków, wystrzelił ostatnie naboje i spojrzał w górę. Kilka kruków kołowało wysoko nad lasem. Ze względu na panującą ciemność słyszał je bardziej, niż widział. Jednak ten odgłos podsunął mu pewien pomysł.

Betonowe słupy wyposażone były w otwory, po których można było spróbować się wspiąć. Było to ciężkie wyzwanie, a jednak góral był gotów się go podjąć. Nie miał zresztą innego wyjścia. Odwrócił się w stronę słupa, podskoczył i zaczepił dłońmi o jeden z otworów. Celowo umieszczono je na sporej wysokości, by ktoś niepowołany nie mógł się na nie wdrapać. Plichta miał już swoje lata, lecz ciężka fizyczna praca zmieniła jego mięśnie w stalowe postronki, z których przynajmniej część zachowała swoją dawną siłę. Zacisnął zęby i podciągnął się, właśnie w momencie, gdy dłoń martwego człowieka z lasu usiłowała go pochwycić.

Po chwili znajdował się już kilka metrów ponad ziemią, pnąc się z wysiłkiem, otaczany na dole przez tłum prześladowców. Była to niezwykle trudna wspinaczka i nie lada wysiłek. W normalnych okolicznościach betonowe otwory służą jedynie jako pomoc, a właściwe szczeble tworzą stalowe bolce, które monter przywozi ze sobą i wsuwa w odpowiednie wyłobienia. Mimo to Plichta dosięgał już niemal przewodów. Teraz czekała go najtrudniejsza sztuka – musiał je jakoś zerwać. W momencie, gdy udało mu się przyjąć nieco stabilniejszą pozycję, posłyszał, jak tłum na dole zaczyna głośniej pomrukiwać. Był to drapieżny odgłos, pełen chęci mordy, dźwięk przywodzący na myśl dziką bestię, niemogącą dosięgnąć swojej ofiary, która zagoniona w potrzask chwilowo znajduje się poza zasięgiem jej pazurów.

Przytrzymując się słupa to jedną, to drugą ręką, zdołał jakoś zdjąć z siebie

przeciwdeszczową kurtkę. Po kilku próbach, gdy miał wrażenie, że bark zaraz mu eksploduje, udało mu się nawet zarzucić kurtkę na przewody. Nic to jednak nie dało. Kable linii energetycznej były stalowymi linkami, mocno przymocowanymi do słupa za pomocą specjalnych, porcelanowych trzpieni. Ich zerwanie graniczyło z niemożliwością, zwłaszcza w sytuacji, w jakiej się znajdował, wisząc parę metrów nad ziemią ponad głowami rozwścieżonego tłumu martwych ludzi z lasu.

Wisiał tak, myśląc rozpaczliwie co dalej. W zaistniałych okolicznościach każde wyjście wydawało się złe. Pierwotnie wchodząc na słup, łudził się, że zdoła jakoś zerwać instalację elektryczną i strącić ją na dół, a prześladowający go tłum upiorów rozstąpi się choć na chwilę, umożliwiając mu powrót na ziemię oraz ucieczkę. Plan jednak spalił na panewce.

Uświadomił sobie, że zjawił się tu nieprzypadkowo, że schronisko czekało na niego. Było czymś więcej niż tylko zwykłym budynkiem. Było jak latarnia morska, przyzywało do siebie i wymagało ofiary. Było niczym żywa istota. Łudził się, że odejdzie, jeśli da się jej wystarczająco dużo czasu, jeśli nie będzie się o niej wspominać, lecz ona trwała przez dziesięciolecia, głodna i drapieżna. Należało zakończyć tę sprawę, to przez schronisko zniknął jego wnuczek, był tego pewien.

Te wszystkie myśli przeszły jego umysł niczym seria błyskawic, a gniew, który zapłonął w jego ciele, pomógł mu zdobyć się na ostateczny wysiłek. Wspiął się jeszcze wyżej, wznosząc się ponad linię energetyczną.

Żeby tylko Lambergowi się udało – pomyślał i rzucił się całym swoim ciężarem na przewody. Buchnęły iskry, prąd elektryczny pochwycił jego ciało w stalowy uścisk i szarpał nim przez chwilę, aż serce górala przestało bić. Zawisł kilka metrów nad ziemią, z ciała uniósł się dym. Kruki, do tej pory krążące ponad lasem, zbiły się w ciaśniejszą grupę i poszybowały wyżej.

* * *

Lamberg drżał z niecierpliwości. Kurczowo ścisnął w swoich dłoniach strzelbę, leżąc skryty w mokrej trawie. Mijały długie minuty i nic się nie działo. Schronisko na Wilczycy pozostawało zupełnie niewidoczne. Było niczym zjawą, która nie miała najmniejszej ochoty się ujawnić. Policjant wiedział, że to jedynie jego wyobraźnia, lecz zdawało mu się, iż słyszy obłąkańczy, drwiący śmiech Piołuna.

Nigdy, przenigdy nie uda się wam mnie dostać.

Nagle schronisko ukazało się, w kilku nagłych rozbłyskach, tak jakby zniknęło i pojawiało się na powrót. Lamberg, niewiele myśląc, rzucił się naprzód. Gdy schronisko na moment stało się widoczne, dopadł do drzwi i szarpnął za klamkę. Była porażająco realna. Całe schronisko było porażająco realne i Lamberg nie mógł pojąć, jakim sposobem przed chwilą w ogóle go nie było. Drzwi okazały się otwarte, a on jak burza wpadł do środka. Wiedział, że musi jak najszybciej dopaść Piołuna, który według jego podejrzeń musiał znajdować się w środku.

Najpierw jednak należało wyłączyć generator Tesli.

Kiedy za policjantem z hukiem zatrzasnęły się drzwi, zapanowała głucha cisza. Zupełnie jakby schronisko znajdowało się w pewnego rodzaju szklanej bańce i żyło jakimś swoim dziwnym porządkiem rzeczy. Nie docierał tu ani szum deszczu, ani nie było słychać hulającego na zewnątrz wiatru. Budynek przypominał arenę, na której za chwilę miała rozegrać się śmiertelna walka.

Jednocześnie Lamberg nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oto znalazł się we wnętrzu najzwyklejszego schroniska na świecie. Nie przypominało to w żaden sposób snu, było absolutnie realne i Lamberg z podziwem pomyślał o geniuszu Tesli i potędze broni, nad którą pracowali naziści. To było niezwykle, można było kierować rzeczywistością, być może sprawiać nie tylko, że znikwały pojazdy i ludzie, lecz nawet całe miasta lub wsie. Był to istotnie kamuflaż

doskonały, którego tworzywem nie były plamiaste mundury ani maskujące siatki, lecz sama materia. To niezwykle, cenniejsze od wszelkich bogactw urządzenie musiało znajdować się gdzieś w tym budynku, a on, Lamberg, musiał je wyłączyć.

Podłoga skrzypiała cicho pod jego nogami. Policjant zawiesił sobie na piersiach włączoną latarkę i trzymał broń w pogotowiu. Liczył na to, że poświęcone kule zdołają powstrzymać, a nawet zabić Piołuna oraz mroczną siłę, która go opętała. Zimny pot ściekał z jego ciała. Z ponurego przedsionka wkroczył do większego pomieszczenia, które zapewne służyło za jadalnię. Wszystko wydawało się tu zwyczajne, lecz Lamberg każdym nerwem wyczuwał, że wcale takie nie jest.

Zastanawiając się nad tym, czy to możliwe, by wraz ze schroniskiem zniknął i on, usłyszał nagle dźwięk przypominający brzęczenie. Dobiegał niejako spod ziemi. Zrobił kilka kroków i ujrzał delikatny blask światła dobywający się spoza uchylonych drzwi. Podeszedł do nich i, najciszej jak potrafił, otworzył je szerzej. Schody prowadziły do piwnicy. Brzęczenie było tutaj bardziej wyraźne. Wstrzymując oddech, zszedł na dół. Światło było tu bardzo słabe, choć pod sufitem żarzyła się mała żarówka. Jednak jej wolframowy drucik dawał niewiele światła. Wyglądało na to, że urządzenie Tesli pochłaniało wielkie ilości energii, której brakowało nawet na oświetlenie.

W tym nikłym blasku Lamberg ujrzał pomieszczenie przypominające spiżarnię. W ścianie ktoś wybił dziurę. Odgłos słyszalny w tym miejscu przypominał dźwięk, jaki można posłyszeć w pobliżu linii wysokiego napięcia, lecz był dużo głośniejszy. Policjant ostrożnie przeszedł do pomieszczenia, które wyglądało jak zamurowany pokój. Mieściły się w nim zwykłe meble, a nawet stojak na ubranie. Niskie, metalowe drzwi prowadziły do kolejnego pomieszczenia, do którego Lamberg wszedł z najwyższą ostrożnością. Było tu zimno i wilgotno, lecz w powietrzu unosił się zapach

ozonu. Pośrodku pomieszczenia znajdował się stalowy stół, wyposażony w uchwyty na ręce oraz nogi i specjalne wyżłobione kanaliki służące do odprowadzania krwi. Pod ścianą pomieszczenia stało urządzenie przypominające skrzynkę z konsolą, do której przymocowany był cylinder z nawiniętą cewką. Lamberg był zaskoczony, spodziewał się bowiem czegoś bardziej okazałego. Całość miała wymiary może metr na półtora, i silniejszy człowiek mógłby przetransportować urządzenie bez większego trudu. Był to zresztą aparat mobilny, o czym świadczyły umieszczone po jego bokach uchwyty. Podszedł do konsoli i przyjrzał się ebonitowym przyciskom. Emitowany przez aparat odgłos był wprost nie do zniesienia. Lamberg przełączył wszystkie pokręta na pozycję zerową. Dźwięk umilkł jak ucięty nożem.

Pozostawało tylko znaleźć Piołuna, który krył się gdzieś we wnętrzu tego budynku. Kiedy jednak Lamberg wspinał się na szczyt prowadzących z piwnicy schodów, zrozumiał, że nie będzie musiał nikogo szukać. To Piołun, czy też to coś, czym Piołun się stał, zaczęło właśnie szukać jego.

Na piętrze rozległy się głośnie, ciężkie kroki. Mroczny pan tego budynku, wcielone zło, mesjasz zagłady, sprawca „rzezi niewiniątek” z kościoła w Wałbrzychu, bezwzględny zabójca Damięckich, ten sam, który przybił do drzew turystki, nawiązując w ten sposób zapewne prześmiewczo do śmierci i męki Chrystusa – nadchodził.

Mam gdzieś, kim jesteś i za kogo się uważasz – pomyślał Lamberg. Dorwę cię za śmierć mojej żony i syna. Ta zimna nienawiść nie stanowiła sedna jego motywacji, którym była niezrozumiała i niepojęta nadzieja. Nienawiść była mu jednak teraz bardzo potrzebna, stanowiła energię pomagającą działać i panować nad strachem.

Kiedy znalazł się z powrotem w jadalni, znów usłyszał kroki. Złożył się do strzału, napiął mięśnie. Postanowił trafić Piołuna poświęconym pociskiem prosto w głowę, wiedząc, że może nie mieć drugiej szansy. Starał się

oddychać spokojnie i miarowo, co w tych okolicznościach było niezmiernie trudne.

Wówczas, w nikłym świetle padającym z piętra, ujrzał Piołuna ubranego w czarny mundur SS. Schodził po schodach bez pośpiechu, zdawałoby się nawet z pewnego rodzaju nonszalancją. Tak, to był on. Lamberg rozpoznał go bez wahania. Ten człowiek, który pojawił się w kościele, którego sylwetka wydawała się w pewien sposób inna, jakby obrysowana i wycięta z innego czasu i przestrzeni.

Jako policjant powinien w pierwszej chwili wezwać go do poddania się. Jako człowiek jednak czuł, że musi zabić bestię i uczynić to możliwie jak najszybciej, zanim ona zabije jego.

Jakimś wewnętrznym radarem wyczuwał, że Piołun wie o najściu i doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności. Sylwetka schodzącego po schodach mordercy stała się niemal w całości widoczna, z wyjątkiem głowy. A Lamberg powstrzymywał swój ułożony na spuście palec niczym woźnica powstrzymujący narowiste konie. Czekał na głowę, na czysty, perfekcyjny strzał.

Wówczas usłyszał głos Piołuna, od którego brzmienia zjeżyły mu się włosy na karku. Nie był to bowiem głos człowieka, lecz głos, który usiłował brzmieć jak ludzki. Lamberg zrozumiał, że niezależnie kim był doktor Piołun czy Hubertus Strughold, teraz jest tu ktoś zupełnie inny. To był ten sam głos, który przemówił ustami martwej kobiety i wiszącego na sznurze proboszcza Witczaka. Stary głos, lecz nienależący do wiekowego człowieka, nabrzmiały raczej jakąś prastarą wiedzą, pochodzący jakby z zupełnie innych, zamierzchłych czasów. Być może właśnie ten głos rozbrzmiewał w pradawnych świątyniach Sodomy i Gomory, zanim nadeszła zagłada. Kto wie, być może należał on nawet do kogoś, kto istniał na długo przed ludzkim rodzajem.

– Czekałem na ciebie – powiedział. – Nie zdołasz mnie pokonać. Sprzymierz się ze mną i służ mi!

Lamberg przez dłuższą chwilę nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Pierdol się – wysyczał w końcu przez zęby – chory potworze!

Nacisnął spust. Rozległ się głośny huk, kniejówka siłą odrzutu uderzyła go w ramię. Mimo zdenerwowania był niemal pewien, że trafił.

Demon zachichotał.

– Wyłączyłeś maszynę. Wydaje ci się, że jesteś przebiegły. Wynalazek Tesli, choć użyteczny, nie stanowi sedna tajemnicy. Jej istota jest ukryta przed umysłami śmiertelników. Twoja broń, nawet poświęcona, nie jest w stanie mnie skrzywdzić. Ponieważ moim przeznaczeniem jest nieśmiertelność.

– Nikt z wyjątkiem Boga nie jest nieśmiertelny – wydusił Lamberg.

– Ja jestem taki jak On. Jestem Mu równy. Nazywają mnie Choronzon, Pan Chaosu. Ten, Który Przemawia Ustami Umarłych – rzekł demon. Zszedł po schodach i odwrócił się w stronę Lamberga, tak by ten mógł ujrzeć jego twarz. Na jej widok policjant zadrżał z przerażenia. Była to trupia maska, blada niczym kreda. Twarz człowieka młodego, lecz martwego od dawien dawna. Być może należała ona do samego Piołuna, choć nie mógł być tego pewien. Zrozumiał, że ma do czynienia z czymś w rodzaju trupiej kukły stworzonej przez nieudolnego lalkarza, a podtrzymywanej wciąż przy życiu za pomocą nadprzyrodzonych sił. – Jestem zdetronizowanym bogiem, jednym z wielu, który powrócił, by domagać się tego, czego ludzie mu odmówili. Tylko niewielu śmiertelników doświadczyło zaszczytu, by usłyszeć mój głos. Pragnę ofiar.

– Ty... ty nie możesz żyć! – zawołał policjant. – Strughold powinien być martwy od dawna, tak samo jak Piołun.

Demon zaśmiał się głośno.

– Tajemnica tkwi w kamieniu. Znasz to pytanie: czy Bóg może stworzyć

kamień, którego nie może podnieść? Tak, Bóg postanowił to sprawdzić. To miała być ostateczna próba jego wszechmocy, stworzyć granicę, której sam nie będzie mógł przekroczyć, powołać do istnienia siłę, której nie będzie mógł powstrzymać. Tak też się stało. Istnieją zasady gry, których nawet sam Bóg musi przestrzegać, a jedną z nich jest klątwa. To klątwa sprawiła, że Strughold nie może umrzeć. To klątwa uczyniła jego nieumierające ciało godnym tego, abym w nim zamieszkał. Rozumiesz – ten wasz Bóg pragnie sprawiedliwości. On sam się jej podporządkował. I sprawiedliwości stało się zadość. Nikt ani nic nie może tego zmienić.

Lamberg nic z tego nie pojmował. Nie zamierzał popełnić jednak tego samego błędu, jaki stał się udziałem Strugholda i Piołuna. Wszystko było lepsze, niż sprzymierzyć się z tym potworem. Choć był już prawie pewien, że nie przyniesie to żadnego skutku, wystrzelił jeszcze raz, lecz tym razem znów pocisk chybił celu, zupełnie jakby jego trajektorię zmieniła niewidzialna siła. Poderwał się, słysząc za sobą obłąkańczy śmiech, i rzucił się w stronę wyjścia.

6.

Jakimś cudem zdołał wybiec przed schronisko. Wokoło szalała wichura, drzewa łamały się z trzaskiem. Niebo przecinały błękitne nożyce błyskawic. Moc Choronzona zdawała się rosnać. Z okien schroniska buchnęło dziwne, czerwone światło, sprawiając, że cała łąka wraz ze wzgórzem zdawała się spływać krwią. W chwilę potem trzasnęły drzwi. Lamberg obejrzał się i ujrzał, jak Piołun wychodzi na zewnątrz i zbliża się w jego stronę. Wiedział, że to już koniec i nie zdoła uciec. Nagle wyczuł jakąś zmianę. Do uszu Lamberga dobiegło przeciągłe wycie, od którego jeżyła się skóra.

Nadchodziła wilczyca, strażniczka tego miejsca.

Policjant opadł na kolana, nie mając już odwagi stać. Miał wrażenie, jakby znalazł się w samym środku koszmarnego snu. Nagle w jakimś przebłysku świadomości zrozumiał wszystko.

Czy Bóg może stworzyć kamień, którego nie może podnieść? Tak, być może właśnie to uczynił. Ustanowił prawa rządzące Wszechświatem i sam postanowił ich nie zmieniać. Był to zarazem akt samoograniczenia, ale i dowód wszechmocy. Kto wie, może sam wiele razy żałował tego postępu, o ile oczywiście Bóg może czegokolwiek żałować. Niemniej moc klątwy rzuconej przez zrozpaczoną kobietę była jedną z tych niespiesznych sił, które działały w przyrodzie, i nawet Bóg nie mógł z nią niczego zrobić, nawet on nie mógł jej odwołać, sprawiając, by Strughold umarł. Tylko ona mogła to zrobić. Tylko w niej była cała nadzieja.

Lamberg obrócił się przez ramię i spostrzegł, że Piołun cofa się. Choronzon, który sterował jego ciałem, musiał w swojej wielkiej przebiegłości wyczuć niebezpieczeństwo. Martwa do tej pory pośmiertna maska wykrzywiła się w wyrazie zarazem wściekłości i przerażenia.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać! – ryknął wściekle Piołun-Strughold.

Zjawa wampirzycy zbliżała się z sekundy na sekundę i teraz nawet Lamberg dokładnie ją widział. Jej twarz wyrażała ostateczną wściekłość. Ciało Piołuna wykonało kilka niezdarnych kroków w tył, kiedy wampirzyca dosłownie rozorała jego wnętrze pazurami. Ostre jak brzytwy zęby wbiły się w szyję Piołuna, niemal całkowicie pozbawiając go głowy. Tylko wampirzyca mogła zabić Strugholda, zamykając w ten sposób drogę demonowi do ludzkiego świata.

Nagle Lamberg posłyszał łopot skrzydeł. Zdumiony, uniósł wzrok w górę, wciąż półożąc na ziemi, wsparty na ręce. To, co początkowo wziął za ruchomą chmurę, było w istocie wielką chmarą kruków zniżających się i nadlatujących w wielkiej ilości. Było to widowisko tak niezwykle, że

policjant aż wtulił głowę w barki, odruchowo osłaniając swoją głowę. Kruki jednak przybyły po kogoś innego. To duchy dzieci zamordowanych przez Strugholda wstąpiły w kruki – Lamberg przypomniał sobie opowiedzianą przez Plichtę legendę. Ptaki rzuciły się na szczątki Piołuna, rozdziobując je na drobne strzępy i unosząc w górę najmniejsze nawet resztki jego ciała. Przez moment, chociaż było to fizycznie niemożliwe, wyczulony na duchowe emanacje Lamberg posłyszał przeraźliwy, pełen ostatecznej wściekłości wrzask trojga istnień – Strugholda, Piołuna i mrocznego przybysza z zaświatów – Choronzona.

Po niespełna minucie ptaki odleciały, a cała przyroda uspokoiła się. Wiatr ucichł, gwałtowna burza ustała. Policjant leżał na ziemi, całkowicie porażony tym, co było mu dane ujrzeć. Ogarnął go jakiś przedziwny, jedyny w swoim rodzaju bezwład. Jakby jakiś wewnętrzny głos mówił do jego serca: przeszedłeś próbę, Lamberg. Teraz należy już tylko czekać. Tak jak czekał Hiob.

Więc policjant czekał. Mijały długie minuty, a może nawet godziny. Czarne chmury, które do tej pory zakrywały niebo, powoli rozsunęły się, ukazując niezmierny bezmiar kosmosu. Tyle światów, tyle możliwości przemknęło przez głowę Lambergowi. To tylko my, ludzie, w naszej małości sądzimy, iż istnieje tylko jeden świat. Być może w każdej chwili naszego istnienia powstają zupełnie nowe światy, w zależności od drogi, jaką wybierzemy.

Wtem posłyszał ciche kroki w trawie. Nie musiał nawet podnosić głowy, by wiedzieć, kto przyszedł.

– Tato! – usłyszał.

Epilog

Lamberg powoli otwierał oczy. Nad szpitalnym łóżkiem stali jego syn Paweł i żona. Oboje uśmiechali się do niego i przyglądali z troską.

– Panie doktorze, on się budzi! – zawołała pielęgniarka.

* * *

Minęło kilka tygodni, zanim Lamberg odzyskał sporą część dawnych sił. Od czasu ataku terrorysty w świątyni, po tym jak został poważnie ranny w głowę, przebywał w stanie głębokiej śpiączki, choć wykres EEG świadczył o dużej intensywności pracy kory mózgowej. Często odwiedzali go znajomi z policji, a także dziennikarze, ponieważ dzięki jego zimnej krwi wszyscy przebywający wówczas w kościele ludzie przeżyli, a terrorystę udało się obezwładnić. Kiedy Lamberg rzucił się na niego, pocisk wystrzelony przez przestępcę otarł się o jego czaszkę, powodując głęboki wstrząs. Policjant zdołał jeszcze pochwycić za karabin, uniemożliwiając zamachowcowi dalszy atak. Moment ten wykorzystali inni wierni, rzucając się na intruza i ostatecznie odbierając mu broń. Kilka osób zostało rannych.

Lamberg przebywał na zwolnieniu chorobowym i miał wiele czasu na rozmyślanie, zwłaszcza wtedy, gdy żona była w pracy, a syn w szkole.

A więc to wszystko mi się tylko wydawało – zastanawiał się. – Śniło mi się, gdy byłem pogrążony w głębokiej śpiączce.

Myślał, że to dosyć dziwne, bo wszystkie wydarzenia pamiętał dobrze, nie tak, jak dzieje się to w przypadku typowego snu, który przecież zazwyczaj szybko zapominamy. Szczególnie wrył mu się w pamięć góral Plichta i zastanawiał się, czy ktoś taki w ogóle istniał. Sprawdził oczywiście w wyszukiwarce internetowej schronisko na Wilczycy, lecz nie znalazł o nim żadnych wzmianek.

Którejś nocy zbudził się gwałtownie przekonany, że ktoś go obserwuje. Przez moment widział nawet lśniące srebrem trupy czaszki przyłączone do

munduru. Wszystko zniknęło, gdy zapalił światło.

Pewnego wrześniowego popołudnia, kiedy już prawie zupełnie wydobrzał, w tajemnicy przed żoną i synem pojechał do Przygórza. Wsiadł z samochodu, zdumiony, że okolica wydaje mu się tak dziwnie znajoma. Spostrzegł nawet ścieżkę i wiedział, że to nią należy podążać. Piął się z mozołem w górę, a poczucie nierozwiązanej tajemnicy nie dawało mu spokoju. Jako człowiek wierzący myślał o tym, co go spotkało w kategoriach próby podobnej do tej, jaka przytrafiła się samemu Hiobowi, bo i on ostatecznie, wychodząc z perypetii oraz ze śpiączki obronną ręką, w pewnym sensie odzyskał z powrotem wszystko, co utracił – żonę, dziecko, życie w całej swojej pełni. Przyszło mu do głowy, że to, co go spotkało wtedy, gdy leżał pogrążony w śpiączce, mogło być na swój sposób prawdziwe, a może nawet prawdziwsze niż sama rzeczywistość. Była to jednak szalona koncepcja, którą nie odważyłby się z nikim podzielić. Nie jest przecież wykluczone, że istnieją inne światy niż ten, który na co dzień dostrzegają nasze niedoskonałe zmysły. Nikt nie wie, gdzie te ulotne z naszego punktu widzenia światy się znajdują. Może dalej niż same gwiazdy, może jednak znacznie bliżej, tuż obok, w przeszłości lub przyszłości.

Pnąc się w górę ścieżką, odnosił nieodparte wrażenie, że był tu już wcześniej. Gdy wyszedł z lasu na rozległą polanę, to wrażenie zamieniło się w pewność. Wzgórze znajdowało się tam, gdzie powinno. Podszedł w jego stronę, czując narastający niepokój. Nieopodal miejsca, gdzie powinno stać schronisko, znajdował się niewielki, pokryty gładzi pagórek. Jednak nie było tu żadnego budynku. Być może nie było go nigdy.

Naraz spostrzegł zbliżające się w jego kierunku dwie roześmiane turystki. Były to młode dziewczyny, może studentki.

- Dzień dobry – zagadnęła jedna z nich. – Czy jest tu jakieś schronisko?
- Nie ma – odparł Lamberg, uciekając wzrokiem.

– Dziwne – zaśmiała się jedna z dziewczyn. – Kiedy szłyśmy w tę stronę, wydawało mi się, że z daleka widzę schronisko, a moja koleżanka niczego nie mogła zobaczyć.

Policjant poczuł nieprzyjemny, chłodny dreszcz na plecach.

– Wiem, co mówię – powiedział nieco zbyt ostro. – Na pewno nie ma tu żadnego schroniska ani nigdy nie było! Noclegu radzę poszukać we wsi. Tam ludzie chętnie wynajmują kwatery.

Gdy turystki oddaliły się, sam również postanowił odejść. Niebawem miało się ściemnić, a wtedy... Wszystko może się wydarzyć w tym dziwnym świecie, który znajduje się zaraz obok naszego. Tym świecie, do którego zagląдают tylko ludzie bliscy śmierci lub obdarzeni szczególną wrażliwością. Lub ci, którzy akurat znajdą się w niewłaściwym miejscu i czasie. Na określonej częstotliwości.

Nagle jego uwagę przykuło coś błyszczącego. Schylił się i wygrzebał lśniący drobiazg spośród kamieni. Stał jeszcze dłuższą chwilę, czując, jak coraz chłodniejszy wiatr pieści jego włosy. Przyglądał się krwawym odbłaskom zachodzącego słońca, które barwiły małą, srebrną trupią czaszkę. Wyglądała, jakby ktoś zgubił ją dosłownie przed chwilą.